

Epoka intryg, spisków
i... szpiegów.

SEKRET TUDORÓW

KRONIKI NADWORNego SZPIEGA ELŻBIETY I

C.W. GORTNER

»Książnica«

Jest lato 1553 roku. Brendan Prescott, podrzutek i sierota, wychowuje się w domu potężnej rodziny Dudleyów. Prescott trafia na dwór królewski jako giermek Roberta Dudleya, który powierza mu tajną misję i wysyła do przyrodniej siostry króla – księżniczki Elżbiety. Brendan wplątuje się w mroczne dworskie intrygi i szpieguje dla doradcy Elżbiety Williama Cecila. Mając u boku tylko odważnego chłopca stajennego i pełną uroku, zuchwałą damę dworu, próbuje dociec prawdy o tajemniczym zniknięciu ciężko chorego króla Edwarda VI. Rzuca się w wir politycznej gry, którą rządzą podstępny, kłamstwa i zbrodnie.

Sekret Tudorów to galeria olśniewających postaci z błyskotliwą i zagadkową Elżbietą w centrum. Nigdy służba na królewskim dworze nie wymagała większej odwagi, złoczyńcy nie byli bardziej dwulicowi, a życie tych, którzy mają władzę – albo chcą ją zdobyć – nie wydawało się bardziej niebezpieczne.

– Margaret George, autorka *Autobiografii Henryka VIII*


www.publicat.pl



ISBN 978-83-245-7975-4



9 788324 579754 >

P.KS.HIS061.1.01

cena 39,90 zł

C.W. GORTNER
SEKRET
TUDORÓW

KRONIKI NADWORNIEGO SZPIEGA ELŻBIETY I

Przełożył z angielskiego
Michał Madaliński



Wydawnictwo „Książnica”

Każdy z nas ma jakąś tajemnicę.

Zagrzebujemy ją głęboko w sobie i przykrywamy kolejnymi warstwami, niczym ostryga ziarnko piasku opalizującą perłą; liczymy daremnie, że to śmiertelną ranę uleczy. Niektórzy spośród nas całe życie podporządkowują ukrywaniu sekretu, chronieniu przed tymi, którzy mogliby go wykraść, strzeżeniu jak źrenicy oka, jak tej perły. A często okazuje się, że tajemnica wymyka się wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy, zdradza ją błysk strachu w naszym oku, nagły ból, gniew czy nienawiść. Albo przemożny wstyd.

O tajemnicach wiem wszystko. Tajemnicach nad tajemnice, tajemnicach jak miecze, jak postronki, jak czułe słówka u wezłowania łoża. Prawda sama nigdy nie wypływa. Tajemnice są walutą naszego świata, fundamentem, na którym wznosi się gmach naszej pychy i kłamstwa. Tajemnice są nam potrzebne, służą za stal naszych tarcz, ozdobę naszych ciał, zastonę naszych łęków. Łudzą i pocieszają, chronią przed świadomością, że koniec końców każdy musi umrzeć, my też.

— *Zapisz to wszystko. Do ostatniego słowa — powiedziała.*

Siadujemy tak często zimą naszego żywota, w niemodnych już strojach, bezsenni. Szachy czy karty leżą porzucone na stole, a jej oczy — jak zwykle czujne, uważne, wciąż śmiałe mimo lat,

jakie odbiły się na jej twarzy — wpatrują się w jej wnętrze, w to miejsce, dokąd nikt nigdy nie zdołał się dostać, w ten jej sekret, który — wiem to już dziś na pewno, a może zawsze wiedziałem — zabierze ze sobą do grobu.

— Zapisz to — powiedziała. — Żebyś nie zapomniał, gdy mnie już nie będzie.

Czyż mógłbym zapomnieć?

WHITEHALL, 1553

ROZDZIAŁ I

Rozpoczęło się to od podróży, jak wszystko, co ważne w życiu. Dokładniej mówiąc, od jazdy do Londynu, czyli mojej pierwszej wyprawy do tego najbardziej fascynującego i najbardziej odpychającego ze wszystkich miast.

Ruszyliśmy samowtór, tuż przed świtem, wierzchem. Dotychczas nie zapuszczałem się poza granice Worcestershire, więc tym bardziej zdziwiło mnie wezwanie, z którym przyjechał po mnie rządca jaśnie pani, Archibald Shelton. Spakowałem migiem mój skromny dobytek, pożegnałem się z resztą służby (w tym ze śliczną Annabel, która płakała, jakby jej pękało serce) i już siedziałem w siodle, opuszczając zamek Dudleyów, gdzie spędziłem całe dotychczasowe życie. Nie miałem pewności, czy w ogóle jeszcze tu kiedyś wrócę.

Podniecenie i niepewność tego, co mnie czeka, nie powinny były pozwolić mi zasnąć. A jednak monotonny pejzaż i miękki kłus mojego deresza Cynobra ukołysały mnie do snu.

Z drzemki wyrwał mnie głos Sheltona.

— Brendan, chłopcze, nie śpij! Dojeżdżamy.

Wyprostowałem się w siodle. Zamrugałem powiekami, chcąc przegonić resztki senności, i sięgnąłem dłonią do głowy, by poprawić sobie kapelusz. Ręka trafiła na niesforną strze-

chę rudawych włosów. Rządcy Sheltonowi nie podobała się moja fryzura, ofuknął mnie, że się nie godzi Anglikowi chodzić z długimi włosami, jak to mają w zwyczaju Francuzi. Teraz z pewnością zbурczy mnie za zgubiony kapelusz.

— Tylko nie to! — Zerknąłem na niego.

Przyglądał mi się z niewzruszonym spokojem. Na lewym policzku miał wydatną bliznę, która szpeciła mu twarz. Rzecz skądinąd bagatelna, zważywszy, że Archie Shelton urodą nigdy nie grzeszył. Niemniej jednak postać miał imponującą i roztaczał wokół siebie aurę władczości, widoczną nawet w sposobie dosiadania wierzchowca. Płaszcz obsyty przetartym nieco niedźwiedzim futrem oraz laska znamionowały jego pozycję jako rządcy rodziny Dudleyów. Kamienne spojrzenie mogło budzić trwogę, ale ja zdążyłem przywyknąć do jego oschłości, nadzorował przecież moje wychowanie w domostwie Dudleyów.

— Już miłą przejechaliśmy, odkąd ci spadł — podał mi mój własny kapelusz. — Od czasów wojen szkockich nie widziałem, żeby ktoś tak głęboko zasnął w siodle. Można by pomyśleć, że wyprawa do Londynu to dla ciebie chleb powszedni.

W jego głosie pobrzmiwało szorstkie rozbawienie. To wspierało moje podejrzenia, że tak naprawdę cieszy się z nagłej odmiany mojego losu, chociaż nie leżało w jego naturze dawanie wyrazu osobistym odczuciom w związku z jakimikolwiek decyzjami lorda czy lady Dudley.

— Na dworze nie będziesz mógł sobie pozwolić na gubienie kapelusza — powiedział, a ja wcisnąłem czerwony sukienki kapelusz na głowę i popatrzyłem w przód, na naszą drogę, która usiana płamami słońca wspinała się przed nami na wzgórze. — Giermek musi być czuły na punkcie swojego wyglądu. — Obrzucił mnie spojrzeniem. — Nasi państwo od swojej służby wymagają wiele. Chyba pamiętasz, jak się powinienes zachowywać w obecności wyższych stanem.

— Pewnie, że pamiętam! — Ściągnąłem ramiona i wyrecytowałem gorliwie: — Siedzieć cicho, spuszczać wzrok, gdy do mnie mówią. Jeśli nie wiem, jak mam się do kogoś zwracać, mówić „wasza łaskawość”. — Przerwałem. — Widzisz, panie? Wszystko pamiętam.

Shelton chrząknął.

— Widzę. Będziesz giermkim młodego dziedzica, panicza Roberta, i nie chciałbym, żebyś zmarnował tę szansę. Jeśli będziesz się wzorowo wywiązywał ze swoich zadań, to możesz daleko zejść. Może zostaniesz starszym służącym, a kto wie, może nawet i rządcą? Ród Dudleyów jest z tego znany, że umie wynagrodzić tych, co mu służą wzorowo.

Mogłem się być tego domyślić.

Odkąd lady Dudley opuściła rodzową siedzibę, żeby dołączyć do małżonka na dworze królewskim, przysyłała rządcę do zamku dwa razy do roku, żeby doglądał pozostałej tam służby, wśród której byłem i ja. Rządca na pozór tylko sprawdzał, jak dbamy o powierzony nam majątek, ale miałem wrażenie, że mną interesował się szczególnie. Ja byłem tylko stajennym, ale on powierzał mi coraz to inne, nowe zadania, a także płacił skromne uposażenie. Zapewnił mi nawet naukę — zgodził na nauczyciela jakiegoś miejscowego mnicha, jednego z tysięcy tych biedaków, którzy odkąd król Henryk zlikwidował zakony, wędrowali po Anglii, handlując tym i owym lub żebrząc. Służba w zamku Dudleyów uważała rządcę jaśnie pani za dziwaka, człowieka zimnego. Był samotnikiem, bezdzielnym starym kawalerem, ale do mnie miał, nie wiedzieć czemu, stosunek cieplejszy.

Teraz zrozumiałem dlaczego. Chciał sobie wychować następcę, gdy starość lub złe zdrowie każą mu poprosić o zwolnienie z obowiązków. Wcale nie miałem ochoty na objęcie tej roli, polegającej głównie na wyręczaniu jaśnie pani w uciążliwym zarządzaniu gospodarstwem domowym. Oczywiście było to wielkie wyróżnienie, na taką promocję nie mógł bo-

wiem liczyć ktoś mojej kondycji, ale ja wolałem raczej pozostać stajennym, kimś o jasno określonych obowiązkach, niż być zdanym na humory jaśnie państwa ich osobistym sługusem. Na koniach dobrze się znałem i rozumiałem je, a księżę i księżna byli mi zupełnie obcy; obcy i niepojęci.

Nie mogłem jednak nie okazać wdzięczności. Skłoniłem więc głowę i wymamrotałem:

— Byłbym zaszczycony, gdyby uznano mnie za godnego takiej posady.

Twarz Sheltona zmarszczyła się na moment w jasnym uśmiechu, tym jaśniejszym, że widywanym u niego rzadko.

— Zaszczycony? Myślę, że tak. Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Odwzajemniłem uśmiech. Służba w charakterze giermka panicza Roberta będzie wystarczająco ciężka, nie warto zaprzątać sobie głowy przyszłymi kłopotami. Trzeciego syna jaśnie pana nie widziałem od lat. Byliśmy mniej więcej rówieśnikami, w zamku obaj spędziliśmy dzieciństwo.

Prawdę mówiąc, Robert Dudley był zmorą mojego dzieciństwa. Od małego był najprzystojniejszym i najzdolniejszym ze wszystkich młodych Dudleyów. Czegokolwiek się imał, szybko wyprzedzał innych, czy to w łucznictwie, czy w grze na instrumentach, czy w tańcu. Był pyszny i głęboko wierzył w swoją wyższość; tyran, rozkoszujący się znęcaniem nad słabszymi. Nie raz mi dokuczył.

Choćbym nie wiem jak głęboko się schował albo nie wiem jak zajadle bronił, gdy mnie znaleźli, panicz Robert zawsze mnie sprzął na kwaśne jabłko albo w inny sposób dopiekl. Pod jego wodzą banda młodych Dudleyów to utytłała mnie w błotnistej brudnej fosie zamkowej, to zawiesiła na sznurze nad studnią na głównym dziedzińcu. Nie raz, słysząc moje rozpaczliwe krzyki, spieszyła mi z odsieczą moja ukochana ochmistrzyni Alice. Spory kawał dzieciństwa spędziłem, drżąc, ukryty wysoko na drzewie czy w ciemnym zakamarku

strychu. Potem panicza Roberta wysłano na dwór królewski, gdzie został paziem królewicza Edwarda. Potem i jego bracia wywędrowali z zamku, piastować rozmaite funkcje, a ja nareszcie odkryłem radość swobody.

Teraz z trudem przychodziło mi przywyknąć do myśli, że jaśnie pani księżna zarządziła, bym służył jej synowi. Ale przecież wysoko urodzeni nie z czystego miłosierdzia opiekują się takimi nieszczęśnikami jak ja. Wiedziałem od zawsze, że nadejdzie dzień, gdy będę musiał spłacić dług.

Te niewesołe myśli musiały odmalować się na moim obliczu, bo Shelton odkaszlnął i z pewnym skrępowaniem rzekł:

— Nie martw się. Ty i lord Robert jesteście już dorośli. Jeśli będziesz zachowywał się stosownie i skrupulatnie wypełniał jego rozkazy, wszystko będzie dobrze, zobaczysz. — I poklepał mnie po ramieniu z rzadką u niego serdecznością. — Ochmistrzyni Alice byłaby z ciebie dumna. Zawsze uważała, że daleko zajdziesz.

Poczułem ścisnięcie serca. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak dobrotliwie grozi mi palcem znad bulgoczącego na blasze kociołka, a ja siedzę urzeczony, oblizując palce lepkie od słodkich, świeżych powideł. „Bądź gotów na wiele, Brendanie Prescott — mawiała — bo nigdy nie wiadomo, kiedy dane ci będzie wznieść się ponad nasz pospolity stan”.

Odwrociłem się, udając, że poprawiam wodze. Cisza przeciągała się, przerywana jedynie stukotem końskich kopyt po kamieniach i ubitej na kamień ziemi. Przerwał milczenie Shelton.

— Mam nadzieję, że liberia będzie na ciebie pasowała. Mógłbyś nabrać nieco ciała, ale postawę masz dobrą. Ćwiczyłeś trochę szermierkę okutym drągiem, jak cię uczyłem?

— Ćwiczyłem codziennie — odparłem. Zmusiłem się, żeby podnieść wzrok. Rządca Shelton nie wiedział, że przez ostatnie lata uczyłem się też innych rzeczy.

Ochmistrzyni Alice nauczyła mnie czytać i pisać. Miała wykształcenie, rzecz wyjątkowa u kogoś niskiego stanu, ale ona była córką kupca, któremu nie powiodło się w interesach. Poszła na służbę do Dudleyów, żeby mu ulżyć, a właściwie żeby samej nie głodować. Powtarzała mi, że jedyne ograniczenia naszego umysłu to te, które sobie narzucimy. Gdy zmarła, przysiągłem sobie, że dokończę nauki, aby uczcić jej pamięć. Tak ochoczo wsłuchiwałem się w to, co mówił kwaśnousty mnich, którego najął rządca, że zanim się obejrzałem, wtajemniczał mnie w pisma Plutarcha. Wiele nieprzespanych nocy kosztowały mnie księgi wyniesione ukradkiem z biblioteki państwa. Opasłe tomiska służyły Dudleyom głównie do afiszowania się bogactwem, bo panicze woleli doskonalić się w sztuce łowieckiej, niż zaprzętać sobie głowę książkową mądrością. Natomiast w moim przypadku czytanie stało się pasją. W tych zatęchłych woluminach odkryłem bezkresny świat, w którym mogłem być każdym, kim tylko zapragnąłem.

Stłumiłem uśmiech. Shelton umiał czytać i pisać. Było mu to konieczne, bo jako rządca musiał prowadzić buchalterię majątku Dudleyów. Ale zawsze podkreślał, że nie ma ambicji wychodzenia ponad swoją rolę i nie będzie tolerował takich ambicji u innych. Uważał, że nikt ze służby, choćby nie wiedzieć jak zdolny i gorliwy, nie powinien zgłębiać traktatów Erazma z Rotterdamu czy dzieł Tomasza Morusa ani nawet dążyć do biegłości w łacinie czy francuskim. Gdyby wiedział, jak wiele przez ostatnie lata wyciągnąłem od bakałarza, którego dla mnie najął, pewnie wcale by się nie ucieszył.

Jechaliśmy w milczeniu ku szczytowi wzgórza. Droga wiała się bezdrzewną doliną. Zwróciłem uwagę na odmiennność tu-tejszego krajobrazu od tego, co znałem z Midlands: bezkresnych równin. Tak niedaleko od domu, a wydawało się, że się człowiek znalazł w innym świecie.

Niebo przed nami zasnuwały dymy. Zobaczyłem dwa wzgórza, spoza których wynurzył się potężny mur otaczający

zbiorowisko gmachów, wież zamkowych, dzwonnicy, oplecionych siecią uliczek i rozdzielonych na dwoje szeroką wstęgą Tamizy.

— I oto Londyn — rzekł Shelton. — Ani się obejrzysz, jak będziesz tęsknił za wiejską ciszą, jeśli cię wpierw nie dopadnie jakiś rzezimieszek lub zaraza.

Gapiłem się z wybałuszonymi oczyma. Londyn był tak zatłoczony, jak się tego obawiałem. Po niebie krążyły drażące ptaki, jakby zwietrzyły padlinę. Kiedy jednak podszliśmy bliżej wijących się murów, wypatrzyłem też pastwiska, na których pasło się bydło, ogrody, herbaria, sady i zagrody. Wyglądało na to, że w Londynie wciąż nie brakuje wiejskich pozostałości.

Dotarliśmy do jednej z siedmiu bram miasta. Wmieszaliśmy się w tłum, a ja łapczywie chłonałem widoki, dźwięki, wonie. Wystrojeni kupcy na wozach zaprzężonych w woły, nawołujący śpiewnie druciarz, podzwaniający żelastwem, żebracy, pacholki, rozmaici rzemieślnicy, rzeźnicy, garbarze i pielgrzymi. Pod bramą gwar wzrastał się, strażnicy zatrzymywali i sprawdzali każdego. Wraz z Sheltonem stanęliśmy w ogonku oczekujących. Podniosłem wzrok na wieżę bramną zwieńczoną zębatymi, poczerniałymi od sadzy blankami.

Znieruchomiałem. Z wysoka spoglądały na mnie w dół niewidzącymi oczodołami osadzone na palach głowy.

— To papiści. Jego wysokość kazał umieścić tu ich głowy dla przestrogi — wyjaśnił półgłosem Shelton.

Papiści, czyli katolicy. Wierzyli, że głową Kościoła jest papież w Rzymie, a nie nasz pan i władca. Ochmistryni Alice była katoliczką. Mnie wychowała wprawdzie w wierze protestanckiej, bo tak nakazywało prawo, ale codziennie wieczorem widywałem ją, jak odmawia różaniec.

W tej jednej chwili dotarło do mnie, jak daleko znalazłem się od jedyne go miejsca, które znałem, które mogłem nazwać swym domem. Tam nikt nie interesował się, co wyznają czy

co praktykują inni. Nikomu nie przychodziło do głowy zawiadamiać stróżów porządku czy nękać różnowierców. A tu można było stracić głowę za przekonania.

Przyczłapał do nas niechlujny strażnik, wycierając tłuste łapska w kaftan.

— Nikogo nie wpuszczamy — warknął. — Bramy zamknięte z rozkazu jego wysokości. — Przerwał, bo zauważył naszywki na płaszczu Sheltona. — W służbie księcia Northumberland, jak widzę.

— Jestem głównym rządcą w służbie jaśnie pani. — Wyciągnął z sakwy zrolowany pergamin, chcąc go zaprezentować. — Oto list żelazny dla mnie i chłopaka. Mamy się stawić na dworze.

— Czyżby? — Strażnik łypnął okiem. — Tutaj każdy ma się gdzieś stawić. Motłoch jest podniecony, krążą pogłoski o śmiertelnej chorobie jego królewskiej mości i jakieś bajdy o królowie Elżbiecie, jeżdżącej konno wśród ludu. — Splunął na ziemię. — Głupcy! Uwierzyliby, że księżyc jest utkany z jedwabiu, gdyby wystarczająca liczba ludzi przysięgła, że tak jest. — Nie zadał sobie trudu przejrzania naszych dokumentów. — Na waszym miejscu trzymałbym się z dala od tłumu — i machnął, wpuszczając nas do środka.

Przeszliśmy przez bramę. Za nami podniosły się protesty tych, którzy nie mieli tyle szczęścia. Shelton upchnął pergamin z powrotem do sakwy. Poły płaszcz rządcy rozsunęły się, błysnął przypasany pałasz. Broń przykuła moją uwagę. Namacałem własne narzędzie obrony: sztylet w pochwie u pasa. Obdarował mnie nim Shelton na moje czternaste urodziny.

— Czy jego królewska mość Edward naprawdę... jest umierający? — zaryzykowałem.

— Oczywiście, że nie — obruszył się. — Król chorował, owszem, a lud uważa, że to przez księcia. Wszystko, co złe w Anglii, przypisują księciu. Wiedz, chłopcze, że władza spo-

ro kosztuje. — Zacisnął szczęki. — Miej oczy i uszy otwarte. Tu nigdy nie wiesz, czy jakiś niegodziwiec nie poderżnie ci gardła, żeby zedrzeć z grzbietu przyodziewek.

Nie wątpiłem. Londyn różnił się od tego, co sobie wyobrażałem. Zamiast schludnej sieci porządných ulic ze straganami zobaczyłem płataninę krętych uliczek, na których piętrzyły się stosy śmieci; w bok odchodziły ciemne zaułki. U góry, niczym przewracające się drzewa, chyliły się ku sobie ściany domów, ruder właściwie; rozchwierutane galeryjki wspierały się o siebie, nie dopuszczając na dół światła dziennego. Zapadła dziwna cisza, jakby wszyscy gdzieś przepadli, tym bardziej dojmująca, że jeszcze przed chwilą, przy bramie, panował tumult.

Wtem rządcą Shelton gwałtownie ściągnął wodze konia.

— Słuchaj!

Nastawiłem uszu. Z oddali dobiegł głuchy gwar, jakby ze wszystkich stron równocześnie.

— Lepiej uważajmy — rzekł ostrzegawczo.

Mocniej ująłem wodze Cynobra i skierowałem go na bok, akurat w chwili, gdy ulicę wypełnili ludzie. Pojawili się licznie i tak niespodziewanie, że mimo ściągniętych wodzy Cynober zaczął się cofać. W obawie, że kogoś strątuje, zsunąłem się z siodła i przytrzymałem go za uzdę.

Tłum napierał ze wszystkich stron. Harmider, zaduch potu, pstrokacizna; poczułem się osaczony. Już sięgałem za pas po sztylet, gdy zauważyłem, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Zerknąłem na Sheltona, który nieporuszenie tkwił na grzbiecie swojego gniadosza. Wydał mi ostro jakiś rozkaz, ale go nie dosłyszałem. Odwróciłem więc głowę i wycężyłem słuch.

— Wracaj na siodło! — warknął, a ja z trudem utrzymywałem się na nogach, bo motłoch nagle ruszył do przodu. Udało mi się jednak wgramolić na grzbiet Cynobra; lawirując między ludźmi, wydostaliśmy się obaj z wąskiej uliczki na szeroki bulwar nad rzeką.

Szarpnąłem wodze, Cynober zarył w miejscu. Przed nami lśniła jaspisową zielenią Tamiza. W dali majaczył przez mgiełkę kamienny kolos. Tower.

Groźna królewska twierdza przykuwała wzrok. Podjechał do mnie rządcą.

— Nie mówiłem, że trzeba mieć uszy i oczy otwarte? Naprzód! Nie pora na podziwianie widoków. Londyński lud w mgnieniu oka potrafi przedzierzgnąć się w krwiożerczą tłuszcę.

Odwrociłem się. Sprawdziłem, w jakiej formie jest mój wierzchowiec. Cynober drżał i boki miał pokryte pianą, nozdrza rozdymał, ale nie poniósł szwanku. Motłoch parł ku szerokiej ulicy z pierzeją wysokich kamienic i dyndającymi szyldami tawern. Nagle coś sobie przypomniałem. Sięgnąłem ręką do głowy. Ale jakimś cudem kapelusz nadal na niej tkwił.

Tłum się zatrzymał. Wśród tych obszarpanych ludzi kręcili się boski ulicznicy, starając się nie wzbudzać niczyjej uwagi, a za nimi skradały się kundle. Bez wątpienia złodziejaszki. Młokosy, wielu z nich nie miało więcej niż dziewięć lat. Gdybym nie trafił na służbę do jaśnie państwa Dudleyów, byłbym jednym z nich.

Rządcą Shelton skrzywił się z niezadowoleniem.

— Zagradzają nam drogę. Zsiądź i rozejrzyj się, na co się tak gapią. Wolałbym się nie przeciskać przez tę masę.

Zsiadłem i oddałem mu wodze, po czym wmieszałem się w tłum. Zacząłem przeciskać się do przodu. Wzbudzałem przekleństwa i kuksańce, ale dzięki temu, że jestem szczupły, jakoś mi się udało. Wspiąłem się na palce, żeby wyrzeć zza głów stojących przede mną. Zobaczyłem drogę, którąjechała niczym niewyróżniająca się grupa konnych. Już miałem się odwrócić i wycofać, ale stojąca obok mnie zażywna jejmość z przywiedłym bukietem polnych kwiatów przepchnęła się do przodu.

— Niech cię Bóg błogosławi, królowno Bess! Niech Bóg błogosławi jej wysokości! — zawołała i rzuciła kwiaty przed siebie.

Ucichło. Jeźdźcy skupili się nieco, jakby coś — może kogoś? — zasłaniali przed wzrokiem gapiów.

Wtem zauważyłem srokacza skrytego między większymi rumakami. Do koni miałem oko, a ten srokacz lekkością chodu i pełną gracji sylwetką zdradzał krew hiszpańską, rzadką w Anglii. Ten koń musiał kosztować tyle, co cała stajnia mojego księcia.

Wtedy moją uwagę zwrócił jeździec. Od razu poznałem, że to kobieta, choć jej twarz i postać skrywała opończa z kapturem, a dłonie — skórzane rękawice jeździeckie. Dosiadała konia okrakiem, wbrew przyjętym zwyczajom; stopy miała ozute w wysokie buty do konnej jazdy; koński rząd był bogato zdobiony, ale ubiór dziewczyny prosty. Wodze trzymała mocno i pewnie; widać było, że bez wahania dąży do celu.

Widać też było, że jest świadoma naszych spojrzeń i że słyszała okrzyk kobiety, bo zwróciła głowę w naszą stronę. Ku mojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu zrzuciła kaptur i ukazała nam swoją delikatną twarz w aureoli miedzianych włosów.

I obdarzyła nas uśmiechem.

ROZDZIAŁ II

Wszyscy się cofnęli. Przypomniałem sobie słowa strażnika przy bramie, że krążą bajdy o królownie jeżdżącej konno wśród ludu.

Tłum zrzędł, zaczął się rozchodzić, a jeden z uliczników podkradł się na drogę, żeby wziąć sobie rzucony bukiet. Jejmość, która go rzuciła, stała bez ruchu, z rękami złożonymi na piersi, odprowadzając kawalkadę zmęczonym spojrzeniem oczu, w których połyskiwały łzy. Dotknąłem lekko jej ramienia. Odwróciła się do mnie, jakby oszołomiona.

— Widziałeś ją? — wyszeptała. Choć patrzyła wprost na mnie, miałem wrażenie, że wcale mnie nie widzi. — Widziałeś naszą królową Bess? Pokazała się nam wreszcie, Bogu niech będą dzięki. Tylko ona może nas wybawić od tego diabła Northumberlanda.

Stałem nieruchomo, dziękując Bogu, że moja liberia została w sakwie. Czyżby lud Londynu nie kochał Johna Dudleya, księcia Northumberland? Wiedziałem, że książę jest teraz królewskim ministrem, a doszedł do władzy po upadku byłego regenta, lorda protektora i królewskiego wuja Edwarda Seymoura. Wielu poddanych królewskich przeklinało Seymourów ze względu na ich żądze władzy i chciwość. Czyżby książę ściągnął na siebie taką samą nienawiść?

Odwrociłem się od kobiety. Rządca Shelton podjechał ku nam; z wysokości swego wierzchowca zgromił jejmość spojrzaniem.

— Głupia kobieto! Uważaj, by nie usłyszeli cię ludzie mojego pana, bo obetną ci język, jak mi Bóg miły.

Rozdziawiła usta. Wtem zobaczyła naszywki na płaszczu rządcy i cofnęła się o krok.

— Człowiek księcia! — wybełkotała. Rzuciła się niezdarnie do ucieczki. Pozostali również się rozpierzchli, kryjąc się w płataninie zaułków lub w karczmach.

Ale z drugiej strony alei przypatrywała się nam grupka mężczyzn o wyglądzie rzezimieszków. Gdy dostrzegłem błysk ostrza ukrytego w rękawie, serce podskoczyło mi do gardła.

— Siadaj na konia — rzucił rządca, nie spuszczać wzroku z grupki.

Nie musiał mi tego powtarzać. Wskoczyłem na siodło, a Shelton obrócił się z koniem dookoła, rozglądając się po okolicy. Łotrzyki ruszyły w naszą stronę, zagrządzając częściowo drogę w tę stronę, gdzie odjechał orszak jeźdźców. Czekałem z sercem w gardle. Mieliśmy dwa wyjścia. Mogliśmy ruszyć nad rzekę, a potem w labirynt ulic, albo zanurkować w nieprzebyte na pozór szeregi zrujnowanych drewnianych domów. Shelton wydawał się zastanawiać, ściągnął wodze, aż gniadosz stanął dęba. Rządca taksował wzrokiem zbliżających się opryszków.

Nagle jego oszpeconą blizną twarz rozjaśnił srogi uśmiech. Ścisnął obcasami końskie boki i skoczył wprost na nich. I ja spałem Cynobra. Ruszyłem na złamanie karku. Napastnicy zamarli w pół kroku, wybałuszając oczy na napierającą na nich masę mięśni i ostrych kopyt. Rozpierzchli się na boki jak pecyny błota, przyskające spod podków naszych wierzchowców. Tętent zagłuszył na moment ostry, wwiercający się w trzewia krzyk, który urwał się szybko. Rzuciłem okiem za

siebie. Jeden ze zbirów leżał twarzą do ziemi, a z jego rozbitej głowy sączyła się krew.

Wpadliśmy między walące się budynki. Było ciemno. Zaduch odchodów, moczu, zgnilizny spadł na nas niczym zarucona na głowy płachta. Chylące się nad nami balkony tworzyły coś w rodzaju ponurego sklepienia, zwisały z niego festony suszącej się bielizny i połcie wędlin. Plaskało pod kopytami błoto, bryzgały ścieki z przepełnionych rynsztoków, którymi miejskie nieczystości spływały do rzeki. Wstrzymałem oddech i zacisnąłem zęby, czując w gardle smak żółci. Droga przez tę mękę zdawała się nie mieć końca. Wreszcie wypadliśmy bez tchu na jakiś plac.

Szarpnąłem wodze, zatrzymując Cynobra. Kręciło mi się w głowie, zamknąłem oczy, wciągałem powietrze głęboko, chcąc się uspokoić. Wsłuchiwałem się w nagłą ciszę, wchłaniałem w nozdrza zapach świeżej trawy i cierpki aromat jabłoniowego dymu. Otworzyłem oczy.

Znaleźliśmy się w innym świecie. Wokół nas kołysały się rozłożyste dęby i wyniosłe lipy. Jak okiem sięgnąć rozciągała się zielona łąka. Ciekaw byłem, skąd się wzięła taka oaza w środku miasta. Spojrzałem na Sheltona — patrzył przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim położeniu jak przed chwilą, zdeterminowanego, bez pozorów dworskiej etykiety, bezlitosnego.

Musiałem pozbierać myśli. Po chwili odezwałem się ostrożnie:

— Ta jejmość... mówiła coś o królownie Bess. Czy ta dziewczyna na koniu to była siostra jego królewskiej mości, królowna Elżbieta?

Shelton odparł twardo:

— Jeśli to była ona, to tym gorzej dla niej. Gdziekolwiek się pojawi, wywołuje kłopoty, tak jak i ta ladacznica, jej matka.

Nie ważyłem się już na jedno nawet słowo. Oczywiście znałem los Anny Boleyn. Któż go nie znał? Wyrastałem,

jak całe moje pokolenie, wśród opowieści o krwawych czynach Henryka VIII, o jego sześciu żonach, o potomstwie: o miłościwie nam panującym synu, Edwardzie VI, i o dwóch córkach: Marii i Elżbiecie. Chcąc się ożenić z Anną Boleyn, król Henryk odprawił swoją pierwszą małżonkę, matkę królowy Marii, Katarzynę Aragońską, księżniczkę hiszpańską. Ogłosił się następnie głową Kościoła. Powiadają, że Anna Boleyn śmiała się, gdy ją koronowano. Niedługo jednak się śmiała. Obwołana przez lud heretyczką i wiedźmą, z której poduszczeń król zaniedbuje państwo, w trzy zaledwie lata po urodzeniu córki Elżbiety Anna została oskarżona o czary, kazirodstwo i cudzołóstwo. Ścięto ją z rozkazu króla wraz z bratem i jeszcze czterema mężczyznami. W dzień po egzekucji Anny Henryk VIII zaręczył się z Jane Seymour, która została potem matką Edwarda, obecnego króla.

Wiedziałem, że wiele osób, które pamiętały wzlot i upadek Anny, pogardało nią, nawet po jej tragicznym końcu. Ciepłe miejsce w sercach ludu wciąż miała Katarzyna Aragońska; nie zapomniano o jej szlachetności i stoicyzmie, które potrafiła zachować, choć jej życie legło w gruzach. Dlatego przykro dotknął mnie ton niechęci w głosie Sheltona. Mówił, jakby to Elżbieta była winna uczynków własnej matki.

Zastanawiałem się wciąż nad tym, gdy rządca pokazał mi zębatą sylwetkę rysującą się na tle ciemniejącego wieczornego nieba.

— To Whitehall — rzekł. — Pospieszmy się. Mamy za sobą ciężki dzień.

Przejechaliśmy przez rozległy park, pełen otwartych przestrzeni, i znaleźliśmy się wśród ulic, przy których stały otoczone murami rezydencje i ciemne średniowieczne kościoły. Zauważyłem dużą kamienną katedrę, stojącą na zboczu niczym wartownik, zachwycała mnie jej surowa uroda. Gdy zbliżyliśmy się do samego pałacu Whitehall, zachwyt przerosł się w nabożny podziw.

Widziałem już niejeden zamek. Rezydencja rodziny Dudleyów, gdzie się wychowałem, uznawana była za jedną z najwspanialszych w królestwie. Ale czegoś takiego jak pałac Whitehall w życiu nie widziałem.

Rezydencję Henryka VIII zbudowano w zakolu rzeki. Wznosiła się przede mną coraz wyżej, wielobarwne rojowisko niesamowitych wież, wieżyczek, krużganków rozpostartych niczym jakaś uśpiona bestia. Jak mi się wydawało, dziedziniec przecinały dwie drogi, a każdy jego skrawek wprost tętnił życiem.

Wjechaliśmy przez bramę północną, przegalopowaliśmy przez podjazd i dostaliśmy się na wewnętrzny dziedziniec, po którym uwijali się słudzy, urzędnicy królewscy i dworzanie. Zsiadliśmy i prowadząc konie za uzdy, posuwaliśmy się w kierunku, jak sądziłem, stajni, gdy podszedł do nas zdecydowanym krokiem mąż w karmazynowym kubraku.

Rządca Shelton zatrzymał się i złożył sztywny ukłon. Mężczyzna również skłonił głowę. Jego bładoniebieskie oczy taksowały nas uważnie; żywe oblicze okalała rudawa broda. Sprawiał wrażenie kogoś obdarzonego młodzieńczą witalnością, a także bystrą inteligencją. Spuściłem wzrok z szacunkiem, a moje spojrzenie padło na jego dłonie ze śladami zaschniętego inkaustu.

— Panie Shelton — odezwał się chłodno — jaśnie pani uwiadomiła mnie, że dziś się można waszmości spodziewać. Ufam, że podróż nie była zbyt uciążliwa.

— Ależ nie, wasza łaskawość — odparł rządca.

Mężczyzna przeniósł wzrok na mnie.

— A to...?

— Jestem Brendan — wyrzuciłem, zanim zdałem sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania. — Brendan Prescott, do usług, wasza łaskawość. — I odruchowo wykonałem ukłon będący świadectwem wielu godzin spędzonych

na mozolnych ćwiczeniach, choć w oczach tego mężczyzny zapewne nieudolny.

Jakby na potwierdzenie moich myśli ów roześmiał się serdecznie.

— Na pewno jesteś nowym giermkim panicza Roberta.
— Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Może twój pan zechce, byś się do niego zwracał w wyszukany sposób, ale do mnie, jeśli pozwolisz, wystarczy się zwracać „sekretnarzu Cecil” lub po prostu „panie”.

Poczułem, że się rumienię.

— Oczywiście, proszę mi wybaczyć, panie sekretarzu Cecil.

— Chłopak jest zmęczony i tyle — mruknął Shelton. — Jeśli zechcecie, panie, powiadomić jaśnie panią o naszym przybyciu, nie będziemy waszmości już kłopotać.

Sekretarz Cecil uniósł brwi.

— Niestety, jaśnie pani tu nie ma. Wraz z córkami udała się do Durham House na Strandzie, aby zwolnić tu miejsce dla szlachetnych gości i ich orszaków. Jak widzicie, jaśnie pan ma dziś mnóstwo gości.

Rządca Shelton zeszywniał. Zerkałem to na niego, to na sekretarza, który uśmiechał się zagadkowo. Zrozumiałem w tej chwili, że Shelton, nawet o tym nie wiedząc, został przywołany do porządku. Niech uprzejmość Cecila nikogo nie zmyli, Shelton nie jest mu równy pozycją.

Sekretarz tymczasem ciągnął:

— Lady Dudley poleciła, byście się, panie, udali niezwłocznie do Durham House, potrzebuje bowiem waszych usług. Jeśli waszmość zechcecie, dam eskortę.

Po dziedzińcu biegali paziowie z pochodniami i rozmieszczali je w żelaznych uchwytach na ścianach. Dziedziniec mroczniał, tak jak twarz Sheltona.

— Znam drogę — powiedział i machnął na mnie: — Chodź, chłopcze, to niedaleko.

Ruszyłem za nim, ale Cecil chwycił mnie za ramię. Uścisk jego palców przez rękaw był niespodziewany — niezbyt mocny, ale zdecydowany.

— Z tego co wiem, nowy giermek będzie zakwaterowany tutaj, z paniczem Robertem. To również polecenie jaśnie pani. — Uśmiechnął się do mnie znowu. — Zaprowadzę cię.

Nie spodziewałem się, że tak szybko zostanę od rządcy oddzielony. Na chwilę ogarnęło mnie paraliżujące poczucie porzucenia. Miałem nadzieję, że Shelton będzie nalegał, abym wraz z nim jechał do lady Dudley. On jednak rzekł tylko:

— Idź, chłopcze. Masz swoje obowiązki. Zobaczymy się później. — I nie obdarzywszy Cecila jednym spojrzeniem, odmaszerował ku bramie, prowadząc swego gniadosza.

Wziąłem Cynobra za uzdę i ruszyłem za Cecilem. Przechodząc pod łukiem na wewnętrzny dziedziniec, obejrzałem się przez ramię. Rządcy Sheltona już nie było.

Nie miałem czasu przyjrzeć się ogromnej stajni z belkowanym stropem, wypełnionej mnóstwem koni i psów. Powierzyłem Cynobra ciemnowłosemu chłopakowi stajennemu, który łapczywie wyciągnął dłoń po napiwek, zarzuciłem sakwę na ramię i pospieszyłem za sekretarzem, który przeprowadził mnie przez następny wewnętrzny dziedziniec, potem bocznymi drzwiami na schody, a stamtąd przez niezliczone komnaty o ścianach obwieszonych wielkimi kobiercami.

Grube dywany tłumiły odgłos kroków. W powietrzu unosiła się woń wosku, piżma, potu i pleśni. Wosk kapał ze świec powtykanych w żelazne kandelabry. Dochodził skądś dźwięk lutni, mijali nas dworzanie, mieniając się niczym motyle skrzydła barwami, drogimi kamieniami na adamaszku i pluszu szat.

Nikt na mnie nie spoglądał, ale czułem się tak niepewnie, jakby każdy się zatrzymywał i pytał mnie o imię. Zastanawiałem się, jak mam nie zginać w tym labiryncie, nie mówiąc już o znalezieniu drogi do komnat panicza Roberta.

— Z początku człowiek czuje się zagubiony, ale przyzwyczajają się szybko — rzekł Cecil, jakby czytał w moich myślach. — Wszyscy to mamy za sobą.

Zaśmiałem się, zerkając na niego niepewnie. Na dziedzińcu zrobił na mnie ujmujące wrażenie, tu zaś, w pełnych przepychu krużgankach, zmienił się jakby, skarłał. Teraz raczej przypominał mi tych kupców, którzy przybywali do zamku Dudleyów i zachwalali swoje towary; takich ludzi, którzy wykroili sobie w życiu wygodną niszę i wiedzą już, że raz się jest na wozie, raz pod wozem, ale trzeba to znosić z pogodą ducha, starając się wyciągnąć coś dla siebie z każdej życiowej przygody.

— Robisz ciekawe wrażenie, rzekłbym, odświeżające — ciągnął Cecil. — Ale to długo nie potrwa. — Uśmiechnął się pod nosem. — Świeżość blaknie szybko. Zanim się obejrzysz, zaczniesz narzekać na ciasnotę i oddasz wszystko za haust świeżego powietrza.

Płynęła ku nam grupka dam w oszałamiających fryzurach; ściśnięte gorsetami miały talie jak osy, zawieszzone na łańcuszkach pomandery pachniały oszałamiająco i podzwaniały przy każdym ruchu. Zagapiłem się jak cielę na malowane wrota. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jedna z kobiet rzuciła mi zalotne spojrzenie, a ja, oszołomiony i zdumiony nieskazitelną białością jej oblicza, zapomniałem się zupełnie i popatrzyłem jej prosto w oczy. Z szelmowskim uśmiechem odwróciła się, jakbym w ogóle nie istniał. Odprowadziłem ją wzrokiem. Usłyszałem obok siebie cichy śmiech Cecila; skręciliśmy za róg, w puste krużganki.

Próbując odzyskać zimną krew, zapytałem:

— Jak długo tu mieszkacie, panie sekretarzu? — Nie byłem pewien, czy zadając tak bezpośrednio pytanie, nie posuwam się zbyt daleko, ale pomyślałem sobie, że jeśli nie będę pytać, nigdy niczego się nie dowiem. W końcu przecież on również należy do służby. Może i stoi wyżej w hierarchii

niż rządcą Shelton, ale i jemu lady Dudley wydaje polecenia.

Uśmiechnął się zagadkowo.

— Ja tu nie mieszkam. Mam własny dom, niedaleko. Nie każdego stać na to, żeby mieszkać w pałacu, choć komnaty nie zawsze są wygodne. A jeśli ciekawi cię, czym się zajmuję, powiem ci, że jestem sekretarzem jego lordowskiej mości i rady królewskiej. Mamy więc poniekąd tego samego chlebobdawcę.

— Ach, rozumiem. Nie chciałem was urazić, milordzie — starałem się, aby to zabrzmiało niedbale.

— Jako się rzekło, wystarczy, jeśli będziesz do mnie mówił „sekretnarzu Cecil”. I bez tego dość tu mamy ceremoniału. — Zauważyłem figlarny błysk w jego jasnych oczach. — I nie musisz tak dbać o skromność. Nieczęsto dworzanin ma zaszczyt rozmawiać z kimś tak nieskażonym pretensjonalnością.

Zamilkłem. Weszliśmy po schodach. Zdażaliśmy teraz korytarzem węższym niż krużganki, już bez kobierców i dywanów, o gołych ścianach i podłodze z desek. Sekretarz zatrzymał się przed drzwiami, jednymi z wielu identycznych.

— To są apartamenty synów księcia. Nie wiem, czy są teraz u siebie. Każdy ma swoje obowiązki. Tak czy owak, zostawiam cię tutaj. — Westchnął. — Zajęcia sekretarza nigdy się nie kończą, niestety.

— Dziękuję wam, panie Cecil. — Skłoniłem się, choć nie tak głęboko, bo przeszkadzała mi trzymana na ramieniu salka, ale z wdzięcznością za okazaną mi uprzejmość. Miałem wrażenie, że zadał sobie nieco trudu, żebym poczuł się trochę pewniej.

— Nie ma za co. — Przyglądał mi się chwilę w zadumie. — Prescott... twoje nazwisko pochodzi z łaciny. Dawno twój ród go używa?

Pytanie zbiło mnie z tropu. Wpadłem w panikę, bo nie wiedziałem, jak należy odpowiedzieć. Skłamać bezczelnie czy narazić świeżo zawartą znajomość na próbę?

Zdecydowałem się na to drugie. Było w Cecilu coś, co budziło zaufanie, a poza tym istniała możliwość, że znał prawdę. Wiedział, że przybywam na dwór, by służyć paniczowi Robertowi. Niewykluczone więc było, że lady Dudley, a może i sam książę, udzielili mu o mnie także innych, mniej strawnych informacji. Przecież nie byłem dla nich kimś na tyle ważnym, by mieli w mojej sprawie okazywać dyskrecję. Jeśli skłamię i kłamstwo wyjdzie na jaw, pogrzebię swoje szanse na jakikolwiek awans na dworze. Dlatego spojrzałem mu prosto w oczy i rzekłem:

— Prescott to nie jest moje prawdziwe nazwisko.

— Tak? — Uniósł brwi.

Znów się zawahałem. Jeszcze mogłem się cofnąć. Mogłem jeszcze coś wymyślić, coś prawdopodobnego. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem, skąd wzięła się przemożna potrzeba powiedzenia prawdy. Nigdy jeszcze nikomu nie ujawniłem tajemnicy mojego pochodzenia. Od kiedy pojąłem, że to, czego mi braknie, wystawia mnie na szyderstwo i okrutne drwiny, postanowiłem, że jeśli zostanę zapytany, powiem tylko tyle, ile będzie konieczne. Nie ma potrzeby podawania szczegółów, które nikogo nie obchodzą i pozwalają snuć przypuszczenia.

A tymczasem stojąc tam, gdzie stałem, widziałem myśłące spojrzenie, które pozwalało domniemywać, że mój rozmówca gotów jest mnie zrozumieć, a może nawet współczuć. Ochmistryni Alice miewała takie życzliwe spojrzenie, sprawiające, że człowiek nie wahał się wyznać prawdę, nawet najtrudniejszą. Nauczyłem się ufać takiemu spojrzeniu.

Nabrałem głęboko powietrza.

— Jestem znajda. Nazwisko nadała mi ochmistryni Alice, niewiasta, która mnie wychowała. Dawno temu, koło plebanii pod zamkiem Dudleyów, żyli jacyś Prescottowie. Tam właśnie mnie znaleziono, koło plebanii.

— A imię? Imię też wymyśliła ta ochmistrzyni? — spytał sekretarz.

— Tak. Wywodziła się z Irlandii. Żywiła głęboką cześć dla świętego Brendana.

Zapadła brzemenna cisza. Anglicy gardzili Irlandczykami za ich buntowniczość, ale jakoś dotychczas moje imię nie wzbudzało zbytniego zainteresowania. Czekając na to, co powie Cecil, zacząłem się martwić, że popełniłem błąd. Jeśli się było czymś potomkiem z nieprawego łoża, można to było, przy pewnej przemyślności, obrócić na swoją korzyść. Natomiast brak jakiegokolwiek rodowodu był obciążeniem do końca życia. W najlepszym wypadku skazywał na dożywotnią służbę, w najgorszym — na nędzę i żebractwo.

— Mówiąc, że jesteś znajdą, miałeś na myśli, że zostałeś podrzucony jako niemowlę?

— Tak. Miałem nie więcej niż tydzień. — Mimo starań usłyszałem we własnym głosie pobrzmiwanie starej bezsilności. — Ochmistrzyni Alice najęła mamkę, która mnie wykarmiła. Szczęśliwym dla mnie zrzędzeniem losu kobieta z okolicy straciła dziecko. Gdyby nie to, nie przeżyłbym.

Sekretarz pokiwał głową. Bojąc się, że znów zapadnie krępujące milczenie, zacząłem mówić, jakbym utracił kontrolę nad własnym językiem.

— Ochmistrzyni Alice powiadała, że nasi zakonnicy mieli szczęście, że nie podrzucono mnie na próg klasztoru. Wyjadłbym im spiżarnię do czysta i co by mieli, żeby przetrwać burzę, jaką im zgotował dobry król Henryk?

Roześmiałem się, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że popełniłem błąd. Wypowiadanie się na tematy związane z religią nie jest bezpieczne na królewskim dworze. Omal nie dodałem, że ochmistrzyni Alice mawiała również, że większe od mojego apetytu jest tylko moje gadulstwo.

Cecil milczał. Już myślałem, że zniszczyłem siebie własną niedyskrecją, gdy usłyszałem jego głos:

— To musiało być dla ciebie bardzo ciężkie. — Mimo współczucia bijącego z tych słów jego spojrzenie pozostało badawcze. Przyglądał mi się, jakby chciał sobie moje rysy zapisać na trwałe w pamięci. — Ta ochmistrzyni pewnie wiedziała, kim byli twoi rodzice. Takie rzeczy zwykle roznoszą się po okolicy. Jakaś panna z dzieckiem z rodziny, która nie chciała znieść hańby. To się niestety zdarza dość często.

— Ochmistrzyni Alice nie żyje. — Mój głos zabrzmiał głucho. Mimo że się rozgadałem, nie każdą rzecz łatwo mi było wyjawić. — Napadli ją rabusie, gdy jechała ze Stratfordu. Jeśli nawet wiedziała coś o mojej rodzinie, to zabrała tę wiedzę do grobu.

Cecil spuścił wzrok.

— Przykro mi to słyszeć. Każdy człowiek, choćby nie wiem jak skromnego rodu, powinien wiedzieć, skąd się wywodzi. — Pochylił się ku mnie. — Ale niech to cię nie zniechęca. Nawet znajda może zajść wysoko w naszej nowej Anglii. Fortuna często uśmiecha się do tych najmniej uprzywilejowanych. — Odsunął się. — Miło mi było cię poznać, kawalerze Prescott. Nie wahaj się do mnie zwrócić, gdybyś potrzebował czegokolwiek. Znajdziesz mnie bez trudu.

Obdarzył mnie kolejnym swoim zagadkowym uśmiechem, obrócił się na pięcie i odszedł.

ROZDZIAŁ III

Popatrzyłem, jak Cecil niknie w głębi krużganka, po czym wziętem głęboki oddech i zapukałem do drzwi, przy których stałem. Odpowiedziała mi cisza. Zapukałem jeszcze raz, w końcu nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły.

Wszedłem i zobaczyłem, że „apartamenty”, jak je nazwał Cecil, składały się z jednej przyciasnej komnatki, niemal w całości zajętej przez łożo z obwisłym baldachimem. Dolną połowę ścian zdobiła odrapana boazeria, pojedyncze małe okienko oszklone było mętną zielonkawą szybą. Na stole dopalała się lampka oliwna. Podłogę zaścielała słoma, wokół poniewierały się porozrzucane części garderoby, jakieś przybory i naczynia. Panował odrażający zaduch, mieszanka gnijących resztek i brudnej bielizny.

Rzuciłem moją sakwę na progu. Najwyraźniej pewne rzeczy się nie zmieniają. Dwór czy nie dwór, młodzi Dudleyowie zawsze mieszkają jak wieprze w chlewie.

Z łoża doszło mnie chrapanie. Podeszedłem bliżej, pod podeszwą chrupnęły kawałki ogryzionych kości. W ostatniej chwili zauważyłem przy łóżku kałużę wymiocin i zdołałem w nią nie wdepnąć. Chwyciłem połę baldachimu i odsunąłem ją. Coś się poruszyło. Odskokczyłem, niemal spodziewając się, że rzuci się na mnie z pięściami horda wyjących Dudleyów, jak to bywało w dzieciństwie.

Ale zobaczyłem tylko pojedynczą postać rozwaloną na łóżku, odzianą w pomięte rajtuzy i koszulę, z rozczochranym wiechciem włosów w kolorze brudnej pszenicy na głowie. Śpiący rozsiewał niewątpliwy odór piwka. Guilford, beniaminek rodu, siedemnaście wiosen życia, zalany w trupa.

Uszczypnąłem go w dłoń, zwisającą bezwładnie. Jediną reakcją było kolejne chrapnięcie z głębi gardła, więc chwyciłem młokosa za ramię i potrząsałem. Machnął rękami i podniósł wymięte oblicze.

— Żeby cię pokręciło! — wybełkotał.

— I nawzajem, paniczu Guilfordzie — odparłem. Na wszelki wypadek jednak cofnąłem się o krok. Był wprawdzie najmłodszym z pięciu synów i z nim udawało mi się na ogół wygrywać w bójkach, ale nie chciałem ryzykować rozbitego nosa w pierwszej godzinie pobytu na dworze.

Wgapiał się we mnie, a jego nasączony trunkiem mózg z wysiłkiem próbował dopasować widzianą twarz do osoby. Gdy trud został uwieńczony powodzeniem, Guilford przybrał szyderczą minę.

— O, bękart podrzutek! Co ty tu ro... — Czknął, zgiął się w pół i splunął na podłogę. Z jękiem upadł z powrotem na łóżko. — Nienawidzę jej. Zapłaci mi za to. Przysięgam, że to zrobię, co za lafirynda.

— Czyżby ci doprawiła czymś piwo? — zapytałem niewinnie.

Spiorunował mnie spojrzeniem i zmusił swoje ciało do przyjęcia pozycji wertykalnej. Był wysoki jak wszyscy Dudleyowie i wiedziałem, że gdyby nie wytrąbił beczki piwa, rzuciłby się na mnie jak wściekłe wilcze szczenię. Odruchowo położyłem dłoń na rękojeści sztyletu. Nie żebym od razu miał zamiar go wyciągać z pochwy. Człowiek z pospólstwa ryzykował gardło, grożąc szlachcicowi nawet tylko słowem. Mimo to dotknięcie palcami wygładzonej rękojeści dodawało otuchy.

— Tak, doprawiła mi piwo. — Guilford się zatoczył. — Tylko dlatego, że jest spokrewniona z królem, myśli, że może zadzierać nosa i patrzeć na mnie z góry. Pokażę jej, kto tu rządzi. Jak się tylko pobierzemy, sprawię jej takie lanie, że popamięta...

— Stul pysk, Guilfordzie — rozległo się zza moich pleców.

Guilford zbladł. Odwróciłem się. W progu stał mój nowy pan, Robert Dudley we własnej osobie.

Mimo moich obaw co do spotkania po latach, musiałem przyznać, że stanowił ładny widok. Zawsze mu w duchu zazdrościłem. W przeciwieństwie do mojej powierzchowności, pospolitej i niezwracającej uwagi, którą się zapomina równie szybko jak o przelotnym deszczu, Robert był wybitnym przedstawicielem swojego gatunku. Postawny, o szerokiej piersi i muskularnych nogach, tak samo jak ojciec; rzeźbione rysy twarzy po matce, gęste ciemne włosy, długie rzęsy i czarne oczy, które bez wątpienia pograżyły niejedną dworską piękność. Miał wszystko to, czego mi brakowało, w tym również lata służby na dworze u boku króla Edwarda, bohaterские czyny w krótkiej wprawdzie wojnie przeciw Szkotom, a w perspektywie piękną i posażną (a może posażną i piękną) pannę za żonę.

O tak, lord Robert Dudley miał wszystko, czego człowiek może pragnąć. I wszystko, czego człowiek taki jak ja może się bać.

Zamknął drzwi obcasem wysokiego buta.

— Tylko na siebie popatrz, zalany jak klecha. Obrzydzenie bierze. Masz w żyłach szczyzny, a nie krew.

— Chciałem tylko... — Guilford był błądy jak ściana. — Chciałem tylko powiedzieć...

— Wystarczy. — Dotąd Robert zachowywał się, jakby mnie nie zauważył. Teraz obrócił się ku mnie gwałtownie i zmrużył oczy. — Widzę, że stajenna chłopczyzna dotarła tu zdrowa i cała.

Skłoniłem się.

Wyglądało na to, że nasze stosunki miały znaleźć się w tym samym punkcie, w jakim były, gdy się rozstawiliśmy. Chyba że zdołam dowieść młodemu lordowi, że może mieć ze mnie więcej korzyści niż tylko czerpanie przyjemności z poniżania mnie i bicia.

— Przybyłem tu, jasnie panie, by mieć zaszczyt służenia ci jako giermek.

— Czyżby? — Uśmiechnął się promiennie. — Niech i tak będzie. To oczywiście nie był mój pomysł. Matka postanowiła, że nadszedł czas, abys zaczął zarabiać na swoje utrzymanie, choć jeśli to ode mnie by zależało, znalazłbyś się na bruku, gdzie twoje miejsce. Skoro już tu jesteś, to możesz zacząć od sprzątnięcia tego bałaganu... A potem ubierzesz mnie na ucztę. — Zastanowił się. — Albo nie, tylko posprzątaj. Bo tam, w Worcestershire, przy wyrzucaniu gnoju ze stajni na pewno nie mogłeś się nauczyć ubioru szlachcica. — Zachichotał, jak zwykle rozbawiony własnym dowcipem. — Ubiorę się sam. W końcu od lat sam to robię. Natomiast pomóż Guilfordowi. Ojciec będzie na nas czekał w sali tronowej za godzinę.

Ukloniłem się, zachowując kamienną twarz.

— Jak rozkażesz, panie.

Robert roześmiał się w głos.

— Oho, widzę, że nabrałeś ogłady. Cóż za wyszukane manieri. Na pewno olśnisz tu nimi jakąś panienkę do tego stopnia, że nie zauważy twojego niskiego pochodzenia. — Zwrócił się do brata, grożąc mu opierścienionym palcem. — A ty zamknij gębę. To tylko kobieta. Trzymaj ją krótko, jak ja swoją. I na litość boską zrób coś, bo cuchnie ci z pyska. — Uśmiechnął się do mnie z przekąsem. — Macie być obaj, Prescott. Przyrowadź go do południowego wejścia do wielkiej sali. I wolałbym, żeby nie obrzygał wszystkich szacownych gości.

Roześmiał się okrutnie, obrócił zamasyście i wyszedł. Guilford pokazał jego plecom język, po czym ku mojemu obrzydzeniu znowu zwymiotował.

Musiałem zmobilizować wszystkie swoje siły i cierpliwość, by wykonać moje pierwsze dworskie zadanie na czas. Większość porzrzucanych części ubioru wymagała prania i moczenia w occie, ale ponieważ nie było praczki, poutykałem je gdzieś, żeby nie były na widoku. Potem poszedłem szukać wody i znalazłem wiadro w końcu korytarza.

Wróciłem z nim i poleciłem Guilfordowi się rozdziać. Woda spływała z niego czarna, wszędzie na ciele miał ukąszenia po pchłach i wszach. Stał naburmuszony i zmarznięty, ale chyba czystszy niż kiedykolwiek od czasu pojawienia się na dworze.

Udało mi się znaleźć jako tako czystą koszulę, pludry, kaftan i adamaszkowe rękawy. Podałem je Guilfordowi.

— Czy pomóc ci, panie, w odzianiu się?

Wyrwał mi ubranie z ręki. Kiedy on szamotał się z garderobą, ja wyciągnąłem z sakwy swoje świeże rajtuzy, nowy szary kaftan i porządne buty.

Trzymając te buty w ręku, przypomniałem sobie ochmistrzynię Alice, jak natłuszczała je sadłem i mówiła z uśmiechem: „żeby błyszcząły jak gwiazdy”. Przywiozła mi je z którejś ze swoich dorocznych wypraw na jarmark w Stratfordzie. Były wtedy na mnie dużo za duże, choć z dumą w nich człapałem od czasu do czasu, aż pewnego mrocznego dnia w kilka miesięcy po śmierci ochmistrzyni znów je przymierzyłem i okazało się, że pasują jak ulał. Przed wyjazdem z zamku Dudleyów wypastowałem je sadłem, tak samo, jak to robiła ona. Sadło wzięłem z tego samego garnuszka, nabrałem tą samą drewnianą łopatką...

Żal ścisnął mnie za gardło. Póki mieszkałem w zamku, mogłem udawać, że ona wciąż żyje, że wciąż się mną, choć niewidzialna, opiekuje. Poranki, gdy przesiadywałem w kuch-

ni, która była jej królestwem, popołudnia spędzane na polach, w siodle na grzbiecie Cynobra, wieczory w bibliotece na wieży, gdzie czytałem książki zapomniane przez Dudleyów... Wciąż mi się zdawało, że zaraz mnie zawoła, przypomni, bym coś zjadł, bo będę głodny.

Stąd jednak było mi do niej tak daleko, jakbym się wyprawił pod żaglami do Nowego Świata. Co się ze mną dzieje? Po raz pierwszy w życiu dostałem stanowisko pozwalające myśleć o lepszej przyszłości, a płoszę się jak dziecko przed chrztem.

Przypomniałem sobie ulubione powiedzenie opiekunki i dodało mi to otuchy. Powtarzała mi, że zdołam dokonać wszystkiego, co sobie postanowię. Przez pamięć o niej nie mogę myśleć tylko o przetrwaniu. Muszę się wybić. Któż wie, jaką przyszłość mam przed sobą. Mogło się to w tejże chwili wydawać niedorzeczne, lecz nie było niewyobrażalnym, że pewnego dnia wybiję się na człowieka wolnego. Jak zauważył sekretarz Cecil, nawet znajda może w naszej nowej Anglii zajść wysoko.

Zrzuciłem z siebie brudną po podróży odzież, odwróciłem się tyłem do Guilforda, obmyłem resztką wody i szybko ubrałem. Gdy znów na młodego Dudleya spojrzełem, szamotał się z kaftanem, koszulę miał przekręconą, a zmięte rajtuzy w okolicy kolan.

Nie miałem wyjścia, musiałem go ubrać.

ROZDZIAŁ IV

Wprawdzie Guilford przebywał na dworze już czwarty rok i chyba miał jakieś zajęcia oprócz zaspokajania żądz, ale udało mu się zabłądzić w korytarzach od razu. Wyobraziłem sobie, że znajdą nas za sto lat, dwa szkielety, jeden (mój) z dłońmi zaciśniętymi na gardle drugiego. Postanowiłem zatem spytać o drogę. Pomogła złota moneta wyciągnięta od zrzędzącego Guilforda: paż zaprowadził nas do południowego wejścia do sali tronowej, gdzie czekali wystrojeni synowie księcia. Brakowało najstarszego, Jacka.

— Nareszcie jesteście. Już myśleliśmy, że Brendan musiał cię przywiązać do łoża, żebyś dał się ubrać — oświadczył Ambrose Dudley, drugi pod względem starszeństwa.

Guilford wydał wargi.

— Niedoczekanie.

Bracia roześmiali się. Zwróciłem uwagę, że u Roberta śmieją się tylko usta, nie oczy, które co chwila kierują się ku sali, jakby tam miało coś się pojawić.

Henry Dudley, najniższy i najmniej przystojny, a w związku z tym najpaskudniejszy z charakteru, poklepał mnie po ramieniu, jakbyśmy byli kompanami. Z zadowoleniem stwierdziłem, że jestem teraz o głowę od niego wyższy.

— Jak ci leci, podrzutku? — zapytał drwiąco. — Nie wiadać, żebyś urósł choć o cal.

— Jeśli nie widać, to nie widać — rzekłem z powściągliwym uśmiechem. Mogłem gorzej trafić. Na przykład na służbę do Henry'ego Dudleya, który jako mały chłopak uwielbiał topić kocięta, żeby usłyszeć, jak miauczą.

— Ale nawet pies zna swoją matkę. A ty? — Zerknął na mnie, skory do zwady. Jego drwiące zaczepki były zawsze podszyte głębszą niechęcią, ale ja już się do nich przyzwyczaiłem. Nie połknąłem zatem przynęty.

— Żałuję, że nie znam, ale bardzo bym chciał.

— Wierzę. Też bym chciał, gdybym był na twoim miejscu. Dzięki Bogu nie jestem — prychnął Guilford.

Robert spiorunował wzrokiem śmiejących się do rozpuku braci.

— Psiakrew, gadacie jak baby. Co on nas obchodzi? Na waszym miejscu bardziej bym się zainteresował tym, co się dzieje wokół nas. Popatrzcie tylko na radę, kręcą się koło podestu jak wrony.

Zerknąłem za jego spojrzeniem na grupę poważnych mężczyzn stojących tak blisko siebie, że ich czarne peleryny zlały się w jedno niczym plama inkaustu. Stali przed podestem obłożonym złotogłowiem. Na podeście stał duży, obity pluszem tron. Nad nim wisiał baldachim z wyhaftowaną różą Tudorów. Nagle uświadomiłem sobie, że dzisiaj mogę na własne oczy zobaczyć króla. Odczułem narastające podniecenie. Rozejrzałem się po wielkiej sali.

Skrzyła się kolorami, przepych pokrytego barwnymi malowidłami sklepienia równoważyła prosta posadzka z białych i czarnych płyt kamiennych, przypominająca gigantyczną szachownicę. W krużgankach brzdąkali na lutniach minstrelle, pomniejsi dworzanie tłoczyli się w drzwiach, niektórzy z nich nieśli stoły na koziołkach, inni stawiali na nich wiktuały, zastawę, karafki z napojami, inni rozmawiali w małych grupkach, puszyli się, rozglądali. Gdyby intrygi miały zapach, Whitehall byłby nim przepełniony.

Usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i na widok wysokiej, szczupłej postaci, odzianej w stalowego koloru atłas, skłoniłem się najniżej, jak potrafiłem. John Dudley, książę Northumberland, przemówił cichym głosem:

— Ach, widzę tu wszystkich w komplecie. Dobrze. Ambrose, Henry, idźcie i zadbajcie o członków rady królewskiej. Zdaje się, że bardzo chce im się pić. Robercie, właśnie dostałem wiadomość, że ktoś z nas musi się zająć pilną sprawą w Tower. Zmów tedy pacierz i jedź tam czym prędzej.

Nie widziałem Roberta, bo trwałem w głębokim ukłonie, ale musiał się zdziwić tym rozkazem, bo w jego głosie zabrzmiało niedowierzenie.

— Do Tower? Przecież dopiero co tam byłem. Wszystko jest w porządku. To chyba jakaś pomyłka. Drogi ojcze, błagam, czy mogę się tym zająć później?

— Obawiam się, że nie — odparł książę. — Jak rzekłem, to pilna sprawa. Dzisiaj ogłosiliśmy wczesne wygaszanie ognia i ciszę nocną, nie możemy dopuścić, by wydarzyło się coś, co wzburzy motłoch.

Czułem, jak w Robercie zawrzało. Złożył dworski ukłon i rzekł tylko:

— Jak rozkażesz, panie — po czym sztywno odszedł.

Książę zwrócił się do pozostałego syna:

— Guilfordzie, znajdź sobie krzesło koło kominka i zostań tu. Gdy przybędzie książę Suffolk z małżonką, zajmij się nimi, jak ci twoja ranga nakazuje. I zalecam, byś dzisiaj z większą powściągliwością raczył się trunkami.

Guilford aż się skulił. Książę westchnął i skierował na mnie beznamiętne spojrzenie.

— Prescott, wstań. Dawno cię nie widziałem. Jak przeszła droga?

Musiałem zdrzeć głowę, by spojrzeć w twarz księcia. Widziałem go zaledwie parę razy w życiu, bo obowiązki dworskie nie pozwalały mu zbyt często odwiedzać rodzinne-

go zamku. I tym razem uderzyło mnie, jaki jest wysoki. Miał szczupłą sylwetkę, bo przez całe życie znosił trudy wojskowego życia. Słuszny wzrost podkreślały długa do kolan opończa z wytłaczanej tkaniny i dopasowany kaftan. Gruby złoty łańcuch, przewieszony przez ramiona, świadczył o majątku i wysokim stanowisku. Każdy, kto na niego patrzył, musiał natychmiast wiedzieć, że to człowiek mający wielką władzę; niewielu widziało coś więcej, ale gdyby spojrzeli uważniej, dostrzegliby cienie pod oczami od nieprzespanych nocy i zmarszczki troski skrywane pod starannie wypielęgnowaną bródką.

Wspomniałem, co mówił rządcą Shelton — że władza kosztuje — i odpowiedziałem ostrożnie:

— Podróż przebiegła bez większych przygód, wasza łaskawość. Korzystam z okazji, by złożyć podziękowania za zaszczyt służenia wam, panie.

Northumberland z roztargnieniem rozglądał się po sali tronowej, sprawiał wrażenie, że nie słucha moich słów.

— Nie mnie należą się te podziękowania. To nie ja ściągnąłem cię na dwór królewski. To wola księżnej pani, bo ja osobiście nie sądzę, żeby Robert zasługiwał na luksus prywatnego służącego. — Westchnął i wrócił spojrzeniem ku mnie. — Ile masz lat?

— Chyba dwadzieścia, wasza łaskawość. Przynajmniej tyle minęło, odkąd mnie znaleziono.

— No tak. — Przez wargi przemknął mu chłodny uśmiech. — Może dlatego moja małżonka tak nalegała. Jesteś już dorosły i należy ci dać szansę wykazania się w służbie. — Machnął ręką w stronę wyjścia. — Idź. Służ mojemu synowi, pilnie wypełniaj jego polecenia. Czasy są trudne. Nie omieszkamy odpłacić hojnie temu, kto okaże nam wierność.

Skłoniłem się nisko jeszcze raz i już miałem się oddalić, gdy usłyszałem, jak książę dodaje półgłosem:

— Również zdrady nie zostawiamy bez odpłaty.

Mówiąc to, wcale na mnie nie patrzył. Odwrócił się i wkroczył do sali. Na jego widok gwar umilkł.

Zaniepokojony jego słowy ruszyłem za Robertem, starając się pozbierać myśli. Rządca Shelton podkreślał, że Dudleyowie hojnie wynagradzają wierną służbę. Gdy mi to mówił, myślałem, że chodzi o szansę na zostanie kiedyś w przyszłości jego następcą. Teraz nie mogłem się otrząsnąć z nagłego poczucia, że wpadłem w gniazdo żmij, a jeden fałszywy krok oznacza moją katastrofę. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej rozumiałem, po co mnie tu, na dwór królewski, wezwano. Księżnę Dudley, zupełnie inaczej niż jej małżonka, dobrze poznałem już w dzieciństwie. Jak ognia unikałem jej wyniosłej osoby. Traktowała mnie zawsze z lekceważeniem, jeśli w ogóle zniżala się do tego, by mnie zauważyć. Nie interweniowała, gdy jej synowie się nade mną znęcali, i podejrzewałem, że tylko dlatego pozwoliła ochmistrzyni Alice się mną zajmować, żeby ludzie nie gadali, że dopuściła do tego, by dziecko znalezione w jej majątności zginęło z głodu i chłodu. Po co więc teraz zapragnęła, bym trafił na dwór i służył jej synowi, najwyraźniej w czasach wymagających od jej rodziny wysiłku i sprytu?

Pogrążony w myślach, przestałem zwracać uwagę na otoczenie. Byłem gdzieś w połowie długiego korytarza, gdy chwyciła mnie za gardło czyjaś ręka. Wciągnięto mnie do ciasnego i cuchnącego pomieszczenia. Ufajdany otwór w podłodze i odrażający smród zdradzały jego przeznaczenie. Zachwiałem się i wyciągnąłem dłoń, żeby się podeprzeć i nie powalać sobie odzienia, a drugą ręką sięgnąłem za pazuchę po sztylet.

— Odrąbię ci dłoń mieczem, zanim dobędziesz ten śmieszny nożyk.

Odwróciłem się. Postać z cienia przybrała kształt lorda Roberta. Wydawał się strasznie wielki w tej ciasnocie.

— No? Co ci powiedział mój ojciec?

Starałem się uspokoić.

— Powiedział, że mam ci, panie, służyć i wypełniać polecenia.

Podszedł jeszcze krok bliżej.

— I co jeszcze?

— Nic więcej.

Robert był tak blisko, że woń kosztownego piżma wypełniła mi nozdrza.

— Lepiej mów prawdę. Jeśli skłamałeś, to módl się, żebym tego nie wykrył. — Przyglądał mi się badawczo. — Nie wspominał o Elżbiecie?

— Nie — odparłem szybko, a dopiero po chwili dotarło do mnie, o kogo pytał.

Prychnął:

— Nie mam pojęcia, dlaczego pani matka się w ogóle tobą przejmuje. Co ty możesz wiedzieć, wiejski głupek, którego sprowadzono do czyszczenia butów. — Odsunął się. Usłyszałem trzask krzesiwa. Po chwili błysnął płomień. Robert postawił ogarek na podłodze. — Jedno muszę ci przyznać: nie nauczyłeś się jeszcze kłamać. — Przyglądał mi się w pełgającym świetle płomyka, po jego twarzy tańczyły cienie. — Więc mój ojciec nic o niej nie mówi?

Przypomniało mi się, co słyszałem, gdy wjeżdżaliśmy do Londynu. Wewnątrz mnie jakby zadzwonił dzwon i postanowiłem udawać, że nie mam o niczym pojęcia. Spuściłem wzrok i wymamrotałem:

— Powiedziałbym ci przecież, panie.

Zarechotał.

— Cichy i potulny, co? Zapomniałem już, jak ci świetnie idzie wtapienie się w tło, jak również zamykanie oczu i uszu na to, co cię nie dotyczy. Zaczynam rozumieć, dlaczego matka tak się uparła, żeby cię tu sprowadzić. Tak naprawdę jesteś kimś, kogo nie ma. — Ostry śmiech zamilkł szybko. — Tak — zamruczał jakby do siebie. — Giermek, którego nie ma. Idealnie.

Nie odzywałem się. Nie podobał mi się wyraz, jaki wypeł-
znął na jego twarz: wykalkulowany zły zamiar. Odchylił się.

— Co byś powiedział na to, gdybym ci zlecił coś na dzi-
siejszy wieczór? Zadanie, na którym zarobisz majątek.

Gęste powietrze w pomieszczeniu dusiło mnie jak pętla
na gardle, nie mogłem złapać tchu.

— No, jak? — Robert błysnął w uśmiechu nieskazitelną
bielą zębów. — Nic nie mówisz? Ciekawe... taka wesz jak ty.
Daję ci życiową szansę, okazję zdobycia takiego majątku, że
staniesz się wolnym człowiekiem. Przecież o tym marzyłeś,
prawda? Chyba nie chcesz do końca życia być nikiem? Nie,
na pewno nie, szczwany mały znajdo. Czekaj, pewnie umiesz
już czytać i pisać, ten najęty przez Sheltona klecha cię musiał
nauczyć. Założę się, że jedną ręką cię uczył łaciny, a drugą
obmacywał. Czyż nie mam racji? Umiesz czytać i pisać?

Podniosłem wzrok i kiwnąłem głową. Jego uśmiech stał
się okrutny.

— Tak myślałem. Wiedziałem, że nie jesteś taki głupi, jak
próbowałeś nam wmówić. — Zniżył głos, przybierając ton
złowróbnej zażyłości. — Wiadomo, że nasza dumna Bess
ma być tutaj dzisiaj, choć mój książęcy ojciec udaje, że o tym
nie wie.

Nie potrafiłem powstrzymać fali podniecenia, jaka ogar-
nęła mnie na te słowa. A więc to prawda. Elżbieta Tudor jest
tu, w Londynie. To jej przyjazdu byliśmy świadkami.

Robert spochmurniał. Kiedy się odezwał, jego głos drżał
od tłumionej furii. Przestał liczyć się ze słowami, jakbym rze-
czywiście stał się niewidzialny.

— Ojciec przyrzekł mi, że gdy nadejdzie odpowiedni czas,
zadba o mnie. Ze nikt na to bardziej nie zasługuje niż ja.
A teraz, wygląda na to, obsypuje zaszczytami Guilforda,
a mnie wykorzystuje tylko do brudnej roboty. Bóg mi świad-
kiem, robię wszystko, co mi każe. Nawet ożeniłem się z tą
głupią gęsią Amy Robsart, bo uważał, że tak będzie najlepiej.

Czego jeszcze chce ode mnie? Kiedy ja dostanę to, co mi się należy?

Nie słyszałem jeszcze nigdy, by któryś z młodych Dudleyów kwestionował wolę ojca. Ludzie szlachetnie urodzeni wysyłali swoich synów do służby, aby obejmowali stanowiska dające wpływy i pomnażali rodzinny majątek. Tak samo było z synami Dudleya, spełniali wolę ojca, aby kiedyś odziedziczyć jego fortunę. Uważałem, że Robert nie ma powodu do narzekań. Nie zaznał nigdy w życiu głodu — i prawdopodobnie nigdy nie zazna. Nie miałem powodu mu współczuć, ale w tej chwili zobaczyłem, że Robert Dudley, jak wielu innych bezsilnych synów, próbuje się zerwać z ojcowskiej uwięzi.

— Dość! Pora, bym pokazał, na co mnie stać! — Uderzył pięścią w dłoń. — A ty, gnido, ty mi pomożesz. — Przybliżył swoją twarz ku mojej. — Chyba że wolisz, abym cię odesłał z powrotem do stajni na resztę twego nędznego żywota?

Milczałem. Właściwie życie w stajni ma swoje dobre strony, jest przynajmniej przewidywalne. Ale z jakiegoś powodu wolałem coś innego. Spojrzałem Robertowi w oczy i rzekłem:

— Czy zechciałbyś mi, panie, wyjaśnić, czego ode mnie oczekujesz?

Wydał się zaskoczony. Obejrzał się przez ramię, po czym znów popatrzył na mnie. Zagryzł dolną wargę, jakby nagle opadły go wątpliwości.

— Jeśli mnie zawiedziesz albo zdradzisz, to przysięgam, że nie ma w Anglii takiego miejsca, dokąd mógłbyś się schronić. Rozumiesz? Dopadnę cię, Prescott. I uduszę gołymi rękami.

Nie reagowałem. Można się było takich gróźb spodziewać. Chciał mnie zastraszyć na tyle, bym nie odważył się go zdradzić. Podniecił tym moją ciekawość. Na czym mu tak bardzo zależało?

— No dobrze — powiedział w końcu. — Pierwsze, co musisz wiedzieć, to że ona potrafi człowieka zaskoczyć, gdy się tego najmniej spodziewa. Znam ją od dziecka, niczego

bardziej nie lubi, niż zadziwiać wszystkich naokoło. Uwielbia wprawiać w zakłopotanie.

Ton ostrożności, jaki się wkradł do jego głosu, wzbudził moją czujność. Tu chodzi o coś więcej niż bunt przeciwko ojcu.

— Weźmy na przykład jej dzisiejszy przyjazd — ciągnął. — Zakrada się do miasta, nie uprzedzając nikogo, i dopiero gdy już jest w swoim pałacu, przysyła umyślnego z pytaniem, kiedy może odwiedzić brata, bo jej siostra Maria odwiedzała go niedawno. — Zaśmiał się sztucznie. — Co za sprytne posunięcie! Za nic nie będzie na naszej łasce i niełasce, za nic nie pozwoli, by jej siostra papistka była górą. Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie śmiemy jej odmówić, bo oczywiście, tak jak sobie zaplanowała, całe miasto już wie, że przyjechała. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Chce nam pokazać, że żaden Dudley nie będzie potężniejszy niż ona.

Opowiadał o tym, jakby to była jakaś misternie uknuta intryga, a tymczasem przecież Elżbieta musiała przyjechać do Londynu, bo doszło do niej, że brat stoi nad grobem. Stłumiłem w sobie przemożną chęć uchylenia się za wszelką cenę od zadania, które dla mnie obmyślił mój pan. Po co się mam narażać? Po co ryzykować, że znów stanę się ofiarą panicza Roberta? Choć kusząca, możliwość uzyskania statusu człowieka wolnego wydawała się w tej chwili bardzo odległą perspektywą. Nabrałem powietrza, żeby się uspokoić.

— Jak mam sprawić, by mnie przyjęła? Przecież mnie nie zna.

— Przyjmie cię, bo jestem jej przyjacielem, który nigdy jej nie dał powodu, by mu nie ufać. Wie, że ja to nie to, co mój ojciec. Nie oszukam jej. — Wyciągnął spod rękawicy pierścień i rzucił mi go. — Dasz jej to. Ona zrozumie. Ale uczyn to na osobności, nie chcę, aby ta jej wścibska opiekunka, pani Ashley, dowiedziała się o tym. Powiedz Elżbiecie, że coś mnie zatrzymało, ale wkrótce prześlę jej wiadomość,

tą samą co zwykle drogą, i będziemy się mogli spotkać na osobności. I powiedz jej, że wtedy upomnę się o to, co mi obiecano. — Przybliżył się do mnie groźnie. — Nie spuszczał jej z oka, nawet jak cię odprawi. Chcę znać każdy jej krok od chwili, gdy wejdzie do pałacu, aż po jej wyjście. — Odczepił od pasa sakiewkę i rzucił ją na ziemię koło dopalającego się ogarka. — Dostaniesz więcej, jeśli ci się uda. Kto wie? Może się w końcu wzbogacisz, Prescott. Do bramy wodnej idzie się tamtędy, prosto. Kiedy wykonasz zadanie, możesz się zabawić. Elżbieta zwykle wcześniej wraca do siebie i idzie spać. A ty możesz sobie tu znaleźć jakąś dziewczkę. Napić się. Najeść, aż pęknie. Tylko nikomu ani piśnij o tym, co ci zleciłem, i zamelduj się w mojej komnacie z wybiciem godziny dziewiątej jutro.

Otworzył skobel. Gdy jego kroki ucichły, chwyciłem sakiewkę i wyszedłem na korytarz. Stałem, łapiąc ciężko powietrze. Po chwili drżącymi palcami rozwiązałem rzemyk i zajrzałem do sakiewki. Było w niej więcej, niż się spodziewałem. Niewyobrażalnie dużo. Jeszcze parę takich zadań i będę miał za co dotrzeć do Nowego Świata, jeśli mi przyjdzie taka ochota.

Muszę tylko dostarczyć pierścień lorda Roberta.

ROZDZIAŁ V

Przebrnąłem przez korytarze i wyszedłem z pałacu na nocne powietrze.

Setki pochodni we wnętrzach komnat zamieniły okna pałacu Whitehall w świecące matowo oczy. Po niebie żeglował księżyc w drugiej kwadrze, oblewając ogród mdłym blaskiem. Kępy wierzb i woniejące herbaria obrzeżone wysokim do pasa żywopłotem cisowym, który biegł także po obu stronach alejki, prowadzącej ku omszałym kamiennym stopniom wiodącym nad rzekę, do małej przystani. Trzech strzegących przystani wartowników, opatulonych w wełniane płaszcze, grzało się przy żelaznym koszu z rozżarzonymi węglami, rzucającymi ogniste refleksy w rzeczny nurt. Poza tym było pusto.

Dochodził mnie szum wody. Może i cieszyłbym się tą niespodziewanie spokojną chwilą i wonnym powietrzem nocy, gdybym nie gryzł się tym, że nie wiem, co robić dalej. Nie wiedziałem, kiedy królowa przybędzie, i jak mam się zachować, gdy już się tu pojawi. Nie mogłem przecież po prostu podejść i powiedzieć, że chciałbym z nią porozmawiać. Przede wszystkim żaden strażnik mnie do niej nie dopuści bez odpowiednich dokumentów; barwy książęce na kaftanie mogłem przecież sobie przywłaszczyć, a pierścienia lorda Roberta pokazać mi nie było wolno.

Musi się nadarzyć jakaś okazja. Tkwiłem w cieniu pałacowych murów, nasłuchując plusku wody o kamienie. Po jakimś czasie usłyszałem inny plusk, rytmiczny. Przygotowałem się.

Rzeką sunęła łódź z baldachimem.

Trzej wartownicy stanęli w szeregu na baczność. Z ogrodu wyłoniła się nagle szczupła postać. Drgnąłem, rozpoznając w niej sekretarza Cecila. U boku miał jeszcze kogoś, ubranego w czerń. Poczułem ciarki na grzbiecie. Ilu kolejnych chowa się w cieniu?

Łódź przycumowała. Ukradkiem, na palcach zbliżyłem się do przystani. Wydawało mi się, że moje kroki rozlegają się bardzo głośno. Przycupnąłem za żywopłotem. Byłem nad samą rzeką.

Na dziób łodzi wyszły trzy osoby w płaszczach i założyły trap. Wyszła ona, prowadząc na łańcuchu chudego szarosrebrnego ogara. Jej wysmukła dłoń zsunęła z głowy kaptur, moim oczom ukazały się jej spięte srebrną filigranową klamrą płomieniste loki okalające pociągłą twarz.

Cecil i nieznajomy w czerni skłonili się głąboko. Podkradłem się bliżej, korzystając z osłony żywopłotu. Byłem na odległość rzutu kamieniem. W panującej wokół ciszy dobrze ich słyszałem. Pierwszy odezwał się Cecil, w jego głosie brzmiał niepokój.

— Wasza wysokość, błagam o zmianę zdania. Tu czyhają na waszą wysokość niebezpieczeństwa.

— Jestem dokładnie tego samego zdania — wtrąciła się zuchwale niższa z dwóch towarzyszek królowy, korpulentna jejmość. To chyba ta pani Ashley, o której wspominał Robert, opiekunka królowy. Z tyłu za nią stała druga dama dworu, wyższa i szczuplejsza. Nie odzywała się, opatulając tylko szczelniej płowym aksamitnym płaszczem.

— Właśnie to mówiłam jej wysokości godzinę temu. Ale czy ona mnie posłucha? — ciągnęła matrona. — Oczywiście, że nie. Kimże dla niej jestem, prócz tego, że ją wychowałam?!

— Ash Kat, nie mów przy mnie tak, jakby mnie tu nie było — przerwała jej z irytacją królowna. Spiorunowała spojrzeniem jejmość, która ku memu zaskoczeniu wcale nie spuściła wzroku. Elżbieta zwróciła się do Cecila. — Mówiłam już pani Ashley, oboje za bardzo się przejmujecie. Niebezpieczeństwa czyhały na mnie na tym dworze od zawsze. A żyję, prawda?

— Naturalnie — zgodził się Cecil. — Nikt nie kwestionuje umiejętności wychodzenia waszej wysokości z tarapatów. Ale życzyłbym sobie, by wasza wysokość uprzedzała mnie przed wyjazdem z Hatfield. Przybywając do Londynu bez uprzedzenia, sprawia wasza wysokość przykrość księciu panu.

Odpowiedź królowny zabrzmiała nieco surowo.

— Nie rozumiem, w czym rzecz. Mam prawo zobaczyć się z królem, tak samo jak moja siostra Maria. Ją przecież przyjmowano łaskawie. — Otuliła się mocniej opończą. — Jeśli już skończyliście, idę do sali tronowej. Edward mnie oczekuje.

Podążając za nimi, musiałem pełzać niemal, żeby pozostać w ukryciu za żywopłotem. Drżałem, że jakaś nadepnięta gałązka zdradzi moją obecność. Na szczęście miękkie skórzane buty nie czyniły hałasu na trawie, byłem jednak świadom, usłyszawszy przed chwilą nieprzeznaczoną dla moich uszu rozmowę, że zadanie, jakim mnie obarczono, może być podstępem. Wprawdzie Robert powiedział, że nigdy królowny nie oszuka, ale Cecil najwyraźniej sądził, że książę jest do tego zdolny. Co będzie, jeśli dostarczenie królownie wiadomości i pierścienia od mojego pana wywoła jakieś nieszczęście, którego nawet nie podejrzewam?

— Wasza wysokość, proszę. — Sekretarz niemal biegł za nią, bo mimo drobnej postury krok miała energiczny. — Błagam waszą wysokość. Wasza wysokość na pewno wie, na co się naraża. Inaczej nie odrzuciłaby wasza wysokość zaproszenia księcia pana do zamieszkania w pałacu.

A więc to tak, Robert miał rację! Książę jednak wiedział, że Elżbieta przyjeżdża. Nawet zaproponował jej gości-

nę w pałacu. Dlaczego zatem wprowadzał w błąd własnego syna?

Królowna przystanęła.

— Nie muszę się nikomu tłumaczyć, ale wyjaśnię, że odrzuciłam, jak powiedzieliście, propozycję zamieszkania w pałacu, bo obecnie przebywa na dworze za dużo ludzi, a ja jestem słabego zdrowia i nie mogę ryzykować, że się tu czymś zarazę. — Podniosła rękę. — Nie dam się odwieść od mojego zamiaru. Za długo już czekałam. Chcę się dzisiaj zobaczyć z bratem i zobaczyć się z nim. Nikt mnie nie powstrzyma, nawet jaśnie pan książę Northumberland.

Cecil z rezygnacją skłonił głowę, dając do zrozumienia, że uznaje bezcelowość dalszej dyskusji.

— Niech wasza wysokość pozwoli tylko, by towarzyszył jej pan Walsingham. Jest sprawny i wyszkolony i zapewni waszej wysokości odpowiednią ochronę, w razie gdyby...

— Absolutnie się nie zgadzam. Nie ma potrzeby, żeby mnie pilnował pan Walsingham ani ktokolwiek inny. Na miłość boską, jestem siostrą króla czy nie? Czego mam się bać na jego dworze?

Nie czekała na odpowiedź. Dalej maszerowała ku pałacowi, towarzyszący jej pies szedł równo przy nodze. Nagle zatrzymał się. Warknął cicho, odwrócił łeb i popatrzył na żywopłot. Zamarłem. Musiał mnie zwęszyć. Królowna szarpnęła łańcuch. Pies się nie ruszył, warczał tylko coraz głośniej, aż w końcu rozszczekał się wściekle.

Usłyszałem jej głos:

— Jest tam ktoś? — i zrozumiałem, że nie mam innego wyjścia.

Przy akompaniamencie mrożącego krew w żyłach szczenia wstałem i przecisnąłem się przez lukę w żywopłocie. Zerwałem z głowy kapelusz i padłem na kolana. Księżyc świecił mi w twarz. Królowna milczała. Pies szczekał. Cecil pstryknął palcami. Strażnicy rzucili się ku mnie, szcękając

wyciąganymi z pochew mieczami. W mgnieniu oka otoczyły mnie zimne ostrza. Wystarczyłoby, bym drgnął, a byłbym nadziany jak na rożeń.

Pies szarpał się na łańcuchu, marszczył pysk i wyszczerzał kły. Królowna poklepała go po smukłej głowie.

— Cicho, Urian — usłyszałem. — Spokojnie.

Pies usiadł, ale nie spuszczał ze mnie spojrzenia dziwnych zielonych oczu. Odezwał się Cecil:

— Wydaje mi się, że znam tego młodzieńca, wasza wysokość. Jestem przekonany, że nie jest groźny.

Złotoruda brew uniosła się ze zdziwienia.

— W to nie wątpię, zwłaszcza teraz. Kto to taki?

— Giermek lorda Roberta Dudleya.

Podniosłem wzrok w samą porę, żeby pochwycić spojrzenie, jakie rzucił mi Cecil. Nie potrafiłem ocenić, czy było rozbawione, czy karcące.

Królowna gestem odprawiła straż. Miecze wróciły do pochew. Klęczałem nadal.

Są takie chwile, które decydują o całej dalszej egzystencji, chwile, które jeśli się je dobrze rozpozna, stają się punktami zwrotnymi w życiu. Takie chwile składają się na esencję naszego życia, jak perły nanizane na nić tworzą naszyjnik, te chwile dają pocieszenie, gdy nasz żywot dobiega końca.

Dla mnie poznanie Elżbiety Tudor było jedną z takich chwil.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to że nie była piękna. Miała zbyt szpiczasty podbródek, co psuło owal jej twarzy. Wąski nos podkreślał wydatne kości policzkowe i dumne czoło. Usta miała zbyt szerokie, a wargi wąskie, jakby smakowała jakieś tajemnice. Była zbyt blada i szczupła, robiła wrażenie postaci nie z tego świata, postaci o nieokreślonej płci.

Nasze spojrzenia się spotkały. Oczy miała niezgłębione, o wielkich źrenicach, które sprawiały, że ze złotych tęczówek pozostawały tylko wąskie pierścienie; wyglądały jak bliźnia-

cze zaćmienie słońca. Widziałem kiedyś takie oczy. Wiele lat temu, gdy w zamku Dudleyów zatrzymała się wędrowna menażeria, dostarczając rozrywki. Dzisiaj, tak jak i wtedy, porwała mnie drzemiąca w tych oczach moc.

Królowna miała oczy lwicy.

— Giermek lorda Roberta? — upewniała się u Cecila. — Czy to możliwe? Nie słyszałam, by miał giermka.

— Jestem od niedawna na dworze, wasza wysokość — wyjaśniłem. — Pies waszej wysokości pochodzi z obcego kraju?

Spojrzała na mnie oziębłe, bo odezwałem się niepytany.

— To pies z Italii. Znasz się na psach?

— Nauczyłem się niejednego w czasie służby w stajniach jaśnie państwa Dudleyów.

— Naprawdę? — Przechyliła głowę. — Wyciągnij rękę.

Zawahałem się na sekundę, ale ostrożnie wyciągnąłem dłoń. Królowna poluzowała łańcuch. Pies wyciągnął ku mnie pysk. Omal nie cofnąłem dłoni, czując na skórze ciepło jego oddechu. Węszył. Ulżyło mi, gdy liznął mnie po ręce i cofnął pysk.

— Masz podejście do zwierząt — przyznała Elżbieta. — Urian rzadko toleruje obcych. — Gestem kazała mi wstać. — Jak się nazywasz?

— Brendan Prescott, wasza wysokość.

— Jesteś śmiałym człowiekiem, Brendanie Prescott. Wyjaśnij, co cię tu sprowadziło.

Nagle uświadomiłem sobie, że drzę, a mówię zbyt pośpiesznie:

— Mój pan prosił, abym przekazał waszej wysokości, że bardzo żałuje, nie mogąc jej powitać. Wezwały go z zamku pilne sprawy...

Więcej mówić się nie odważyłem. Przyrzekłem, że pierścień wręczę na osobności; miałem dziwną pewność, że królowna nie chciałaby, by na prawo i lewo wspominać o jej związkach z Robertem Dudleyem. Przypatrywała mi się

badawczo, nasunęły mi się na pamięć zasłyszane opowieści o jej królewskim ojcu, który miał ponoć tak przesywające spojrzenie, że widział przez skórę, jak krew krąży w żyłach człowieka.

Elżbieta roześmiała się sucho.

— Pilne sprawy, powiadasz? W to nie wątpię. Lord Robert musi słuchać ojca, prawda?

Poczułem, jak na wargach pojawia mi się uśmiezek.

— Bez wątpienia.

— Właśnie. A ja lepiej niż ktokolwiek wiem, co to znaczy mieć wymagającego ojca. — Wciąż jeszcze roześmiana oddała łańcuch Uriana Cecilowi i przywołała mnie gestem smukłego palca. — Pójdź ze mną, giermku. Potrafiłeś mnie dzisiaj rozbawić, a to umiejętność, którą sobie cenię. — Zerknęła znacząco na osoby, które jej towarzyszyły. — Mało kto nią dysponuje ostatnimi czasy.

Uniesienie ogarnęło mnie od stóp do głów. Rządca Shelton ostrzegał mnie wprawdzie, że królowa wywołuje kłopoty wszędzie, gdzie się pojawi, ale w tej chwili nic a nic mnie to nie obchodziło.

Szedłem za nią w kierunku pałacu, uważając, aby jej nie wyprzedzić. Przy pierwszej okazji wepchnęła się między nas pani Ashley i coś wymamrotała Elżbiecie do ucha. Usłyszałem odpowiedź:

— Nie. Powiedziałam, że ma pójść ze mną, więc pójdziemy razem. Bez towarzystwa.

— Zabraniam. To wywoła plotki.

— Nie sędzę, by zwykła przechadzka wywołała cokolwiek, Ash Kat. I już od dawna nie możesz mi niczego zabraniać — dodała Elżbieta wyniośle.

Jejmość popatrzyła spode łba. Wtrącił się Cecil:

— Pani Ashley, ten młodzieniec nie zrobi nic złego.

— Nie byłabym taka pewna. Jest przecież w służbie Dudleyów — wyraziła wątpliwość pani Ashley, ale obrzu-

ciwszy mnie gniewnym spojrzeniem, z ociąganiem się odsunęła.

Skłoniłem się Cecilowi z wdzięcznością. Musiał sobie zdawać sprawę z tego, że zostałem przysłany przez Roberta, i starał się ułatwić mi wykonanie mojego pierwszego zadania. Ku mojej konsternacji Cecil nie odpowiedział na ukłon, unikając mojego spojrzenia. Zwolnił kroku i został z tyłu. Niepokojem napawał mnie również ubrany na czarno nieznajomy, ów Walsingham, który szedł za nami z kamienną twarzą i bezgłośną zręcznością kota.

Otaczali mnie nieufni obcy; czułem na plecach ich napiętą uwagę. Jediną osobą, której twarzy jeszcze nie widziałem, była druga towarzyszką Elżbiety; zakładałem jednak, że i ona nie jest mi przychylna. Zerknąłem w jej stronę i dostrzegłem parę czarnych oczu przyglądających mi się śmiało spod kaptura.

Z zamyślenia wyrwała mnie Elżbieta.

— Powiedziałam „pójdź ze mną”, giermku, a nie „wlec się za mną”.

Ruszyłem żwawym krokiem. Jej następne słowa były pociśnięte i ściszone.

— Mamy niewiele czasu, nim dojdziemy do sali tronowej. Chcę znać prawdziwy powód nieobecności Robina.

— Robina, wasza wysokość? — Nie zrozumiałem, o kogo jej chodzi.

— Czy może służyysz jakiemuś innemu lordowi Robertowi?
— Zaśmiała się krótko. — Pilne sprawy, kto by pomyślał. Sądziłam, że od dzisiejszego spotkania może go powstrzymać tylko wtrącenie do lochu. — Spochmurniała. — Gdzie on jest? Przecież wie dobrze, jak dużo ryzykuję, przychodząc tutaj.

— Ja... — poczułem, że język mam wysuszony na wiór — ja... nie mogę powiedzieć, wasza wysokość.

— Czyli nie wiesz. — Skręciła w krążanek.

Przyspieszyłem kroku.

— Mój pan mi nie powiedział. Ale prosił, bym wręczył waszej wysokości to. — Sięgnąłem za pazuchę, zapominając w pośpiechu zapewnić ją, że Robert kazał mi to oddać na osobności.

Błyskawicznie chwyciła mnie za przegub. Jej place były chłodne, ale dotyk palił jak ogień.

— Na litość boską, widać, że jesteś nowicjuszem na dworze. Nie tutaj. Co to takiego? Powiedz.

— Pierścień, wasza wysokość. Srebrny z onyksem. Mój pan zdjął go z palca.

Omali się nie potknęła. Nawet w przyćmionym świetle galerii zobaczyłem, jak na jej bladych policzkach wykwita rumieniec. Na sekundę królewska maska zsunęła się, ujawniając rumieniec dziewczęcia, które nie potrafi ukryć radości. Taki byłem zaaferowany, że ciągnąłem dalej, za wszelką cenę pragnąc wywiązać się z zadania.

— Powiedział, że wasza wysokość zrozumie, co to oznacza. On wkrótce prześle waszej wysokości wiadomość, abyście mogli spotkać się na osobności, a wtedy mój pan będzie mógł otrzymać to, co mu obiecano.

Po moich słowach zapadło grobowe milczenie. Ku memu przerażeniu cała jej postać zeszywniała. Elżbieta zatrzymała się. Zwróciła się do mnie i spojrzała tak wyniośle, jakby znajdowała się na niezmierzonej wysokości.

— Możesz powiedzieć swojemu panu, że zrozumiałam doskonale. I jak zwykle okazało się, że dużo za dużo myśli o sobie, a dużo za mało o mnie.

Znieruchomiałem. Z przodu dochodziły stłumione dźwięki muzyki i gwar, co znaczyło, że jesteśmy niedaleko sali tronej.

— Wasza wysokość — wykrztusiłem w końcu — mojemu panu bardzo zależało na tym, aby wasza wysokość przyjęła dowód jego stałości.

— Zależało! — wykrzyknęła zawstydzająco piskliwie. Przerwała, uspokoiła się i zniżyła głos do szeptu. — Nie dam się skompromitować ani twojemu panu, ani nikomu innemu. Powiedz Robertowi, że posuwa się za daleko. Stanowczo za daleko.

Odwróciła się na pięcie, a pani Ashley pospieszyła ku niej, odsunęła mnie na bok i zaczęła pomagać Elżbiecie w zdejmowaniu opończy.

Koniec audiencji. Cofnąłem się i przepuściłem drugą towarzyszkę Elżbiety, która mijając mnie, zsunęła z głowy kaptur. Patrzyłem na nią jak urzeczony. Była śliczna, młoda, a wdzięcznym i żywym rysom dodawały uroku duże i bystro spoglądające oczy. Uśmiechnęła się do mnie przelotnie, a ja spuściłem wzrok, myśląc, że cieszy ją upokorzenie, jakiego doznałem.

Rozejrzałem się wokół i zauważyłem, że Walsingham gdzieś się ulotnił. Sekretarz Cecil skłonił się przed Elżbietą i rzekł:

— Przepraszam w imieniu pana Walsinghama; odwołały go ważne sprawy. Wezmę Uriana do psiarni. — Ucałował wyciągniętą dłoń.

— Panie Cecil — zaczęła i zamilkła na chwilę. — Musiałam tu przyjść. Dla Edwarda. Nie chcę, żeby myśleli, że będę trwożnie czekała w domu, aż mnie zawezwą.

Obdarzył ją smętnym uśmiechem.

— Wiem. Tylko chciałbym mieć nadzieję, że nie narazi się wasza wysokość na jakąś krzywdę. — I odszedł, prowadząc psa.

Obserwowałem, jak Elżbieta rusza ku wejściu do sali. Z dwóch stron miała swoje towarzyszki. Wydała mi się nagle mała i słaba, choć podniosła dumnie głowę i kroczyła z królewską dumą po stopniach w dół. Gdy pojawiła się w zatłoczonej sali, muzyka dobiegająca z krużganków rozsypała się i po paru beładnych, dysonansowych brzdąknięciach

zamilkła. Zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem jej lekkie kroki po malowanych deskach podłogi. Przysunąłem się bliżej wejścia, kryjąc w cieniu pod ścianami, mieszając się z tłumem ciekawskich. Zobaczyłem, jak księżę wychodzi jej na spotkanie, odprowadzany ukłonami dworaków.

— Drogi księżę Northumberland, jestem zaszczycona — rzekła Elżbieta i wyciągnęła rękę.

Księżę ukłonił się, schowanymi w gęstej brodzie wargami musnął jej palce, ale nie spuszczał wzroku z jej oczu.

— To zaszczyt dla mnie, wasza wysokość. Jakże się cieszę, widząc waszą wysokość w naszych skromnych progach.

— Czyżby? — Uśmiechnęła się ołsniewająco. — Wyznam, myślałam już, że księżę chce mi odmówić przyjemności bywania na dworze. Ile to czasu minęło, odkąd złożyła tu wizytę Maria? Cztery miesiące? Pięć? Ani jednego zaproszenia księżę do mnie nie wystosował przez cały ten czas.

— Proszę mnie zrozumieć, wasza wysokość. Czekałem na stosowną chwilę. — Księżę się wyprostował. Był o głowę wyższy od królowej. — Wiadomo przecież, że jego wysokość król chorował.

— Owszem, wiadomo. Ufam, że Edward ma się już lepiej.

— Lepiej, tak jest. Kilka razy pytał o waszą wysokość. Nie otrzymała wasza wysokość jego listów?

— Tak, owszem. Cieszę się, że to słyszę.

Zauważyłem, że odprężyła się. Nawet pochyliła kokieteryjnie głowę, gdy księżę podawał jej ramię, aby wprowadzić w głąb sali. W świetle płonących pochodni zdwajany przez blask luster, wśród barwnych atłasów i drogich kamieni kroczyła między zgiętymi w pokłonach dworzanami nieskazitelna niczym alabaster. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Widząc to wszystko po raz pierwszy, wyczuwałem każdym ze zmysłów tę puszcę zdrad i oszustw, zaludnioną przez odkarmionych drapiezców, którzy osaczali królowę, jak wilki osaczają ofiarę.

Uświadomiłem sobie jednak, że to biorą u mnie górę przestarzałe poglądy o honorze, ukształtowane przez opowieści o dawnych legendarnych rycerzach. Elżbieta Tudor może i wyglądała delikatnie, ale wcale nie była bezbronną owieczką. Oddychała tym zatrutym powietrzem dworu od urodzenia. Nie było nikogo, kto by lepiej od niej umiał się tu znaleźć. Zamiast martwić się o nią, niech się lepiej skupię na własnych kłopotach. Muszę przecież dostarczyć jej pierścień, a Robert nie pozostawił wątpliwości, czego się mogę spodziewać, jeśli nie wywiążę się z zadania. Widziałem tu, w sali, ludzi tej samej pozycji co moja: odziane w liberie cienie swoich panów, podające kielichy i serwetki. Może i ja zdołam być niewidzialny, póki nie nadarzy się okazja, żeby znów się do Elżbiety zbliżyć.

Przeczesalem wzrokiem tłum. Królowa to pojawiała się, to znów nikła mi z oczu. Tu poklepała kogoś po ramieniu, tam obdarzyła kogoś uśmiechem. Gdy znalazła się w pobliżu ogromnego kominka przy podeście tronowym, zatrzymała się. Na wyściełanych krzesłach siedzieli tu ważni bez wątpienia dostojnicy. Wszyscy wstali, wyrażając swoje uszanowanie. Pomyślałem, że musi im być trudno wykazywać taką uległość i mieć świadomość, że ona ze względu na urodzenie będzie zawsze ponad innymi. Nagle dostrzegłem dla siebie szansę.

Niedaleko dostojników, przy bocznym stole, trzymając się w cieniu, siedział rządcą Shelton.

ROZDZIAŁ VI

Wmieszałem się w tłum dworzan, wymijając sługi z półmiskami, i kierowałem się w stronę grupki dam w wystawnych sukniach. Ktoś złapał mnie za rękaw.

— A ty, co ty tu robisz? — wysyczał rządcą Shelton. Wyczułem w jego oddechu zapach wina. Pociągnął mnie do swojego stołu. Miał gniewną minę, taką samą jak wtedy, gdy odkrył jakiś błąd w rachunkach zamkowych albo gdy dowiedział się, że gajowy kłusuje księżęcą zwierzynę. — No i co mi odpowiesz? Gdzie jest twój pan, lord Robert?

Uznałem, że im mniej powiem, tym lepiej.

— Jego łaskawość książę pan wysłał panicza do Tower z jakąś sprawą do załatwienia. Ja mam tutaj na niego czekać. — Mówiąc, zauważyłem jakiś ruch w głębi i przez tłum dostrzegłem królową stojącą przy wysokim krześle.

— Twoim obowiązkiem było iść z nim. Giermek powinien trzymać się swego pana.

Elżbieta rozmawiała z jakimś drobniutkim dziewczęciem siedzącym w jednym z tych wysokich krzeseł. Dziewczę było ubrane w proste szaty, nieco podobne do tych, które nosiła Elżbieta. Podobne też miała włosy, o miedzianym połysku, i bladą cerę, tyle że była piegowata. Na krześle obok rozpiekał się Guilford Dudley, z policzkami czerwonymi od wina.

— Nie gap się tak! — warknął do mnie Shelton, ale sam nie odrywał oczu od Elżbiety, która z uśmiechem słuchała dziewczyny. Twarz Sheltona była nieruchoma jak stężała zaprawa murarska; sięgał po kielich, nie patrząc. Gdy go namacał, wlał sobie do gardła solidny łyk. Nigdy przedtem nie widziałem go, żeby pił na służbie. Ale może dziś wieczór nie był na służbie. Może lady Dudley dała mu wychodne. Wątpiłem w to jednak, bo odkąd go poznałem, rządcą Shelton zawsze był na służbie.

— Kto to? — zapytałem. Pomyślałem sobie, że mogę chwilę pogadać, zanim przyjdzie mi do głowy, jak dostarczyć pierścień ukryty za pazuchą.

Zmarszczył czoło.

— Jak to kto? Ślepy jesteś? Przecież to lord Guilford.

— Chodzi mi o tę damę obok.

Zamilkł. Po chwili mruknął:

— Lady Jane Grey. — Zdało mi się, że w jego głosie zabrzmiał jakiś bolesny ton. — Najstarsza córka jaśnie oświeconej księżny Suffolk.

— Suffolk? — powtórzyłem jak echo, a on dodał niecierpliwie:

— Przecież mówię. Matką Jane Grey jest córka francuskiej królowej wdowy, Marii, młodszej siostry naszego króla Henryka Ósmego. Jane jest narzeczoną lorda Guilforda. — Pociągnął łyk wina. — Ale co cię to wszystko obchodzi.

A więc to dziewczątka to ta lafirynda, która ponoć czymś zaprawiła Guilfordowi piwo? Zabawne, pomyślałem i już miałem dalej pytać, gdy moją uwagę zajął ktoś inny.

Przez tłum szła z wyraźną pewnością siebie druga towarzyska Elżbiety. Zdjęta już gdzieś płaszcz, ubrana była w aksamitną suknię, której złotawobrazowy kolor dobrze współgrał z odcieniem jej włosów rozpuszczonych luźno, a tylko nad czołem ozdobionych półksiężycowym diademem. Naturalna uroda, którą promieniowała, blask cery i wdzięk

ruchów kontrastowały ostro z pudrowaną sztucznąnością innych. Pomyślałem, że szuka swego wielbiciela — tak piękna dziewczyna musiała mieć ich wielu — ale zauważyłem, że wyraźnie unika kawalerów, którzy zerkali na nią, i zmierza ku szlachetnemu towarzystwu zgromadzonemu wokół ogromnego kominka. Zapewne wraca do królowy, pomyślałem, ale zobaczyłem, że Elżbieta wyraźnie się od niej odwraca, jakby nie poznawała własnej damy do towarzystwa.

Patrzyłem, co się dzieje. Może i byłem nowicjuszem na dworze, ale umiem dostrzec teatr, gdy go widzę. Odniosłem wrażenie, że dziewczyna podsłuchuje, o czym rozmawiają dostojnicy, a Elżbieta, jej pani, jest tego w pełni świadoma. Dziewczyna podniosła wzrok, jakby wyczuła, że ją obserwuję. Nasze spojrzenia się spotkały. W jej wzroku wyczytałem przekorę, tupet — i wyraźne wyzwanie.

Uśmiechnąłem się. Nie dość, że była ponętna, to jeszcze mogła mi pomóc w wypełnieniu zadania. Widziała, jak rozmawiałem z Elżbietą. Może nawet domyśliła się, że mam jej pani coś do przekazania. Coś, co wymaga dyskrecji, i coś, co Elżbieta chętnie by przyjęła w innej sytuacji. Z pewnością więc towarzyska Elżbiety, jako osoba zaufana, da się namówić na pomoc.

Poczułem, że nie ma czasu do stracenia. Zadanie musi zostać wykonane. Muszę dostarczyć to, co mam do dostarczenia, i ulotnić się stąd. Nie byłem wcale pewien, czy uda mi się trafić z powrotem do komnaty Dudleyów, ale chciałem się wyspać z czystym sumieniem. Jak się wyśpię, rozjaśni mi się w głowie, jak mam traktować role, które przyjdzie mi grać w przedsięwzięciach obmyślonych przez Roberta Dudleya.

Wciąż obserwowałem dziewczynę, wypatrując odpowiedniej chwili, by się do niej zbliżyć. Ona tymczasem podeszła do grupy przechodzących dam. Wmieszała się w nią. Idąc wraz z nimi, odwróciła się przez ramię i obdarzyła mnie uśmie-

chem. To było wyraźne zaproszenie, tylko głupiec by tego nie zauważył.

Rządca Shelton zarechotał.

— Ale hoża dziewczoja. Idź, zobacz, co ma do zaproponowania. — Klepnął mnie w plecy. — Śmiało, chłopcze. Jeśli pojawi się lord Robert i będzie cię szukał, powiem, że cię odesłałem, bo sala tronowa to nie miejsce dla giermka bez pana.

Zatkało mnie. Shelton nagle chce się mnie pozbyć. Ciekawe. Ale odpowiadało mi to. Zmusiłem się do uśmiechu, wyprostowałem i odszedłem. Obejrzawszy się przez ramię, zauważyłem, że zajął się dzbanem wina, który stał obok niego na stole.

Podążałem za dziewczyną w pewnej odległości. Podziwiałem jej pewność siebie i błyszczące włosy, opadające niczym falbana na plecy. Jeśli idzie o kobiety, nie byłem całkiem niedoświadczony. Wydawała mi się znacznie bardziej ponętna niż te wszystkie wystrojone i wymalowane panny dworskie. Tak byłem zajęty przyglądaniem się jej, że nie pomyślałem, iż ona może mieć jakieś inne plany niż ułatwianie mi zawarcia z nią znajomości.

W pewnej chwili skręciła w bok i ulotniła się jak dym. Spojrzałem w lewo, w prawo, przystanąłem. Niemożliwe. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zniknął tak bez śladu. Jakby gdzieś odfrunęła.

Rozejrzałem się wokół jeszcze raz i zakląłem pod nosem. Przeprowadziła mnie przez całą salę w najmniej odpowiednie dla mnie miejsce. Stałem teraz całkiem niedaleko królewskiego podestu, tuż przy gromadce dostojników i królownie.

Miałem ochotę się skurczyć. Z bliska naprawdę onieśmialali: strojni, dumni, roztaczający aurę władczości, która charakteryzowała wysoko urodzonych. Elżbieta nie rozmawiała już z Jane Grey, lecz siedziała i z zainteresowaniem słuchała osoby siedzącej naprzeciwko. Widziałem tylko plecy tej osoby i upierścienioną dłoń, ściskającą laskę.

Zacząłem się wycofywać czujny jak kot, modląc się, by królowna mnie nie dostrzegła. Tylko tego brakowało, żeby mnie teraz zauważyła i do reszty zrujnowała moją i tak wątpliwą przyszłość.

Wciąż szukałem drogi odwrotu, gdy dostrzegłem osobę, która szła prosto na mnie. Zamarłem.

To była lady Dudley, księżna Northumberland.

Jakby mi chluśnięto w twarz zimną wodą. Lady Dudley, matka lorda Roberta. Już gorzej być nie mogło. Dlaczego trafiłem akurat na nią? W jej świecie sługa zawsze zna swoje miejsce. A moje miejsce to nie jest z pewnością.

Była jak marmur, jej surową urodę podkreślała strojna suknia z aksamitu w kolorze czerwonego wina. Zastygłem w bezruchu, a w pamięci jak żywy stanął mi dzień sprzed lat, gdy księżna nakryła mnie, jak wynoszę książkę z biblioteki w zamku Dudleyów.

Miałem wtedy trzynaście lat i cierpiałem po utracie ochmistryzynie Alice. Ta książka to był francuski psalterz, ulubiona książka Alice, oprawna w safian, z dedykacją po francusku na stronie tytułowej: *A mon amie de votre amie, Marie*. Lady Dudley wyjęła mi ją wtedy z rąk i nakazała wracać do stajni. Godzinę później pojawił się rządca Shelton z biczem w dłoni. W służbie u Dudleyów był wtedy dopiero od niecałego roku. Prawie mnie nie znał, dlatego wymierzał razy bez przekonania, sprawiając więcej upokorzenia niż bólu. Ale póki lady Dudley nie wyjechała na dwór królewski, nigdy już nie zbliżyłem się do biblioteki. A nawet po jej wyjeździe minęły całe tygodnie, nim książki znów mnie skusiły. Chodziłem tam tylko nocą i odkładałem każdą księgę na półkę natychmiast po przeczytaniu, jakby księżna z daleka mogła mnie wypatrzeć. A psalterz był jedyną rzeczą nienależącą do mnie, którą zabrałem, wyjeżdżając z zamku. Owinąłem go w szmatkę i ukryłem w sakwie. Nie potrafiłem go zostawić.

Wtem aż podskoczyłem, bo osoba siedząca naprzeciwko Elżbiety roześmiała się zjadliwie. Lady Dudley jeszcze mnie nie zauważyła. Nie mając innego wyjścia, zacząłem się przemykać w stronę grupy dostojników, licząc na to, że nadal mnie nie zauważy. Byłem tak skupiony na chowaniu się przed lady Dudley, że przez nieuwagę potrąciłem krzesło Jane Grey.

Poruszyła się zdziwiona. W szaroniebieskich oczach dostrzegłem u niej wyraz dręczącej rezygnacji. Wyprostowała szczupłe barki. Drżącym głosem zapytała:

— Kim jesteś?

Zdało mi się, że cały mój żywot legł w ruinie. Siedzący obok niej Guilford wykrzyknął:

— A ty skąd się tu wzięłeś? — Zerwał się na równe nogi i wytknął na mnie oskarżycielski palec: — Prescott, przeszkadzasz szlachetnie urodzonym!

Pokpiłem sprawę. Nie należało podchodzić tak blisko. Nie należało śledzić tamtej dziewczyny. Jeśli się nad tym lepiej zastanowić, to należało zostać w Worcestershire.

— Prescott? — Jane Grey patrzyła na Guilforda skonsternowana. — Ty go znasz?

— Tak, znam. Powinien teraz usługiwać mojemu bratu Robertowi — prychnął Guilford. — Prescott, wytłumacz się. Lepiej dla ciebie, żeby to było dobre wytłumaczenie.

Otworzyłem usta. Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jane Grey przyglądała mi się uważnie. Zerwałem kapelusz z głowy i ukloniłem się głęboko.

— Wasza łaskawość, proszę wybaczyć, jeśli ją zaniepokoiłem.

Patrząc na nią przez grzywkę, która opadła mi na oczy, zobaczyłem, że policzki jej lekko się zaróżowiły.

— Wyglądasz znajomo... — rzekła z wahaniem, zacinając się. — Czy mieliśmy okazję się poznać wcześniej?

— Nie sędzę, wasza łaskawość — odparłem z cicha. — Na pewno bym to pamiętał.

— No, ale najwyraźniej nie pamiętasz o manierach — warknął Guilford. — Przynieś nam coś do jedzenia i picia, bo każę cię wychłostać.

Niestety, jego wojowniczy ton zwrócił na nas uwagę otoczenia. Elżbieta wstała z krzesła i podeszła do kominka. Jej niechęć miała teraz jednak mniejsze znaczenie niż nieuchronny gniew lady Dudley. Poczułem ucisk w piersi. Nie miałem żadnej wymówki poza tym, że szukam Roberta, co nie mogło brzmieć przekonująco. Skłoniłem się nisko, bojąc się, że to koniec wszelkich moich iluzji co do kariery w służbie Dudleyów.

— Czy coś nie w porządku, moja droga? — spytała lady Dudley, zwracając się do Jane. Wyobrażałem sobie, że omiata mnie pełnym najwyższej pogardy spojrzeniem zielononiebieskich oczu. — Mam nadzieję, że ten sługa nie sprawił ci kłopotu. Najwyraźniej ktoś go wprowadził w błąd, gdzie jego miejsce.

— No właśnie — rzucił Guilford radośnie. — Matko, spraw, żeby nam już więcej nie przeszkadzał.

Zerknąłem w górę, zobaczyłem, że Jane na zmianę spogląda to na Guilforda, to na przyszłą świerkę. Przygryzła wargę. Miałem wrażenie, że najchętniej by stąd zniknęła.

— Kiedy on... on...

— Słucham? — zachęciła lady Dudley. — Mów, moja droga.

Jane skuliła się. Rzuciła mi przepaszające spojrzenie i wymamrotała:

— Wydawało mi się, że go znam. Myliłam się. Przepraszam.

— Nie ma za co przeproszać. Wzrok cię zawodzi, zmęczony od tego ciągłego czytania. Naprawdę nie ma sensu tyle czytać. To ci nie służy. Proszę wybaczyć.

Omaliem nie jęknąłem głośno, gdy poczułem, jak palce lady Dudley wbijają mi się w ramię jak sztylety. Odciągnęła mnie na bok. Bez cienia uśmiechu zapytała:

— Gdzie u licha jest Robert?

Język mi wysechł na wiór.

— Właśnie myślałem, że go tutaj znajdę.

Nie zdało się to na nic. Ledwie mogłem coś wykrztusić, o gładkim kłamstwie nie było mowy. Zawsze tak mi się przy niej robiło. Zastanawiałem się, dlaczego mnie przyjęła do domu, choć jasne było, że nie może mnie znieść. Spuściłem oczy, szykując się na sromotny koniec mojej niedługiej kariery dworskiej. Lady Dudley nie wybaczy złamania etykiety. Będę miał szczęście, jeśli resztę moich dni spędzę na szorowaniu psich wybiegów.

Zanim się odezwała, rozległ się ostry głos:

— Co to za zamieszanie? — Laska trzymana w upierścienionej dłoni uderzyła mocno dwa razy w podłogę. — Proszę mi natychmiast wyjaśnić!

Skuliłem się. Lady Dudley znieruchomiała. Po chwili jej wargi wykrzywił szczególny uśmieszek.

— Chodź — machnęła na mnie. — Zdaje się, że jej łaska-wość księżna Suffolk chce cię poznać.

ROZDZIAŁ VII

Poszedłem za nią z gularą w gardle. Gdy podchodziliśmy, stojąca przy kominku Elżbieta rzuciła mi przelotne spojrzenie. Jej chłodne bursztynowe oczy zdawały się mnie nie rozpoznawać.

— Klękaj! — wyszczała mi do ucha lady Dudley. — Księżna Suffolk ma królewską krew, jest córką młodszej siostry naszego zmarłego króla Henryka. Okaż jej szacunek.

Opadłem na kolano. Zauważyłem, że na jej kolanach leży zwinięty spaniel w czerwonej skórzanej obroży, ozdobionej brylantami. Psiak zaszczekał. Podniosłem wzrok. Ulokowana wygodnie na górze poduszek, ściśnięta w gorsiecie wysadzonym kamieniami, w spódnicach jak żagle galeonu siedziała dama potężnej tuszy.

— Jej łaskawość Frances Brandon, księżna Suffolk — wyrecytowała śpiewnie lady Dudley. — Wasza łaskawość pozwoli, że jej przedstawię kawalera Prescottta. Jest nowicjuszem na dworze, służy jako giermek mojemu synowi.

— Giermek? — Uprzejmość w cienkim głosie księżny była krucha jak ciasteczko. — Nie widzę twarzy tego człowieka, gdy się tak zgina w ukłonie. Podnieś się, chłopcze. Niech ci się przyjrzę.

Wypełniłem rozkaz. Ostre jak stal spojrzenie omal mnie nie przewierciło na wylot. Kiedyś musiała być urodziwa, póki nie zaprzepaściła tego przez brak ruchu i uleganie skłonności do obżarstwa. Ślady minionej urody dawały o sobie znać w przytłumionej kasztanowej barwie włosów, zawiniętych pod wielkim wysadzonym klejnotami diademem, w mocnej linii orlego nosa, w delikatnej przezroczystości skóry, która była gładka, biała, bez plamki czy zmarszczki.

Moją uwagę przykuły przede wszystkim jej oczy: zimne, kalkulujące, chytre; te oczy przeczyły obojętnemu wyrazowi twarzy, znamionowały despotyzm, z jakim uprzywilejowani przychodzili na świat.

Takiego spojrzenia nie dawało się wytrzymać; spuściłem wzrok. Spod rąbka spódnicy wyłaniała się stopa obuta w lekką cizemkę, zniekształcona, koślawą. Usłyszałem chichot.

— W młodości świetnie jeździłam konno. A ty, młodzieńcze? Jeździsz konno?

Odpowiedziałem z namysłem, ostrożnie.

— Wasza łaskawość, wyrosłem wśród koni.

— Wychowywał się w naszym zamku — weszła w słowo lady Dudley. W jej głosie brzmiało jakieś dziwne wyzwanie. — Przybył do nas przypadkiem, dwadzieścia lat temu. Nasza ówczesna ochmistrzyni go znalazła i...

Księżna Suffolk uciszyła ją machnięciem dłoni.

— Co takiego? Nie masz rodziny?

Zerknąłem na lady Dudley, choć wiedziałem, że nie pospiesz mi z odsieczą. Rozchyliła wargi, ukazując zęby. Poczuję skurcz w żołądku, zastanawiałem, czy to już zostanie wyrzucony. Stało się. Jaśnie państwo oddalają służących, przekazują sobie, wymieniają między sobą, splacają nimi długi albo zwyczajnie pozbywają się tych, którzy przestali być potrzebni. Czy po to zostałem sprowadzony na dwór? Czy wszystkie moje ambicje były tylko mrzonkami?

— Tak, wasza łaskawość, nie mam rodziny. — Nie byłem w stanie opanować drżenia głosu. — Jestem podrzutkiem.

— Szkoda. — Ton księżny wskazywał na to, że wystarczyło jej to, co usłyszała, i nie chce słuchać więcej. — Pani, twój dobry uczynek zasługuje na podziw. Ufam, że chłopak okaże się go wart. — Odprawiła mnie gestem. — Możesz odejść.

Ukloniłem się z ulgą i zacząłem wycofywać, pamiętając, że nie wolno mi się odwrócić tyłem do członka rodziny królewskiej. Odstąpiłem krok do tyłu, modląc się, żeby nie potrącić znów czyjegoś krzesła, a lady Dudley pochyliła się do księżny Suffolk i rzekła:

— *//porte la marque de la rose.*

Nie mogła podejrzewać, że rozumiem jej słowa, bo nie wiedziała, że uczyłem się francuskiego z porzuconych podręczników Roberta. Księżna Suffolk siedziała nieruchomo, utkwivszy we mnie wściekłe spojrzenie. Zamarłem. To, co ujrzałem w jej wzroku, zmroziło mi krew.

On nosi znamię róży.

Było mi niedobrze. Lady Dudley odsunęła się od krzesła i dygnęła księżnie, która teraz sprawiała wrażenie skamieniałej. Za jej plecami, gdzieś na obrzeżach gromadki, błysnęła mi złotawobrazowa szata. Spojrzałem uważniej. Nie było jej.

Na mym ramieniu spoczęła czyjaś ciężka dłoń. Odwróciłem się szybko i zobaczyłem wykrzywioną wściekłością bliznowatą twarz Sheltona. Pociągnął mnie do swojego stołu.

— Wydawało mi się, że miałeś się gdzieś ulotnić z tą dziewczyną. A ty znów pakujesz się w kłopoty. Tak mi się odwdzięczasz? Tak mi odpłacasz za wszystko, co dla ciebie uczyniłem?

Zasypał mnie wymówkami. W głowie miałem zamęt, ale przezornie nie odzywałem się, nawet gdy wbił mi palec w pierś i rzekł:

— Żebyś mi się nie ważył ruszyć stąd. Mam coś do załatwienia, a ty siedź tu i czekaj na mnie.

Odmaszerował. Odetchnąłem, ale język miałem suchy jak wiór. Z bolesną trwogą wsunąłem dłoń w rajtuzy. Poniżej pasa, koło biodra, tam gdzie uwiązane były sznurki od sączka, mogłem to wyczuć palcami. Omal nie ściągnąłem odzieży, aby się upewnić, że tam jest.

Róża — tak nazywała to ochmistrzyni Alice. Mówiła, że to oznaka błogosławieństwa. Ale skąd o moim znamieniu wie lady Dudley? Skąd mogła dowiedzieć się rzeczy tak intymnej, o której — jak byłem przekonany — wiedzieli tylko osierocony chłopiec i rumianolica, wesoła kobieta, jego jedyna przyjaciółka w tym wrogim świecie? I dlaczego wiadomością o tym raziła niczym bronią księżnę, która przecież nie miała żadnego powodu, by się tym interesować?

Ogarnęła mnie złość. Ochmistrzyni Alice już nie ma na świecie. Wciąż bolała mnie jej utrata. W tej chwili jednak, niech mi Bóg wybaczy, odczuwałem do niej niemal nienawiść, bo zawiodła moje zaufanie. Chociaż było możliwe, że lady Dudley zobaczyła moje znamię, gdy byłem niemowlęciem, wciąż myślałem jedynie o tym, że została dopuszczona do sekretu znanego, jak sądziłem, tylko Alice i mnie.

Przymknąłem oczy, wyciągnąłem dłoń z za pasa i przycisnąłem ją do tłukącego serca. Wtedy poczułem pierścień za pazuchą i nagle uświadomiłem sobie, że znalazłem się w położeniu nie do pozazdroszczenia, zaplątany w sytuację, której mogę nie przeżyć. Coś się tutaj działo. Coś okropnego. Nie wiedziałem, co to może być, ale wiedziałem, że ma to coś wspólnego ze mną i jak się wydaje, z królową Elżbietą. Dudleyowie chcieli zaszkodzić nam obojgu. Gdybym znalazł sposób, żeby ją ostrzec, wtedy może...

Z galerii rozległy się fanfary, na podium wkroczył książę. Sala ucichła. Zerknąłem w kierunku kominka, Elżbieta stała bez ruchu. Księżna Suffolk dźwignęła się z krzesła. Gdy zobaczyłem jej oczy, przeszył mnie strach. Przesunąłem się, żeby się ukryć w tłumie. Rozległ się dobitny głos księcia:

— Jego wysokość król pragnie wyrazić wdzięczność tym wszystkim poddanym, którzy wyrażali niepokój o jego zdrowie. Na jego polecenie obwieszczam, co następuje. — Przeczesał tłum wzrokiem. — Jego wysokość jest władcą dobrotliwym, ale rozgniewały go pogłoski, jakie do niego dotarły. Wbrew temu, co głoszą intryganci, król ma się coraz lepiej. Za radą nadwornego lekarza udał się do pałacu w Greenwich, aby przyspieszyć powrót do pełnego zdrowia. Dla uczczenia poprawy samopoczucia pragnie, abym ogłosił, że łaskawie wyraził zgodę na małżeństwo mojego najmłodszego syna, Guilforda Dudleya, z jego ukochaną kuzynką, lady Jane Grey. Zawarcie związku zostanie uświetnione jutro wieczorem uroczystościami w Greenwich, gdzie jego wysokość we własnej królewskiej osobie pobłogosławi nowożeńców. Jego wysokość poleca, abyśmy wnieśli toast z tej radosnej okazji...

Paź pośpiesznie przyniósł księciu puchar. Northumberland wzniosł go wysoko.

— Za zdrowie jego królewskiej mości, niech nami długo włada. Boże, chroń króla Edwarda Szóstego!

Jak na zawołanie weszli słudzy z tacami pełnymi pucharów. Dworzanie chwyтали je i podnosili do góry.

— Za zdrowie króla jegomości! — krzyczano chórem.

Northumberland wypił wino i zszedł z podium, orszak lordów i członków rady królewskiej w ślad za nim, jak chmura ciemnych liści. Z miejsca, gdzie się przyczaiłem, widziałem, że lady Dudley idzie za nimi, ale w pewnej odległości, a obok niej nadaśana księżna Suffolk. Jej córka, Jane Grey, szła za matką, trzymając swą maleńką dłoń w łapsku Guilforda, który kroczył dumnie, bo jego ojciec postanowił połączyć swój ród z królewską krwią Tudorów.

Gdy tylko opuścili salę, dworacy zaczęli gadać niczym przekupki. Zerknąłem w stronę kominka, rozumiejąc, że stało się coś ważnego i bolesnego zarazem. Na trupio bladej teraz

twarży Elżbiety malowało się niedowierzenie. Puchar wypadł jej z dłoni. Rozbryźnięte wino splamiło rąbek sukni. Obróciła się na pięcie i wyszła najbliższymi drzwiami.

Następne minuty dłużyły się jak lata, gdy patrzyłem i czekałem, aż ktoś za nią pójdzie. Tymczasem dworzanie zaczęli się rozchodzić. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył wyjścia Elżbiety. Ruszyłem ku drzwiom, gdy dostrzegłem towarzyszkę królowy przemykającą chyłkiem ku jakiemuś osobnikowi, którego z początku nie rozpoznałem. Ale kiedy zobaczyłem, kto to jest, serce mi zadrżało. To był Walsingham, wspólnik Cecila. Zamienili kilka słów i rozeszli się, Walsingham poszedł demonstracyjnie w przeciwnym kierunku. Ani on, ani ona nie mieli zamiaru iść za królową.

Prześlizgnąłem się do drzwi. Nie widziałem Sheltona, póki nagle nie zastąpił mi drogi.

— Miałeś na mnie czekać i nie ruszać się nigdzie. Nie dość masz kłopotów jak na jeden wieczór?

Popatrzyłem w jego przekrwione oczy. Nigdy nie dał mi powodu, by go nie darzyć zaufaniem. Ale podlegał lady Dudley we wszystkim, co robił; w tej zaś chwili był w moich oczach głównie przypomnieniem tej bezsilności, którą odczuwałem przez całe życie.

— Skoro wiesz, panie, więcej niż ja o tych kłopotach, to może mi waszmość wyjaśnisz — odparłem.

Głos mu się zmienił paskudnie.

— Ty niewdzięczna gnido, niczego ci nie będę wyjaśniać. Powiem ci tylko jedno: jeśli dbasz o swoją skórę, trzymaj się z dala od Elżbiety. To trucizna... trucizna do szpiku kości. Tak jak jej matka. Niczego dobrego nie przyniosła ta wiedźma Boleyn, tym bardziej nic dobrego nie przyniesie jej córka.

Obrzucał mnie tymi słowami jak brudem. To było ostrzeżenie, wiedziałem, że powinienem wziąć je sobie do serca, ale nie myślałem o niczym innym jak tylko o tym, żeby za wszelką cenę znaleźć się jak najdalej od niego i od Dudleyów.

— Może to i prawda, ale mam polecenie od mojego pana i muszę je wykonać.

— Jeśli pójdziesz za nią, umywam ręce. Nie będę cię chroni! przed konsekwencjami, rozumiesz? Jeśli pójdziesz, to na własną odpowiedzialność.

— Doskonale!

Skłoniłem głowę i ominąłem go łukiem. Nie oglądałem się za siebie, choć czułem, jak przeszywa mnie wzrokiem. Miałem dziwne wrażenie, że tak naprawdę rozumiał, co zamierzam, i że sam kiedyś, w odległej przeszłości, czuł podobny przymus, a teraz tymi groźbami na swój sposób próbował mnie uratować przede mną samym.

Ale po chwili uleciał mi z myśli zupełnie, a ja pobiegłem korytarzami, szukając Elżbiety.

ROZDZIAŁ VIII

Bałem się, że już jej nie znajdę, że gdzieś mi znikła w labiryncie komnat i krużganków. Moje kroki odbijały się głuchym echem to w jednym korytarzu, to w drugim. Kierowałem się instynktem, uchylając głowę przed wystającymi ze ścian uchwytnymi do pochodni, zapuszczając się w ciemne zakamarki w ślepej nadziei, że nie wybrała najprostszej drogi.

Główno westchnąłem z ulgą, gdy w końcu na nią trafiłem. Stała w sklepionym przejściu na wewnętrzny dziedziniec, ściskając w dłoni fałd spódnicy. Zdjęta z głowy filigranową spinkę, luźno rozpuszczone włosy spływały niczym płomienie na jej proste plecy. Słyszając moje kroki, jeszcze nim mnie zobaczyła, odezwała się:

— Ash Kat, zawiadom zaraz Cecila. Musimy... — Przerwała, bo zobaczyła mnie. — Na Boga, śmiały jesteś. — Wzrokiem szukała za moimi plecami, w głosie czuło się nutkę paniki. — Gdzie są moje damy dworu? Gdzie pani Ashley i panna Stafford?

Skłoniłem się nisko.

— Nie widziałem pani Ashley — rzekłem tonem, jakiego używałem, żeby sobie poradzić ze spłoszoną kłaczą. — Natomiast jeśli przez pannę Stafford rozumie wasza wysokość drugą swoją towarzyszkę, to ona nie wyszła za waszą wyso-

kością. Prawdę mówiąc, widziałem, jak poszła w przeciwnym kierunku.

— Na pewno zajęła się przyszykowaniem łodzi. — Elżbieta zamilkła. Wbiła we mnie wzrok, jakby naprawdę potrafiła dojrzeć pod skórą moje rzeczywiste zamiary. Ruszyła szybkim krokiem na ciemny dziedziniec. Obejrzała się i zapytała: — Dlaczego idziesz za mną?

Pokazałem dłonią na kaftan.

— Mam tam coś, co mój pan rozkazał doręczyć waszej wysokości.

Jej rysy stwardniały.

— To nie wypełnisz rozkazu. Dość upokorzeń wycierpiałam od Dudleyów jak na jeden wieczór.

Na świeżym powietrzu jej oburzony głos zabrzmiał głośniej, niż powinien. Wydawała mi się niemal przezroczysta, widmowa. Przybyła do pałacu zobaczyć się z bratem, a tu z pogardą i publicznie poinformowano ją, że król — bez wątpienia za namową księcia — wyjechał do Greenwich. A teraz jeszcze ja skradam się za nią zdesperowany, żeby zdobyć jej przychylność za wszelką cenę. Poczuję niesmak do samego siebie. Jak tak można! Niech Roberta i jego pierścień diabli wezmą. Znajdę jakąś wymówkę, że nie udało mi się wypełnić zadania. Dostanę baty, wyrzucą mnie, i co z tego. Umieć czytać i pisać, głupi nie jestem. Z głodu nie umrę.

— Proszę waszą wysokość o wybaczenie. — Skłoniłem się. — Nie chciałem sprawić żadnej przykrości.

— Znacznie większą przykrość sprawił mi dzisiaj książę. — Znow z pełną siłą utkwiła we mnie wzrok. — Słuzysz u nich. Znasz ich plany?

Zamilkłem. W głowie usłyszałem słowa Sheltona: „To trucizna... trucizna do szpiku kości”. Choć myślałem o tych słowach, wiedziałem, że już się nie cofnę, nie odmówię odpowiedzi na jej pytanie, choć może mnie to drogo kosztować. Dotarłem do nieuchronnego rozstaju dróg, na którym staje

każdy człowiek. Do tego zwrotnego punktu, w którym — jeśli mamy szczęście i go rozpoznamy — możemy dokonać wyboru, jaki wpłynie na całe dalsze życie. Elżbieta była czynnikiem, którego nieświadomie szukałem; trucizna czy nie, dawała mi klucz do nowego życia.

— Nie znam — odparłem. — Gdybym znał, ujawniłbym je waszej wysokości. Mam jednak oczy i uszy, widziałem, co się dzisiaj wydarzyło, i obawiam się, że jakiegokolwiek są te plany, mogą się okazać groźne dla waszej wysokości.

Przechyliła głowę.

— Umiesz się wysławić. Zanim jednak posuniemy się dalej, uprzedzam, że radziłam sobie ze zdolniejszymi od ciebie. Uważaj na każdy krok, giermku.

Bez drgnienia powieki spojrzałem jej w oczy.

— Mówię tylko o tym, co widzę. Wcześniej w życiu nauczyłem się widzieć więcej niż pozory.

Lekki uśmiech wypłynął na jej wargi.

— Wygląda na to, że mamy coś wspólnego. — Znów zamilkła, a cisza odnowiła tę niewidzialną przepaść między członkiem rodziny królewskiej a człowiekiem z gminu. — A więc słucham, co masz mi do powiedzenia. Co takiego skłania cię do myślenia, że mogę być w niebezpieczeństwie?

Nie lekceważyłem groźby, która pobrzmiwała w jej głosie. Wstąpiłem na grząski grunt, to nie jest żaden romans, w którym mogę odegrać rolę szlachetnego rycerza. To jest dwór, a tu jedyną walutą jest władza. Ona wyrosła wśród zdrad i podstępów, wie, czym to pachnie, odkąd była dość duża, by poznać prawdę o śmierci matki. Ale niezależnie od tego, czy chciała się do tego przyznać czy nie, teraz oboje byliśmy pionkami w partii, którą rozgrywali Dudleyowicze. I to był podstawowy powód, dla którego nie mogłem się wycofać. Prawdę mówiąc, nie miałem drogi odwrotu.

— Nie przewidziała wasza wysokość, że nie dane jej będzie dziś zobaczyć się z jęgo królewską mością. Spodziewałaś

się, pani, że król powita ją w sali tronowej, co zrobiłby na pewno, gdyby wiadomość o poprawie jego zdrowia była prawdziwa. I teraz się wasza wysokość boi, bo nie wie, w jakim stanie jest król i co zrobił książę.

Milczała jak posąg. Odezwała się po chwili:

— Rzeczywiście, jesteście spostrzegawczy. Taka spostrzegawczość może cię daleko zaprowadzić. Ale skoro ty zobaczyłeś tak wiele, to niech mnie Bóg chroni przed tymi, którzy dostrzegli jeszcze więcej, bo to całe przedstawienie w sali tronowej miało tylko jeden cel: dać do zrozumienia, że teraz tym królestwem nie rządzi nikt inny jak John Dudley, książę Northumberland.

Stłumiłem impuls, by obejrzeć się za siebie i upewnić, czy nie zmierza ku nam książę z całą świtą w czarnych szatach z rozkazem uwięzienia nas.

— Czy Robin wie o twoich podejrzeniach? — zapytała.

Przełknąłem ślinę. Omal nie zdradziłem się ze swoimi podejrzeniami na temat Roberta; miałem też ochotę opowiedzieć o tajemniczej wymianie zdań na mój temat między lady Dudley a księżną Suffolk. Ale były to tylko podejrzenia i jakieś przeczucie kazało mi ugryźć się w język. Cokolwiek Dudleyowie planowali w mojej sprawie, Elżbiety to nie dotyczy. Przynajmniej na razie.

— Wasza wysokość — powiedziałem w końcu — nie wiem, czy lordowi Robertowi można ufać, czy nie. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli taka jest wola waszej wysokości.

Roześmiała się bez uprzedzenia, żywiołowo, ale śmiech umilkł szybko.

— Wierzę, że to zrobisz. Zgnilizna Dudleyów jeszcze cię nie splamiła. — Uśmiechnęła się smutno. — Czego ode mnie oczekujesz, mój mężny giermku? Wiem, że za czymś tęsknisz, widać to po tobie, więc nie zaprzeczaj. Wiem, co to tęsknota.

Odpowiedziałem tak, jakbym odpowiedź na to pytanie znał od zawsze, choć nie wiadomo było, kiedy przyjdzie chwila, by jej udzielić. Rzekłem więc:

— Chcę pomagać waszej wysokości niezależnie od tego, czego by to ode mnie wymagało.

Spuściła oczy i klasnęła w ręce. Dół sukni miała zaplamiony winem.

— Nie spodziewałam się dziś zawierania przyjaźni. — Podniosła wzrok na mnie. — Doceniam twą ofertę, ale muszę odmówić. Skomplikowałoby to stosunki z twoim panem, które i tak są zdaje się nie najlepsze. Możesz mnie jednak odprowadzić do łodzi. Moje towarzyszki już tam na pewno czekają.

Tłumiąc zawód, skłoniłem się nisko. Wyciągnęła dłoń, dotknęła mego rękawa.

— Odprowadzisz mnie, żebym się czuła bezpiecznie. Chodźmy.

Bez słowa szliśmy przez dziedziniec, potem znów labiryntem cichych krużganków, obwieszonych kobiercami, mijając niszowe okienne zasłonięte aksamitnymi kotarami i strzelnice, przez które można było dostrzec fragmenty oblanych księżycowym światłem ogrodów i dziedzińców. Zastanawiałem się, co czuła, przebywając w domu zbudowanym przez jej ojca dla jej matki, stanowiącym pomnik namiętności, która wciągnęła całą Anglię, a zakończyła się na szafocie. Z wyrazu jej twarzy nie dawało się nic wywnioskować.

Wyszliśmy z pałacu w tej części ogrodów, która przylegała do rzeki. Od Tamizy ciągnęły mgły. Na przystani czekały jej towarzyszki. Pani Ashley podbiegła do nas, niosąc płaszcz królewny. Elżbieta podniosła dłoń, żeby ją zatrzymać. Druga dama, panna Stafford, nie ruszyła się z miejsca; stała owinięta szczelnie płową oponczą. Obawiałem się, że Elżbieta wykarmiła żmiję na własnym łonie.

Odwróciwszy się do mnie, powiedziała:

— Człowiek mądry zadba teraz o własne bezpieczeństwo. Dudleyowie rozpętują burzę, która może zniszczyć całe królestwo, ale jeśli na świecie jest jakaś sprawiedliwość, drogo za to zapłacą. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, nie teraz, kiedy ludzi skraca się o głowy za znacznie mniejsze przewinienia. — Odsunęła się. — Powodzenia, giermku. Nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedyś mieli okazję się spotkać.

Podeszła do burty łodzi. Pani Ashley zarzuciła jej płaszcz na ramiona. W eskorcie swych dam wstąpiła na trap, a po chwili rozległ się plusk wioseł. Wioślarze walczyli z przypływem, łódź oddalała się, zabierając Elżbietę od Whitehallu, od dworu. Ode mnie.

Gdy zniknęła, zacząłem w myślach szukać pocieszenia. Odmówiła przyjęcia mojej pomocy, ale tylko z troski o mnie. Bolało mnie rozstanie, ale miałem nadzieję, że uda jej się wydostać z Londynu. Dwór to nie jest bezpieczne miejsce, wspomniałem słowa sekretarza Cecila sprzed paru godzin. Niebezpieczne dla niej.

Niebezpieczne dla nas obojga.

Dotknąłem dłonią kaftana, poczułem wypukłość pierścienia. Nie wypełniłem pierwszego — i pewnie ostatniego — zadania dla Roberta Dudleya. Chyba rzeczywiście powinienem zadbać o własne bezpieczeństwo.

Wróciłem do pałacu. Po długim błądzeniu, które zdało mi się trwać godziny, trafiłem do stajni, gdzie zaspane psy przywitały mnie leniwym szczekaniem; konie drzemały nad malowanymi żłobami. Sprawdziłem, jak się ma Cynober. Był zadbany, a owsa miał pod dostatkiem. Poszukałem sobie jakiegoś legowiska, znalazłem w kącie derkę. Zdjąłem kaftan i buty, zagrzebałem się w stertę słomy, naciągnąłem na siebie derkę.

Było ciepło, wygodnie, a pachniało jak w domu.

ROZDZIAŁ IX

Obudziłem się, nie wiedząc, gdzie jestem, myślałem, że w zamku Dudleyów, że znów zasnąłem nad wykradzioną książką. Zacząłem macać sennie wokół siebie, szukając tej książki, gdy wtem przypomniałem sobie wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Aż się uśmiechnąłem. Co tu gadać, dobry miałem początek dworskiej kariery. Podniosłem się na łokciach i wyciągnąłem rękę po buty.

Znieruchomiałem. Koło mojej sterty słomy siedział młody stajenny i grzebał w kieszeniach mojego kaftana. Uśmiechnąłem się.

— Pewnie tego szukasz? — pokazałem mu sakiewkę. — Nigdy nie zostawiam w kieszeni.

Młodziak zerwał się na równe nogi, z kędzierzawą czupryną i szeroko otwartymi oczami wyglądał jak przestraszony cherubin. Poznałem go. To ten chłopak, któremu wczoraj oddałem pod opiekę Cynobra, ten o łapczywej dłoni. Przyjrzałem mu się bliżej i zauważyłem, że pod odzieniem z lnu i skóry jest chudy jak szczapa. Na pewno głód był jego chlebem powszednim. Zwyczajny chłopak stajenny, pewnie sierota, jak ja. W Londynie takich musi być na pęczki, a gdzie ma szukać zajęcia młodziak bez rodziny i pieniędzy jak nie przy dworze królewskim?

Wciągnąłem buty.

— Wyjaśnisz, dlaczego chciałeś mnie okraść, czy mam wezwać koniuszego?

— Nie miałem zamiaru kraść! Chciałem tylko... — Oburzony ton szybko zniknął. Widziałem po jego minie, że nie zadał sobie przedtem trudu wymyślenia sensownej wymówki, bo nie liczył się z tym, że zostanie złapany.

Stłumiłem uśmiech.

— No więc?

Uniósł brodę.

— Winienesz mi, panie, pieniądze. Zapłaciłeś mi za nakarmienie konia, prawda? Ale jeśli mam go nakarmić i oporządzić dziś rano, trzeba znowu zapłacić. Nie jesteś, panie, szlachcicem. A za darmo utrzymuje się tu tylko konie szlachetnie urodzonych.

— Doprawdy? — Rozwiązałem sakiewkę, uświadamiając sobie z rozkoszą, że oto mogę sypnąć groszem, nieważne, że to pewnie mój ostatni zarobek.

Chłopak chwycił monetę. Przymrużył ciekawskie zielonkawe oczy.

— Czy ten angel jest naprawdę złoty?

— Tak myślę. — Zacząłem wciągać pognieciony kaftan. — W każdym razie taką mam nadzieję, biorąc pod uwagę, ile mnie wczoraj kosztowało zarobienie tych pieniędzy.

Ubierając się, obserwowałem, jak chłopak nagryza monetę. Pokiwał głową z takim znawstwem, jakby codziennie widywał złote aniele, i schował do kieszeni. Zapłaciłem prawdopodobnie równowartość miesięcznego utrzymania mojego wierzchowca. Nie miało to znaczenia. Wiedziałem, jak to jest, gdy się pracuje bez zapłaty. A poza tym miałem pomysł. Nie tak dawno temu sam byłem chłopakiem takim jak on, przebiegłym jak uliczny kundel i ostrożnym. Tacy chłopcy jak my widzą i słyszą więcej, niż im się samym wydaje.

— Nikt nie musi o tym wiedzieć — rzekłem. — Aha, nazywają mnie Brendan. Brendan Prescott. A ciebie?

— Na mnie wołają Sokół. — Przysiadł na stojącej beczce, wyciągnął z kieszeni dwa dzikie jabłka. Rzucił mi jedno. — Sokół, ptak do polowania.

— Ciekawe imię. A nazwisko jakieś masz? — Ugryzłem jabłko i skrzywiłem się, bo było niemiłosiernie kwaśne. Byłem głodny, od wczoraj rana nic nie miałem w ustach, ale to jabłko się nie nadawało do jedzenia.

— Nie mam — odparł zaczepnie. — A po co mi nazwisko?

— Rzeczywiście. Tak przynajmniej łatwo zapamiętać. Ile masz lat, Sokole?

— Dwanaście. A ty, panie?

— Ja mam dwadzieścia — odrzekłem i omal nie dodałem „chyba”.

— Aha. — Rzucił ogryzek do żłobu Cynobra. Mój wierzchowiec parsknął i zaczął go chrupać. — Wyglądasz, panie, na mniej — dodał. — Myślałem, że jesteś waszmość raczej w wieku Edwarda. On ma piętnaście.

— Edward... — zastanowiłem się. — Masz na myśli jego wysokość króla Edwarda?

Sokół zrobił zdziwioną minę.

— Dziwny jesteś, panie. Chyba nie stąd?

Tym razem nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Tak, sprytny sierotka. Tylko ktoś, kto przez całe życie musiał sam o siebie dbać, tak szybko potrafi znaleźć ripostę. Na pytanie odpowiedzieć pytaniem. Nie sądziłem, że spotkam taką bratnią duszę w Whitehallu.

A to, że nie odpowiedział, znaczy, że miałem rację. Zna króla.

— Rzeczywiście, nie jestem stąd — powiedziałem. — Jestem z Worcestershire.

— Nie byłem tam. Nigdy nie wyściubiłem nosa za roгатki Londynu.

Pokiwałem głową, strącając źdźbła słomy z rajtuzów.

— Dobrze znasz jego królewską mość?

— Na tyle dobrze, na ile można znać króla. — Wzruszył ramionami. — Kiedyś często tu zaglądał. Lubi zwierzęta, lubi pojeździć konno z psami po świeżym powietrzu. Jego lordowska mość księżę zawsze... — przerwał i skrzywił się. — Nieładnie tak mnie naciągać na opowieści.

— Zadałem tylko pytanie. — Uśmiechnąłem się. — Przecież nikomu nie powiem. Nie jestem nikiem ważnym. Ciekawi mnie tylko, jak chłopak stajenny poznał króla.

— Nie jestem tylko stajennym. Mam też inne obowiązki i niejedno umiem. — Wydał wargi i przyglądał się mi, jakby nie był pewny, czy warto się dla mnie wysilać. Ale to była tylko poza; widziałem wyraźnie, że ma wielką chęć na opowieści. Tak jak i ja cierpiał na brak towarzystwa.

— Więc powiadasz, że król woli świeże powietrze od zaduchu pałacowych komnat? — zachęciłem.

— Tak. Edward, to znaczy król, ciągle musi coś czytać albo pisać, albo spotykać się z ludźmi, za którymi nie przepada. Dlatego czasami wrywa się i odwiedza mnie. A raczej swoje psy i konie. Opiekuję się nimi. On bardzo lubi swoje zwierzęta.

— Aha.

Pomyślałem o Elżbiecie, o lęku, jaki odmalował się na jej twarzy, gdy księżę ogłosił, że król nie zaszczyca zgromadzenia swoją obecnością. Musiałem się powstrzymywać, żeby nie zasypać chłopca pytaniami. Widywał się z królem. Może widział go niedawno. Rozmawiał z nim. Ciekawe, co jeszcze wie?

— Czy często tu przychodzi, do stajni? — zapytałem, sądząc, że jeśli przesadził, przedstawiając swoją znajomość z królem, to teraz się to wyda.

Wcale się nie zmieszał. Znów wzruszył ramionami z nonszalancją kogoś, kto nie zwraca nadmiernej uwagi na poczynania wyżej urodzonych.

— Kiedyś przychodził często, ale od jakiegoś czasu się nie pojawia. Pewnie mu księżę nie pozwala. Edward mówił mi kiedyś, że jego lordowska mość upominał go, aby nie przestawał z ludźmi z gminu. A może jest po prostu chory. Jak tu był ostatnio, to kasłał krwią. Musiałem mu przynieść wody. Dobrze, że jest ta stara zielarka, która się nim zajmuje.

— Zielarka? — Nie wiedzieć czemu ciarki przeszły mi po plecach.

— Tak. Przyszła tu kiedyś po jednego ze spanieli Edwarda, księżę ją przysłał. Taka kulawa starucha. Pachniała cudnie jakimś ziołem.

Chociaż stałem twardo na ziemi, stajnia zakołysała się wokół mnie, jak galeon podczas sztormu.

— Jakimś ziołem? A jakim?

— Skąd mam wiedzieć? — przewrócił oczami. — Czy ja jestem kuchcik, co kręci różnem? Nie znam się na ziołach. Jak ktoś jest królem i zachoruje, to ma doktorów, ludzi od przystawiania pijawek i zielarzy.

Omali nie zapomniałem oddychać i omali nie uległem irracjonalnemu impulsowi, żeby szarpnąć tego chłopaka za kołnierz. Wszystko, co się działo, odkąd tu przyjechałem, nadwerżyło mi zmysły. Przecież niejedna kobieta zajmuje się zielarstwem. A poza tym chłopak mówi, że jest stara i kulawa. Mam jakieś zwidy. Nikomu się na nic nie przydam w takim kiepskim stanie zmysłów.

— Czy ta kobieta jakoś się przedstawiła? — wykrztusiłem pytanie. Miałem nadzieję, że mój wyraz twarzy nie zdradza mojego niezadowolenia z powodu własnej głupoty.

— Nie. Wzięła psa i wyszła.

Wiedziałem, że nie powinienem drażyć, ale nie umiałem się powstrzymać.

— A nie zapytałeś jej?

Sokół otworzył szerzej oczy.

— Dlaczego miałbym pytać? Przecież wiedziała, że to pies Edwarda. Po co innego miałyby przychodzić? Może nie zauważyłeś, panie, ale ja na ogół po prostu robię, co mi każą. Jak się zadaje za dużo pytań, można sobie napisać biedy. A ja tego nie chcę.

— Jasne. — Zmusiłem się do uśmiechu. Muszę zyskać przychylność tego urwisa. To na pewno nie zaszkodzi.

Sokół zeskoczył z beczki.

— No, pogadaliśmy, ale ja tu mam obowiązki. Koniuszy może się pojawić w każdej chwili i dobierze mi się do skóry, jeśli szkapy nie będą nakarmione i osiodłane. Dzisiaj wszyscy jadą do Greenwich. Muszę przygotować klatkę do przewozu psa jej wysokości Elżbiety. Ona tak samo jak Edward kocha zwierzęta. Ładna niewiasta i miła, nie taka jak niektórzy. Nawet mi płaci.

Wybałuszyłem na niego oczy.

— Jej wysokość królewna Elżbieta? Była... była tutaj?

Sokół wybuchnął śmiechem.

— W stajni? Chyba się wczoraj waść opiłeś za dużo wina. Nie, panie Brendanie Prescott z Worcestershire, to jej przyjaciel sekretarz Cecil zapłacił mi wczoraj za zajmowanie się Urianem. Ufam, że znajdziesz drogę, dokądkolwiek masz dotrzeć.

Strzepnąłem słomę z kapelusza.

— Poczekaj! — Wygrzebałem z sakiewki największą monetę, jaką udało mi się znaleźć, i rzuciłem ją Sokołowi.

— Chyba rzeczywiście wypłem wczoraj za dużo. Miałem szczęście, że tu trafiłem. Nie wiem, czy zdołam sam znaleźć drogę, a już powinienem być w komnacie mojego pana. Czy mógłbyś mnie zaprowadzić?

Wyszczrzył zęby, zacisnął palce na pieniądzu.

— Tylko do ogrodów, mam przecież obowiązki.

Słońce usiłowało się przebić przez całun chmur. Policzki zaszczypały mnie od zimnego wiatru, który szarpał kwiaty na

klombach i wzbijał z nich zamieć płatków. Sokół doprowadził mnie do alejki i powiedział:

— Czy ta naszywka na rękawie znaczy, że jesteś, panie, w służbie księcia?

— Tak, służę jego synowi, lordowi Robertowi.

— Aha. — Wskazał mi ścieżkę prowadzącą do pałacu, który wznosił się przed nami, dziobiąc niebo stromymi dachami i wieżami. — Pójdiesz, panie, tędy, a potem w lewo. Na zewnętrznym dziedzińcu musisz zapytać o drogę. Nigdy nie byłem w środku.

Skłoniłem się.

— Dziękuję, panie Sokole. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyglądał w tym uśmiechu jak dziecko. Ze skurczem serca pomyślałem, że jest zupełnie taki, jak ja byłem w jego wieku: przedwcześnie samodzielny i głodny ludzkiej życzliwości w tym nieprzyjaznym świecie.

— Jeśli lord Robert potrzebowałby pazia albo kogoś do pomocy w jakiejś robocie, to się polecam. Potrafię nie tylko karmić konie.

— Zapamiętam sobie — odparłem i ruszyłem alejką, a pod stopami szeleściły mi opadłe liście.

Obejrzałem się jeszcze przez ramię. Sokoła nie było. Zdziwiłem się, ale w tej samej chwili kątem oka zobaczyłem dwóch mężczyzn, którzy wynurzyli się zza drzew po obu stronach alejki przede mną. Mieli sztylety w dłoniach. Obróciłem się na pięcie i rzuciłem do biegu w przeciwnym kierunku.

Napastnicy dopadli mnie jednak. Krzyczałem, wymachiwałem rękami, udało mi się kopnąć jednego w krocze, ale silne uderzenie pięści w szczękę powaliło mnie na ziemię. Świat kręcił się dookoła, ale usłyszałem czyjś chłodny głos:

— Dość. Nie zróbcie mu krzywdy.

Mężczyźni odsunęli się, jeden z nich trzymał się za krocze, klnąc jak szewc. Mimo bólu głowy i szczęki zachichotałem.

— Za późno, już mam wybity ząb — powiedziałem do niewidocznego właściciela głosu, który odwołał atak.

— Nic ci nie będzie. — Rzucono mi mój kapelusz. — Wstań. Powoli.

Ukazał mi się niewidoczny dotąd mężczyzna. Chuda postać w płaszczu: Walsingham. Rano wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż w świetle księżyca. Nie był chyba wiele ode mnie starszy, sądząc po brzmieniu głosu i twarzy bez zmarszczek, choć ziemistej. Mimo to sprawiał wrażenie starca, kogoś, komu obca jest wszelka spontaniczność. Przynajmniej dowiedziałem się, w czym był wyszkolony. Najwyraźniej Walsingham był specjalistą od mokrej roboty.

— Wystarczyłoby poprosić o rozmowę — rzekłem.

Puścił to mimo uszu.

— Nie radzę próbować ucieczki lub jakiegokolwiek oporu. Moi ludzie mogą wybić wszystkie zęby. I nie tylko.

Podniósł rękę. Zbiry wzięły mnie z dwóch stron. Nie miałem szans na wyciągnięcie swojego sztyletu z cholewy. Jeden z nich chwycił mnie mocno za ramię. Drugi tymczasem zarzucił mi worek na głowę i związał ręce sznurem. Skrępowanego i niewidzącego powleczono mnie gdzieś na przełaj, w kierunku — jak miałem wrażenie — przeciwnym niż pałac.

Wyprowadzono mnie żwawym krokiem przez park myśliwski w kręte uliczki, gdzie turkot kół mieszał się ze stukiem kopyt o bruk, nawoływaniem przekupniów i jęklivymi prośbami żebraków. Poczułem gnilną woń Tamizy, potem przepchnięto mnie przez jakiś próg, broniłem się, ale tylko zarobiłem trzepnięcie w głowę, od którego mi w uszach zadzwoniło.

Potem przeprowadzono mnie przez jeszcze jedne drzwi i znalazłem się w jakimś cichym pomieszczeniu, wypełnionym aromatem pomarańczy. Jadłem raz pomarańczę, wiele lat temu. Niezapomniany smak. Pomarańcze sprowadzano

z Hiszpanii dla ludzi o wyrafinowanych gustach. Na zaspokajanie ich mogli sobie pozwolić tylko bardzo zamożni.

Rozwiązano mi ręce. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi. Zerwałem worek z głowy. Od stołu stojącego w wykuszu pod oknem, przez które roztaczał się szeroki widok na nadrzeczne ogrody z kępami wierzb i alejkami obsadzonymi starannie przyciętym żywopłotem, wstała znajoma postać.

Wytrzeszczyłem oczy.

— To wy, panie?! — wysapałem.

ROZDZIAŁ X

— We własnej osobie — rzekł sekretarz rady królewskiej Cecil. — Proszę o wybaczenie, jeśli cię źle potraktowano. Walsingham sądził, że lepiej będzie, jeśli nie da ci szansy na odrzucenie mojego zaproszenia.

Nie musiałem pytać, domyślałem się, że Walsingham stoi za drzwiami i pilnuje, żebym nie uciekł. Powstrzymałem się od ciętej riposty. Cecil podszedł do dębowego kontuaru, na którym stały taca z przysmakami, koszyk pomarańczy i dzban. Byłem prawie pewien, że to jego rzekome zaproszenie miało coś wspólnego z wydarzeniami wczorajszego wieczora. Moja ciekawość była więc nieco silniejsza niż strach.

— Czy już śniadałeś? — zapytał Cecil.

Wytarłem krew z kącika ust.

— Nie mam apetytu.

— Poboli i przestanie — uśmiechnął się. — Jesteś młody i zdrowy, posil się. Ja w twoim wieku byłem ciągle głodny. Wnioskuje z twojej miny, że nie cieszysz się moim zaproszeniem. Przykro mi bardzo.

— Przykro? Bo przywleczono mnie tu siłą? — nie mogłem się powstrzymać.

Zagryzłem wargę, nie chciałem, by usłyszał, że jestem wściekły. Przed tym człowiekiem lepiej nie ujawniać uczuć. Na pewno czegoś ode mnie chce, skoro zadał sobie tyle trudu,

by mnie wytropić w stajni i porwać. Wczoraj miałem wrażenie, że cieszy się zaufaniem królowny. Ale jest w służbie księcia, co dodatkowo komplikuje tę i tak skomplikowaną sytuację. Powiadają, że nie da się dwóm panom służyć. Komu więc Cecil służy naprawdę?

Nałożył sobie na talerz porcję smakołyków.

— Nie jestem wrogiem jej wysokości Elżbiety, choć może mnie o to podejrzewasz. Tak naprawdę, mówię to z żalem, jestem chyba jej jedynym przyjacielem, a przynajmniej jedynym przyjacielem o jakich takich wpływach na dworze. Siadaj, proszę.

Wskazał mi wyściełane krzesło przy stole, jakbym rzeczywiście był jego gościem. Usiadłem. Postawił przede mną talerz i puchar, których rozmyślnie nie tknąłem, i wrócił na swoje krzesło. Musiałem przyznać, że się świetnie prezentuje w czarnych płudrach i kaftanie.

— Jestem przekonany, że jej wysokość królowna jest w niebezpieczeństwie — zaczął bez zbędnych wstępów. — Ale o tym już na pewno wiesz.

Ukrywałem rosnącą ciekawość. Nikt mnie nie zmusi, ani pochlebstwem, ani przekupstwem, ani groźbą, bym dzielił się z nim moją oceną położenia królowny.

Cecil odchylił się na wysokie oparcie krzesła.

— Dziwi mnie, że milczysz. Przecież wczoraj w ogrodach słyszałeś naszą rozmowę, prawda? — Podniósł rękę. — Nie zaprzeczaj. Podsłuchiwanie ma długą i szacowną tradycję na dworze. Każdy się tym para od czasu do czasu. Tyle tylko, że niekiedy to, co usłyszymy, źle interpretujemy. Zwłaszcza jeśli nie znamy wszystkich szczegółów.

Kropelka potu pociekła mi między łopatkami. Ależ byłem nieudolny. Co mnie opętało, żeby podkradać się do nich tak blisko? Oczywiście Cecil wiedział, że tam byłem. Prawdopodobnie robiłem dość hałasu, żeby postawić na nogi całą straż pałacową. Czyżbym usłyszał tam za dużo?

Cecil przyglądał mi się. Musiałem coś powiedzieć.

— Ja... Wysłał mnie tam mój pan. — Zabrzmiało to ochryple, głos z trudem wydobywał się z mojego ściśniętego gardła. Mogłem dzisiaj zginąć. Ten człowiek poważnie traktuje sprawę zapewniania Elżbiecie bezpieczeństwa. Mógł mnie kazać zabić, nikt by się o tym nie dowiedział. Giermkowie, którzy wtykali nos w nie swoje sprawy, znikali zapewne często.

— Ach, w to nie wątpię. Lord Robert ma swoje plany i wykorzystuje do nich różnych ludzi. — Cecil westchnął. — Giermek, nowy na dworze, wszystko zawdzięczający Dudleyom. Cóż miałeś robić? Muszę przyznać, że spisałeś się nad podziw. Zdobyć zaufanie królowej, nie wzbudzić jej podejrzeń, to nie lada sztuka. Mam nadzieję, że lord Robert dobrze ci płaci. Wart jesteś tego.

Przyszło mi do głowy, że Cecil chciałby się dowiedzieć, co miałem do przekazania Elżbiecie. Jeśli tak, to udając niewiedzę, może go zdołam przekonać, że nie zagrażam królowej. Będę udawał, że nic nie wiem, póki on nie odsłoni swoich kart. Bo miał jakieś atuty, to nie ulegało wątpliwości.

— Chyba nie wiem, co macie, panie, na myśli — powiedziałem.

— Nie. Bo niby skąd miałbyś wiedzieć. — Na blacie jego kabinetu po lewej stronie leżał stos ksiąg, a po prawej stał kałamarz wysadzany drogimi kamieniami. — Ja natomiast wiem bardzo dużo. A czego nie wiem, tego się dowiaduję przez donosicieli. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile informacji można kupić dziś za jeden posiłek. — Popatrzył na mnie. — Czy moja szczerość cię zaskakuje?

Udawać durnia. Za wszelką cenę.

— Nie mam pojęcia, co to może mieć wspólnego ze mną. Zachichotał.

— Taki spryciarz jak ty powinien się domyślić. Niecodziennie zdobywa się uwagę Elżbiety Tudor. Uważam, że jesteś wyjątkowo utalentowany.

Przyjąłem komplement w milczeniu. Wydawało mi się, że jestem w położeniu nie do pozazdroszczenia, a tu proszę, za chwilę otrzymam propozycję służby u innego pana. Nie ma co dalej grać wiejskiego głupka.

— Co chcielibyście mi, panie, powiedzieć?

— Ujmując rzecz najprościej, chciałbym cię mieć na swoje usługi. To propozycja nader korzystna, zapewniam cię. Potrzebny mi jest ktoś, kto ma świeże oko, ktoś na pozór prostoduszny, niezwracający uwagi, ale zdolny zaskarbić sobie zaufanie nawet kogoś tak sceptycznego jak nasza królowna. Wczoraj zaproponowałeś jej swą pomoc, prawda? Sama mi o tym powiedziała. Jeśli się zgodzisz pełnić służbę dla mnie, pomożesz jej bardziej, niż sobie możesz wyobrazić.

Ściśnięcie w żołądku ostrzegło mnie, by nie okazać gorącego zainteresowania, które się nagle we mnie obudziło. Niezależnie od tego, co zdecyduję, trzeba zachowywać wielką ostrożność. Może to podstęp? Prawdopodobnie podstęp. Nie może być nic innego. Może i jestem utalentowany, ale szpiegiem nie jestem na pewno.

— Dlaczego wybór padł na mnie? Nie byłem nigdy ćwiczo-ny jako... donosiciel, zdaje się takiegoście, panie, określenia użyli.

— Nie. Tego, czego nie umiesz, nauczysz się szybko. Masz natomiast instynkt, którego nie można nauczyć. Wiem to dobrze. Sam go mam. Uwierz mi, to cenniejsza zdolność, niż ci się wydaje.

— Jest jeszcze pewna praktyczna przeszkoda. Służę u Roberta Dudleya — powiedziałem. — Zawierzył mi na tyle, że dał mi poufną wiadomość dla królowny.

— Rzeczywiście. Muszę wiedzieć, czego od niej chce. Jej życie może od tego zależeć.

— Jej życie?

— Tak. Mam podstawy sądzić, że książę spiskuje przeciwko niej, a lord Robert, twój pan, gra ważną rolę w tym

spisku. Nie po raz pierwszy usiłują wywołać wrażenie, że się poróżnili, a potajemnie współpracują, żeby pokonać jakiegoś przeciwnika.

A więc to rzeczywiście podstęp. Nie chodzi o moje ukryte talenty. Chodzi o to, że służyć lordowi Robertowi. Elżbieta nie ujawniła wiadomości, którą jej przekazałem. Dlatego właśnie Cecil kazał mnie tu przywlec w worku na głowie. Chciał wiedzieć, co miałem do przekazania, a z chwilą kiedy to wyznam, zostanę uciszony. Na zawsze.

— Przykro mi to słyszeć — wykrztusiłem, tłumiąc chęć krzyku. Lepiej zginąć w walce, niż przyjąć pokornie koniec, który mi zgotował Cecil. — Bo przecież musi wasza łaskawość sekretarz wiedzieć, że służącemu, który zdradzi swojego pana, grozi obcięcie uszu i języka. — Okrasiłem to wymuszonym uśmiechem. — A ja bardzo nie chciałbym się pozbyć swoich.

— Już go zdradziłeś. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

To było stwierdzenie faktu, związane i bezosobowe. Choć na pozór nic się nie zmieniło w jego sposobie bycia, nagle poczułem rozchodzące się od niego zimne zło.

— Niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję — ciągnął Cecil — twoje dni w służbie Dudleya są policzone. Myślisz, że będzie cię trzymał, gdy już uzyska to, czego chce? Lord Robert wykorzystał cię jako chłopca na posyłki, a jego matka i ojciec nie znoszą niedokończonych spraw.

On nosi znamię róży.

Znów zobaczyłem księżnę Suffolk, jej stalowe oczy wbite we mnie, przebijające na wylot.

— Chcecie, panie, powiedzieć, że mnie zabijają? — spytałem.

— Owszem, chociaż dowodu na to nie mam.

— A jeśli wstąpię na służbę do was, panie, to będę miał jakąś gwarancję bezpieczeństwa?

— Taką sobie. — Podparł obiema dłońmi brodę. — Interesuje cię to?

Popatrzyłem mu w oczy.

— Propozycja warta rozważenia.

Przechylił głowę na bok.

— Na początek powiem, że księżę i jego rodzina są w trudnym położeniu. Nie byli przygotowani na to, że jej wysokość Elżbieta pojawi się na dworze. Prawdę mówiąc, nikt z nas nie był na to przygotowany. Ona się tymczasem pojawia, zdecydowana zobaczyć się z bratem, trzeba więc jakoś temu zaradzić. Królowna zadbała o to, by wieść o jej przyjeździe dotarła do ludu. To jej zapewniało niejaką ochronę, przynajmniej w krótkiej perspektywie. Popełnia jednak grubo błąd, zakładając, że księżę nie może jej wyrządzić żadnej krzywdy. Jest rozsierdzona pozbawieniem jej możliwości spotkania z jej królewskim bratem. Chce natychmiast jechać do Greenwich i na własne oczy przekonać się o stanie zdrowia jego królewskiej mości. — Uśmiechnął się z pewną rezygnacją. Sprawiał wrażenie pogodzonego z tym, że Elżbieta Tudor zawsze potrafi go zaskoczyć. — Niełatwo ją odwieść od zamiaru, jeśli go raz poweźmie, a Northumberlanda najwyraźniej ma już po uszy. Wczorajsza nieobecność Edwarda wzbudziła w niej najgłębsze podejrzenia i gniew, z czym bez wątpienia księżę się liczył. Ona jest bardzo oddaną siostrą. Można rzec: zbyt oddaną. Nic jej nie powstrzyma, póki nie dowie się prawdy. Oto czego się obawiam: prawda, choć jej szukamy, rzadko jest taka, jaką sobie wymarzyliśmy.

Przesunąłem się na brzeżek krzesła.

— Myślicie, panie, że księżę jest zdolny...? — Nie potrafiłem wypowiedzieć tego na głos. Oczami pamięci widziałem nieodgadniony błysk w oczach Northumberlanda, kiedy mruknął głosem, w którym pobrzmiwał złowieszczy ton: „Zdrady nie zostawiamy bez odpłaty”.

— Nie wiem — odparł Cecil. — Gdy Edward miał nawrót choroby, księżę rozkazał trzymać go w odosobnieniu, nie dopuszczał do niego nikogo. Kto wie, co się wtedy wydarzyło?

Najgorsze, co można podejrzewać, to że jest znacznie ciężej chory, niż się komukolwiek wydaje. Po co Northumberland ogłaszał o poprawie jego stanu zdrowia, a równocześnie pisał Roberta do Tower, żeby uzupełnił zaopatrzenie i obsadził wiernymi ludźmi wszystkie bramy Londynu? Nawet gdyby jej wysokość królową dało się przekonać, by wracała do Hatfield, miałyby drogę zamkniętą. Ale oczywiście nie ma zamiaru wracać. Jest przekonana, że księżę więzi jej brata wbrew jego woli. Jeśli to prawda, to obawiam się, że niewiele możemy zrobić, by królowi pomóc. Moje główne zadanie to nie pozwolić jej dać się zwabić w pułapkę.

Po raz pierwszy od śmierci ochmistrzyni Alice ktoś rozmawiał ze mną jak z równym. Taka postawa wskazywała na to, że mi ufa. A okazane zaufanie w dużej mierze rozwiało moje wątpliwości. Musiałem jednak upomnieć sam siebie, że dwulicowość to powszechna przypadłość na dworze. Cecil mógł się nią zarazić.

— Czy ostrzeżliście ją, panie, mówiliście o swoich podejrzeniach? — zapytałem, ale od razu przypomniałem sobie wczorajsze przestrogi, których Cecil udzielał Elżbiecie. Królowa nie należała do osób, które biorą sobie przestrogi do serca.

— Wielokrotnie — westchnął — ale bez skutku. Mówi, że musi zobaczyć Edwarda, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz w jej życiu. Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny. Muszę mieć niezbity dowód, że Dudleyowie intrygują przeciwko niej.

Zacisnąłem dłoń. Nagle straciłem całe zainteresowanie. Nie dam się namówić na zrobienie kroku, który tylko przy niej gotów byłem zrobić z ochotą. Ryzyko związane z tym, o czym mówił sekretarz, jest większe, niż jestem skłonny podjąć. Przecież to jest narażanie się na pewną śmierć.

Szykowałem się już do odmownej odpowiedzi, wymyślałem jakieś usprawiedliwienie, gdy jakaś część mojego ja obudziła się i nie pozwalała dłużej się ignorować. Wyraźnie zach-

dziła we mnie jakaś przemiana, jakby wbrew mojej naturze. Przystawałem być anonimowym giermkim, którego jedyną ambicją jest poprawa swojego bytu. Pragnąłem jeszcze czegoś, udziału w czymś wielkim, wykraczającym poza moją egzystencję. To było coś niewytłumaczalnego, wprawiającego w zakłopotanie, nawet przerażającego — ale nie było przed tym ucieczki.

— Jej wysokość królowa Elżbieta jest dla mnie wszystkim — powiedział Cecil, a ja w jego głosie usłyszałem wyraźnie, że i on czuje jej siłę. — Ważniejsze jest jednak to, że znaczy ogromnie wiele dla Anglii. Jest ostatnią nadzieją tego kraju. Edward wstąpił na tron zbyt młodo, od tamtej pory jest na uwięzi swoich tak zwanych protektorów. Teraz jest ciężko chory, może umierający. Jeśli królowa wpadnie w ręce Northumberlanda, zaprzepaszczone zostanie wszystko, o co walczyli ci, którzy kochają Anglię — zjednoczony naród mający siłę, by się oprzeć zakusom Francji i Hiszpanii. I książę wie o tym, jaka ważna jest królowa. Jeśli ma przetrwać, musi zdobyć nad nią kontrolę. A co takiego, co mógłby jej ofiarować, zagwarantowałoby jej uczestnictwo we wszelkich jego planach? — Zamilkł, a jego bladoniebieskie oczy wpatrywały się we mnie z uwagą.

Musiałem powstrzymać własną dłoń, która chciała powędrować za pazuchę. Pierścień. Robert dał mi swój pierścień. Powiedział, że chce otrzymać to, co mu obiecano.

— To nie... to niemożliwe — wyszeptałem. — Przecież lord Robert jest już żonaty.

Cecil się uśmiechnął.

— Drogi chłopcze, wystarczy wspomnieć Henryka Ósmego, żeby pojąć, jak łatwo pozbyć się żony. Małżeństwo Roberta z Amy Robsart było błędem, którego Robert już zaczął żałować, tak samo jak jego ojciec. To córka wiejskiego szlachcica, a książę dla syna wolałby lepszą partię. Skoro zdołał przekonać radę królewską, by zgodziła się na połącze-

nie węzłem małżeńskim Guilforda z Jane Grey, to dlaczego Robert nie miałyby poślubić królowy? To byłby najwyższy dowód świetności rodu Dudleyów, a równocześnie gwarancja utrzymania się przy władzy. Nie miejmy bowiem złudzeń, Anglią rządzi teraz Northumberland. Rządzi, odkąd kazał ściąć lorda protektora i uzyskał pełen wpływ na osobę króla.

Pierścień za pazuchą zaczął mnie parzyć. Nawet myśl o takiej intrydze była szalona, ale właśnie takich rzeczy można było się po Dudleyach spodziewać. Jak to powiedział Robert? „Dasz jej to. Ona zrozumie”. Czy zrozumiała? Czy dlatego odmówiła przyjęcia pierścienia? Wiedziała, z czym to się wiąże? A może, choć nie chciała się do tego sama przed sobą przyznać, w jakimś tajemnym zakątku serca wołała, żeby było inaczej? Pamiętałem wyraz jej twarzy, gdy mówiła, że wie, co to tęsknota. Były w niej pokłady namiętności, których nikt jeszcze nie zgłębił. Może pragnęła Roberta Dudleya tak, jak on pragnął jej.

Uspokoilem oddech. Nie nadażam za tym wszystkim. Muszę się skupić na tym, co wiem, i na tym, co usłyszałem.

— Przecież królowa Elżbieta i król mają starszą siostrę przyrodnią, królową Marię. To ona jest pierwsza w kolejności do tronu. Gdyby nawet Elżbieta poślubiła lorda Roberta, nie mogłaby zostać królową, póki... — Głos uwiązł mi w gardle. Słyszałem brzęczenie muchy nad koszem z owocami. Z trudem przyjmowałem do wiadomości to, do czego doprowadziło mnie wnioskowanie.

— Rozumiesz już? — spytał spokojnie Cecil. — Uczysz się, i to szybko. Tak, pierwszą dziedziczką tronu jest lady Maria. Ale ona jest gorliwą katoliczką, nie chce słyszeć o zmianie wyznania, a Anglia nie zniesie wtrącania się Rzymu w jej sprawę. Królowa Elżbieta natomiast wychowała się w wierze protestanckiej. No i jest siedemnaście lat młodsza od Marii i ma wszelkie dane, by zrodzić męskiego dziedzica. Lud wolałby ją mieć na tronie, a nie jej siostrę papistkę. I to

właśnie, mój chłopcze, księżę może jej zaoferować. Anglię. To pokusa, której mało kto się oprze.

Sięgnąłem za pazuchę, wziąłem głęboki wdech. Religia. Odwieczna kość niezgody. Ludzie umierają za religię. Dowodzą tego głowy wystawione w bramach Londynu na rozkaz księcia.

Czy był zdolny doprowadzić do ścięcia członka rodziny królewskiej? To właśnie sugeruje Cecil. Aby Elżbieta mogła odziedziczyć tron, Maria musi umrzeć. Nie wiedziałem, co może się dziać w duszy człowieka, którego widziałem zaledwie parę razy w życiu i który wyznaje zgoła inne wartości niż ja. Czy mógł być zdolny do czegoś takiego? Sądziłem, że nie cofnąłby się przed tym, gdyby chodziło o jego życie. Coś mnie wszelako niepokoiło, jakieś przypuszczenie, które trudno mi było ubrać w słowa. Gdy jednak zebrałem myśli, wypowiedziałem je śmiało i z przekonaniem:

— Jej wysokość królowna nigdy by się na to nie zgodziła, nie zaakceptowałyby zgładzenia siostry.

— Oczywiście, że nie — przyznał ku mojej uldze Cecil. — Wprawdzie nie są z Marią w bliskich stosunkach, ale masz rację. Nigdy w życiu nie zgodziłaby się brać udziału w zdradzie stanu, nie z własnej woli. I to jest, jak mi się wydaje, zasadniczy błąd w planach księcia. Nie docenia królowny. Nigdy jej nie doceniał. A ona przyjmie koronę, ale tylko wtedy, gdy przyjdzie jej kolej.

A więc chodzi o zdradę stanu. Dudleyowie planują zdradę stanu — spiskują przeciwko królowi i jego dwóm siostram. Usłyszałem głos Elżbiety, jakby miała wargi tuż przy moim uchu: „Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, nie teraz, kiedy ludzi skraca się o głowy za znacznie mniejsze przewinienia”. Ostrzegąta mnie. Nie wyjeżdżała z Londynu do swojej wiejskiej posiadłości, bo domyśliła się, co knuje księżę, i nie chce, by z jej powodu czyjeś życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Przybyła tu w pełni świadoma, na co się naraża.

Wyciągnąłem pierścień z za pazuchy.

— Lord Robert kazał mi to doręczyć. Nie przyjęła go. On jeszcze o tym nie wie.

Cecil głęboko odetchnął.

— Dzięki Bogu! — Uśmiechnął się, ale bez odrobiny ciepła. — Twój pan przeciągnął strunę. Jestem przekonany, że jego ojciec nie pochwalałby takiego tupetu. Być może także dlatego jej wysokość tak nalegała na pozostanie. Skoro zna plany Roberta, spróbuje je wykorzystać, żeby dostać się do brata. — Przyjrzał mi się z uwagą. — Chętnie dałbym ci więcej czasu do namysłu, ale jak się domyślasz, czas jest tym dobrem, którego nam brakuje. Mamy tylko parę dni na to, żeby ją uratować.

Wyrzałem przez okno. W ogrodzie jakaś kobieta prowadziła za rękę kuśtykające dziecko. Uśmiechnęła się, gdy chłopiec pokazał jej coś na rzece. Nie widziałem co, ale pewnie łódkę albo stadko łabędzi. Pochyliła się, pocałowała dziecko w policzek, poprawiła mu czepek na włosach.

Zawładnęło mną poczucie samotności. Przypomniała mi się moja opiekunka Alice. Z mniejszą czułością wspomniałem też rządcę Sheltona. On nigdy mi tego nie wybaczy. Moje postępowanie poczyta za zdradę rodziny, której zawdzięczam wszystko. Alice by to zrozumiała. Udzieliła mi wielu lekcji, a najbardziej przypadła mi do serca ta, by starać się być sobą.

Nigdy dotąd nie miałem naprawdę szansy na wprowadzenie jej w życie. Znajda, bękart, pacholek bez majątku... całe moje dotychczasowe życie było tylko walką o przetrwanie. Myślą rzadko wybiegałem poza zaspokajanie potrzeb dnia powszedniego, chyba że uczyłem się, ale i wtedy myślałem tylko o poprawie własnego losu. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że pragnąłem wolności w kształtowaniu własnego przeznaczenia.

Wróciłem spojrzeniem do Cecila.

— Czego, panie, ode mnie oczekujecie?

Uśmiechnął się.

— Pytanie powinno brzmieć chyba: czego ty oczekujesz? Na pewno oczekujesz zapłaty.

Wiedziałem, czego oczekuję. Nie wiedziałem natomiast, czy mogę mu zaufać, choć wiedziałem, że sytuacja jest taka, że nie mam komu ufać, poza nim. Paliło mnie od środka niewypowiedziane pytanie domagające się odpowiedzi, choć wcale nie byłem przekonany, czy tej odpowiedzi szukać powinienem. Jak on to ujął? „Prawda rzadko jest taka, jaką sobie wymarzyliśmy”... Ciekawe, czy ma rację.

— Nie musisz się decydować natychmiast — rzekł Cecil.
— Na razie mogę ci obiecać wolność od znoej harówki do końca twych dni i stałą służbę u mnie. — Wyciągnął jeden z leżących tomów. Zapadła na chwilę cisza. Potem powiedział, jakby czytał w moich myślach: — Z tego co wiem, ludzie z reguły pragną czegoś więcej niż tylko zaspokojenia potrzeb materialnych. A ty? Pragniesz czegoś ponad to?

Podniósł wzrok. Ciekaw byłem, czy widział moje wahanie. Przypomniałem sobie słowa wymienione przez lady Dudley i księżnę Suffolk. Tam gdzieś tkwiła prawda, uwikłana, nieprosta. Okazało się jednak, że nie potrafię o to zapytać. Aż do tego stopnia mu nie ufam. W końcu to przecież dla mnie obcy człowiek.

Wtedy Cecil odezwał się cicho, niemal półgłosem.

— Poczytuję sobie za obowiązek zbierać informacje o tych, z którymi krzyżują się moje losy. Ty kryjesz w sobie jakąś tajemnicę. Dbasz o to, by się z tym nie zdradzać, ale ja to widzę. A skoro ja widzę, mogą dostrzec inni. Pilnuj się, bo ktoś pewnego dnia użyje jej przeciwko tobie, gdy się tego najmniej będziesz spodziewał. — Zamilkł na chwilę.
— Oczywiście rozumiesz dobrze, że moja rola w tej sprawie musi pozostać anonimowa. Bezpieczeństwo królowej jest ważniejsze niż cokolwiek innego. Nie muszę dodawać, że masz wykonywać moje polecenia ściśle i nie zadawać pytań. Rozumiesz? Jeśli coś zmienisz na własną rękę, możesz cały

plan narazić na szwank. Nie działasz sam. Inni też podejmują trudy na rzecz ratowania Elżbiety. Musisz się nauczyć ufać nawet tym, których nie lubisz albo w ogóle nie znasz.

Nabrałem głęboko powietrza.

— Rozumiem.

— To dobrze. Na razie masz jakby nigdy nic służyć lordowi Robertowi. Miej oczy i uszy otwarte. W stosownym momencie dowiesz się, jak masz meldować o tym, czego się dowiedziałeś, a także o wszelkich zmianach planów, które cię dotyczą. — Z wziętej ze stosu księgi wyciągnął zgięty na pół arkusz. Rozłożył go. — Tu jest mapa Greenwich. Naucz się jej na pamięć. Nie jestem pewien kiedy, ale jestem przekonany, że w trakcie uroczystości weselnych Guilforda i lady Jane książę wykona pierwszy ruch. I zanim to się stanie, musimy królową stamtąd zabrać.

Skinąłem głową i pochyliłem się nad mapą, a Cecil wyjaśniał mi szczegóły zadania.

ROZDZIAŁ XI

Z budynku nad Tamizą wychodziłem otumaniony. Miejski gwar i ruch naparły na mnie ze wszystkich stron i uświadomiły, że jestem spóźniony na spotkanie z Robertem. Przyspieszyłem kroku. Cecil zapewnił mnie, że do pałacu nie jest daleko. zaproponował mi nawet, że ktoś mnie odprowadzi, ale grzecznie się wymówiłem. Nie miałem ochoty oglądać Walsinghama i jego zbirów.

Słońce rzucało na rzekę rozkołysane błyski światła. W powietrzu wisała nieznośna wilgoć. Dzień zapowiadał się parny. Rześkość poranka minęła, przekupnie i rzemieślnicy uwijali się w interesach.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale i tak naciągnąłem kapelusz głęboko na oczy. Byłem świadomy, że naszywka na rękawie zdradza moją przynależność, a nie chciałem jej zrywać. Musiałem się nauczyć kryć moją odrazę do Dudleyów, jeśli mam przekonać Roberta, że jestem nadal jego oddanym sługą.

Szpieg. Będę szpiegował dla sekretarza Cecila, by pomóc królowie Elżbiecie. Nie przypuszczałem nigdy, że przypadnie mi taka rola. Zaledwie wczoraj jechałem na końskim grzbiecie do Londynu jako nieopierzony młodzieniec, którego ambicją

było jak najlepiej wykazać się jako giermek. A dzień później wracam do pana ze zdradą w sercu. Trudno mi było pozbyć się myśli i uczucia na temat własnej dwulicowości. Pomogło mi dopiero, jak przypomniałem sobie młodą przestraszoną kobietę, stojącą samotnie w krużganku w zachlapaney winem sukni. „Czego ode mnie oczekujesz, mój mężny giermku?”

Szedłem już od dłuższej chwili zatłoczonymi uliczkami, gdy uświadomiłem sobie, że ktoś za mną idzie. Raz i drugi dostrzegłem kątem oka skradający się za mną cień i z trudem powstrzymałem chęć nagłego odwrócenia się i spojrzenia mu w twarz. Położyłem dłoń na sztylcie, który miałem za pasem. Z napiętym uśmiechem na twarzy szedłem dalej, omijając park myśliwski. Skręciłem w trakt królewski, którym dotarłem do bramy Whitehallu. Zatrzymałem się, żeby poprawić sobie kapelusz. Gdy poczułem, że cień się zbliżył, powiedziałem:

— Jakiś głupiec prosi się o nóż w brzuchu.

Odpowiedziało mi zdumione milczenie. Obejrzałem się za siebie.

— Po co mnie śledzisz? — zapytałem, a zaczerwieniony ze wstydu Sokół odparł:

— Bo... bo potrzebujesz, panie, ochrony.

— Aha. Rozumiem, że widziałeś, jak mnie napadli. — Założyłem dłonie za pas. — A dlaczego nie zawołałeś o pomoc? Albo jeszcze lepiej: dlaczego nie sprowadziłeś pomocy? Nie dość ci zapłaciłem?

— Chciałem tak zrobić — odpowiedział pośpiesznie — ale postanowiłem pójść za wami, na wypadek gdyby cię, panie, stuknęli w głowę i wrzucili do rzeki. Kiedyś wyławiałem zwłoki z rzeki dla zarobku. Masz waść szczęście, bo nie byłem sam.

— Tak? — Podniosłem wzrok, żeby rozejrzeć się po otoczeniu. — Nie byłeś sam, wyławiając zwłoki?

— Nie. — Zbliżył się do mnie i zniżył głos do szeptu. — Jeszcze ktoś cię, panie, śledzi. Widziałem, jak wychodził spomiędzy drzew w parku, jak cię stamtąd wyciągnęli. Krążył wokół domu, w którym byłeś, panie, zaglądał do okien... Ajaj! — krzyknął, bo złapałem go za kamizelkę i wrzuciłem w boczny zaułek.

Zaczął się wyrывać i wrzeszczeć. Zatkałem mu usta ręką.

— Cicho bądź, piękniśiu. Ten ktoś, kogo widziałeś, może nam wciąż deptać po piętach. Chcesz, żebyśmy obaj skończyli w rzece?

Otworzył szeroko oczy. Zdjąłem mu rękę z ust i cały czas obserwowałem wejście do zaułka.

— Wiesz, kto to jest?

Pokiwał głową i wyciągnął z kamizelki nożyk. Nie mogłem się nie uśmiechnąć. Miałem taki sam, kiedy byłem małym chłopcem. Nadaje się do obierania jabłek i polowania na wieiórki.

— Czy on ciebie zna?

— Nie. Najwyżej z widzenia. Parę dni temu był w stajni, ale nie ja mu usługiwałem. Trzyma dwa konie. Dzisiaj miał opończę z kapturem, ale go poznałem. Wychodząc ze stajni, kopnął kundla, który mu się napatoczył. Psisko machało ogonem, liczyło na pieszczotę, a dostało kopniaka. — Sokół skrzywił się. — Nienawidzę ludzi, co potrafią kopnąć psa.

— Ja też.

Zdjąłem kapelusz, otarłem pot z czoła. Tajemniczy obserwator nie próbował nas tutaj zaskoczyć, chociaż zaułek taki jak ten, kończący się ślepo, zdawał się idealnym miejscem na zasadzkę. A więc albo nie chciał się ujawniać, albo jeszcze nie był gotów zaryzykować starcia. Obie możliwości niezbyt pocieszające. Otworzyłem sakiewkę i sypnąłem monetami na dłoń Sokoła.

— Słuchaj uważnie. Nie mogę się teraz sam tym zająć, choć chciałbym. Widzę, że twoja robota w stajni nie zająć,

skoro przyszedłeś za mną tutaj, czy mógłbyś więc dowiedzieć się, gdzie ten człowiek poszedł, i nie wpakować przy tym w kłopoty?

— Całe rano się za nim skradałem. Dowiem się wszystkiego, co trzeba. Możesz mi, panie, ufać. Umiem się wszędzie wślizgnąć jak wąż.

— Wierzę. Oto jaki jest plan. — Wyjaśniłem mu szybko, po czym chwyciłem za kark, wyciągnąłem z powrotem na ulicę i odepchnąłem od siebie. — Jeśli cię jeszcze raz zobaczę, mały złodziejasku, to popamiętasz!

Sokół umknął pospiesznie. Kilku przechodniów pokiwało głowami nad tym smutnym przykładem próby kradzieży w biały dzień. Przeszukiwałem kaftan z widoczną irytacją, poprawiłem kapelusz i ruszyłem przed siebie z miną człowieka, który omal nie utracił sakiewki z ciężko zarobionym groszem.

Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem Whitehall. Na głównym dziedzińcu roiło się od służby; dyskretnie zapytałem o drogę do komnaty młodych Dudleyów.

Mimo twardego postanowienia, że będę służył królowi, i mimo że Cecil darzył mnie widocznym zaufaniem, wcale nie byłem przekonany, czy będę umiał spojrzeć lordowi Robertowi w oczy i niczym się nie zdradzić. Wprawdzie gardziłem nim, bo mnie chciał wykorzystać do swego niecznego planu, ale nie wiedziałem, czy zdołam zapobiec wykonaniu tegoż planu. Do tego dochodziła jeszcze świadomość, że ktoś mnie śledzi. Jeśli ten ktoś, kimkolwiek on jest, wyśledził, że spotkałem się z Cecilem, mogłem przypuszczać, że nie spożytkuje tego na moją korzyść. Teraz stawką było już nie tylko bezpieczeństwo Elżbiety i jej siostry, królowy Marii, ale i moje własne życie. Wszystko to zależało od tego, czy uda mi się wypełnić zadanie. Na razie powtarzałem sobie, że jedyne, co muszę zrobić teraz, to przekonać Roberta, że jego szanse nie są pogrzebane, a odmowa przyjęcia pierścienia była tylko niewieścim kaprysem. A co będzie dalej, to — jak dowio-

dfy ostatnie wydarzenia — lepiej sobie nad tym nie łamać głowy.

Zrobiłem głęboki wdech i pchnąłem drzwi komnaty, z gotową wymówką na końcu języka.

Pomieszczenie było puste. Zostały stół i goła rama od łóżka. Na stole leżały moja sakwa i płaszcz.

— Jesteś nareszcie — rozległ się głos za moimi plecami.

Obróciłem się błyskawicznie. Strojny w szkarłaty, w pludrach z rozcięciami, tak krótkich, żeby pokazać jak najwięcej muskularnych ud w rajtuzach i uwydatnić wystający zdobiony sączek, do komnaty wkroczył lord Robert Dudley. Skłoniłem się nisko.

— Wybacz mi, panie, spóźnienie. Zabłądziłem i...

— Nie szkodzi. — Machnął dłonią w rękawicy, rozsiewając w powietrzu mocny zapach piżma. — Twoja pierwsza noc na dworze, pod dostatkiem wina i jadła, dziewczki... rozumiem, że nie mogłeś się oprzeć.

Uśmiechnął się porozumiewawczo, ukazując zdrowe zęby. Nie był to miły uśmiech, niemniej jednak pociągający. Choć z wielką niechęcią, musiałem przyznać, że rozumiałem, dlaczego miał powodzenie u kobiet. Uśmiech wskazywał też, co przyjąłem z ulgą, że nie był skłonny mnie karać.

Uniósł brwi.

— Spóźniłeś się, więc nie znasz dobrych wiadomości.

— Wasza łaskawość, jakie to wieści? — Oczywiście! Dlatego był taki zadowolony z siebie. Miał dobre wieści.

Ciemne oczy błyszczały.

— Dobrze — powtórzył. — Dowiedziałem się od ojca, że jej wysokość królowa Elżbieta postanowiła zostać na uroczystości ślubne Guilforda. Najwyraźniej nie chce się ode mnie oddalać. I to wszystko twoja zasługa. — Zarechotał i położył dłoń na moim ramieniu. — Kto by pomyślał, że masz taki obrotny język. Należałoby mianować cię ambasadorem i wysyłać za granicę.

Wymusiłem uśmiech.

— Rzeczywiście, mój panie, trzeba umieć rozmawiać z damą.

Łup! Rąbnął mnie w plecy.

— Wygadany jesteś, muszę przyznać, ale daleko ci do umiejętności rozmawiania z damami. Ty możesz pogadać najwyżej z portową dziewczką. Ja natomiast uderzam w konkury do księżniczki krwi królewskiej.

Naturalnie, wymyślił sobie, że królowna jedzie do Greenwich tylko dlatego, że się nim interesuje. Mam przynajmniej jakąś wiadomość dla Cecila. Robert sam powiedział, co zamierza. Z trudnością przychodziło mi patrzeć mu w twarz, bo pod godną pozazdroszczenia powierzchownością widziałem duszę łajdaka.

— Czy sądzisz, panie, że ona... — drażyłem dalej.

— Zgodzi się? — Poprawił rękawicę. — A jakżeby nie?! Może jest księżniczką, ale jest też córką Nan Boleyn. A Nan miała słabość do mężczyzn. Elżbieta będzie się ze mną droczyć, tak jak zwykła postępować jej matka. To ich metoda. Każe mi błagać, zanim uzna za godnego, tak jak uczyniła Nan z Henrykiem. Mniejsza z tym. To da mi więcej czasu na zastawienie sideł.

Znienawidziłem go do reszty w tej chwili, ogarnęła mnie ochota zetrzeć mu ten pyszałkowaty wyraz z oblicza. Nie uczyniłem tego rzecz jasna, ale z pewną przyjemnością wyjąłem pierścień z za pazuchy. Podałem mu go.

— Tuszę, panie, że masz rację, bo królowna nie chciała tego ode mnie przyjąć.

Samozadowolenie ulotniło się. Wpatrywał się w pierścień na mojej dłoni.

— Powiedziała dlaczego? — zapytał głucho.

— Powiedziała, że za dużo myślisz, panie, o sobie. Albo za mało o niej. — Nie powinienem był tego mówić. Miałem przecież podtrzymywać jego złudzenia, a nie je rozwiewać.

Nie mogłem się jednak powstrzymać. Lord Robert Dudley zasługiwał na to, aby mu trochę przytrzeć nosa.

Zacisnął szczękę. Wyglądało na to, że odepchnie moją dłoń. Ale tylko zaśmiał się krótko.

— No cóż. Odmówiła przyjęcia symbolu mych uczuć. Oczywiście! Dziewica królewskiego rodu, cnota musi być na pierwszym miejscu. To jej ulubiona rola. Niech się bawi, co mi zależy.

Słyszając lodowatą wesołość w jego głosie, poczułem ciarki na plecach. Machnął ręką, znów rozluźniony i pewny siebie.

— Zatrzymaj pierścień — rzucił wspaniałomyślnie. — Nałożę jej na palec jeszcze piękniejszy. — Poklepał mnie po ramieniu i ruszył do wyjścia. — Przebierz się i spakuj swoje rzeczy. Jedziemy do Greenwich, ale nie łodzią. Rzeka jest dla kobiet i słabeuszy. Pojedziemy konno po naszej angielskiej ziemi, jak towarzysze i przyjaciele.

Przyjaciele. Uważa mnie za przyjaciela, współnika w brudnych sprawkach. Skłoniłem się.

— Czy mógłbyś, mój panie... — poprosiłem półgłosem. Zachichotał.

— Prawda, zapomniałem. Wychodzę, przebieraj się spokojnie. Tylko nie za długo. — Zamilkł na chwilę. — Zastanawiam się, co ty jesteś taki wstydlivy — mruknął, a mnie serce załomotało. Wzruszył ramionami. — Przecież nie masz nic, czego bym nie widział.

I wymaszerował, zamykając drzwi za sobą. Poczekiałem chwilę, czy nie wróci, zrzuciłem pognieciony kaftan i buty. Stałem w koszuli i rajtuzach. Musiałem to zobaczyć. Odsunąłem górę rajtuzów. Na moim lewym biodrze rozlewało się spore brązowe przebarwienie o brzegach niczym przywiędłe płatki.

Miałem to od urodzenia. Znamiona nie są rzadkie, ale przesadni i ignoranci nazywają je „ukąszeniami diabła” lub „odciskami łap Lucyfera”. Zawsze ukrywałem je przed cie-

kawskimi oczami, zwłaszcza oczami młodych Dudleyów, którzy znęcali się nade mną przy każdej okazji. Nigdy żaden z nich nie widział mnie nago. Ochmistrzyń Alicja mawiała, że ta róża to ślad pocałunku anioła z czasów, gdy jeszcze przebywałem w łonie. Prawie w to wierzyłem. Kiedy dorosłem, przekonałem się przy okazji przygód z kobietami, jak ta dziewczyna służebna z zamku Dudleyów, która wprowadziła mnie w przyjemności cielesne, że nie wszyscy zwracają na to taką dużą uwagę.

La marque de la rose... Drgnąłem, podciągnąłem rajtuzy i sięgnąłem po skórzaną kamizelkę. Zwinąłem kaftan i wciśnąłem go do sakwy. Nie powiedziałem jeszcze o znamieniu Cecilowi, ale powiem mu. Jak tylko wypełnię zadanie, poproszę go, żeby mi pomógł odkryć tajemnicę mojego urodzenia niezależnie od tego, co się z tym wiąże. Na razie, jako nowy przyjaciel Roberta Dudleya, jestem na dobrej drodze. Przyjacielowi się ufa, polega na nim, zwierza mu; przyjaciel to ktoś, do kogo zwracamy się w potrzebie. Gdziekolwiek Robert się uda, jego nowy przyjaciel podąży za nim jak cień.

Nie miałem wątpliwości, że cień, który podążał za mną, nie pozostanie daleko z tyłu.

GREENWICH

ROZDZIAŁ XII

Pałac w Greenwich ukazał swoje niezliczone wieżyczki i strome dachy kryte błękitnawym łupkiem. Wznosił się nad szeroko tu rozlaną Tamizą. Ze wzgórza, na którym zatrzymaliśmy się z Robertem, żeby dać chwilę wytchnienia rumakom, pałac przedstawiał wdzięczniejszy widok niż przytłaczający ogromem Whitehall. Trudno było sobie wyobrazić, że mogło się tu czaić zło. Cecil był jednak przekonany, że księżę właśnie tutaj, w Greenwich, przetrzymuje króla i tutaj będzie chciał rozprawić się z Elżbietą.

— Ona się urodziła w Greenwich — powiedział Robert, przerywając moje rozmyślania. — Siódmego dnia września w roku Pańskim tysiąc pięćset trzydziestym trzecim. — Zachichotał. — To był czas! Król Henryk niepokoił się od miesięcy, chodził, martwił się, ściał parę głów i zapewniał wszystkich dookoła, że jego ukochana królowa urodzi mu syna. Ale gdy Anna Boleyn legła w połogu, okazało się, że płacząca istota, którą wydała na świat, jest jedynie, jak to sam Henryk określił, „bezwartościową córką”.

Spojrzałem na niego.

— Piękne miejsce, panie. Królowa musi się cieszyć, że się w takim miejscu urodziła.

— Tak. Królowa Anna wymogła, żeby już jako dziecko Elżbieta miała tu własną komnatę. Anna chciała mieć córkę blisko siebie, niezależnie od uczuć Henryka. — Robert wyprostował się w siodle. — Ciekaw jestem, czy ona już tu jest. Pasowałoby do niej, gdyby nam kazała na siebie czekać.

Miałem nadzieję, że tak będzie. Im później się pojawi, tym więcej czasu będę miał na zorientowanie się w sytuacji. Cecil mówił, że Edward najpewniej mieszka w samym pałacu, być może w tak zwanych Tajnych Komnatach, położonych w oddzielnym skrzydle, połączonych długim kruzgankiem. Wszystkie informacje, jakie zdobędę o miejscu przebywania króla, pomogą Cecilowi w rozszyfrowaniu planów księcia. Musiałem też jakoś porozumieć się z Sokołem i dowiedzieć od niego, kto mnie śledził i dlaczego.

— Ruszajmy! — zawołał Robert. — Kto dotrze drugi, będzie musiał karmić konie.

Z radosnym śmiechem spiął wierzchowca do galopu. Mój Cynober skoczył przed siebie, gdy go lekko ścisnąłem piętami. Wyczuł okazję do popisania się sprawnością. Przyzwyczajony do codziennych długich przejażdżek po okolicach zamku Dudleyów, nie lubił spędzać wielu godzin w stajni. Pędziliśmy z wiatrem w zawody, poddałem się przyjemności przypominającej mi dni, gdy jako chłopak jeździłem po polach na oklep, czując się beztrosko, przynajmniej na chwilę.

Pałac wyrósł przede mną fasadą z czerwonych cegieł, z białymi rzeźbionymi ozdobami, ośmiokątnymi kominami, z których unosił się dym, i wypielegnowanym ogrodem woniejącym kwiatami i ziołami. Machając niecierpliwie ręką, Robert, nie zsiadłszy z konia, przeciskał się przez tłum skupiony przed główną bramą. Minęliśmy strażę i znaleźliśmy się na brukowanym dziedzińcu, wokół którego wznosiły się budowle pomalowane na zieleń i biel, barwy Tudorów.

Masztalerze prowadzili spienione wierzchowce do stajni. Przybywający w skórzanych płaszczach szlachcice ścigali rękawiczki i wchodzili do wnętrza pałacu.

Robert zeskoczył z siodła. Zdejmując sakwy, powiedział:

— Wygrałem zakład. Ty zajmujesz się końmi. Moja komnata jest w wewnętrznym pałacu. Idź tam, jak skończysz, i czekaj na mnie. Ja muszę spotkać się z ojcem.

Odszedł energicznym krokiem, zostawiając mnie ze zdyszczanymi końmi. Nie wiedział, że po drodze wstrzymywałem ochoczego Cynobra, żebym został z tyłu.

Zaprowadziłem konie do stajni. Chłopcy stajenni uwijali się, rozlokowywali rumaki najróżniejszej maści, rozkulbaczali je, szczotkowali, sypali w żłoby owies i siano. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Rozpoznałem Barbarę, szczupłego ogiera księcia w boksie oddalonym od pozostałych, przy bramie do rozległego parku myśliwskiego. Umieściłem nasze konie obok. Northumberland, tak jak jego syn, gardził podróżowaniem drogą wodną. Nie dziwiło mnie to. Sam nie przepadałem za płynącą wodą, bałem się jej od dziecka i tego lęku do końca nie przezwyciężyłem.

Cmoknąłem na Barbarę, który zastrzygł uszami. Przywiązałem obok niego nasze wierzchowce.

— Najedz się i wypocznij — powiedziałem do Cynobra.
— Nie wiadomo, co nas czeka.

Trącił mnie chrapami, wdzięczny za przejazdzkę.

Pojawił się stajenny w liberii.

— Potrzebna pasza?

Skinałem głową i sięgnąłem do kamizelki po monety.

— Proszę je nakarmić i... — zamilkłem. Wytrzeszczyłem oczy. — Skąd, na miłość boską, wytrzasnąłeś ten zielony ku-brak? Ukradłeś?

Sokół wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Pożyczyłem. Ci stajenni z Greenwich są bardzo przepukni. Za błysk złota oddadzą ostatnią koszulę.

— Coś podobnego. — Wróciłem do koni i zniżyłem głos do szeptu. — Znalazłeś go?

Sokół podjął grę, udając, że rozkłada siano w żłobach.

— Tak. Jest tutaj.

— W pałacu?

— Tak. Gdyśmy się rozstali, poszedłem za nim do gospody, gdzie miał zostawionego konia. Nawet nie wszedł, żeby coś wypić. Ruszył z kopyta i dołączył do taborów z zaopatrzeniem z Whitehallu, co dało mi czas, żeby wskoczyć na wóz. Jechał całą drogę obok, jakby miał się za kogoś lepszego, chociaż na wozach było pod dostatkiem piwa i śpiewów. Gdy przybyliśmy, poszedł do apartamentów królowej. Straż w bramie nie sprawdzała go. Musi być znany.

— Apartamenty królowej? — zdziwiłem się. — Przecież jego wysokość nie ma małżonki.

Sokół pokiwał głową z politowaniem.

— Tak się tylko mówi. Mieszkały tam żony starego Henryka. A zgadnij, panie, kto tam teraz został zakwaterowany? Jane Grey z matką, księżną Suffolk. Podejrzewam, że to człowiek w służbie księżny Suffolk.

Stłumiłem nagły niepokój. Księżna wysłała za mną swojego człowieka? Jeśli tak, to pewnie właśnie teraz wysłuchuje relacji o mojej przymusowej wizycie w domu Cecila.

— Jak on wygląda? Gruby czy kościsty? Rosły czy niski?

— Wyższy od ciebie, panie, ale niewiele — powiedział Sokół. — Ma szpiczastą twarz, jak łasica.

— Łasica... — Uśmiechnąłem się krzywo. — Zapamiętam to sobie. Świetna robota, Sokole. Przykro mi, ale na razie nie zwrócę ci pieniędzy, które wydałeś na ten kubrak, może później. — Zmierziłem mu włosy i już się miałem odwrócić, gdy usłyszałem jego głos:

— Nie chcę twoich pieniędzy, panie. Zawsze, kiedy mi trzeba, mogę zarobić parę groszy. Nie brak tu bogatych szlach-

ciców i dam, co chętnie zapłacą za informacje. Chcę służyć waszmości. Mam dość wywożenia gnoju ze stajni. Chętnie wstąpię do ciebie na służbę, bo dobrym byłbyś panem.

Ujęło mnie to, choć prawdę mówiąc, mógł to być z jego strony zwykły kant. Chłopak uczeplił się mnie jak rzep psiego ogona. Niezależnie od tego, jak ja sam postrzegałem położenie, w którym się znajdowałem, on mógł mieć wrażenie, że jestem nie byle kim: osobisty giermek książęcego syna, rozporządzający wypchaną sakiewką.

Ale po chwili przyszło mi do głowy, że może być zupełnie inaczej. Uśmiechnąłem się.

— Pochlebiasz mi, ale nie stać mnie na służącego.

— Dlaczego? Nie jestem kosztowny, a ty, panie, na pewno otrzymujesz sutą zapłatę. Sekretarz Cecil nie skąpi grosza swoim ludziom... Przestań, panie, przestań! — Zaczął się więc, bo złapałem go za ucho.

Rozejrzałem się po stajni. Masztalerze byli zajęci i nie zwracali na nas uwagi, a ścianki boksu zasłaniały nas częściowo. Ktoś mógł jednak nas podsłuchiwać. Przyciągnąłem Sokoła blisko.

— Nigdy ci nie mówiłem, kto mi płaci — wyszczałem. Skulił się.

— Nie mówiłeś, panie? Ja... Musiało mi się wydawać...

— Przygryzł dolną wargę. Gołym okiem było widać, jak jego giętki umysł próbuje wziąć z powietrza jakąś sensowną wymówkę. — Zabrali cię, panie, do tego domu. — Zaciął się. Przekonująco to nie brzmiało i on dobrze o tym wiedział.

Przyglądałem mu się z nieprzeniknionym, miałem nadzieję, wyrazem twarzy. Zerknął na bramę stajni. Zanim jeszcze rzucił się w jej stronę, zarejestrowałem panikę na jego twarzy. Złapałem go za kołnierz. Był silny jak na takie chuchro, ale chwyciłem go na tyle mocno, że mogłem podnieść do góry. Wymachiwał bezradnie nogami.

— Myślę, że nadszedł czas, abyś to ty mi powiedział, na czyich jesteś usługach.

— Na niczyich!

Wzmocniłem uścisk i tak, żeby widział mój gest, sięgnąłem drugą ręką po nóż.

— Nie mogę powiedzieć — wyjęczał drżąco. — Przysięgam, że mnie zabije, jak komuś powiem.

To już brzmiało lepiej. Postawiłem go na ziemi, ale przez chwilę jeszcze nie puszczałem. Trzeba mu zapisać na plus, że nie próbował uciekać.

— Jestem zawiedziony — skonstatowałem ze smutkiem. — Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

— Bo jestem! — odparł z mocnym przekonaniem w głosie. — Pomogłem ci przecież, panie! Ostrzegłem, że ktoś za tobą chodzi, i śledziłem tego człowieka księżny Suffolk aż tutaj. I nikt mi za to nie płacił.

— Ach! Czyżby? Jeśli mnie pamięć nie myli, zapłaciłem ci dobrze. Cztery razy za wiele, warto dodać.

— Rzykowałem życiem! — Dumnie wypiął pierś. — I co z tego mam? Może się myliłem. Może wcale nie byłbyś takim dobrym panem.

Zaśmiałem się chłodno.

— To Walsingham, prawda? Kazał ci podprowadzić mnie do tej ścieżki, gdzie mnie napadli. To nie tak, że przypadkiem zobaczyłeś, jak mnie porywają. Wiedziałeś o tym z góry. Czy to on wymyślił, żebyś próbował mnie okraść, gdy spałem, czy to już sam wymyśliłeś? To był właściwie świetny pomysł. Doprowadził do zawarcia znajomości.

Sokół ze spuszczoną głową szurał nogami w słomie. Okaz skruchy, ale nie dałem się nabrać.

— Potem śledziłeś mnie — ciągnąłem — i jak twierdzisz, znów przypadkiem zauważyłeś tego człowieka księżny Suffolk. Czy on naprawdę istnieje? Czy to jeszcze jeden pomysł Walsinghama?

To go poruszyło. Podniósł głowę wściekły.

— Oczywiście, że istnieje! I po co Walsingham miałyby cię oszukiwać, panie? Przecież obaj służycie Cecilowi.

— Może tak, może nie. Ale że ty mnie oszukałeś, to hańba!

— To nieprawda! — Okrzyk protestu rozniósł się po całej stajni; konie zastrzygły uszami, stajenni podnieśli głowy. Speszony Sokół zniżył głos. — Wcale cię nie oszukałem, panie — upierał się. — Nie jestem pachołkiem Walsinghama. Owszem, przyszedł i kazał mi zaprowadzić cię, panie, na tę ścieżkę. Wiedział, że zasnąłeś w sianie. Nie mam pojęcia skąd. Ale nie służę mu, on mi nie płaci. Powiedział, że mam to zrobić i już, bo popamiętam. Pomyślałem, że wpadłeś waść w nie lada kłopoty, gdy te opryszki cię wzięły, więc postanowiłem iść za wami, tak na wszelki wypadek.

— Na wszelki wypadek? Na przykład? Żeby wyłović moje zwłoki z rzeki i przywłaszczyć sobie sakiewkę?

Spojrzał na mnie złym wzrokiem.

— Na wypadek, gdybyś mnie potrzebował. Ja... lubię cię, panie.

W tym oświadczeniu mimowolnie zabrzmiała szczerość. Na jego miejscu zachowałbym się tak samo. Wiedziałem, jak to jest być przestraszonym i bezbronnym. Co więcej, Walsingham nie należał do osób, które przyjmą odmowę, zwłaszcza od małego urwisa.

— Założmy na chwilę, że ci wierzę — powiedziałem w końcu. — Nie mogę cię jednak przyjąć na służbę. Nie mam żadnego majątku, a kto wie, co się stanie, gdy ktoś inny zaproponuje ci parę groszy?

— Będę pracował za darmo, panie, żebyś się przekonał. Nie boję się niczego. Pójdę wszędzie, gdzie mnie pošlesz, do wiem wszystkiego, co będziesz chciał wiedzieć. Musisz tylko się zgodzić, panie.

Złagodziłem ton.

— Przykro mi, ale moja odpowiedź nadal brzmi „nie”. Zadanie, które mi powierzono... może być bardzo niebezpieczne. Nie mogę cię narażać.

— Narażam się całe życie. Potrafię o siebie zadbać.

— Jestem tego świadomy. Ale nie mogę do tego dopuścić.

— Dlaczego? Konieczny jest ci, panie, ktoś do pomocy. Nie uda ci się uratować królowy Elżbiety bez... — Sokół poniewczasie ugryzł się w język i odskoczył ode mnie, chowając za zadem Cynobra. Miał szczęście, że mój koń jest spokojny i nie kopie bez powodu.

Obszedłem wierzchowca.

— Skąd o tym wiesz? I nie próbuj dalej mnie okłamywać, bo pożałujesz, że się spotkaliśmy.

— Słyszałem. Pod domem sekretarza Cecila. Okno... było otwarte.

— I cały czas pod nim tkwiłeś, podsłuchując?

— Tak. Ten człowiek, który cię śledził, panie, omal mnie nie zobaczył. Skradał się za żywopłotem, w którym się schowałem. Mógłbym go dotknąć ręką.

Znieruchomiałem.

— Słyszał? Wszystko?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że nie słyszał, przynajmniej nie wszystko. Był tam za krótko. Gdy żona Cecila z synkiem wyszli do ogrodu, wystraszył się i uciekł.

— Żona Cecila z synkiem? — Przewróciłem oczami. — Ty ich znasz? Ty mały spryciarzu.

Zaśmiał się nerwowo.

— Tak! Tak, jestem sprytny. Widzisz, panie? Taki mały spryciarz bardzo ci się przyda.

— Hola, nie za szybko. Co jeszcze wiesz? Lepiej powiedz mi od razu. Nienawidzę niespodzianek.

— Nic. Przysięgam na duszę mojej matki, niech spoczywa w spokoju, kimkolwiek była.

Kimkolwiek była... Zamyśliłem się. Powinienem odesłać go do Whitehallu, z powrotem w anonimowość i życie od okazji do okazji. Tam będzie bezpieczniejszy niż ze mną. Ale wiedziałem, że tego nie zrobię. Zobaczyłem w nim siebie, dziecko, którym byłem. Zasługiwał na szansę. Miałem nadzieję, że ani on, ani ja nie będziemy mieli powodu, by tego żałować.

— Będziesz musiał zarabiać na swoje utrzymanie — rzekłem. — I słuchać mnie w każdej sprawie, bez wyjątku.

Zainscenizował niezgrabny ukłon.

— Nie trzeba ani słowa więcej, mój panie. Zrobię wszystko, panie, co rozkażesz.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

— I nie nazywaj mnie panem. Mów mi po imieniu.

Sokół uśmiechnął się tak szeroko, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Był to szczególny sposób zawierania przyjaźni, ale zawarliśmy przyjaźń tak czy owak.

ROZDZIAŁ XIII

Okazało się, że mój nowy przyjaciel doskonale zna całe Greenwich, bo był tu przy różnych okazjach i w różnych rolach, między innymi jako pomywacz. Pływał barkami, przewożąc z Londynu wierzchowce różnych właścicieli, był więc w stanie odpowiedzieć na większość moich pytań dotyczących pałacu. Poinformował mnie także, że tak jak większość rezydencji Tudorów wzniesiono go na pozostałościach dawniejszej, średniowiecznej budowli. Zapytałem go o Tajne Komnaty i jak tam można się dostać.

— Tych pomieszczeń strzegą członkowie bractwa Tajnej Izby Królewskiej — wyjaśniał mi Sokół, gdy wchodziliśmy na wewnętrzny dziedziniec. — Ich zadaniem jest pilnowanie krużganka prowadzącego do komnat królewskich i niewpuszczanie nikogo. Oczywiście można próbować ich przekupić, ale wiąże się z tym ryzyko. Członek bractwa, który zawiedzie zaufanie królewskie, traci z reguły nie tylko stanowisko, ale i głowę.

— Znasz któregokolwiek z członków tej Tajnej Izby króla Edwarda?

— Ty też znasz, Brendanie. Lord Robert jest jednym z nich.

— Miałem na myśli kogoś, komu można zaufać.

Zastanawiał się chwilę.

— Może Barnaba Fitzpatrick. To kompan króla z dzieciństwa. Czasami przychodził z Edwardem do stajni. Niewiele mówił, stał i patrzył na króla. Nie wiem jednak, czy on tu jest. Słyszałem, że większość ludzi bliskich królowi odprawiono, gdy zaniemógł. Podobno żeby nie zarazili jego wysokości jakąś chorobą. Moim zdaniem król wyglądał dobrze, póki ksiązę go nie wzięła w opiekę.

— Mój Sokole, jesteś prawdziwą kopalnią informacji. — Zdjąłem przed nim kapelusz. — Gdybyś mnie zdradził, nie miałbym żadnych szans.

Spojrzał na mnie krzywo.

— Mam znaleźć Barnabę? On może wiedzieć, jak się dostać do Tajnych Komnat, jeśli o to ci chodzi.

Obejrzałem się przez ramię. Uświadomiłem sobie, że obserwacja otoczenia weszła mi w krew.

— Mów półgłosem. Tak, to mogłoby się nam przydać. Poszukaj go, ale nic mu nie mów. Nie wiem, gdzie będę, ale...

— Znajdę cię, Brendanie. Uda mi się jak zwykle. Pałac Greenwich nie jest w końcu taki wielki.

Kiwnąłem głową.

— Powodzenia. Tylko uważaj na siebie.

Sokół zrzuci! kubrak masztalerza i pognął przez dziedzińiec. Modląc się w duchu o jego bezpieczeństwo, poszedłem w przeciwną stronę, do skrzydła zamku, gdzie mieszkali goście szlacheckiego rodu. Postanowiłem ukryć moją sakwę w słomie w głębi boksu Cynobra. Nikt jej tam nie mógł ukraść, nie ryzykując, że go mój rumak kopnie. Był łagodny, ale nie lubił, jak mu się przy żłobie kręcili obcy. Wziąłem tylko ze sobą nóż, ukryłem go w bucie. Bez bagażu mogłem się poruszać swobodnie, nie budząc zainteresowania.

W korytarzach panował spokój. Szedłem wzdłuż szeregu identycznych drzwi. Jedne były zamknięte, inne otwar-

te na oścież. Wszystkie jednakowe. Powiniennem być zapytać Roberta, która komnata jest jego, myślałem, naciskając klamki i zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Wszystkie były podobnie urządzone. W każdej wydzielono kotarą ze skóry lub spłowiałej tkaniny ciasną alkową sypialną. Niektóre miały prymitywne wygodki.

Podobnie jak w Whitehallu ściany były bielone, a drewniane podłogi niczym niepokryte. Umeblowanie było bardzo skromne i typowo użytkowe: zydeł lub ława, stół, sfatygowane łóżko lub prycza. Żaden luksus, biorąc pod uwagę, że to pałac królewski, ale przynajmniej wyglądało na to, że nie ma pcheł, pluskiew i szcurów ani tataraku na podłodze.

Wreszcie trafiłem na komnatę Roberta na końcu korytarza. Rozpoznałem ją po jego sakwach, leżących koło obitej skórą skrzyni, którą przywiózł z Whitehallu. Pochlapany błotem płaszcz do konnej jazdy zwiślał z poręczy krzesła, najwidoczniej rzucony w pośpiechu.

Najprawdopodobniej Robert poszedł zameldować się ojcu. Zastanawiałem się, co mam teraz czynić. Może powiniennem wykorzystać czas na przeszukanie jego bagażu.

Zamarłem. Usłyszałem zbliżające się kroki. Skoczyłem za kotarę, do alkowy, przykucnąłem i wstrzymując oddech, przyłożyłem oko do wygryzionej przez mole dziury w starej tkaninie.

Czekałem. W progu pojawiła się postać w płaszczu. Przez sekundę tkwiłem jak sparaliżowany, w strachu, że znalazł mnie osobnik, który mnie śledzi. Zmusiłem się, żeby wyrzeć przez dziurę, i poczułem ulgę, bo zakapturzona postać w wysokich zdartych butach była znacznie niższa ode mnie i drobniej zbudowana. Jeśli Sokół ściśle go opisał, to nie mógł być mój cień.

Postać rozejrzała się po komnacie. Potem wyciągnęła złożony kawałek pergaminu spod płaszcza i położyła go na stole, a następnie tak ustawiła cynowy lichtarz ze świecą, żeby każ-

dy, kto tu wejdzie, zobaczył kartę. Następnie, nie zwlekając, wyszła równie szybko, jak się pojawiła.

Policzyłem w myśli do dziesięciu i wyszedłem. Pergamin był przedniej jakości, najwyraźniej drogi. Moją uwagę zwróciła pieczęć: odcisnięte w wosku ozdobne E w wieńcu z winorośli. To mogła być tylko pieczęć Elżbiety. Musiałem się powstrzymać przed otwarciem listu. Wprawdzie mógł zawierać coś, co powinienem wiedzieć, coś mającego wpływ na przebieg mojej misji, ale nie mogłem przecież zwyczajnie złamać pieczęci na liście królowy do Roberta. Chyba że...

Poskrobałem krawędź pieczęci paznokciem. Wosk był jeszcze miękki. Słyszając w uszach dudnienie serca, rozłożyłem pergamin. Zawierał dwie krótkie linijki, zapisane arystokratycznym charakterem pisma, i nie do pomylenia inicjał na końcu.

Mój Panie, wygląda na to, że trzeba nam omówić niecierpiącą zwłoki sprawę. Jeśli laska, zechciej odpowiedzieć, ustalonym sposobem, i spotkajmy się dziś wieczorem, z uderzeniem godziny dwunastej, w altanie. E.

Stałem bez tchu. Szybkie kroki w korytarzu tak mnie zaskoczyły, że z trudem zdążyłem schować się ponownie.

Tym razem wszedł Robert, wciąż jeszcze w stroju do konnej jazdy, z twarzą wykrzywioną gniewem.

— Dlaczego to ja zawsze muszę wykonywać dla niego brudną robotę? — Gwałtownym ruchem ściągnął rękawice, rzucił je na bok.

Za nim wkroczyła, jak zwykle spokojna i niewzruszona, jego matka. W gardle mnie ścisnęło. Szybko przylepiłem z powrotem pieczęć na list. Lady Dudley zamknęła drzwi.

— Robercie, daj spokój. Nie jesteś już chłopcem. Nie zgadzam się na takie wybuchy. Twój ojciec prosi o posłuszeństwo, ale ja go żądam.

— Jestem posłuszny! Zawsze byłem. Nawet ożeniłem się z tą głupią panną Robsart, bo ty i ojciec uznaliście, że tak będzie dla mnie najlepiej. Robię wszystko, o co mnie prosicie.

— Uważamy cię za wzorowego syna.

Zaśmiał się gorzko.

— Wybacz, matko, ale jestem innego zdania. W moim przekonaniu wzorowych synów nie wysyła się do załatwiania głupich spraw.

— To nie jest głupia sprawa. — Mówiła z dziwną bezbarwną modulacją. — Przeciwnie, prosimy cię o to dlatego, że pokładamy wielką wiarę w twoich zdolnościach.

— Jakich zdolnościach? Jechać na łeb na szyję, żeby zatrzymać jakąś starą pannę, co każdy idiota z połową drużyny potrafi załatwić. Przecież ona nie będzie się bronić. Idę o zakład, że przy niej nie zostało więcej niż tuzin służby, a może i to nie.

— No tak. — Ton lady Dudley wrócił do zwykłej dla niej chłodnej surowości. — Ale ta stara panna może stać się naszą zgubą. — Wbiła w niego wzrok. — Maria zażądała pełnego sprawozdania o stanie zdrowia jej królewskiego brata. Zagroziła, że w przeciwnym razie weźmie sprawy we własne ręce. Nie muszę ci mówić, że z tego wynika, iż ktoś stąd przekazuje jej informacje o tym, co się dzieje na dworze.

— Nie wątpię. Głupia nie jest. W kraju jest ciągle dosyć papistów, którzy jej dobrze życzą.

— Właśnie — odparła lady Dudley — a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest pomoc któregoś z tych papistów w wydostaniu jej z kraju, żeby się zdała na łaskę swojego kuzyna cesarza. Marię należy schwytać i uciszyć, a ty jesteś jedyną osobą, którą możemy posłać. Ani jeden z twoich braci nie ma odpowiedniego wykształcenia. Jesteś zahartowany w bitwie, umiesz dowodzić ludźmi, słuchają cię. Żołnierze nie będą sprzeciwiać się twoim rozkazom, gdy trzeba będzie ją uwięzić.

Zacisnąłem zęby. Rozmawiali o królownie Marii, starszej siostrze króla. Wspomniałem, co o niej mówił Cecil, o jej niezachwianym trwaniu w wierze katolickiej i o tym, że groziła księciu. Wetknąłem pismo za pazuchę, przysunąłem ucho bliżej kotary. Przechodziłem właśnie prawdziwy chrzest bojowy w czynności, którą Cecil uznał za podstawową tradycję dworskiego życia. Jak mnie nakryją, nie wyjdę stąd żywy.

— Wszystko to rozumiem. — Robert przecesał palcami splecione włosy; przypominał w tym geście niepewnego młodzieńca, targanego sprzecznymi popędami. — Wiem, jak wiele możemy stracić. Ale ojciec i ja uzgodniliśmy, że na razie Maria nie stanowi dla nas bezpośredniego zagrożenia. Nie ma wojska, nie popierającej jej możne rody, brak jej pieniędzy. Nawet jeśli coś podejrzewa, w żaden sposób nie może wpłynąć na rozwój wydarzeń. Natomiast Elżbieta jest tutaj, w Greenwich. A ona to twarda sztuka. Wiem, że zrozumie, jakie korzyści płyną z naszej propozycji. Gdy już się zgodzi, zostanie jeszcze dość czasu, żeby poradzić sobie z jej wścibską siostrą.

Ani drgnąłem. Bałem się nawet oddychać. Czekałem na odpowiedź lady Dudley.

— Mój synu — powiedziała, a głos jej zadrżał delikatnie, znamionując uczucie, które stłumiła w obawie, że mu ulegnie. — Twój ojciec nie zwierza mi się ze wszystkiego. Ale wiem, że walczy z ogromnymi przeciwnościami. Kieruje sprawami królestwa, odkąd lord protektor Seymour stanął na szafocie, i wcale nie przysparza mu to sympatii. Kiedyś uważano go za prawą rękę lorda protektora, dziś postrzegają go jako rękę, które ścięła głowę swojemu panu. Chociaż zgadzam się, że twoja propozycja jest dobra, musimy wciąż zmagać się z Suffolkami i radą królewską. Na razie zadają tylko pytania. Ale wkrótce będą żądać odpowiedzi.

— Gdy będziemy mieli Elżbietę po naszej stronie, odpowiemy im. To właśnie starałem się wytłumaczyć ojcu, ale on

nie chciał mnie słuchać. Od niej zależy wszystko. Ona uzyska dla nas wszystko, czego nam trzeba.

— Jesteś niecierpliwy — upomniała go. — Bez zgody rady królewskiej nie możemy mieć nadziei na unieważnienie twojego małżeństwa z Amy Robsart. A póki nie jesteś wolny, nie możesz liczyć na nic więcej niż przyjaźń z Elżbietą Tudor.

Robertowi krew odpłynęła z twarzy.

— Ojciec mi przyrzekł — wysyczał wściekłym szeptem. — Obiecał mi, że ani Suffolkanie, ani rada nie staną nam na drodze. Unieważnienie małżeństwa to żaden problem, zmusi ich do podpisania, choćby pod groźbą miecza.

— Okoliczności się zmieniły — westchnęła lady Dudley. — Ojciec w obecnej sytuacji nie może zmuszać ich do dalszych ustępstw. Stawka jest zbyt wysoka. Elżbieta nie powinna była przyjeżdżać do Londynu. Jej przyjazd sprawił, że grunt pali się nam pod nogami. Jeśli przyjdzie jej do głowy zwrócić się do rady, by dopuścili ją do brata, albo uchowaj Boże, zażąda tego od nas publicznie... — Zamilkła, a niedopowiedziane konsekwencje tej możliwości zawisły w powietrzu między nimi. — Twój ojciec potrzebuje czasu, Robercie — dodała. — Skoro uznał, że teraz lepiej do niej nie uderzać w konkury, musisz zaufać jego ocenie sytuacji. Nigdy niczego nie robi bez powodu.

Gdy to mówiła, podniosła oczy i spoglądała przez moment przed siebie, w stronę alkowy za plecami Roberta. Jej spojrzenie zmroziło mi krew w żyłach, tyle zobaczyłem w nim skrywanej podłości. Podobnie patrzyła, gdy przyprowadziła mnie do księżny Suffolk. Zrozumiałem teraz w lot, że łże Robertowi prosto w oczy. Okłamuje własnego syna.

— On ciebie nie traktuje gorzej — ciągnęła już łagodniej. — Po prostu uważa, że Marią należy zająć się najpierw. Nie da się przewidzieć, co ona zrobi. Mówisz, że nie ma pieniędzy ani popleczników, ale ktoś z dworu dostarcza jej na bieżąco informacji, a ambasador Hiszpanii znajdzie dla niej pieniądze,

gdyby były potrzebne. Nasze położenie jest bardzo niepewne. Trzeba się jej pozbyć, zanim narobi nieodwracalnych szkód.

Poczułem ucisk w żołądku. Dlaczego ona miesza kłamstwo z prawdą? Dlaczego chce Roberta wysłać jak najdalej stąd, od Elżbiety? Jaką widzi korzyść w nieobecności swojego najzdolniejszego syna, tego, który ma z Elżbietą dobre stosunki, właśnie teraz, w niepewnym momencie dla całej rodziny?

Robert wpatrywał się w matkę, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Jasne było, że i on wyczuł zdradę i stara się pozbierać myśli. Jego wahanie wisiało między nimi jak ostrze miecza. Po chwili Robert zachichotał szyderczo.

— Jedyna szkoda, jaką może wyrządzić Maria, to szkoda, jaką może sobie wyrządzić sama. Powinna była wyjść za mąż wiele lat temu, za jakiegoś luteranina, który by wybił jej z tej upartej głowy katolickie sympatie.

— Może i tak — odparła lady Dudley — ale musisz przyznać, że wciąż jest dla nas przeszkodą. Jeździ swobodnie po kraju i zdobywa sympatię ludu. Motłoch lubi stanąć po stronie przegrywających. Spalibyśmy spokojniej, wiedząc, że ona siedzi w Tower. Dzień czy dwa w siodle, parę godzin przykrości i sprawa załatwiona. Będziesz mógł wrócić na dwór, do Elżbiety. Ona może poczekać, nic się jej nie stanie.

Obserwowałem sprzeczne uczucia odbijające się na twarzy Roberta, gdy słuchał przemowy matki, i nie byłem zaskoczony, gdy w końcu pokiwał głową, choć smętnie, i mruknął:

— Oczywiście, że tak. Jest uparta jak muł, tak jak i jej siostra. Będzie tu tkwiła, póki nie uzyska odpowiedzi na wszystkie pytania. Skoro muszę doprowadzić Marię do Tower po to, by ta głupia rada królewska poszła po rozum do głowy, to tak zrobię. Sprowadzę ją do Londynu zakutą w łańcuchy.

Lady Dudley przechyliła głowę.

— Miło mi to słyszeć. Powiem twojemu ojcu. On teraz radzi z lordem Arundelem. Dadzą ci oczywiście ludzi godnych zaufania. Gdy wszystko będzie gotowe, powiadomimy cię bez

zwłoki. Odpocznij trochę teraz, wyglądasz na zmęczonego. — Położyła mu dłoń na policzku. Nie było w tym geście czułości, choć pewnie miała być. — Jesteś naszym najzdolniejszym dzieckiem — wymruczała. — Cierpliwości. Twój czas jeszcze nadejdzie. — Po czym odwróciła się i z szelestem spódnicy wyszła z komnaty.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Robert chwycił jeden z lichtarzy i rzucił nim o ścianę. Prysnał odłupany tynk. W panującej ciszy jego ciężki oddech brzmiał jak dyszenie zaszczutej bestii.

Zwalczyłem ucisk w brzuchu, zmierzwiłem sobie szybko włosy, rozluźniłem sznurowanie kamizelki i mrugając niczym świeżo obudzony, wynurzyłem się zza kotary. Robert okręcił się w moją stronę.

— Ty? Byłeś tu? Słyszałeś...?

— Biorąc pod uwagę sytuację, wasza łaskawość, pomyślałem, że najlepiej będzie, jak pozostanę w ukryciu.

Zmrużył oczy.

— Niech cię diabli wezmą, ty wścibski psie.

Spuściłem wzrok.

— Wybacz mi, panie, byłem taki zmęczony. Tyle tego wina wczorajszej nocy, potem cały dzień w siodle... Zasnąłem na łóżku waszej łaskawości. Błagam o wybaczenie. To się już nie powtórzy.

Obrzucił mnie spojrzeniem. Potem podszedł do mnie i uderzył mnie mocno w twarz. Zachwiałem się. Przyglądał mi się badawczo dłuższą chwilę. Potem rzekł:

— Spałeś, powiadasz? Naucz się wstrzemięźliwości w pićciu. — I tyle. Znów zamilkł.

Wstrzymywałem oddech. Gęba mnie bolała. Moja wymówka nie była może najbardziej przekonująca, ale można ją było wziąć za dobrą monetę. Oszczędzała mu zawstydzenia. Mógł też w swej arogancji uwierzyć, że nie rozumiałem, o czym była mowa. Przecież nigdy nie oceniał wysoko mojej inteligencji,

a ja nigdy nie okazywałem, że mam inne ambicje, niż być sługą rodziny. Istniała jednak możliwość, że uzna, iż za dużo się dowiedziałem, i zabije mnie przy najbliższej okazji. Mogłem się tylko modlić, żeby uważał mnie za psa, co to nigdy nie odważy się ukąsić ręki, która go karmi.

Z ulgą zobaczyłem, że Robert kopnął lichtarz na bok i podszedł do stołu.

— Do diabła z moim ojcem. Teraz właśnie, kiedy jestem tak blisko. Zaczynam myśleć, że on celowo chce mi pokrzyżować plany. Za pierwszym razem wysłał mnie do Tower z jakimś głupstwem, gdy ją zaprasza na dwór. Teraz znowu znalazł powód, aby opóźnić spełnienie obietnicy.

Wydałem współczujący pomruk, starając się równocześnie poukładać sobie w głowie to, co usłyszałem. Po pierwsze, wygląda na to, że w tak wychwalanej jedności rodziny Dudleyów pojawiły się rysy. Lady Dudley przyznała, że mąż już się jej nie zwierza, choć zawsze traktował ją jak opokę. Księżę musi mieć jakieś plany związane z Elżbietą, w których nie ma miejsca dla Roberta, mimo że syn wspomina o jakichś ojcowskich obietnicach. Mogłem zaryzykować, że zgadnę, na czym ta obietnica polegała. Co więcej, lady Dudley wspomniała o Suffolkach, nowych teściach Guilforda. Czyżby, jako spokrewnieni z rodziną królewską, sprzeciwiali się związkowi z Dudleyami? Ciotecznym dziadkiem Jane Grey był Henryk VIII. W jej żyłach płynęła krew Tudorów przez matkę, córkę młodszej siostry króla Henryka. To mogło wyjaśniać, czemu księżę wysłał Roberta po Marię. Umieszczenie następczyni tronu w Tower rozproszyłoby obiekcje Suffolków. A może te machinacje są jeszcze bardziej złowrogie, niż mi się wydaje?

Miałem ochotę dowiedzieć się czegoś więcej, zwłaszcza o Suffolkach. Oni odgrywali tu ważną rolę. Przede wszystkim księżna. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym znał jej intencje. Od tego zależało bezpieczeństwo zarówno Elżbiety, jak i moje. Niestety, jako głupkowaty sługa, który niczego

nie słyszał, nie mogłem dopytać się u Roberta o szczegóły. W końcu zaryzykowałem lekko:

— Inicjatywie waszej łaskawości wypada tylko przyklasnąć.

Była to mizerna przynęta, ale jak to bywa z ludźmi rozżalonymi na los, Robert się na nią złapał.

— Oczywiście, że tak. Ale mój ojciec jest innego zdania. A mojej matce, Bóg mi świadkiem, zawsze zależało tylko i wyłącznie na Guilfordzie. Gdyby miała wybierać, oddałaby nas wszystkich za niego jednego.

Tego nie mogłem przegapić.

— Matki ponoć kochają wszystkie dzieci jednakowo.

— A twoja? — odparł. — Gdy cię zostawiła, byś zmarniał w tej budzie przy naszym zamku?

Pytanie było retoryczne, nie wymagało odpowiedzi. Czekałem w milczeniu, aż się wygada.

— Zależy jej na mnie tyle co nic. Guilford był jej oczkiem w głowie, bo on daje sobą kierować. Poruszyła niebo i ziemię, żeby go ożenić z Jane Grey. Ojciec mówił, że matka Jane nie chciała się zgodzić, powołując się na to, że w żyłach jej córki płynie królewska krew, a my to parweniusze, zawdzięczający karierę wyłącznie królewskim względom. Ale jakoś udało się matce księżnę przekonać. Znając moją matkę, pewnie przyłożyła tej starej wiedźmie nóż do gardła.

Wstrząsnęły mną te słowa. Nóż na gardle księżny... Nagle wydało mi się, że zostałem wciągnięty w jakąś mroczną, splątaną sieć, bez szans wydostania się z niej. Robert ściągnął kaftan, rzucił go na ławę.

— Do licha z nią! Do licha z nimi wszystkimi. Mam swoje własne plany i nie zarzucę ich, bo ona mi mówi, że tak trzeba. Niech sama sobie szuka Marii, jeśli uważa, że ta papistka jest groźna. Nie jestem ich lokajem, żeby mi gadali, co mam robić. — Rozejrzał się po komnacie. — Jest coś do picia w tej zakazanej dziurze?

— Przyniosę wina, panie.

Ruszyłem do drzwi. Nie miałem pojęcia, gdzie szukać, ale przynajmniej zyskałbym trochę czasu na pozbieranie myśli. Robert mnie powstrzymał.

— Nie, do licha z winem. Pomóż mi się rozebrać. Nie będę się otumaniał winem. Muszę coś wymyślić, żeby się zobaczyć z Elżbietą, czy ojcu się to podoba, czy nie. Spotkam się z nią, otrzymam jej zgodę, a jak już ona się zgodzi, to oni będą musieli. Nie będą mieli wyjścia.

Pomogłem Robertowi zdjąć pludry, koszulę, buty. Z jego sakwy wyciągnąłem płócienną chustę i wytarłem go z potu.

— Ani się obejrzą, jak będzie po wszystkim — prawili dalej. — Ależ będą mieli miny, gdy im powiem. Guilford i matka, zwłaszcza ona. — Ryknął śmiechem, a ja tymczasem rozwiązałem rzemienie i ściągnąłem mu rajtuzy. — No i co? Nic nie mówisz?

Poskładałem jego garderobę i ułożyłem na skrzyni, po czym odrzekłem:

— Jestem kontent, służąc waszej łaskawości najlepiej, jak umiem.

Roześmiał się.

— Brawura, Prescott! Brawury trzeba, żeby przetrwać w tej kloace zwanej życiem. Ale skąd ty to możesz wiedzieć. — Nagi przeszedł do alkowy. — Masz wolne popołudnie. Tylko wróć na czas, żeby mnie ubrać na wieczór. Tym razem nie pobłądź. Muszę wyglądać nienagannie.

— Jak rozkażesz, panie. — Pod wpływem nagłego impulsu sięgnąłem za pazuchę. Niech się dzieje, co chce. Lepiej, żeby posłaniec nie wrócił tu z pytaniem, dlaczego lord Robert nie odpowiedział na list. — Znalazłem to na stole, jak wszedłem. — Wyciągnąłem zapieczętowany pergamin. — Proszę o wybaczenie. Zapomniałem o tym.

Robert wyrwał mi pismo z ręki.

— Chwat z ciebie! Szczęście, że matka tego nie widziała. Jak to się dobrze złożyło, że uciałeś sobie drzemkę. — Rozerwawszy pieczęć, zrobił tryumfalną minę. — A co ci mówiłem? Ona mi się nie oprze! Píše, że chce się ze mną spotkać. I to w tej starej altanie. Ach, ta Bess. Uwielbia czarny humor. Podobno jej matka ostatni wieczór przed uwięzieniem spędziła właśnie w tej altanie, czekając na Henryka.

— A zatem to dobra wiadomość? — Poczujęm w ustach gorzki smak.

— Dobra wiadomość? Najlepsza na świecie. Nie stój jak ciele. Wyciągnij z sakwy przybory do pisania. Muszę jej odpowiedzieć, zanim zmieni zdanie.

Nagryzmolił odpowiedź, osuszył inkaust piaskiem, złożył kartę i przypieczętował sygnetem.

— Doręcz to jej. Przyjechała godzinę temu, zażądała apartamentów z widokiem na ogród. Idź korytarzem na mały dziedziniec, znajdź schody i wejdź nimi na górny krużganek. Oczywiście nie dopuszczą cię przed jej oblicze. Teraz na pewno ucina sobie popołudniową drzemkę, jak ma w zwyczaju. Oddasz to którejś z jej dam, na przykład tej ślicznotce Kate Stafford, która jest jej zausznicą. — Zarechotał. — Tylko pod żadnym pozorem nie oddawaj tego temu potworowi Ashley. Ona mnie nienawidzi jak diabła wcielonego.

Wsunałem pismo za pazuchę.

— Postaram się, wasza łaskawość.

Uśmiechnął się cynicznie.

— Postaraj. Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce będziesz giemkiem następcy tronu Anglii.

ROZDZIAŁ XIV

Wyszędłszy z komnaty, pobiegłem korytarzem, skręciłem za róg i przyjrzałem się pieczęci na liście lorda Roberta. Zakląłem pod nosem. Wosk był za miękki. Zniszczę pieczęć, jeśli będę próbował ją zdjąć. Ruszyłem w stronę dziedzińca, z nadzieją że za chwilę wosk nieco stężeje i uda mi się zajrzeć do listu.

Nie działać pochopnie, przestrzegłem sam siebie. Cokolwiek uczynię, może się to obrócić przeciwko mnie. Ale nie mogę przecież doręczyć odpowiedzi Roberta i zwyczajnie czekać na rozwój wypadków. Polowanie się zaczęło. Jeśli moje domysły są słuszne, Elżbieta będzie pierwszą z obu sióstr królewskich, która trafi do Tower, zwłaszcza że Robert dowiedział się, że ona nigdy się nie zgodzi na udział w intrydze, która opiera się na zgładzeniu obojga jej rodzeństwa. Rozpaczliwie chciałem zobaczyć się z Cecilem, ale nie miałem pojęcia, jak go znaleźć. Musiałem polegać na sobie, choć w profesji szpiega byłem wciąż złotodziobem.

Muszę ostrzec Elżbietę osobiście. A to oznacza, że muszę doręczyć list do rąk własnych.

Przeciąłem dziedziniec i znalazłem krótki korytarzyk wiodący do schodów. Zająłem się pieczęcią, próbując ją

niecokoluzować, gdy nagle kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Sparaliżowało mnie na sekundę. Potem schyliłem się i wyszarpnąłem nóż ukryty w cholewie. Przesunąłem się ku drzwiom. Były uchylone. To przez nie wślizgnęła się jakaś postać.

Pochyliłem się do przodu, ściskając w garści nóż. Oddychałem płytko przez nos, ale i tak własny oddech huczał mi w uszach. Ten, kto na mnie czekał, mógł być uzbrojony znacznie lepiej niż tylko w krótki sztylet. Może rozłupać mi czaszkę, gdy tylko przestąpię próg. A może nie chce mnie zabić? Śledził mnie po ulicach Londynu i nie zaatakował, choć wielokrotnie musiał mieć po temu okazję. Przyjechał do Greenwich prawdopodobnie właśnie za mną. Teraz kryje się w tym pomieszczeniu.

Zatrzymałem się. Krople zimnego potu wystąpiły mi na czoło. Jedna z nich spłynęła strużką na skroń, a ja się przekonałem, że nie potrafię zrobić następnego kroku i przestąpić progu. Nie byłem w stanie pchnąć drzwi na oścież.

Tchórz. Włóż tam! Staw czoło draniowi, załatw sprawę po męsku.

Wyciągnąłem rękę, palce miałem sztywne. Dotknąłem deski drzwi. Podniosłem nóż, pchnąłem skrzydło drzwi z całej siły i wskoczyłem do wnętrza.

Stał tam chudy mężczyzna w czerni.

Sapnąłem wściekle.

— Chryste! Mogłem cię zabić!

Walsingham spojrzał mi w oczy.

— Wątpię. Zamknij drzwi. Wolałbym, żeby nas nikt nie zobaczył.

Kopnięciem pięty zamknąłem drzwi. To była ostatnia osoba, której tu oczekiwałem.

Lekkie wykrzywienie warg mogło uchodzić za uśmiech.

— Przyszedłem po meldunek.

— Meldunek? Jaki meldunek?

— Dla naszego wspólnego chlebodawcy, oczywiście. Chyba że postanowiłeś zmienić front i wrócić do tych intrygantów i zdrajców, którzy cię wychowali.

Wytrzymałem jego spojrzenie.

— Nie będę odpowiadał przed tobą.

— Ach? Jestem przekonany, że będziesz. Nasz chlebodawca polecił mi dbać o twoje dobro. A to oznacza, że odpowiadasz przede mną i słuchasz moich poleceń. — Zamilkł znacząco. — A także to, że jeśli masz coś do zameldowania, to składasz raport bezpośrednio mnie.

W pustym pomieszczeniu wydawał się jeszcze wyższy i chudszy, wręcz skóra i kości. Miał trupio bladą twarz, zapadnięte oczy, czarne i matowe jak popiół, oczy kogoś, kto widział i robił rzeczy, o których mi się nawet nie śniło.

Z ociąganiem wsunąłem nóż do buta. Nie ufałem mu. Roztaczała się wokół niego aura zepsucia; brak zasad musiał być jego drugą naturą. Był pewnie zdolny zrobić wszystko, żeby tylko osiągnąć cel. Nie cofnąłby się przed niczym. Niemniej jednak był na usługach Cecila, a w moim obecnym położeniu nie miałem wyjścia, musiałem go słuchać. Oczywiście do pewnego stopnia.

Ściskając w ręku list Roberta, powiedziałem:

— Dopiero co przyjechałem. Nie mam nic do zameldowania.

— Łżesz. — Wbił we mnie spojrzenie. — Nie bawią mnie kaprysy młokosów ani nie jestem za ich najmowaniem do służby. Muszę jednak przyjąć do wiadomości, że nasz chlebodawca pokłada w tobie zaufanie, przynajmniej na razie, choć uważam, że to błąd. Dlatego zapytam jeszcze raz. Co masz do zameldowania?

Zastanawiałem się i zwlekałem na tyle długo, że szczeka zaczęła mu chodzić. Potem z ociąganiem, którego nie starałem się ukryć, otworzyłem dłoń i pokazałem mu nieco zgnieciony list Roberta.

— Mam to.

Wziął pismo. Miał kobiece ręce, miękkie i białe; bez wątpienia lodowate w dotyku. Wsunąwszy pod pieczęć długi paznokciec, odlepił ją z precyzją. Przeczytał wiadomość, złożył kartę i na powrót przykleił lepka jeszcze pieczęć.

— Idealne miejsce na rendez-vous — powiedział, oddając list. — Na uboczu, rzadko odwiedzane, a blisko tylnej bramy. Jej wysokość zna się na rzeczy.

Wyraźny ton podziwu w jego beznamiętnym na ogół głosie zaskoczył mnie.

— Zgadzasz się na to? Myślałem, że... — Zamilkłem. Co miałem powiedzieć. Poinstruowano mnie, że mam pozostać zaufanym sługą Roberta, słuchać i dowiadywać się, meldować. Jeśli będą takie polecenia, ułatwić królownie ucieczkę. Uświadomiłem sobie z przykrością, że nikt mnie nie wynajął do myślenia. Poczułem się właśnie jak smarkacz, jak głupek, marionetka, której sznurki pociąga ktoś, kogo nie widać.

Walsingham patrzył na mnie obojętnie.

— Myślałeś, że mieliśmy wiele dni na dogadywanie szczegółów naszego planu? To tylko dowodzi, że się nie nadajesz. W sprawach takich jak ta powodzenie zależy od zdolności improwizacji i inicjatywy. Doświadczony wywiadowca rozumiałby to w mig.

— Słuchaj! Nie prosiłem się do tej roboty — odparłem, z trudem opanowując furję. — Zmusiliście mnie do tego, może zapomniawszy. Ani ty, ani Cecil nie daliście mi wyboru. Gdybym się nie zgodził pomagać, to pewnie leżałbym już na dnie rzeki.

— Wybór ma się zawsze. Po prostu wybrałeś najkorzystniejszą możliwość, każdy by tak zrobił. Jeszcze jakieś zażalenia?

Znów mnie zaskoczył. Trudno mi było wyobrazić sobie kogoś, z kim mniej chętnie bym się kontaktował. Ale wycofanie się teraz zaszkodziłoby Elżbiecie.

— Słyszałem rozmowę lady Dudley z lordem Robertem.
— Starałem się przybrać rzeczowy ton. — Księżę wysłała Roberta w celu schwytania królowny Marii. Nie pozwolił mu zobaczyć się z jej wysokością Elżbietą i przedstawić jej, jak to określił mój pan, „propozycji”. Powinieneś powiedzieć Cecilowi, że księżę ma prawdopodobnie w planach jeszcze inny cel, jeśli chodzi o nią, niż ten, o którym myśleliśmy. — Zamilkłem.

Walsingham słuchał beznamiętnie.

— To zrozumiałe, że musi być coś, co chce zataić przed synem — dodałem. — Bo inaczej po co by wysyłał stąd Roberta?

Walsingham się nie odzywał.

— Słyszysz mnie? Niezależnie od tego, jakie są plany księcia, nie mogą wyjść na dobre królownie. Powiedziałeś, że powodzenie zależy od inicjatywy. To jest nasza szansa. Powinniśmy zabrać jej wysokość jak najdalej stąd, od Dudleyów, i to jak najszybciej.

Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałbym, że Walsinghama to, co mówię, nic a nic nie obchodzi. W pewnej chwili dostrzegłem jednak lekki błysk w jego oczach i niemal niezauważalne zaciśnięcie warg. To, co mówiłem, było ważne, ale on nie chciał, żebym o tym wiedział.

— Przekażę twoje spostrzeżenia — powiedział po chwili. — Tymczasem list trzeba doręczyć, bo twój pan nabierze podejrzeń. Potem wracaj do lorda Roberta. Gdy twoje usługi znów będą potrzebne, damy znać.

Wybałuszyłem na niego oczy.

— A co z jej wysokością? Nie zamierzasz jej ostrzec?

— Nie musisz się tym kłopotać. Masz wypełniać polecenia.

Z niedowierzaniem patrzyłem, jak odwraca się ku drzwiom. Wybuchnąłem:

— Jeśli ty jej nie ostrzeżesz, ja to zrobię.

Zatrzymał się, spojrzął na mnie.

— Straszysz? Jeśli tak, to pozwól, że ci przypomnę, że nie ma ludzi niezastąpionych, w tym też giermków donoszących na swoich panów.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Chwilę to trwało, ale w końcu wsunąłem list z powrotem za pazuchę. Usłyszałem głucho uderzenie u moich stóp.

— Za twoje usługi — powiedział. — I zachowaj rozsądek przy wydawaniu. Służący, którzy obnoszą się z bogactwem niewiadomego pochodzenia, kończą na dnie rzeki równie często jak nielojalni giermkowie.

I już bez słowa wyszedł. Nie miałem ochoty brać do ręki sakiewki, którą rzucił na podłogę, podniosłem ją jednak i schowałem, nie zaglądając nawet do środka.

Wyrząłem przez drzwi Walsinghama ani śladu. Skręciłem w korytarzyk wiodący do schodów.

Jeśli przedtem miałem jakieś wątpliwości, to minęły. Muszę ostrzec księżniczkę, to postanowione. Robertowi nie można ufać. Właściwie nikomu ufać nie można. Sakiewka nie była wielka, ale zawierała dość, by kupić moje milczenie. Walsingham był człowiekiem Cecila, a ja nie miałem pojęcia, co jest ostatecznym celem sekretarza. Podejrzywałem, że sprawy są znacznie bardziej skomplikowane, niż mi to przedstawiono. Trudno mi było uwierzyć, by Cecil chciał zaszkodzić królowi, ale może to Walsingham gra fałszywie? Nie mam sposobu, żeby go ominąć. Nie wiedziałem, czy Elżbieta zechce mnie przyjąć, ale jeśli będę uparty, przyjmie mnie w końcu. Nie dam jej wyboru.

Wszedłem po schodach zdeterminowany. Przede mną ciągnął się szeroki korytarz zakończony okazałymi dwuskrzydłowymi drzwiami, ozdobionymi płaskorzeźbą cherubina. Okno w głębokim wykuszu z prawej strony wychodziło na ogród. Było szeroko otwarte, wpadały przez nie podmuchy popołudniowego wiatru.

Pomiędzy mną a drzwiami w głębi stało trzech mężczyzn w dworskich aksamitach. Nie znałem ich. Nie miałem czasu im się przyjrzeć, bo gdy tylko się pojawiłem, za moimi plecami rozległ się głos:

— A ty dokąd znowu?

Obróciłem się i zobaczyłem znajomą postać. Stała przede mną i wygrażała palcem dama dworu Elżbiety, którą widziałem w Whitehallu — Kate Stafford.

— Ty gapo, czy nie mówiłam ci, że kuchnia jest w innym skrzydle? — powiedziała podniesionym głosem.

Spoglądając z bliska w jej ciekawe oczy o złocistym odcieniu, zauważyłem, że skrzą się inteligencją, skrywaną za nonszalanckim sposobem bycia. Pachniała cierpkimi jabłkami i lewkonią, aż kręciło się od tego w głowie. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy uciekać, póki nie zauważyłem jej ostrzegawczego spojrzenia.

— Pani... wasza łaskawość, proszę mi wybaczyć — wyjąkałem. — Znowu się zgubiłem.

— Zgubiłeś? — Odwróciła się z furkotem spódnic w stronę mężczyzny, który zbliżał się ku nam. — Zgubić to się może koń, ale tylko osioł wraca wciąż w to samo miejsce, do tego samego pustego żłobu. Zgadzasz się, panie Stokes?

— Zgadzam, a jakże.

Stokes był średniego wzrostu, szczupły, o twarzy zbyt chytrej, by go można nazwać przystojnym, o wydatnych kościach policzkowych i ciemnoblond włosach gładko zaczesanych do tyłu. Na palcach miał kilka pierścieni z drogimi kamieniami; z ucha zwisał mu, rzucając błyski, rubinowy kolczyk. Zwróciło to moją uwagę. Nigdy dotąd nie widziałem u mężczyzny kolczyka, choć później się dowiedziałem, że to moda panująca na kontynencie.

— Skoro już przy tym jesteśmy, czy ten pachołek zawraca ci, pani, głowę? — Mówił ospale, omdlewającym głosem. —

Czy mam mu dać nauczkę, że nadobnym kobietom nie należy przeszkadzać?

Stokes utkwiał obleśne spojrzenie w dekolcie Kate, która machnęła ręką i roześmiała się perliście.

— On miałby mi zawrócić w głowie? — zażartowała. — Wykluczone. To jest służący, który dopiero pojawił się na dworze i chyba mu się wydaje, że nasza kuchnia jest w sypialni jej wysokości.

Stokes zaśmiał się piskliwie, niemal jak kobieta.

— Może to by ją uleczyło z bólów głowy. A jeśli chodzi o naszego osła — utkwiał we mnie spojrzenie — może uda mi się go odesłać, gdzie trzeba.

Kate pochyliła się ku niemu. Chociaż była do mnie odwrócona tyłem, mogłem się domyślić, że przybrała uwodzicielską pozę.

— Szkoda twego czasu, panie, masz tu obowiązki. Pokażę chłopakowi schody. Zaraz wrócę.

— Będę czekał — rzekł Stokes. Pogładził ją palcem po szyi, co z niewiadomego powodu sprawiło mi dużą przykrość. Odwrócił się na pięcie i stukając obcasami wytwornych butów, wrócił do towarzyszy, którzy uśmiechali się porozumiewawczo.

Kate Stafford zrównała się ze mną i wyprowadziła z powrotem ku schodom. Gdy tylko zniknęliśmy mężczyznom z oczu, pociągnęła mnie we wnękę okienną. Cała jej kokieria znikła.

— Co ty wyprawiasz?!

Widząc, że skończyła z pozorami, uznałem, że mogę iść w jej ślady.

— Chciałem się zobaczyć z jej wysokością. Przynoszę ważne wieści, których powinna wysłuchać bez zwłoki.

Wyciągnęła rękę.

— Daj mi list, kimkolwiek jesteś.

— Przecież wiesz, kim jestem. — Zrobiłem pauzę. — I nie mówiłem, że mam jakiś list.

Podeszła bliżej, jej jabłkowo-kwietny zapach prowokował mnie.

— Domyśliłam się, że masz. Przecież jesteś giermkim lorda Roberta?

— Ach, więc jednak mnie pamiętasz. — Przysunąłem się do niej tak, że nasze nosy niemal się stykały. — I musisz się spodziewać odpowiedzi na list, który niedawno doręczyłaś.

Odsunęła się.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Czyżby? To nie ty byłaś niedawno w komnacie mojego pana? Jest jeszcze jakaś inna dama dworu, która pod suknią nosi zdarte wysokie buty?

Zamilkła. Uśmiechnąłem się, widząc, jak chowa zdradziecką stopę pod rąbek spódnicy.

— Byłem schowany w alkwie, za kotarą — wyjaśniłem. — A teraz muszę doręczyć odpowiedź mojego pana. — Chciałem się obrócić i iść z powrotem, ale chwyciła mnie za ramię tak mocno, że zdziwiłem się, skąd tyle siły w drobnej niewieście.

— Czyś oszalał? — syknęła. — Nie możesz się pokazywać w pobliżu Elżbiety. Przecież jesteś jego sługą. A ich spotkanie powinno pozostać w tajemnicy. — Zerknęła w stronę wejścia do korytarza, po czym znów patrzyła na mnie. — Daj mi tę jego odpowiedź. Nie martw się, oddam do rąk własnych.

Udawałem, że się zastanawiam, po czym wyjąłem pismo zza pazuchy. Gdy wyciągnęła po nie rękę, schowałem list za plecami.

— Muszę przyznać, że to jakiś cudowny zbieg okoliczności: byłaś tu właśnie w chwili, gdy przyszedłem.

Jej dłoń chwyciła powietrze. Uniosła brodę.

— O co znowu chodzi?

— Na przykład o to, że widziałem cię w Whitehallu.

— I co z tego?

— Nie wyglądałaś na zbyt przejętą swoją panią, która została sama, zrozpaczona, że nie zobaczy się z królem. Ty zaś tymczasem konferowałaś z panem Walsinghamem. Więc zanim ci oddam pismo mojego pana, poproszę o jakieś wyjaśnienia.

Przekrzywiła głowę.

— Nie ma teraz na to czasu. Trzymaj sobie ten list. I tak znam odpowiedź. — Chciała mnie wyminąć i wyjść, ale zastawiłem jej drogę.

— Nalegam.

— Mogę ich zawołać — powiedziała. — Jestem damą dworu królowej. Ci panowie będą tu za parę chwil, a to ci nic dobrego nie przyniesie.

— Możesz. Ale tego nie zrobisz. Nie chcesz, żeby ten twój adorator zobaczył, że nie pokazałaś mi od razu drogi do kuchni. — Wyprostowałem się. — Kto ci powiedział, że tu idę? Walsingham? Płaci ci? Jeśli tak jest, to jej wysokość nie ucieszy się z wiadomości, że jej zaufana dama dworu jest płatnym szpiegiem, który na nią donosi.

Wybuchnęła śmiechem, ale zaraz zatkała sobie usta ręką.

— Rzeczywiście jesteś zbyt niedoświadczony do czegoś takiego — rzekła, ścisząc głos. — Powinam ci pozwolić robić, co chcesz, i nie mówić ani słowa. Ale ponieważ zależy mi na czasie, powiem ci: Walsingham mi nie płaci. Znam go po prostu ze względu na stosunki łączące jej wysokość z sekretarzem Cecilem. A właściwie nawet go nie znam, po prostu wiem, kim jest. To płatny donosiciel, a jeśli w pogłoskach na jego temat jest ziarno prawdy, to był we Włoszech uczony profesji skrytobójcy.

— Stąd jego nienaganne maniery.

— Otóż to. — Uśmiechnęła się kwaśno. — Tak się złożyło, że stał przy mnie, gdy jej wysokość wychodziła z sali tronowej. Zapewniam cię, to była najzupełniej formalna konwersacja, wymiana uprzejmości.

— I nie podsłuchiwałaś rozmów w sali? — rzekłem oschle.

— A tak, podsłuchiwałam. Elżbieta nazywa mnie swoimi uszami. Dzięki mnie nie musi wysłuchiwać plotek, co nie lico-
wałoby z jej pozycją, Ale zanim zapytasz, powiem ci, że także starałam się usłyszeć, jak cię przedstawiano księżnie Suffolk. Byłam przekonana, że jej wysokość może się zainteresować, po co cię zaprowadzono do jej kuzynki. — Przerwała, przyglądając mi się badawczo. Nagle jej rysy złagodniały. Jej współczujące spojrzenie ujęło mnie szczerością. — Zdaje sobie sprawę, że nie masz przesłanek, aby darzyć mnie zaufaniem, ale wiedz, że nigdy jej nie zdradzę. Jej ciotka, Maria Boleyn, siostra jej matki, królowej Anny, była dobrodziejką mojej matki. Nie jesteśmy spokrewnione, ale nawet gdyby była moją krewną, nie kochałabym jej jeszcze bardziej.

— Krewni nie zawsze się kochają — odparłem, ale moje podejrzenia się rozwiały. — Właściwie częściej jest odwrotnie. — Głos mi zadrżał. Z zażenowaniem skonstatowałem, że tracę panowanie nad sobą. — Na miłość boską, ja już zupełnie nie wiem, komu wierzyć i w co.

Milczała. Potem odezwała się:

— Ufaj jej wysokości. Przecież dla niej właśnie tu jesteś, nieprawdaż? Powiedziała mi, że zaoferowałaś jej swoją pomoc, ale ona twojej oferty nie przyjęła. Czy wiesz dlaczego?

— Tak — kiwnąłem głową. — Nie chciała, żeby z jej powodu stała mi się krzywda.

Po krótkim wahaniu dałem jej list. Wsunęła go pod stan sukni.

Usłyszeliśmy zbliżające się kroki. Znieruchomiała. Nie było gdzie się schować. Wprawiając mnie w osłupienie, bez ostrzeżenia rzuciła się na mnie, wzięła moją twarz w dłonie i przycisnęła usta do moich ust. Zdołałem dostrzec postać, która przeszła energicznie korytarzem, za nią trzech mężczyzn. Nie zwrócili na nas uwagi.

Postać była znajoma, choć przez chwilę myślałem, że mi się zwidziało.

Kate przywarła do mnie ciałem. Wydyszała mi w twarz:

— Nie ruszaj się.

Posłuchałem. Odsunęła się ode mnie dopiero, gdy stuk obcasów ucichł w głębi korytarza.

— Wyszedł od niej. Muszę iść. — Zamilkła na chwilę. Na jej twarzy malowała się powaga. — Nikomu nie mów ani słowa. Nawet Cecilowi. Jeśli się wygadasz, narazisz ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż to, które już jej grozi.

Nie zwidziało mi się.

— To był książę. Był u niej. Po co? Czego chce?

— Nie wiem. Przybył chwilę przed tobą, zażądał rozmowy w cztery oczy. Ona leżała, odpoczywała. Zaprosiła go do komnaty posłuchań i wyprosiła nas wszystkich.

Nie podobało mi się to.

— Muszę z nią porozmawiać.

— Nie. To byłoby niebezpieczne. On może wrócić, ktoś cię może zobaczyć. Nie wolno nam ryzykować. To by pokrzyżowało wszelkie plany. Gdyby wszyscy wiedzieli...

— Co wiedzieli? — wybuchnąłem szeptem. — Co tu się naprawdę dzieje?

— Wszystkiego się dowiesz, jak przyjdzie pora. Teraz musisz iść.

Odwróciła się. Poszedłem za nią do wejścia w korytarz. Dotknąłem jej ramienia.

— Powiedz jej coś ode mnie. Powiedz, że zamierzają aresztować jej siostrę. Nie powinna się spotykać z moim panem. Niech stąd wyjedzie, póki nie jest za późno.

Z korytarza dobiegł dźwięczny głos:

— Kate? Kate, jesteś tam?

Zamarliśmy oboje. Kate szybko się ocknęła i wypchnęła mnie z korytarza, ale zdążyłem zobaczyć sylwetkę Elżbiety

w szerokich drzwiach. Włosy miała rozpuszczone, ręką trzymała kryzę pasowej sukni.

— Kate! — zawołała znowu, a w jej głosie usłyszałem lęk.

— Tu jestem, wasza wysokość! Idę! — odkrzyknęła Kate.

— Zaraz będę!

— Pospiesz się. Jesteś mi potrzebna. — Głos królowny drżał.

Wyszła na korytarz. Choć miałem świetną okazję, żeby teraz do niej podejść, coś mnie powstrzymało. Zapytałem Kate:

— Powiesz jej?

— Nie posłucha. — Popatrzyła mi w oczy. — Widzisz, ona go kocha. Kocha go od dawna. Nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie powstrzyma jej. — Uśmiechnęła się. — Dzielny giermku, jeśli naprawdę chcesz jej pomóc, bądź dzisiaj wieczorem przy altanie wraz ze swym panem.

Stałem osłupiały i patrzyłem, jak odchodzi. Nie mogłem uwierzyć w to, co mi powiedziała, choć to doskonale pasowało do tego, czego byłem świadkiem. To właśnie dlatego została przy dworze, choć wiadomo było, że to nie jest dla niej bezpieczne.

Kochała go! Elżbieta kochała Roberta Dudleya.

ROZDZIAŁ XV

Potrzebowałem czasu, żeby uporządkować myśli i uczucia, zanim wrócę do lorda Roberta. Pałac był dziwnie cichy. Widać było tylko krzątającą się służbę. Mijane osoby nie odpowiadały na moje przywitania, gdy błądziłem nieznanym labiryntem korytarzy Greenwich. Wyglądało na to, że jedni dworzanie schronili się w swoich kwaterach, a inni poszli spacerować po ogrodach. Zagubiłem się w mrocznym świecie.

Zagłębiłem się w rozmyślaniach. Tłumaczyłem sobie, że choć Elżbieta jest córką króla, to jest przecież kobietą z krwi i kości. Ma ludzkie słabości. Nie znała Roberta tak, jak ja go znałem. Nie miała pojęcia, do jakiego stopnia jest interesowny i jaka pożera go ambicja. Sama przecież do tego mi się przyznała. Ostatniego wieczoru w Whitehallu powiedziała, że nigdy nie dał jej powodu, by go nie darzyć zaufaniem. Ale to właśnie będzie jej zguba.

Dotarłem do wielkiej sali, gdzie służba rozkładała na posadzce dywany, stawiała stoły, zawieszała jedwabne draperie nad podium, szykując się do uroczystości. Nie zwracano na mnie uwagi, jeśli ktoś nawet na mnie spojrział, to zaraz wracał do swoich zajęć. Zatrzymałem się nagle, bo olśniło mnie, co powinienem zrobić.

Po chwili znalazłem się na wysadzonej drzewami promenadzie wiodącej do ogrodu francuskiego, który ciągnął się do gliniastego wzgórza. Zapada! zmierzch, słońce wprawdzie już zaszło, ale jego promienie podbarwiały szkarłatem chmury na niebie. Zanościło się na deszcz. Wyjąłem z kieszeni miniaturową mapę Cecila, upewniłem się, gdzie jestem. Ku memu rozczarowaniu mapa nie przedstawiała szczegółowo rozkładu ogrodów, a ja musiałem się spieszyć, żeby wrócić na czas.

Niemniej jednak, jak większość pałacowych ogrodów, musiały odpowiadać ustalonemu schematowi. Szerokie aleje obsadzone strzyżonymi żywopłotami, przeznaczone do leniwych przechadzek dworzan, wiły się wokół ogrodów ziołowych i klombów z kwiatami i rozchodziły w różne strony. Wybrałem jedną z węższych alejek.

Zagrzmiało. Spadły pierwsze krople deszczu. Upchnąłem mapę w kieszeni, kapelusz naciągnąłem nisko na czoło. Rozejrzałem się wokół. W oddali błysnęło mi coś, jakby staw z jakąś kamienną budowlą pośrodku.

Serce mi zabiło mocniej. To musi być altana.

Było tam dalej, niż mi się z początku wydawało. Musiałem iść spory kawał drogi przez zagajnik, a potem dziki, zapuszczony fragment parku. Obejrzałem się za siebie, zauważyłem, że okna pałacowe rozświetlają się od zapalanych świec. Zastanawiałem się, czy Elżbieta nie wygląda właśnie teraz przez jedno z nich, rozmyślając o rozmowie z księciem. A może myśli tylko o tym, co ją czeka dziś wieczorem, o tym, co przyniesie rendez-vous z Robertem? Sam jeszcze nigdy nie byłem zakochany, ale z tego co o tym wiedziałem, kochankowie, gdy nie są razem, usychają z tęsknoty za sobą. Czy Elżbieta tęskni do Roberta Dudleya?

Żałowałem teraz, że nie wykorzystałem okazji, by powiedzieć jej o wszystkim, czego się dowiedziałem. Nie sprawiłoby mi wprawdzie żadnej przyjemności świadome zdruzgotanie romantycznych złudzeń, ale przynajmniej szłaby na dzisiaj-

sze spotkanie ostrzeżona o monarszych aspiracjach mojego pana.

Padało coraz rzęściej. Przestałem się oglądać i przyspieszyłem kroku.

Altana stała na półwyspie, woda otaczała ją z trzech stron. Prowadziły do niej wyszczerbione schody, wiodące od nieuczęszczanej ścieżki, którą przyszedłem. Kiedyś musiało tu być ślicznie, idylliczne miejsce w sam raz do flirtów, ale przez lata zaniedbań otoczenie zarosło, a samą altanę pokryły plamy mchów i porostów.

Rozglądając się wokoło, znalazłem, tak jak mówił Walsingham, starą bramę w obrośniętym bluszczem murze, tylne wyjście na drogę wiodącą przez falujące wzgórza Kentu. To mi dało do myślenia. Można tu było uwiązać konie tak, żeby nikt ich nie widział ani nie słyszał, jeśliby się im kopyta owinęło szmatami. Czyżby królowa wybrała to miejsce właśnie ze względu na bliskość ewentualnej drogi ucieczki? Taka możliwość dodała mi otuchy, ale po chwili przyszło mi do głowy, że może być zupełnie inaczej.

Może to plan Cecila? Może postanowił wykorzystać jej plan spotkania się z Robertem w tym miejscu, doskonałym, żeby ją, nawet siłą, wywieźć stąd? Sekretarzowi musiało załżeć na tym, by Elżbieta nie padła ofiarą Dudleyów. Była przecież, jak to określił, ostatnią nadzieją Anglii.

Rozwazałem wszystkie możliwości. Teraz, gdy znalazłem się sam poza pałacem, na otwartej przestrzeni, gdzie mogłem wreszcie głębiej odetchnąć, uświadomiłem sobie, że cały czas wodziono mnie za nos. Przyjąłem propozycję Cecila, doręczyłem list mojego pana, złożyłem meldunek Walsinghamowi. A przecież tych ludzi wcale nie znam. Czyżbym stał się pionkiem, jednym z wielu, które się odrzuca, gdy przestaną być potrzebne? A jeśli to jest podstęp znacznie bardziej wyrafinowany, jeśli pod warstwą kłamstw tkwi następna, głębsza warstwa? Pomyślałem, że muszę sobie przypomnieć każde

słowo, jakie mówił do mnie Cecil, znaleźć jakąś wskazówkę. Gdzieś w naszej rozmowie kryło się rozwiązanie tej zagadki. Lepiej będzie dla mnie, jeśli je znajdę.

Znieruchomiałem. Ostrze sztyletu dotknęło skóry mych pleców tuż pod żebrami. Nosowy, modulowany głos wyrzekł:

— Na twoim miejscu nie stawiałbym oporu. Zdejmuj kamizelkę.

Powoli zdjąłem ją i rzuciłem na ziemię, myśląc o mapie w kieszeni. Przez koszulę poczułem chłód ostrza.

— A teraz oddaj nóż, który masz w cholewie. Delikatnie.

Wyciągnąłem nóż z buta. Dłoń w rękawicy wysunęła się zza moich pleców i wzięła go ode mnie. Człowiek, którego głos już rozpoznałem, polecił:

— Teraz się odwróć.

Miał na sobie opończę z kapturem rzucającym głęboki cień na twarz.

— Nie godzi się zachodzić człowieka od tyłu — oświadczyłem.

Ze zniewieściałym śmiechem zrzucił kaptur. Miał twarz zbyt chytrą, by go można nazwać przystojnym, i wydatne kości policzkowe, a w uchu kolczyk. Spojrzenie jego ciemnych oczu przewiercało mnie na wylot. Dlaczego od razu się nie domyśliłem, że to człowiek, którego opisał mi Sokół? „Wyższy od ciebie, panie, ale niewiele. Ma szpiczastą twarz, jak łasica”.

— Znów się spotykamy — powiedziałem i w tej chwili z cienia wyłonił się zwalisty drab i dzielił mnie w twarz.

Wykręcił mi ręce do tyłu i poprowadził ciemną alejką w ruiny klasztoru, a potem w jakiś zatęchły od wilgoci korytarz. Ledwo widziałem drogę przed sobą, lewe oko pulsowało bólem, bolała też szczeka. Zardzewiałe żelazne skrzydła bramy zwiisały krzywo z zawiasów. Zeszliśmy po stromych schodach w następny korytarz, a potem jeszcze niżej. Korytarz, w którym się znaleźliśmy, był tak wąski, że dwóch ludzi nie

mogło iść obok siebie. Zatknięta w łuszczącym się uchwycie na ścianie skwierczała jedna pochodnia.

Powietrze cuchnęło zgnilizną. Musiałem jednak głęboko oddychać, jeśli nie chciałem poddać się strachowi. Musiałem być skupiony, obserwować otoczenie, wymyślić sposób, aby przeżyć jak najdłużej.

Staaliśmy przed solidnymi drzwiami.

— Mam nadzieję, że zakwaterowanie przypadnie ci do gustu — powiedział Stokes, wyjmując skobel. Drzwi otworzyły się. — Życzymy ci jak najlepiej.

Za drzwiami znajdowała się ciasna okrągła cela. Zbir wepchnął mnie do środka. Nierówną kamienną posadzkę pokrywał mazisty, mokry szlam. Buty mi się poślizgnęły, rozrzuconymi rękami oparłem się o przeciwną ścianę. Powietrze cuchnęło, miękka, lepka substancja na ścianach kleiła się obrzydliwie.

Stokes roześmiał się. W świetle pochodni widziałem jego pyszny strój wyłaniający się spod rozpiętego płaszcza. Rękojeść sztyletu wystawała z wysadzanej drogimi kamieniami pochwy, umocowanej w pasie srebrnym łańcuchem. Jeszcze nigdy nie widziałem u nikogo włoskiej broni. W przeciwieństwie do kolczyka w uchu nie była to tylko ozdoba.

Stokes cmoknął językiem.

— Śmiem twierdzić, że nikt cię teraz nie rozpozna, kawalerze Prescott.

Bark mnie bolał od uderzenia o ścianę. Poczułem wzbierającą wściekłość. Wyprostowałem się zaskoczony własną odwagą.

— To nie jest w porządku, ty wiesz, kim jestem, ja nie znam twojego imienia. Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

— Ale ciekawski! Nic dziwnego, że Cecil cię polubił.

Miałem nadzieję, że nie pokazałem po sobie strachu, który mnie ogarnął.

— Żadnego Cecila nie znam.

— Znasz, znasz. Zainteresował się tobą nader szybko. A z tego co wiem, nie gustuje w młodych chłopcach. Co innego Walsingham.

Rzuciłem się na niego. Stokes jednym eleganckim ruchem wyrwał sztylet z pochwy i wymierzył w moją pierś.

— Jeśli co mało prawdopodobne, nie trafię — powiedział z mrozącym krew w żyłach śmiechem — to mój człowiek za drzwiami wypatroszy cię jak prosię.

Cofnąłem się, oddychając ciężko. Co mnie napadło? Ale nie dawałem za wygraną.

— Nie byłbyś taki pewien siebie, gdybyśmy mieli równe szanse — powiedziałem.

Twarz mu pociemniała.

— Nigdy nie będziesz miał równych szans, żałosny uzurpatorze.

Uzurpator. O co mu chodzi? Przebiegł mnie dreszcz. Człowiek wynajęty przez księżną Suffolk, mój tajemniczy cień. Bez wątpienia. Ile mógł usłyszeć z mojej rozmowy z Cecilem? Jeśli dowiedział się dość, by zdemaskować sekretarza, to wszystkie plany Cecila wezmą w łeb.

— Jestem giermkim lorda Roberta Dudleya — zacząłem.
— Nie mam pojęcia, dlaczego sądzisz, że znam tego Cecila albo że sobie coś uzurpuję.

— Ach, tylko nie licz na to, że będziesz udawać niewiniątka, kiedy ona tutaj przyjdzie. To ci nic nie pomoże. Absolutnie nic. Fałszywa skromność nigdy nie robiła wrażenia na jej wysokości. Ona wie aż za dobrze, po co cię ściągnięto na dwór i dlaczego Cecil tak się tobą zainteresował. I wcale jej to nie cieszy. A ona ma temperament Tudorów, było nie było. Wkrótce się o tym przekonasz. — Wykonał teatralny gest dłonią. — Nie wydalaj się stąd.

Zamknął drzwi. Słyszałem, jak skobel na zewnątrz wraca na swoje miejsce. W celi zapanowała ciemność.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem.

ROZDZIAŁ XVI

Zamknąłem oczy, starałem się uregulować oddech. Wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku. Czerń przestała być nieprzenikniona, zarysowały się jakieś cienie. Sądząc z panującego chłodu, znajdowałem się gdzieś pod ziemią. Skądś dochodził szum wody. Czyżby rzeka?

Po omacku obszedłem celę. Nie podobało mi się tutaj. Ściany i podłogę pokrywały wilgotne glony. Nie czułem zapachu szczurów, których w pałacowych podziemiach zwykle było pełno, jak to w miejscach, gdzie łatwo o pożywienie. W jednym miejscu na ścianie, u dołu, tuż przy podłodze, był zakratowany otwór. Ukucnąłem i zajrzałem tam. To stamtąd dochodził zapach stęchlizny i bulgotanie wody. Krata była z solidnych prętów, próbowałem skrobać zaprawę, w której ją umocowano, ale była twarda.

Znajtowałem się prawdopodobnie pod ruinami starego zamku, być może w lochu pod wieżą. Ale przecież szliśmy spory kawałek drogi od stawu, więc skąd ta wilgoć? Greenwich zbudowano już po epoce wojen feudalnych. Nie miał więc murów obronnych i fosy, bo armie zbuntowanych możnowładców już nie zagrażały. Ale mokry osad i wilgoć w powietrzu wskazywały, że ta cela niedawno była zalana. Te spostrzeżenia nie złagodziły mojego lęku.

Okrążywszy pomieszczenie dwa razy, dowiedziałem się, jak się musi czuć lew w klatce. Przystąpiłem parę razy z nogi na nogę, żeby przywrócić krążenie, i znów ukucnąłem przy kracie. Ponowne oględziny potwierdziły, że nie mogę liczyć na to, że uda mi się ją wyrwać czy wyłamać ze ściany. Nawet gdyby udało mi się jakoś wydłubać zaprawę, obłuzować kratę, to bez jakiegoś drąga nie zdołałbym jej wyłamać.

Byłem w pułapce, a tymczasem w sali tronowej zaraz miały się rozpocząć uroczystości związane ze ślubem Jane Grey i Guilforda Dudleya; zbliżała się też godzina spotkania Roberta z Elżbietą.

Usiadłem. Nie potrafię powiedzieć, jak długo siedziałem, czekając nie wiadomo na co. W którymś momencie zapadłem w niespokojny sen, z którego obudziłem się zdyszany, bo wydawało mi się, że tonę w jakimś lepkiem morzu. Uświadomiłem sobie, że ten wszechobecny zapach to zapach rzeki, a równocześnie usłyszałem zbliżające się hałasy.

Wstałem z trudem, nogi miałem zeszywniałe. Jakiś zirytowany głos oznajmił:

— Bój się Boga, Stokes, to już nie miałeś gdzie tego hul-taja zamknąć?

— Wasza wysokość—zaczął tłumaczyć Stokes. Usłyszałem łoskot zasuw. — Zapewniam ją, że to było jedyne nadające się do naszych potrzeb miejsce, które udało mi się znaleźć szybko.

Drzwi się otworzyły. Blask pochodni zalał celę, oślepiając mnie. Widziałem tylko cienie w obrysie wejścia. Podniosłem dłoń, żeby osłonić oczy. Do środka wcisnęło się cielsko, wymachując laską. Znieruchomiało.

— Dajcie tu tę pochodnię!

Stokes precyzyjnie się obok cielska. Pochodnia, którą przyniósł, oświeciła coś, co z początku wyglądało mi na mastifa spowitego w purpurę, z jakimś groteskowym, usianym perłami welonem na ogromnej głowie. Zamrugałem gwałtownie,

starając się wystrzyć wzrok. Spuchnięte oko w ogóle nie dało się otworzyć.

W końcu zobaczyłem. Gniewnie przyglądała mi się Frances Brandon, księżna Suffolk.

— Jest jakiś mniejszy. To na pewno on? Nie... chyba ktoś inny. Cecil to lis. Zamieniłby rodzoną matkę, gdyby mu to było do czegoś potrzebne.

— Wasza wysokość, to on — zapewniał Stokes. — Proszę to zostawić mojemu człowiekowi. To niebezpieczne.

— Nie! Nie jestem bojaźliwym dziewczęciem. Jeśli tylko spojrzysz na mnie nie tak, jak trzeba, trzasnę go w łeb i tyle. Ty! — ryknęła w moją stronę, podnosząc solidną laskę o srebrnej rękojeści. — Chodź tu bliżej!

Podszedłem, unikając za wszelką cenę gwałtowniejszych ruchów, i zatrzymałem się w takiej odległości, by nie groził mi nagły cios laską.

— Wasza wysokość — zacząłem. — Zaszło nieporozumienie. Zapewniam, że nie mam pojęcia, w jaki sposób uchybiłem waszej wysokości.

Koniec laski chybił o cal. Zarechotała.

— Coś podobnego. On nie ma pojęcia. Słyszysz, Stokes? Nie ma pojęcia, czym uchybił.

— Słyszałem, wasza wysokość — zaświergotał Stokes. — To ci dopiero komediant!

Laska opadła z łomotem.

— Dość! — zagrzmiała księżna.

Znów podskoczyłem ze strachu; muszę to opanować, napomniałem się szybko. Błądząc po pałacu Whitehall, natknąłem się na portret Henryka VIII, podpartego pod boki dłońmi, z pierścieniami na palcach, stojącego dumnie na muskularnych rozstawionych nogach. Mając teraz przed sobą jego siostrzenicę, nie mogłem nie dostrzec podobieństwa.

— Jak się waść nazywasz? — zapytała.

Spojrzałem jej śmiało w twarz.

— Wasza wysokość raczy mi wybaczyć, ale byłem już jej przedstawiony. Jestem Brendan Prescott, giermek Roberta Dudleya.

Zdusiłem krzyk bólu. Z dziką siłą, ale precyzyjnie laska trafiła mnie od dołu w krocze. Zgiąłem się w pół i nie mogłem złapać oddechu. Jeszcze jedno uderzenie sprawiło, że opadłem na kolana. Stała nade mną.

— Tak, teraz lepiej. Masz klęczeć, gdy do ciebie mówię. Masz do czynienia z córką ukochanej siostry Henryka Ósmego, Marii z rodu Tudorów, wdowy po księciu Suffolk i wdowy po królu Francji. Okaż szacunek dla krwi królewskiej. — Dźgnęła mnie laską w żebra. — Pytam znowu: kim jesteś? — Zerknąłem na jej wykrzywione rysy. Wargi wywinęły się jej jak płatki zatrutego kwiatu. — Zabierzcie go!

Wkroczył pachołek Stokesa, wielki jak piec. Podniósł mnie, skrępował ręce. Nie miałem siły się bronić, obezwładniony uderzeniami w podbrzusze. Stokes zapytał:

— Mamy go skopać? To zwykle rozwiązuje język.

— Nie. — Nie odrywała ode mnie wzroku. — Ma zbyt wiele do stracenia, a Cecil dobrze mu zapłacił za milczenie. Nie musi mi nic mówić. Mam oczy, sama zobaczę. Pewnych rzeczy nie da się podrobić. — Wyciągnęła palec. — Rozebrać go.

Stokes oddał jej pochodnię i zerwał ze mnie koszulę.

— Ma bardzo białą skórę — zamruczał.

— Odsuń się. — Odepchnęła Stokesa na bok i przysunęła do mnie pochodnię. Próbowałem się cofnąć, ale osiłek trzymał mnie twardo. Obejrzała mnie badawczo. — Nic nie ma, żadnego znamienia — powiedziała. — To nie on. Wiedziałam. Lady Dudley mnie oszukała. Ta suka zmusiła mnie, bym za takie nic oddała szansę na tron. Bóg świadkiem, zapłaci mi za to. Jak śmiała tego swojego syna pijaka i tę moją nieszczerą córkę postawić wyżej ode mnie?

Zmroziło mnie.

— Przyjrzyjmy się dokładniej — zaproponował Stokes. — Odwróć go — rozkazał pomocnikowi.

Zbir zaczął mnie obracać. I w trakcie tego poczułem, że pludry zsuwają mi się z biodra. Zapadła cisza. Księżna wydała z siebie syk.

— Stój! — Rzuciła się do mnie z pochodnią. Krzyknąłem, bo płomień znów polizał mi skórę. — Ską... skąd to masz? — zapytała, zacinając się, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zawahałem się. Ból przeszył mi barki, bo pachołek mocniej wykręcił mi ręce.

— Jej wysokość zadała ci pytanie — rzekł Stokes. — Na twoim miejscu postarałbym się odpowiedzieć.

— Mam to od urodzenia — wyszeptąłem.

— Od urodzenia? — Podniosła twarz. Była tak blisko, że spod warstwy pudru widziałem popękane żyłki na jej nosie. — Masz to od urodzenia, powiadasz.

Pokiwałem bezradnie głową. Spojrzała mi w oczy.

— Nie wierzę ci.

Stokes zerknął.

— Wasza wysokość, to rzeczywiście wygląda jak...

— Tak, teraz jestem pewna. To nie on. To nie może być on. — Oddała Stokesowi pochodnię i chwyciła laskę. — Jeśli chcesz uratować tę swoją jasną skórę, to lepiej mi powiedz prawdę — rzekła, zaciskając dłonie na srebrnej rączce. — Kim jesteś i za co ci zapłacił Cecil?

Poczułem mdłości. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Wyśpiewać zwyczajnie wszystko, co wiem, czy udawać, że wiem coś, czego nie wiem. Co da mi większe szanse na uratowanie życia?

— Jestem znajda. Ja... Wychowano mnie u Dudleyów, a tutaj sprowadzono, abym służył lordowi Robertowi. Nic więcej nie wiem.

Brzmiało to jak kłamstwo. We własnym głosie słyszałem brzmienie głosu kogoś przyłapanego na nieprawości. Ona to oczywiście wiedziała. To dlatego byłem tutaj. Za kogokolwiek mnie uważała, przerażała to ją do tego stopnia, że kazała mnie śledzić, porwać, a jeśli nie znajdzie wyjścia z tego koszmaru, w który ją moja obecność wpędza, każe mnie zabić. Niemniej jednak zainteresowało ją to, co powiedziałem.

— Znajda? — powtórzyła po mnie. — Powiedz mi, czy naprawdę podrzucono cię na próg plebanii w pobliżu zamku Dudleyów?

Nie odrywając od niej spojrzenia, kiwnąłem głową. W gardle mnie ścisnęło.

— A czy wiesz, kto cię tam zostawił? Znasz osobę, która cię znalazła?

Przełknąłem ślinę. W głowie mi huczało, jak gdybym miał tam wzburzony ocean. Słyszałem siebie jakby z oddali:

— Nie wiem... A znalazła mnie Alice, ochmistrzyni i zielarka Dudleyów. Przygarnęła mnie.

W jej oczach zapłonął błysk.

— Zielarka? — Jej spojrzenie było ostre jak brzytwa, wwiercało się we mnie aż do trzewi. — Drobną kobietą o radosnym śmiechu?

Zacząłem się trząść. Wiedziała. Znała ochmistrzynię Alice.

— Tak — wyszeptałem.

Księżna Suffolk odskoczyła ode mnie.

— To niemożliwe. Jesteś uzurpatorem przeszkolonym przez Cecila, opłaconym przez Dudleyów. — Następne słowa wyrzucała z siebie jak wrzący potok. — Przez ciebie zmusili mnie do oddania ręki mojej córki temu ich nieudacznikowi. Przez ciebie jestem upokorzona, odebrane mi są prawa przyznane przez Boga! — Przerwała. Gdy znów zaczęła mówić, w jej głosie brzmiała przerażająca pewność. — Nie można mnie zwieść tak łatwo. Prędzej zniszczę to całe królestwo,

niż pozwolę, aby ta kobieta i ten jej zepsuty chłopak nade mną tryumfowali.

W tej właśnie chwili, wisząc tak niemal na wykręconych rękach, zrozumiałem, że wszystko się zgadza. Ponuro zgadza.

Stokes wydał z siebie wesoły świergot.

— Wasza wysokość, on rzeczywiście mówi prawdę. Nie ma pojęcia, co oni z nim robią. Nie wie, kim jest.

— To się okaże — warknęła. Uniosła laskę na wysokość mej twarzy, pstryknęła przyciskiem w rękojeści. Z końca laski wysunęło się ukryte w niej szpiczaste ostrze. W sam raz, żeby wydłubać oko. — Widzisz, jakie to ostre? Mogę to wsunąć między dwa arkusze pergaminu i nie zostawi śladu. Można tym przebić zbroję skórzaną. — Pochyliła laskę i dotknęła czubkiem mojego podbrzusza.

Usłyszałem, że Stokes chichocze. Popatrzyłem jej w oczy. Miałem tylko jedną, ostatnią szansę. Niewiedza mogła mnie uratować.

— Nie wiem, o czym wasza wysokość mówi. Przysięgam.

Na jej twarzy na moment zagościło zważpienie. Ale zaraz wróciła dzika chytrość i już wiedziałem, że mi się nie udało.

— Dobrze cię wyuczili. Rolę niewiniątka opanowałeś do perfekcji. Może i wierzysz w to, co mówisz, ale ja wiem, że cię wyszkolono, aby użyć przeciwko mnie. Cecil mógł opowiedzieć lady Dudley tę historię i zaszcześcić pomysł, że to da jej broń, która jest jej potrzebna. — Śmiech zadudnił w piersi księżny. — On jest zdolny do takich rzeczy. I jeszcze wielu innych. I ona, i on, każde z nich gra swoją chytrą grę. Policzę się z nimi tak, że tego nie przeżyją. Srogo będą załować dnia, w którym los postawił ich na mojej drodze. Nie wolno ze mnie drwić. — Uspokoiła się. Na jej twarzy pojawił się wyraz, jakiego jeszcze nie widziałem: mroczna maska, bez cienia współczucia czy litości. — A jeśli chodzi o ciebie, to wszystko jedno, kim jesteś. — Odwróciła się gwałtownie

do Stokesa. — Dość już czasu straciłam. Kiedy będzie po wszystkim?

— Gdy tylko przyjdzie przypływ. Cały dwór będzie wtedy stać w krągankach i podziwiać sztuczne ognie. — Zaśmiała się drwiąco. — Chociaż i tak nikt by nic nie zauważył. Tu od lat nikt nie zagląda. Za bardzo tu pachnie papistowską rozpustą.

Wtedy najzupełniej jasno ujrzałem wszystkie wątki splatające się w całość. Podczas gdy cały dwór zajęty będzie uroczystościami zaślubin Guilforda z Jane Grey, Robert zawiedziony, że ojciec odmawia mu prawa do królewskiej małżonki, spotka się z Elżbietą. Wprowadzony w błąd, zwiedziony, oślepiiony przemożną ambicją, będzie jej miał do zaproponowania tylko puste słowa.

Księżę nie ma zamiaru zezwolić mu na poślubienie królowej. Jego główną bronią jest Jane Grey, posłuszny pionek w jego rękach, ale pionek krwi Tudorów, małżonka potulnego najmłodszego syna. Monarchami Anglii stanie się para bezradnych młodzików, a Elżbieta i jej siostra Maria staną na szafocie.

Pachołek Stokesa zamachnął się i uderzył, a ja runąłem na posadzkę.

— Wystarczy — powiedziała księżna. — Ma to wyglądać na wypadek, chłopak zabłądził tu sam. Niepotrzebne nam rany i siniaki, wzbudziłyby podejrzenia. A ja nie chcę żadnych podejrzeń.

— Tak jest, wasza wysokość — powiedział Stokes, a ja odpełznąłem w najdalszy kąt celi. Z policzka ciekła mi krew. Zmętniętym wzrokiem widziałem, jak księżna ciężko przekracza próg.

— Wasza wysokość! — zawołałem.

Zatrzymała się.

— Ja... Chciałbym poznać powód mojej śmierci.

Obejrzała się na mnie.

— Nigdy nie miałeś żyć. Twoje istnienie to obraza dla świata.

Wyszła, powłócząc nogami; zbir za nią. Stokes ruszył w płasach za nimi. Ale zanim zamknął drzwi, rzucił:

— Nie wstrzymuj oddechu. Umrzesz szybciej, tak mi mówiono.

Drzwi się zatrzasnęły. Szczęknął żelazny skobel.

Byłem zupełnie sam w zupełnej ciemności. Zacząłem krzyczeć.

ROZDZIAŁ XVII

Krzyczałem, aż całkiem zdarłem głos. Przecież to się nie może tak skończyć. To nie do pomyślenia. Chciałem głosem rozbić te ściany w proch i pył, wygrzebać się stąd gołymi rękami. Poznałem, co czuje zwierzę prowadzone na rzeź.

Zacząłem bezmyślnie chodzić w kółko. To zdumiewające, jak bardzo zaczęły do siebie pasować wszystkie elementy. Zdumiewające i przerażające. Moje przybycie na dwór królewski musiało być z góry z premedytacją zaplanowane przez lady Dudley po to, aby zmusić księżnę, by zrzekła się swych praw kolejności dziedziczenia tronu. Skoro tak, to lady Dudley musiała wiedzieć o mnie coś szczególnego. I właśnie to, co o mnie wiedziała, skłoniło ją do zaopiekowania się mną. Kobieta, która mną pogardzała, która upokarzała mnie na każdym kroku, kazała wywozić gnój ze stajni, rozkazała mnie wychłostać, gdy chciałem przeczytać książkę — ta kobieta znała tajemnicę mojej przeszłości. *77 porte la marquise de la rose...*

Zalała mnie rozpacz. Starąłem się jej nie poddawać, tłumaczyć sobie, że to wszystko może być tylko złudzeniem, jakąś manipulacją. Ogarnięty bólem i gniewem, próbując odnaleźć sens w tym całym bezsensie, nie zwróciłem uwagi na drobne zmiany w atmosferze wokół mnie i na narastający bulgot,

który niósł zapowiedź początku końca. Wreszcie usłyszałem chłopot wody na kamiennej posadzce i poczułem, jak chłodem omywa mi stopy.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że przez zakratowany otwór w dole ściany wlewa się czarny strumień.

Skamieniałem. Strumień był coraz obfitszy, szybszy, niósł woń zgnilizny i morza, wlewał się z niepowstrzymaną siłą. Przepływ wtłaczał się kanałami do małej celi. W ciągu paru minut cała posadzka skryła się pod wodą.

Cofnąłem się do drzwi. Od tej strony nie było klamki ani dziurki od klucza. Kilkanaście rozpaczliwych kopniaków upewniło mnie, że o wyłamaniu ich nie ma nawet mowy. Strach ścisnął mi pierś. Jeśli woda z rzeki spiętrzonej przepływem morza będzie się wlewać w tym tempie, niedługo wypełni celę po strop. Jeśli nie uda mi się stąd wydostać, zginę.

Przez chwilę nie byłem w stanie się ruszyć, ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Potem rzuciłem się w przód, ku kracie szybko niknącej pod wzbierającą wodą. Działąłem instynktownie. Nachyliłem się do kraty, opierając się prądowi wody. Zebrawszy wszystkie siły, szarpałem i ciągnąłem, choć mięśnie bolały mnie z wysiłku, a podnosząca się woda sięgała mi już do pasa.

Ciągnąłem. Nic. Chwyciłem mocniej i szarpałem jeszcze raz. Pordzewiałe pręty kaleczyły mi palce.

— Rusz się — wyszeptałem. — Rusz! Rusz!

Wydając głuche trzeszczenie, krata ustąpiła. Przewróciłem się na plecy, w ostatnim momencie osłaniając rękami głowę. Zdyszany, plując szlamem, wstałem. Krata wygięła się, tworząc zębatą paszczkę. Nie ma żadnych szans, żebym się tam wcisnął.

Woda podnosiła się nadal.

Wciąż nie przyjmowałem do wiadomości, że umrę. Przebiegały mi przed oczyma sceny z mojego krótkiego życia, znów zobaczyłem gwarny Londyn, labirynt pałacu Whitehall,

twarze poznanych ludzi, także tych, co stali się architektami mojego końca. Pomyślałem o Sokole, może on jeden ze wszystkich po mnie zapłacze. I jeszcze obraz, którego nie mogłem zdzierżyć: twarz Kate Stafford, gdy mnie pocałowała. I ujrzałem też bliźniacze słońca w oczach Elżbiety.

Elżbieta.

Rozżarzona krew uderzyła mi do głowy. Czułem podnoszącą się nieubłaganie wodę, która chlupotała mi teraz na wysokości piersi. Już wyobrażałem sobie smak śmierci, szlam wypełniający mi płuca. Ostatkiem sił odwróciłem się do drzwi i zacząłem walić w ich wystającą ponad wodę część. Wyrwał mi się z gardła krzyk, niczym ryk dzikiego zwierzęcia. Nic mnie nie obchodziło, czy ktoś to słyszy, czy nie. Po prostu nie chciałem utopić się w milczeniu.

Nagle doszło mnie słabe, jak z dalekiej otchłani, wołanie.

— Brendaan!

Umilkłem, przycisnąłem ucho do drzwi, napiąłem uwagę.

— Brendan! Brendan, jesteś tam?!

— Jestem tutaj! Tutaj! — Znów jąłem walić w drzwi, obijając sobie kostki palców do krwi. — Tutaj! Jestem tutaj! — Kolana ugięły się pode mną, gdy rytmiczny chlupot czyjegoś biegu zaczął się szybko zbliżać. — Otwórzcie te drzwi! Otwórzcie!

Niewidzialne ręce chwyciły za skobel, wyszarpując go.

— Uwaga! — krzyknąłem — Tu jest woda. Cofnijcie się, zanim...

Straciłem równowagę. Popchnięty falą uderzyłem o przeciwną ścianę i osunąłem się na ziemię bezwładnie. Przestraszony głos zapytał:

— Żyjesz, waszmość?

— Jeśli ja nie żyję, to i ty jesteś martwy — mruknąłem.

Podniosły mnie czyjeś mocarne ramiona. Przede mną stały dwie osoby. Jedną z nich był Sokół. Drugą nieznany mi zu-

pełnie potężnej postury rudzielec, pryszczaty, o kanciastej szczęce.

— Co cię spotkało, Brendanie? Wyglądasz okropnie — powiedział Sokół.

— Też byś tak wyglądał, gdyby cię spotkało to co mnie. — Popatrzyłem na obcego. — Stokrotne dzięki.

Mężczyzna skinął głową. Jego dłonie przypominały wielkie piegowate bochny.

Zwróciłem się do Sokoła:

— Jak mnie znaleźliście?

— To nas naprowadziło. — Podniósł moją pogniecioną kamizelkę. — Znaleźliśmy to przy wejściu. Właśnie zaczęliśmy cię szukać, Brendanie, gdy Barnaba zobaczył jakiegoś mężczyznę, który na nasz widok uciekł.

— Tu był kiedyś klasztor franciszkanów — dodał Barnaba — ale król Henryk wyrzucił stąd wszystkich zakonników. Jest opuszczony od lat. Jeśli ktoś tu się pojawia, to nie może mieć dobrych zamiarów. Jak zobaczyłem tego człowieka, to domyśliłem się, że coś się święci.

Okryłem się kamizelką, jedyną suchą rzeczą, jaką miałem. Przemarznięty byłem do szpiku kości.

— Nie mieliśmy okazji mu się przyjrzeć — mówił Sokół z podnieceniem w głosie, bo dotarło do niego, że właśnie uratowali mi życie. — Było za ciemno, a on był ubrany w czerń. Ale Barnaba go zauważył, to on z nas dwóch ma naprawdę sokoli wzrok. A ty masz, Brendanie, szczęście. Gdybyśmy nie znaleźli tej kamizelki, nie przyszłoby nam do głowy tu zaglądać. — Zamilkł i przyglądał mi się chwilę z mieszaniną lęku i podziwu. — Komuś naprawdę musi zależeć na tym, żebyś nie żył.

— Rzeczywiście. Czy ten mężczyzna był sam, czy z kimś? — zapytałem, choć znałem odpowiedź. Wiedziałem, kto się odziewa na czarno.

Barnaba pokręcił głową.

— Był sam. Dziwne, ałe miałem wrażenie, że specjalnie zwraca na siebie uwagę, jakby chciał, abyśmy go zobaczyli. Mógł uciec inną drogą, tak że nie zauważylibyśmy go.

To mi dało do myślenia. Przeczesałem palcami włosy brudne od szlamu, po czym głęboko skłoniłem się mojemu wybawcy.

— Waszmość musisz być panem Fitzpatrickiem, przyjacielem króla Edwarda. Proszę łaskawie pozwolić, że się przedstawię. Brendan Prescott. Zawdzięczam waszmości życie.

Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Wyrósł jak dąb i był nawet przystojny mimo krostowatej cery, z falującą rudą czupryną wyłazającą na wszystkie strony spod kapelusza. Robił wrażenie. Sądząc po przemoczonym kaftanie, to on wyrwał skobel i otworzył drzwi.

Barnaba odparł rzeczowo:

— Sokół mi opowiedział, kim jesteś. Służącym Dudleya. Ale powiedział mi też, że cieszysz się życzliwością jej wysokości Elżbiety. Ona jest dla mnie jak siostra, dlatego zgodziłem się pomóc. Muszę cię jednak ostrzec, że jeśli żywisz wobec niej jakieś złe zamiary — pogroził mi ogromną pięścią — to nie chciałbym być na twoim miejscu.

Kiwnąłem głową.

— Proszę mi zaufać, żadnych złych zamiarów nie żywię. Udzieliłbym chętnie pełniejszych wyjaśnień, ale nie ma na to czasu. Niestety, musimy się pospieszyć. Ona jest w niebezpieczeństwie. — Wyciągnąłem z uchwytu skwierczącą pochodnię.

— Jego wysokość król Edward jest tutaj, w Tajnych Komnatach — komunikował mi Sokół z podnieceniem. — Barnaba mówi, że jest tu od kilku tygodni. Widzisz, Brendanie? Mówiłem, że się dowiem wszystkiego, co chcesz wiedzieć.

Nad dymiącym płomieniem pochodni zerknąłem na Barnabę. W jego spojrzeniu było twarde zdecydowanie i smu-

tek. Ruszyliśmy korytarzem, brodząc w kałużach po kostki, aż dotarliśmy do stromych schodów. Zaryzykowałem pytanie:

— Barnabo, czy jego wysokość jest bardzo ciężko chory?

Głos Barnaby zabrzmiał głucho.

— Edward umiera.

Zamilkłem. Po chwili rzekłem:

— Boleję nad tym. Boleję nie tylko nad stanem króla, ale i nad jej wysokością, która tak chciała się do niego dostać. Boję się, że już go nie zobaczy. Mogę się tylko modlić, by wzięła pod uwagę, co mam jej do powiedzenia.

— Mnie wysłucha na pewno — oznajmił Barnaba, co dodało mi otuchy. — Elżbieta, król i ja wychowywaliśmy się razem. Razem się uczyliśmy. Oboje z Elżbietą nauczyliśmy Edwarda jeździć konno. — Uśmiechnął się lekko. — Stary król Henryk śmiał się w głos, gdy przybiegali do niego nauczyciele Edwarda, zrzędząc, że należy nas ukarać za narażanie następcy tronu na niebezpieczeństwo. — Przeniósł na mnie spojrzenie swych ciemnoniebieskich oczu. Uśmiech przerodził się w grymas napięcia. — Elżbieta wie, że zawsze będę po stronie Edwarda. I wie, że zawsze, nawet teraz, mam baczenie na króla. Ona mnie posłucha, gdy jej powiem o planach księcia.

Dotarliśmy do ogrodów. Jeszcze nigdy świeże powietrze nie napawało mnie taką radością. Ponad pałacem rozbłyskały, iskrzyły się, wirowały, wybuchały fajerwerki i spadały wielobarwnym deszczem na tłum urzeczonych widzów, tłoczących się na balkonach i w oknach sali tronowej.

Poderwałem się.

— To sztuczne ognie. Szybko! Musimy się dostać do altany.

Sokół rzucił się biegiem w lewo. Altana ukazała się nam zza strzyżonych krzewów i żywopłotów. Nieruchoma woda stawu odbijała rozgrywający się na niebie spektakl, więc i altana wyglądała jak skąpiana w ogniu. Dostrzegłem samotną

postać opartą o balustradę. Druga osoba stała kilka kroków dalej i spoglądała w głąb ogrodów.

— Daj mi chwilę na rozmowę z nią w cztery oczy — rzekłem do Barnaby. — Chcę ją jakoś przygotować.

Skinął głową i obaj z Sokołem przykucnęli za krzewami, a ja poszedłem prosto przez plamy światła księżycowego i sztucznego blasku fajerwerków.

Postać przy balustradzie zwróciła się w moją stronę. Podszedłem i skłoniłem się nisko. Stojąca obok Kate wydała stłumiony okrzyk. Nie przyszło mi do głowy, że oprócz tego, że ubranie mam brudne i mokre, to jeszcze jestem posiniaczony i zakrwawiony.

Trzeba zapisać Elżbiecie na plus, że nie skomentowała mojego wyglądu, chociaż widać było, że zrobił na niej wrażenie.

— Kawalerze Prescott, wstań. — Zamilkła na chwilę. — Przyszła ci chętką na wieczorną kąpiel?

Uśmiechnąłem się.

— To był wypadek, wasza wysokość. Wygląda groźnie, ale to w sumie nic takiego.

— Dzięki Bogu. — Oczywiście błyszcząły. We włosach miała perły. Miała rozbijająco młody wygląd, poważna czarna suknia z kryzą pod szyją i koronkowymi rękawami podkreślała jej smukłą figurę. Stan napięcia zdradzały tylko dłonie, palce z licznymi pierścieniami mięły bezustannie chusteczkę. — No i cóż mi powiesz? Czy twojego pana również wypadek zatrzymuje?

— Wasza wysokość, przynoszę niestety niedobre wieści o jego królewskiej mości. Mam też wiadomość o kuzynce waszej wysokości, lady Jane. — Zamilkłem, oblizałem spierzchnięte wargi. Zdawałem sobie sprawę, że moja opowieść zabrzmiała jak wymysł, absurdalny wymysł. Nie mam jednak żadnych dowodów. Miałem też niepokojące wrażenie, że ona i tak wie, co jej powiem.

— Słucham — rzekła.

— Jego królewska mość, brat jej wysokości, umiera — powiedziałem cicho. — Księżę utrzymuje jego stan w tajemnicy, żeby osadzić na tronie lady Jane i swojego syna Guilforda. Zamyśla schwytać waszą wysokość i siostrę waszej wysokości, lady Marię, i osadzić was obie w Tower. Jeśli wasza wysokość pozostanie w Greenwich, nikt nie będzie w stanie zagwarantować jej bezpieczeństwa. — Zamilkłem.

Nie odrywając ode mnie wzroku, Elżbieta zapytała:

— Kate, czy to prawda?

Kate Stafford podeszła bliżej.

— Obawiam się, że tak.

— Wiedziałaś o tym? Cecil też?

— Nie o wszystkim. — Kate nie unikała mojego wzroku, chociaż właśnie wydało się, że współpracuje z Cecilem. — Nie wątpię jednak w słowa kawalera Prescottta. Wygląda na to, że wie, co mówi.

Elżbieta skinęła głową.

— I ja nie wątpię, ani przez sekundę nie wątpiałam. Zaczęłam podejrzewać, że kroi się coś takiego już wtedy, gdy Northumberland nie zgodził się na moją wizytę u Edwarda. Miałam zdaje się szczęście, że dotąd mnie nie aresztował. — Przerwała, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Czy wiesz, dlaczego mnie jeszcze nie aresztowano?

— Wydaje mi się, że księżę nie ośmielił się podjąć ryzyka — odparłem. — Bo siostra jej wysokości na wieść o tym, co się stało, wyjechałaby natychmiast z kraju. Dlatego właśnie rozkazał mojemu panu, lordowi Robertowi, żeby najpierw schwytał lady Marię. Ona jest informowana przez kogoś o wszystkich wydarzeniach na dworze.

— Oczywiście, że jest — rzekła Elżbieta. — John Dudley ma przecież wrogów. Ma więcej wrogów, niż Marii potrzeba przyjaciół.

— Nie wolno nam dłużej igrać z losem. Tu obok czekają zaufani ludzie, którzy pomogą waszej wysokości wydostać

się stąd. Jest bliski przyjaciel waszej wysokości, pan Fitzpatrick...

— Nie.

Miałem wrażenie, że dalekie wybuchy sztucznych ogni ucichły na chwilę.

— Jak to? — Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

— Nie. — Była zdecydowana. — Nie wyjeżdżam z Greenwich. Przynajmniej nie teraz.

— Wasza wysokość nie może przecież zostać — powiedziała szybko Kate. — To byłoby szaleństwo. Przrzekaliśmy panu Cecilowi, że...

— Wiem, co przrzekłam. Powiedziałam, że wezmę jego rady pod uwagę. Wezmę pod uwagę, Kate. Nie mówiłam, że ich posłucham. Muszę się upewnić. Nie mogłabym żyć, gdybym tego zaniedbała.

— Wasza wysokość, błagam o zmianę zdania. — Jej spojrzenie uderzyło mnie z pełną siłą — Ani wpłynąć na księcia, ani uratować króla wasza wysokość nie zdoła. W takim położeniu musi wasza wysokość ratować siebie. Dla dobra Anglii.

Elżbieta wydeła usta.

— To są wymysły Cecila, nie lubię ich. Bądź sobą, Prescott. Wolę cię, gdy jesteś sobą: zuchwały, narwany, zdecydowany na wszystko.

Uśmiechnąłbym się, gdyby położenie nie było tak poważne.

— Dlatego też, z całą moją zuchwałością, przedkładam waszej wysokości ogrom niebezpieczeństwa, na jakie się wystawia, dążąc do spotkania z moim panem. Lord Robert mierzy wyżej, niż się wasza wysokość spodziewa. Okłamię i oszuka na wszelkie sposoby. Odmówił ścigania siostry waszej wysokości, bo wierzy, że wasza wysokość przyjmie jego oświadczenia.

W jej rysach zaszła nagła zmiana. Niemal niedostrzegalna, ale ja ją zauważyłem; pojawiło się jakieś napięcie skóry wokół ust, jakiś wściekły błysk w oku.

— Wiem lepiej niż ktokolwiek inny — rzekła cicho — jak sobie z nim poradzić. — Uniosła głowę. — A poza tym już za późno. Nadchodzi.

Obróciłem się błyskawicznie. Kate chwyciła mnie za ramię i pociągnęła.

— Szybko — szepnęła. — Schowaj się!

Przeskoczyłem przez balustradę, spadłem — jak mi się zdało, z ogłuszającym hałasem — w krzak głogu.

— Ślicznie — mruknął Sokół. Wraz z Barnabą podkradli się niepostrzeżenie. Uzbrojeni byli w noże. Sokół dał mi jeden. Przypomniałem sobie mój stary nóż, prezent od rządcy Sheltona. Muszę się porachować ze Stokesem, i to nie tylko za kradzież tego noża. Natomiast jeśli idzie o kapelusz, to zgubiłem go już chyba na dobre.

Obserwowałem z ukrycia, jak Robert junackim krokiem idzie ścieżką. Miałem mu dzisiaj pomóc się ubrać. Ale mimo że się u niego nie pojawiłem, poradził sobie doskonale. Wystroił się w wyszywany złotem kaftan, wysadzany opalami; na pewno kosztował majątek. Robert zatrzymał się, zdjął kapelusz z piórem i drogimi kamieniami i wszedł po schodach altany. Nogi opinały mu rajtuzy, a wysokie buty z miękko wyprawionej koźlęcej skóry sięgały za kolano. U pięt podzwaniały złote ostrogi.

Przyklęknął przed Elżbietą na jedno kolano.

— Niewymownie się cieszę, znalazłszy waszą wysokość w dobrym zdrowiu i bezpiecznym położeniu. — Mimo przewiewu całą altanę wypełnił zapach piżma z jego perfum; był jak oddech potężnego zwierzęcia.

Elżbieta nie wyciągnęła do niego ręki ani nie poprosiła, by wstał. Wsunęła chusteczkę do rękawa i powiedziała:

— Na zdrowie nie narzekam, a co do bezpieczeństwa, to jeszcze się przekonamy. Ten dwór nigdy nie był mi bezpiecznym schronieniem.

Robert podniósł wzrok. Królowa mówiła lekkim tonem, niemal od niechcienia, ale nawet on nie pozwolił się temu zwieść. Nie dał jednak nic po sobie poznać i odpowiedział chrypliwie:

— Jeśli mi, pani, pozwolisz, uczynię dla ciebie wspaiałym schronieniem i ten dwór, i całe królestwo.

— Nie wątpię. — Uśmiechnęła się. — Wszystko dla mnie zrobisz, mój słodki Robinie. Jeszcze dziećmi byliśmy, a ty już obiecywałeś mi gwiazdkę z nieba.

— I podtrzymuję me obietnice. Otrzymasz wszystko, czego zapragniesz. Twoja prośba jest dla mnie rozkazem.

— To bardzo dobrze. — Wbiła w niego wzrok. — Pragnę zobaczyć mojego brata, nim umrze. Nie bojąc się o własne życie.

Robert zeszywniał. Nadal klęczał. Długo nie mógł znaleźć odpowiedzi, aż wreszcie rzekł:

— Nie ośmielałem się rozmawiać o tym. I ty też nie próbuj.

— Tak? — Przekrzywiła głowę. — A to dlaczego? Przecież przyjaciele mogą mówić o wszystkim.

— Owszem, to prawda — odparł. — Ale spekulacje na temat niemocy króla pachną zdradą stanu, wiesz przecież.

Zaśmiała się dźwięcznie.

— Z ulgą przyjmuję, że ktoś w twojej rodzinie ma jeszcze sumienie! I że mój brat najwyraźniej jeszcze żyje. Gdyby zmarł, spekulacje na ten temat nie byłyby już zdradą stanu.

— Zamilkła na chwilę. — Powiedziałaś przecież, że mogę mieć wszystko, czego zechcę. Dlaczego więc sprawiasz mi zawód w potrzebie?

— Igrasz sobie ze mną. — Zerwał się na równe nogi. Przy jej drobnej postaci zdawał się jeszcze wyższy i potężniejszy.

— Nie przyszedłem tu na igraszki. Przyszedłem ostrzec cię, że twoje prawa do tronu są zagrożone.

— Nie mam żadnych praw — odparła bez namysłu, ale wyczułem w jej głosie jakąś słabość, cień uległości. —

Następczynią tronu jest Maria, moja siostra. A zatem to ją powinienes ostrzec.

Robert wyciągnął do niej rękę.

— Daj spokój. Nie jesteśmy już dziećmi. Nie musimy sobie udowadniać, kto jest górą. Wiesz równie dobrze jak ja, że lud nie chce mieć twojej siostry za królową. Jest katoliczką, a nikt w Anglii nie chce wtrącania się Rzymu w nasze sprawy.

— Ale to ona jest wedle prawa dziedziczką korony — rzekła Elżbieta. Wyrwała dłoń z jego ręki. — A poza tym kto wie? Maria może zmienić wyznanie, tak wielu dzisiaj to czyni. Jest z rodu Tudorów, a my, Tudorowie, nie pozwalamy, by wyznanie stanęło nam na drodze do realizacji naszych celów.

Robert spojrział na nią tak, jakby chciał podkreślić łączące ich więzy. Nie myślałem o tym, że przecież znają się od dziecka i nie mogła nie zadzierzgnąć się między nimi zażyłość wynikająca z tego, że po wielekroć musieli liczyć na siebie w tym życiu wśród intryg i podstępów.

— Czyżbyś uważała mnie za głupca? — powiedział. — Przecież dobrze wiesz, że Maria prędzej umrze, niż zmieni wiarę. Ty to wiesz, rada królewska to wie, jego królewska mość twój brat to wie i...

— I twój ojciec. Zwłaszcza on — dokończyła. — On wręcz stawia na to, mógłbyś powiedzieć. — Popatrzyła na niego z wyrachowaną życzliwością. — To dlatego chciałeś się ze mną spotkać? Lawirowałeś od dwóch dni wokół mnie tylko po to, żeby mi powiedzieć, że moja siostra nie może zostać koronowana, bo szanuje wyznanie, w którym się wychowała?

— Na miłość boską! Przyszedłem ci powiedzieć, że w oczach ludu ty i tylko ty masz prawo zasiąść na tronie. To ty jesteś ukochaną królowną, to ciebie wszyscy oczekują. Będą cię nosić na rękach, rzeknij tylko słowo. Zginą w twojej obronie.

— Tak sądzisz? — W jej głosie zabrzmiała okrutna czułość. — Były czasy, gdy tak samo chcieli nosić na rękach mat-

kę Marii. W tamtych czasach Katarzyna Aragońska była prawowitą królową, a moja matka znienawidzoną uzurpatorką. Czy chcesz, abym poszła w jej ślady?

Atmosfera była naładowana, napięcie wręcz namacalne. Widać było, że łączy ich niejedno, a emocje są bliskie wrzenia. Po raz pierwszy byłem świadkiem namiętności tak silnej, tak łatwo zapalnej, iż zdawało się, że w razie wybuchu zniszczy wszystko wokół.

— Czemuż się wieszcznie ze mną przekomarzasz? — Głos Roberta drżał. — Tak samo jak ja obawiasz się objęcia władzy przez Marię. Wiesz, że będzie to oznaczało koniec Kościoła stworzonego przez twego ojca po to, by mógł poślubić twą matkę. Będzie to oznaczało ruinę wszelkich nadziei na pokój i dobrobyt. Przecież ona ściągnie nam tutaj świętą inkwizycję. Z tobą będzie inaczej. Ty nie będziesz sprowadzała na lud prześladowań. Dlatego właśnie lud i większość szlachetnie urodzonych są po twojej stronie. Ja również. Każdy, kto ośmieliłby się zakwestionować twoje prawa do tronu, zapozna się z ostrzem mego miecza.

Przyglądała mu się w milczeniu. Z mojej kryjówki dostrzegałem jej wahania, jej uginanie się pod brzemieniem stawki, o jaką toczyła się gra, pod brzemieniem możliwego zysku. Poczułem napięcie mięśni, jak u zwierzęcia szykującego się do skoku; wyobrażałem sobie walkę wewnętrzną, jaka się toczy w Elżbiecie, jej pokusę do wzięcia odwetu za krew matki. W końcu się odezwała:

— Mówisz o moim prawie? O moim słusznym prawie? Czy też miałeś na myśli nasze prawo? Nas obojga?

— To jedno i to samo — odpowiedział pospiesznie. — Żyję po to, by ci służyć.

— Inspirujące słowa. Może by i mnie wzruszyły, gdybym już nie słyszała podobnych.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak Robert Dudley zaniemówił.

— Ciekawi cię, kto je wypowiedział? Twój ojciec. Tak, mój słodki Robinie, twój ojciec zaproponował mi dzisiaj to samo. Nawet argumentów używał tych samych, tych samych słów zachęty.

Robert stał jak skamieniały.

— Zapytaj pannę Stafford, jeśli mi nie wierzysz. Widziała go dzisiaj u mnie. Wtargnął do mych komnat, choć wypoczywałam, i oświadczył, że uczyni mnie królową, jeśli zgodzę się go poślubić. Przyrzekł, że dla mnie pozbędzie się żony, twojej matki. Czy może raczej dla mojej korony. Bo oczywiście uczyniłabym go królem. Nie królem małżonkiem, ale królem, prawdziwym samowładnym królem. Tak aby w razie mojej śmierci, powiedzmy w połogu, co się zdarza, mógł rządzić nadal, a potem przekazać koronę swoim potomkom, niezależnie od tego czy byłiby moim potomstwem. — Uśmiechnęła się wspaniałomyślnie. — Więc wybacz mi, że nie reaguję z takim entuzjazmem, na jaki liczyłeś. Jeśli chodzi o Dudleyów, to mój entuzjazm jest na wyczerpaniu.

To był hipnotyzujący spektakl. Nie puściłem przedtem pary z ust.

Teraz już rozumiałem, dlaczego Northumberland postanowił osadzić na tronie Jane Grey. Jako doświadczony dworzanin wiedział, że trzeba mieć zawsze plan awaryjny, na wypadek gdyby pierwszy plan się nie powiódł. Jego oświadczenie w pałacu Whitehall wieczorem, gdy przybyła tam Elżbieta: to było ostrzeżenie, że nie zawaha się wystąpić przeciwko niej, jeśli mu nie ulegnie. A ona właśnie mu nie uległa. Odrzuciła i oświadczyły, i wszystkie jego propozycje. Sama wypowiedziała wojnę. Tak jak Cecil przypuszczał — księżę jej nie docenił.

Na zbiełałym nagle obliczu Roberta malowało się skrajne niedowierzanie. Zrobiło mi się go żal. Głos mu drżał, gdy zapytał:

— Mój ojciec... zaproponował ci małżeństwo?

— Wydajesz się zaskoczony. Nie rozumiem dlaczego. Powiadają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Skoczył ku niej z takim wzburzeniem, że złapałem za nóż. Żelazny chwyt dłoni Barnaby i ostrzegawcze spojrzenie Kate powstrzymały mnie jednak. Zacisnąłem palce na rękojeści. Zauważyłem, że Kate nieznacznie wsuwa dłoń pod płaszcz, bez wątplenia miała tam również coś ostrego. Jej widoczna lojalność wobec pani dodała mi otuchy.

Robert złapał Elżbietę za ramię tak gwałtownie, że rozerwał sznur pereł, który trzymał jej fryzurę. Włosy spłynęły płomieniem na plecy, perły ze stukotem posypały się po posadzce altany.

— Kłamiesz! Kłamiesz i igrasz sobie ze mną. Ale Bóg mi świadkiem, nadal cię pragnę!

Przycisnął swe wargi do jej ust. Odchyliła się, zrobiła zamach i uderzyła go z całej siły w twarz. Pierścienie pokaleczyły mu wargi.

— Natychmiast mnie puść, bo przysięgam na Boga, już nigdy mnie nie ujrysz.

Słowa trafiły go mocniej niż jej dłoń. Robert znieruchomiał, potem cofnął się. Z rozciętej wargi płynęła mu krew. Dyszeli ciężko, jak zapaśnicy po walce. Gniew znikł mu z twarzy, Robert przyglądał się jej z czymś w rodzaju smutku.

— Nie przyjmiesz jego oświadczyn? Nie poślubisz go?

— Jeśli myślisz, że mogłabym to zrobić, to znasz mnie jeszcze mniej niż on — rzekła, ale jej głos drżał. — Jako księżniczka królewskiego rodu nigdy nie wpuszczę do łóża jakiegoś nisko urodzonego Dudleya. Prędszej bym umarła.

Skrzywił się, jakby go zabolalo. Ale przywrócił swym rysem kamienny spokój. To była straszna chwila, słyszało się podzwonne dla młodzieńczej przyjaźni. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie upokorzyła Roberta Dudleya. Zawsze dostawał to, czego chciał. Mimo swoich wad — podstępności, próżności, pretensjonalności — pragnął tylko jednej kobiety. A ona

właśnie go odrzuciła, raniąc mu głęboko serce. Wyprostował się.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Moje jedyne słowo. Nie będzie mnie wykorzystywał żaden mężczyzna, czy to król, czy człowiek z gminu.

— Nawet jeśli wyzna ci miłość?

Zachichotała gorzko.

— Jeśli to jest męska miłość, to niech Bóg mnie od niej uchroni.

— A więc dobrze! — wybuchnął. — Stracisz wszystko, kraj, koronę, wszystko! Zostanie ci tylko ta twoja piekielna duma. Kocham cię. Zawsze cię kochałem, ale skoro masz to za nic, nie pozostaje mi nic innego, jak podporządkować się rozkazom ojca. Jadę pojmać twą siostrę, osadzić ją w Tower. I niech mi Bóg będzie świadkiem, jeśli potem mnie wyśle z wojskiem po ciebie, zakołaczę do drzwi twego Hatfield.

Podniosła dumnie głowę.

— Jeśli ten czas przyjdzie, będę wdzięczna, widząc znajomą twarz.

Robert skłonił się gwałtownie, wypadł z altany i niemal pobiegł ku pałacowi. Pochłonęła go ciemność. Elżbieta stała chwilę nieruchomo, po czym się zachwiała. Podskoczyła do niej Kate. Usłyszałem szept:

— Boże, cóżem uczyniła!

— Uczyniłaś to, co należało — odparła Kate. — Tego wymagała godność waszej wysokości.

Elżbieta patrzyła na nią z natężeniem. Zaśmiała się nerwowo.

— Kawalerze Prescott!

Wstałem, otrzępując się z liści. W jej oczach dostrzegłem cierpienie, do którego nigdy by się nie przyznała.

— Powiadałeś, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Niewykluczone, że miałeś rację. Co powinnam teraz uczynić?

— Wyjechać stąd, wasza wysokość, zanim lord Robert opowie o tym ojcu. Bo księżę będzie waszą wysokość chciał natychmiast uwięzić. Wasza wysokość wie za dużo.

Kate zdjęła z balustrady płaszcz i narzuciła go jej na ramiona.

— Dziwne. Nie znasz go wcale, chociaż wychowywaliście się razem. Robert nigdy z tym nie pójdzie do ojca. Zraniłam go mocno, nie wybaczy mi tego i nie zapomni. Ale nie będzie się mścić poprzez ojca. Nie, on nienawidzi Northumberlanda jeszcze mocniej niż teraz mnie. Może się mu podporządkować i uwięzi Marię, bo tego wymaga od niego męskie poczucie dumy i obowiązku, ale nigdy nie naśle na mnie ojca.

— Nawet jeśli wasza wysokość ma rację, nie należy czekać.
— Zwróciłem się do Kate. Kobieta mniejszego serca może by się skrzywiła na ton mojego głosu. — Jakie są instrukcje Cecila?

Śmiało spojrzała mi w oczy.

— Mam wyprowadzić jej wysokość przez tylną bramę. Na drodze będą czekać na nas konie. Ale ciebie miało tu nie być.

— Cieszy mnie, że tak się o mnie troszczycie — rzekła Elżbieta — i tyle wysiłku w to wkładacie, ale nie mam zamiaru zostawiać księciu mojej arabskiej klaczy, Cantili. Znadto ją lubię i zbyt sobie cenię. — Wydęła wargi. — Wspominałeś, że jesteś tu z przyjaciółmi.

W odpowiedzi pokazał się Sokół.

— Przyprawdzą konia waszej wysokości.

Barnaba skłonił się, wytrząsając liście z włosów.

— Pani, jestem do usług — powiedział z ciepłą życzliwością w głosie.

— Barnaba Fitzpatrick, jak to miło — rzekła i zwróciła się z uśmiechem do Sokoła: — Czy to nie ty pracujesz w stajni w Whitehallu? Miałeś się opiekować moim psem!

Sokół przyglądał się jej z niekłamany uwielbieniem.

— Urianowi nic nie grozi. Jest tutaj, w stajniach, wraz z Cantilą. Jego też przyprowadzę, jeśli wasza wysokość sobie życzy. Służyć wam, pani, to dla mnie zaszczyt.

— Nie kłamie — dorzuciłem. Zerknąłem na Sokoła. — Mój Cynober też tam jest, przyjacielu, gdybyś o tym zapomniał. A sakwę schowałem w słomie.

Zarumieniony Sokół skłonił głowę.

— Czyli postanowione — powiedziała Elżbieta. — Nasz młody przyjaciel przyprowadzi psa i konie i spotkamy się przy bramie. Ja mam zaufaną kwaterę koło Greenwich, tam się schronimy, gdyby książę wysłał za nami pościg. Nie sądzę, żeby rozsądnie było wracać teraz do Hatfield.

Zamilkła na chwilę. Przebiegł mnie dreszcz, bo wyczułem, co się zaraz stanie. Mogłem się tego spodziewać, ale i tak dałem się zaskoczyć.

— Zanim jednak stąd wyjadę, muszę zobaczyć się z Edwardem.

ROZDZIAŁ XVIII

Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Nie byłem właściwie wstrząśnięty. Było przecież do przewidzenia, że tak się zachowa. Nie wiedziałem, jak ją od tego odwieść, ale nie mogłem nie spróbować.

— To niemożliwe, wasza wysokość! Nie dostaniemy się do środka. A nawet gdyby nam się udało, komnaty jego królewskiej mości są bardzo dobrze strzeżone. Nie wydostaniemy się z powrotem.

Elżbieta popatrzyła na mnie kamiennym wzrokiem.

— Zanim się poddamy, zapytajmy może pana Fitzpatricka, który przez wiele lat spał pod drzwiami mojego brata. On będzie wiedział, na ile to jest niemożliwe. — Zwróciła się do Barnaby. — Czy jest jakiś sposób, abyśmy się dostali do komnat Edwarda, unikając schwytania?

Nie wierzyłem własnym uszom, ale Barnaba powiedział:

— Istnieje tajne przejście do sypialni królewskiej. W dawnych czasach korzystał z niego ojciec waszej wysokości. Sprawdziłem to kiedyś, nie było tam strażników księcia. Ale muszę ostrzec, jeśli jednak postawił tam straż, jedynym sposobem wydostania się będzie przejście przez komnaty mieszkalne, a tam się roi od ludzi księcia.

— Zaryzykuję. — Elżbieta popatrzyła na mnie. — Nie próbuj mnie zatrzymać. Jeśli chcesz mi pomóc, to chodź ze mną. Jeśli nie, spotkajmy się przy bramie. Ja muszę to zrobić. Muszę zobaczyć mego brata, zanim będzie za późno. — Zamilkła na chwilę. — Muszę... Muszę się z nim pożegnać.

Jej słowa trafiły mi do serca. Rozumiałem to.

Odezwał się Barnaba:

— Zaprowadzę waszą wysokość. — Rzucił mi spojrzenie. — Zaprowadzę do jego królewskiej mości, a potem do bramy.

— Wielkie dzięki. — Nie odrywała ode mnie oczu.

Wreszcie z westchnieniem dałem za wygraną. Spojrzałem na pałac za jej plecami, na rzędy oświetlonych okien. Pokaz fajerwerków już się skończył. Na niebie wciąż wisały burzowe chmury. Uroczystości przerodzą się niedługo w huczną zabawę, wszyscy będą opijać się winem i tańczyć, a smętna młoda para będzie się temu przyglądać z podestu. Książę będzie musiał brać udział w zabawie, dbać o szlachetnie urodzonych w zastępstwie króla, który wbrew obietnicy księcia nie pojawi się, by pobłogosławić małżonków. Jeśli można sobie wyobrazić dobrą porę na wśliznięcie się do królewskich komnat, to właśnie nadchodzi. Skąd więc u mnie te złe przecucia?

— Ash Kat już rozpowiedziała, że ostatnio niedomagam — wyjaśniła Elżbieta, mylnie interpretując moje milczące zatroskanie. — Wszyscy wiedzą, że nieustannie narzekam na bóle głowy. Książę też pamięta, co mu dziś odpowiedziałam na jego propozycję, więc nie będzie na razie mnie szukać. Tego Robertowi nie powiedziałam, ale nie odmówiłam Northumberlandowi. Dałam mu nadzieję, rzekłam bowiem, że potrzebuję trochę czasu na zastanowienie. — Zaśmiała się chłodno. — Oczywiście nie da mi za dużo czasu, ale jeśli ktoś nie wpadnie na pomysł włamania się do mojej sypialni, nikt nie będzie wiedział, że mnie tam nie ma.

— Przynajmniej póki żyje jego królewska mość — powiedziałem. — Gdy go już nie będzie, wasza wysokość nie może liczyć na miłosierdzie.

— I nigdy nie liczyłam — odparła. — Dobrze jednak, że mi o tym przypomniłeś. — Spojrzała na Barnabę. — Czy to przejście jest na pewno bezpieczne?

— Jeśli nie jest pilnowane i ktoś stanie na straży, gdy my będziemy w środku, to tak. Z królem jest teraz tylko jego faworyt, Harry Sidney. On nie podniesie alarmu.

— Ja będę pilnowała. — Kate wyciągnęła z faldy płaszcz sztylet.

Chciałem zaprotestować, ale się powstrzymałem. Było nas za mało, by z kogokolwiek rezygnować. Potrzebny nam był ktoś, kto zostanie i będzie obserwował wejście.

— W porządku. Sokół uda się tam z nami. Jeśli sytuacja będzie wyglądać bezpiecznie, pójdzie do stajni. Czy wasza wysokość zdaje sobie sprawę z tego, że wizyta u brata nie może się przeciągnąć?

— Tak — odrzekła, naciągając kaptur płaszcz na głowę.

Ruszyliśmy przodem z Barnabą, za nami Elżbieta z Kate i Sokołem po obu stronach. Nasza piątka, kryjąc się przed światłem padającym z okien i loggii, podążała spiesznie wzdłuż fasady pałacu. Dochodziły nas śmiechy i okrzyki; zabawa rozkręciła się na dobre.

Wyglądało na to, że zaproszonych gości były tłumy. Miałem nadzieję, że książę będzie musiał się nimi zajmować. Im więcej obowiązków dla niego, tym więcej czasu dla nas. Nieobecność Elżbiety na zaślubinach z pewnością zwróciła uwagę. Northumberland mógł nawet uznać, że królewna potrzebuje jakichś zachęt do skrócenia namysłu nad jego propozycją, i postawić pod jej drzwiami strażników. Musieliśmy być gotowi na każdą ewentualność.

Zerknąłem na Barnabę. Takiego towarzysza po swojej stronie chciałoby się mieć w każdej awanturze.

— Przyrzekniesz mi coś, Barnabo? — spytałem półgłosem.

— Zależy co.

— Gdyby było krucho, zrobisz wszystko, żeby ją obronić?

Błysnęły jego odsłonięte zęby.

— Myślisz, że wydam ją na pastwę tej zgrai wilków? Obronię ją, nie bój się. Albo zginę. Tak czy owak, jej nie dostaną.

Weszliśmy na szeroki dziedziniec. Po jednej stronie stała dziwna wieża, wyglądająca na starszą niż pałac. Zza muru dochodził zapach rzeki.

Barnaba zatrzymał się.

— Wejście jest w tej wieży.

Nagle zamarł. Ja też znieruchomiałem i stłumiłem cisnące się na wargi przekleństwo. Patrzyliśmy wszyscy. Elżbieta wciągnęła powietrze przez zęby.

— Wartownicy — szepnęła.

Było ich dwóch. Stali pod niską wieżą, przycupniętą między wysokimi budynkami Greenwich niczym średniowieczny grzyb. Strażnicy pociągali wino z bukłaka i gawędzili; nie sprawiali wrażenia czujnych. Nie spodziewali się nikogo, przecież trwało wesele książęcego syna. Byli trochę podpici i pełni żalu do świata. Zostawiono ich na chłodzie, by pilnowali jakiegoś zakazanego wejścia, a tymczasem wszyscy objadają się mięsiwem i oddają różnym igraszkom.

— Mówiłeś, że tu nikogo nie ma — rzekłem z wyrzutem do Barnaby.

Chrząknął.

— Bo nie było. Nasz książę zrobił się ostrożny. Postawił tu straż, choć nigdy przedtem tego nie robił.

Zerknąłem na Elżbietę. W cieniu kaptura jej twarz wyglądała blado; po oczach widać było, jak wiele kosztowała ją rozmowa z Robertem.

— Jest ich tylko dwóch — odpowiedziała na moje niewypowiedziane pytanie. Wiedziałem, że tak powie. — Trzeba ich czymś zająć.

Zanim się odezwałem, podeszła do mnie Kate. Jej cierpko-jabłkowy zapach uświadomił mi, jak wiele zaczęła dla mnie znaczyć, choć nie chciałem się do tego przyznawać.

— Właśnie wpadłam na pomysł... Wprawdzie z jegomościami o takich manierach nie mamy z jej wysokością doświadczenia, ale myślę, że to będzie ta sama gra. Męczyzna to męczyzna, a ci dwaj wprawili się winem w dobry humor. Spróbujemy ich unieszkodliwić.

Zaniemówiłem z wrażenia. Barnaba się uśmiechnął.

— No proszę, zuch dziewczyna.

Zastanawiałem się, jak by tu je odwieść od pomysłu Kate, ale Elżbieta już naciągnęła kaptur na głowę i chciała ruszać. Złapałem ją za rękaw.

— Wasza wysokość!

Spojrzała na mnie ostro.

— Niech się wasza wysokość zastanowi. — Rzuciłem spojrzenie Kate. — Możecie obie zostać aresztowane.

— Biorę to pod uwagę. — Elżbieta strząsnęła moją dłoń z rękawa. — Biorę to pod uwagę, odkąd przyjechałam. Ale mówiłam ci, muszę. Nie ma sensu tego przedłużać.

Popatrzyłem jej w oczy i skinąłem głową. Kate coś jej powiedziała do ucha, a potem odrzuciła z głowy kaptur. Kołysząc wymownie biodrami, spacerowym krokiem podeszła do strażników, którzy znów raczyli się winem z bukłaka.

— Możesz iść, przyjacielu — powiedziałem do Sokoła.

Chłopak zniknął w ciemnościach. Chwyciłem rękojeść noża i z sercem w gardle obserwowałem, jak Kate i Elżbieta zbliżają się do wartowników. Ci zerwali się na równe nogi, zdziwieni, ale nie zaniepokojeni. Widzieli w nikłym blasku księżycy i odbłysek świec z okien pałacu, że zbliżające się postaci to kobiety, które przechadzają się po ogrodzie. Damy

nie powinny przechadzać się nocą po ogrodzie, chyba że nie są damami.

Wyższy z dwóch mężczyzn ruszył na spotkanie z lubieżnym uśmiechem na twarzy. Kate szła przodem. Elżbieta trzymała się z tyłu, mimo zakrytej kapturem twarzy swą dostojną postawą mogła zdradzać osobę wysokiego rodu. Miałem wszelako nadzieję, że strażnik nie zwróci na to uwagi, nie zauważy też, że płaszcz jest z drogiego aksamitu; niemniej jednak, gdyby niechcący odsłoniła twarz, na pewno zostałaby rozpoznana. W Anglii nie było drugiego takiego oblicza.

— Szykujmy się — rzekłem do Barnaby.

Mruknął potakująco w odpowiedzi.

Głos strażnika rozlegał się wyraźnie.

— A cóż tu robią dwie śliczne panienki? — Wyciągnął obleśną łapę do Kate, a moje palce konwulsyjnie zacisnęły się na rękojeści noża.

— Spokojnie, Brendanie — mruknął Barnaba. — Daj jej chwilę.

Kate zrobiła zręczny unik. Przybierając wdzięczną pozę, z prawą ręką ukrytą w fałdach płaszcza, gdzie jak wiedziałem, miała nóż, powiedziała:

— Moja pani i ja wyszliśmy po łyk świeżego powietrza. W pałacu jest nieznośnie gorąco i hałaśliwie. Podobno jest tu gdzieś w pobliżu altana, ale niestety zabłądziłyśmy, szukając jej.

Zamilkła na chwilę. Nie widziałem tego, ale byłem przekonany, że właśnie obdarzyła strażnika jednym ze swoich wystudiowanych uśmiechów. Nabierałem coraz większego podziwu dla jej odwagi i zręczności w tej groźnej sytuacji. Miała serce lwicy. Nic dziwnego, że Elżbieta żywiła do niej zaufanie.

— Altana? — Wartownik zerknął na towarzysza, który stał i przyglądał się przybyłym. Był mniej pijany niż jego kompan i czujniejszy. — Słyszałeś, Rog? Te damy szukają altany! Słyszałeś o jakiejś altanie w pobliżu?

Mężczyzna imieniem Rog nie odpowiedział. Widziałem, że Elżbieta robi się napięta, mimowolnie wyprostowała się dumnie. Sposób, w jaki to zrobiła, zaalarmował strażnika. Tym gestem zdradziła się jako ktoś wysokiego rodu, nienawykły do tego, by mu zadawano pytania. Rog zareagował odpowiednio. Podszedł do Kate z wojowniczą miną człowieka, którego obdarzono odrobiną władzy.

— Tu w pobliżu nie ma żadnej altany. Poproszę was, szlachetne panie, abyście podały, jak się nazywacie. Nie miejsce ani pora na spacer. — Rzucił znaczące spojrzenie na Elżbietę. — Wolałbym, abyście niezwłocznie wrócili do pałacu.

Kate się roześmiała.

— Oczywiście, że chętnie wrócimy, tyle tam czeka przyjemności. Zabłądziłyśmy tylko. Miło by nam było, gdybyście nas zechcieli odprowadzić.

Tego nie było w planach, Kate improwizowała, jak mogła. Jeśli się jej uda, wywabi ich pod mur, w miejsce, gdzie czailiśmy się z Barnabą. Gęsty cień rzucany przez mur ukryje nas równie dobrze jak wewnątrz wieży.

Rog nie chwycił przynęty. Nie odrywał od Elżbiety podejrzliwego spojrzenia. Sytuacja zrobiła się napięta. Wtem Rog szarpnął za kaptur Elżbiety i ściągnął go, odsłaniając jej twarz.

Zapadła martwa cisza. Błada skóra Elżbiety i jej płomieniste loki zabłyśły w ciemności. Wyższy ze strażników wydał zdławiony okrzyk.

— Na Boga, to jest...

Nie skończył. Kate rzuciła się nań, błyskając nożem w uniesionej dłoni. Zerwaliśmy się z Barnabą do ataku. Nie byłem przygotowany na możliwość zamordowania tych dwóch mężczyzn, ale rzucając się z nożem w rękę, wiedziałem, że może się to okazać konieczne.

Dobiegłem do Kate w chwili, gdy strażnik chwycił ją wielką garścią za dłoń, wyłuskując z niej nóż i śmiejąc się przy tym

głośno. Złapałem ją za ramię i popchnąłem za siebie, a tymczasem pięścią uderzyłem strażnika ze wszystkich sił w twarz. Poczułem kość pod knykciami. Strażnik upadł z łomotem na bruk dziedzińca.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że Barnaba uchyla się przed sztychami miecza, który Rog zdążył wyciągnąć z pochwy. Wiedziałem, że nóż Barnaby na niewiele się zda przeciwko mieczowi i jest kwestią chwil, gdy przyjaciela dosięgnie śmiertelny cios. Z tyłu za strażnikiem mignął mi ciemny płaszcz.

Nagle wzniosła się biała dłoń. Usłyszałem mokry trzask. Rog znieruchomiał. Miecz wysunął się mu z dłoni i upadł, dzwoniąc po kocich łbach. Mężczyzna zachwiał się, próbował się odwrócić z niedowierzaniem w stronę napastnika. Cienki strumyk krwi ściekał mu po czole. Strażnik runął na twarz.

Napotkałem spojrzenie Elżbiety. Kamień wysunął się jej z dłoni i stuknął o ziemię. Szczupłe palce miała zakrwawione. Kate podbiegła do niej.

— Wasza wysokość jest ranna?

— Nie. Ale założę się, że ten typ obudzi się z bólem głowy, którego długo nie zapomni. — Elżbieta z niejakim zdziwieniem przyglądała się mężczyźnie rozciągniętemu u jej stóp. Podniosła wzrok na mnie.

Podszedłem do niej, a Barnaba tymczasem schylił się i sprawdził tętno Roga.

— Żyje — oznajmił.

Elżbieta odetchnęła.

— Dzięki Bogu. Oni tylko wypełniali swoje obowiązki.

Kate odsunęła z czoła zmierzwione włosy. Jej policzki pałały.

— Co za gamonie. Czy Northumberland nie ma lepszych ludzi do takiej roboty?

— Miejmy nadzieję, że nie. — Barnaba złapał Roga za rękę i zaciągnął go ku wejściu do wieży.

Wezwałem Kate:

— Chodź mi pomóc.

Należało się spieszyć. Z pomocą Kate i Elżbiety zaciągnąłem wyższego strażnika do małego okrągłego pomieszczenia. Ku sklepieniu wiodły rozklekotane kręcone schody. Ułożyliśmy wartowników obok siebie na ziemi. Poszedłem po miecz. Gdy wróciłem, Barnaba za pomocą pasa związał obu mężczyznom ręce w nadgarstkach. Wziął chusteczkę, którą mu dała Elżbieta, przedarł i każdemu z mężczyzn wepchnął połowę do ust.

— Na wiele się to nie zda, jeśli naprawdę będą chcieli się wydostać, ale na razie powinno wystarczyć.

Kate wzięła ode mnie miecz.

— Już ja ich przypilnuję. Niech no który spróbuje jakichś sztuczek, a nadzieję go jak na rożen.

Elżbieta ruszyła ku schodom. Barnaba ją zatrzymał.

— Nie, wasza wysokość, tędy.

Minął schody i podszedł do zwykłej na pozór ściany. Sięgnął na dół i podniósł kamienną płytę posadzki. Patrzyłem ze zdziwieniem, jak naciska stopą ukrytą dźwignię. Ściana otworzyła się, ukazując łukowate wejście. Dalej znajdowały się drugie wąskie schody, wiodące do góry, w mrok. Elżbieta spojrzała na Barnabę, potem na mnie.

— Bardzo tu ciemno.

— Nie możemy brać światła. Zobaczą nas.

Skinęła głową i wstąpiła na schody. Pokazałem Barnabie, żeby szedł za nią.

— Będę za tobą — powiedziałem i zwróciłem się do Kate: — Na pewno chcesz tu zostać? — Starąłem się mówić obojętnie, nie zdradzać osobistej troski o nią, która przed chwiląomal nie skłoniła mnie do zabicia człowieka. Nie chciałem zostawiać jej samej. I nie podobało mi się to, co czułem. To nie było dobre w tej sytuacji.

Uśmiechnęła się domyślnie.

— Podejrzliwi jesteśmy, co? — Nim odpowiedziałem, położyła mi palec na ustach. — Bądź spokojny. Wiem, że winna ci jestem wyjaśnienia, ale na razie po prostu uwierz, że poradzę sobie. Umieję używać ostrza nie tylko do obierania jabłek.

W to nie wątpiłem, ale choćby nie wiem jak władała bronią, nie dałaby rady tym dwóm, jeśli wyrwaliby się z więzów.

— Nie walcz z nimi. — Popatrzyłem jej w oczy. — To ludzie księcia. Groziłoby ci to... bardzo. Jeśli przyjdzie co do czego, uciekaj. Znajdź Sokoła i czekajcie na nas na drodze. Jakoś się wydostaniemy. — Urwałem. — Przyrzeknij.

— Wzruszona jestem, że się martwisz — odparła, wciąż uśmiechając się ironicznie. — Ale to nie pora, aby wątpić w sojuszników. Idź. Masz ważniejsze zmartwienia.

Nie spierałem się dalej. Odwróciłem się i wstąpiłem w nieprzenikniętą ciemność.

Tajne schody były nieprawdopodobnie wąskie, ukośny strop wisiał nisko, za nisko, żeby się wyprostować. Z ugiętymi kolanami, przygarbiony, co chwila ocierając się włosami o kamień, zastanawiałem się, jak mieścił się tu ogromnej postury Henryk VIII. Ściana za moimi plecami zamknęła się. To Kate nacisnęła dźwignię.

Szło się jak w tunelu. Oczy stopniowo przyzwyczajały mi się do mroku. Ze stopni zerkały na mnie szczury bez oznak strachu. Elżbieta i Barnaba szli przede mną jedno za drugim. Na każdym zakręcie traciłem ich z oczu. Było duszno, poczułem pot na czole.

Schody kończyły się drewnianymi drzwiami. Barnaba zatrzymał się.

— Wasza wysokość, zanim wejdziemy, musisz, pani, wiedzieć, że Edward nie jest dziś tym człowiekiem, którego znaleźliśmy. Choroba i zabiegi lecznicze bardzo go wyniszczyły.

Elżbieta przysunęła się bliżej do mnie. Barnaba zapukał. Słyszałem drżący oddech Elżbiety. Barnaba zapukał znowu. Ścisnąłem mocniej rękojeść noża.

Drzwi się uchyliły. Pokazała się smuga światła.

— Kto tam? — spytał przestraszony męski głos.

— Sidney, to ja— wyszeptał Barnaba. — Szybko. Otwieraj.

Drzwi otworzyły się do środka. Znaleźliśmy się w małej, ale wygodnie urządzonej komnacie. Wejście, którym się tu dostaliśmy, zamaskowane było w drewnianej okładzinie. Pierwsze, co mnie uderzyło, to upał. Ciepło dobywało się z dużego kominka, ale także z mosiężnych piecyków na drewno, na których prażyły się aromatyczne zioła. Do tego dochodził jeszcze wielki świecznik na trójnogu, oświetlający złotą tapicerkę krzesel, kotarę zasłaniającą wejście do alkowy i łoże z baldachimem, otoczone adamaszkowymi zasłonami.

Przed Barnabą stanął wymizerowany młodzieniec o rzadkich, prostych blond włosach.

— Co ty tu robisz? Przecież wiesz, że księżę nie pozwala tu wchodzić. Nie możesz... — Głos zamarł mu w gardle. Niebieskie oczy otworzył szeroko. Zza Barnaby wyłoniła się bowiem Elżbieta.

Ja stanąłem za nią. W panującym tu zaduchu wyczułem jakiś odór, zamaskowany dymem z ziół, ale wyraźny. Elżbietę też to uderzyło.

— Do licha — mruknęła, gdy Sidney padł przed nią na kolana. Minęła go. — Nie czas na dworskie konwenanse — rzekła i podeszła do łoża. Tuż przy baldachimie siedział na drażku jastrząb, przytwierdzony za łapę łańcuszkiem. W jego oczach odbijały się płomyki świec. — Edward... — szepnęła. Sięgnęła ręką do zasłony. — Edwardzie, to ja, Elżbieta. — Odsunęła zasłonę i cofnęła się, wydając stłumiony okrzyk.

Podbiegłem do niej. Zobaczyłem to samo co ona i zmarł twiałem.

Smród, który wyczuwało się w komnacie, rozchodził się od wychudzonej postaci, leżącej na wznak w łóżku. Ręce i nogi miała poczerńiałe, pokryte zropiałymi ranami. Leżała wsparta na poduszkach, niczym rozsypująca się marionetka.

Jedynie rytmicznie unosząca się i opadająca pierś zdradzała, że młody król jeszcze żyje. Nie chciało mi się wierzyć, że ktoś w takim stanie może być przytomny. Miałem nadzieję, że nie był.

Wtem oczy Edwarda VI otworzyły się, a wyraz bólu w jego wzroku, który na nas spoczął, przekonał nas, że król jest w pełni świadom i swojego cierpienia, i obecności siostry. Rozchylił splekane wargi. Wydobyło się z nich coś niezrozumiałego.

Podbiegł Sidney.

— Król nie może mówić — wyjaśnił Elżbiecie.

Elżbieta ani drgnęła, jej twarz zrobiła się przerażająco blada.

— Co on chce powiedzieć? — szepnęła.

Sidney nachylił się do ust króla. Palce Edwarda, wygięte jak szpony, zacisnęły się na jego przegubie. Sidney podniósł znękaną twarz.

— Błaga waszą wysokość o wybaczenie.

— Mnie? — Uniosła dłoń do gardła. — Na Chrystusa, to ja go powinnam błagać. Nie było mnie przy nim. Nie było mnie, aby go uratować przed tym... przed tymi potwornościami.

— Jego to już nie obchodzi. Pragnie, abyś mu, pani, wybaczyła. Nie miał siły sprzeciwić się księciu. Wiem. Widziałem wszystko, co się tu działo od dnia, gdy Northumberland zaczął podawać mu truciznę.

— Truciznę? Jemu? — Głos jej stwardniał, ochłódł. Nie chciałbym nigdy zostać obrzucony takim spojrzeniem. — Co powiedziałaś?

— Mówię o wyborze, wasza wysokość, strasznym wyborze, którego musiał dokonać. Był chory, gorączkował, kasłał krwią. Wszyscy wiedzieli, że długo nie pożyje. On też wiedział, że koniec jest blisko, i pogodził się z tym. Podjął także decyzję, kto będzie jego następcą. A potem księżę przeniósł go tutaj i odprawił lekarzy. Sprowadził swoją zielarkę, a ona zaczęła

go leczyć jakąś miksturą z arszenikiem. To mu miało pomóc. I pomagało, przynajmniej przez jakiś czas. Potem się jednak królowi znów pogorszyło. — Sidney zerknął na Edwarda patrzącego nań oczami, które wydawały się wychodzić z przeraźliwie wychudzonej twarzy. — Zaczął gnść od środka. Ból nękał go nieprzerwanie, coraz silniejszy. Northumberland tkwił tu przy nim dzień i noc, bez chwili wytchnienia. Król podpisał w desperacji, nie mógł już tego znieść, a obiecano mu ulgę w cierpieniu, w tym potwornym piekle.

— Zmuszono go... zmuszono do podpisania czegoś? — Elżbieta mówiła z trudem. Widziałem na jej skroni nabrzmiałe żyły. — Co to było? Co mu kazali podpisać?

Sidney odwrócił wzrok.

— Dokument, który ustanawia następczynią tronu Jane Grey. Książę zmusił go, by wykluczył z sukcesji waszą wysokość i lady Marię. Zmusił go... — zniżył głos do szeptu — do uznania was obu za potomstwo z nieprawego łoża.

Elżbieta stała jak słup soli. Twarz jej pociemniała. Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła wściekle ku głównym drzwiom komnaty.

— Wasza wysokość! — zawołałem.

Zatrzymała się.

— Tylko mi tego nie mów — powiedziała do mnie.

— Słuchaj! — Zagrodziłem jej drogę.

Z zewnątrz dobiegało jakieś szuranie. Zbliżało się.

— To zielarka — powiedział Sidney, jakby zdziwiony.

Barnaba skoczył pod ścianę za drzwiami, a ja pociągnąłem Elżbietę za kotarę oddzielającą alkowę. Zasłoniłem ją własnym ciałem. Nóż, który trzymałem w dłoni, zdał mi się nic nieznaczący, jak zabawka. Chwyciłem rękojeść mocniej i wpatrywałem się w drzwi, które się otworzyły.

Do komnaty wkuśtykała zgarbiona staruszka. Stopy miała koślawe, pokryte sinymi bliznami. Zatrzymała się pośrodku.

— Mówiłem, to zielarka — powtórzył Sidney.

Barnaba rozluźnił się, oparł o ścianę.

Przyjrzałem się kobiecie. I zawalił mi się cały świat.

Powoli wyszedłem z ukrycia. Wiedziałem, nie musiałem nic mówić. W serce wbijał mi się ostry gwóźdź. Z żył odpłynęła cała krew. Nic nie zdradzało, że mnie rozpoznała. Jej pobrużdżona twarz, zmieniona niemal nie do poznania przez cierpienia, nie pokazywała nic. Zatrzymałem się nagle, bo naszła mnie straszna, choć niemal napawająca nadzieją wątpliwość, ale wtedy zaraz rozproszył ją zapach rozmarynu, zapach dzieciństwa. Przypomniałem sobie, co mówił Sokół: „Zajmuje się nim ta stara zielarka... Przyszła tu kiedyś po jednego ze spanieli Edwarda”.

Przeglądałem się jej. Ta chwila zdawała się nie mieć końca. Kobieta patrzyła tępy, pełnym rezygnacji wzrokiem. Podniosłem drżącą dłoń, aby pogłodzić palcami zwiótczały policzek. Bałem się jej dotknąć, jakby była zjawą, gotową rozsypać się w proch i pył. W uszach dudniło mi własne serce. Gdybym nie widział jej na własne oczy, nigdy nie uwierzyłbym, że to możliwe... Po tylu latach, tylu naznaczonych żałobą latami?

— Znasz ją? — raczej stwierdziła, niż zapytała, Elżbieta. Usłyszałem swoją odpowiedź:

— Tak. To ochmistrzyni Alice. Kobieta, która opiekowała się mną przez całe moje dzieciństwo. Myślałem, że nie żyje, tak mi powiedziano.

Zapadła cisza. Barnaba zamknął drzwi i ustawił się przy nich.

Nie mogłem oderwać od Alice wzroku, nie umiałem pogodzić tej starczej, wychudzonej postaci z energiczną i bystrą kobietą, którą przechowała moja pamięć. Była zawsze dziarska, żwawa, wygadana; miała błysk w oku, nie taką martwość jak teraz.

Wyjechała do Stratfordu na wielki jarmark, jak co roku. Za parę dni wrócę, przyrzekła. Nie martw się, robaczku. Szybko

wrócę. Nie wróciła. Napadli ją na drodze zbójcy. Tak powiedział mi rządcą Shelton. Nie płakałem, nie pytałem, gdzie ją pochowano, nie widziałem grobu. Ból był zbyt dojmujący. Reszta się nie liczyła. Liczyło się tylko to, że jej nie ma. Odeszła i nigdy do mnie nie powróci. Tak mi powiedziano. W to uwierzyłem. Miałem dwanaście lat i straciłem jedyną osobę na świecie, która mnie kochała. Takiej straty nie da się przeboleć. Rana pozostaje na zawsze, choćby nie wiem jak głęboko ją ukrywać.

Teraz wydobywało się na powierzchnię pytanie. Gorące, wrzące, groźące wybuchem. Dlaczego? Dlaczego mnie zostawiłaś?

Jej wygląd mówił wiele, wiele tłumaczył. Blizny na kostkach — takie same widziałem u mułów skazanych przez swych nieczułych panów na kuśtykanie w pętach, na nieustanne chodzenie w kółko w kieracie. Pogładziłem ją dłonią po policzku, tak uspokajałbym przestraszoną klacz. Zrozumiała. Otworzyła usta. Wewnątrz miała czarną jamę. Bez zębów.

Bez języka. Ucięli jej język.

W gardle zaczął mi się rodzić krzyk. Zdławiłem go. Usłyszałem pytanie Elżbiety:

— Czy to ta kobieta truła mojego brata?

Odpowiedział Sidney:

— Tak. Lady Dudley ją tu sprowadziła... Rozkazywała jej, kazała sporządzać mikstury. Ale... ale ona...

— Co? Mów! — krzyknęła Elżbieta.

— Alice jest doświadczoną zielarką — powiedziałem. — Wyleczyła mnie w dzieciństwie z niejednej choroby. Na pewno nie zrobiłaby nic złego.

Elżbieta pokazała na brata.

— Jak możesz tak mówić, przecież widzisz, jak on wygląda!

Alice zniekształconą dłonią pociągnęła mnie za kamizelkę. Popatrzyłem jej w oczy. Ciężki kamień na mej piersi roz-

topił się. Zerknąłem na Barnabę, on kiwnął głową, że mnie rozumie. Zwróciłem się do Elżbiety:

— Ona nigdy, przenigdy nie skrzywdziła żadnej żyjącej istoty. Musiała zostać do tego zmuszona siłą — powiedziałem. — Torturowano ją, okaleczono. To wszystko na rozkaz księcia.

— Dlaczego? — Elżbieta mówiła z trudem. — Dobry Boże, po co robić takie straszne rzeczy?

— Aby utrzymać go przy życiu. Zyskać na czasie — zabrzmiała moja ponura odpowiedź.

Spojrzała na mnie z napięciem.

— Nie możemy go tutaj zostawić. Musimy go zabrać z tego łóżka.

— Nie zdołamy — powiedziałem. Zobaczyłem coś w spojrzeniu Alice. — Musimy wracać. I to już.

Zerknęła na Barnabę.

— Nie słyszę nic niepokojącego — rzekła.

— Ja też nie słyszę — powiedziałem. — Ale Alice usłyszała. Popatrz na nią.

Elżbieta spojrzała. Zielarka podreptała do tajnych drzwi i gestem pokazywała, żebyśmy wychodzili. Była wyraźnie zaniepokojona. Miała dłonie jak stuletnia staruszka. Jakże straszne lata musiała tu spędzić. Przecież nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat.

Słumiłem w sobie gniew na tych, którzy ją doprowadzili do takiego stanu, i popatrzyłem w oczy Elżbiecie. Przez moment miała taką minę, jakby chciała mi się sprzeciwić, ale w końcu poszła do drzwi, nie oglądając się za siebie.

Barnaba ruszył za nią. Sidney podskoczył do stojącej w komnacie skrzyni, podniósł jej wieko. Wyjął miecz w skórzanej, nabijanej drogimi kamieniami pochwie i rzucił mi go-

— Edwardowi już się nie przyda. To stal tolekańska, dar od cesarskiego ambasadora. Zatrzymam ich, a wy uciekajcie.

Miecz musiał być wykonany dla kogoś o drobnej budowie, jak ja. Nigdy nie byłoby mnie stać na taką broń.

Ochmistrzyni Alice podreptała do łoża.

— Zadbaj o bezpieczeństwo jej wysokości — poprosiłem Barnabę i zamknąłem za nim tajne drzwi.

Sidney stał przy głównym wejściu do komnaty. Znieruchomiał, gapiąc się na mnie.

— A ty dlaczego nie uciekasz? Oni są tuż-tuż.

Podszedłem do Alice, która otwierała stojący na stoliku nocnym swój drewniany kuferek z medykamentami. Kiedyś trzymała go wysoko na półce w kuchni, tak żebym nie dosięgnął. Ciekawe, że nigdy nie zwróciłem uwagi, że go nie ma, a przecież nie zabierała go ze sobą na jarmarki. Wiele razy chciałem do niego zajrzeć, ale ona mówiła: „Nic tu nie ma dla wścibskich chłopaków. Nic ciekawego”.

Teraz spojrzała na mnie, jakby dopiero co mnie zobaczyła. Chwyliła mnie za rękę; do oczu napłynęły mi łzy. Drżącymi sękatymi palcami wcisnęła mi w dłoń maleńkie zawiniątko w zatłuszczonej szmatce. Zacisnąłem dłoń. Urzekł mnie wyraz, który zagościł na jej twarzy; wyglądała tak, jakby wreszcie znalazła odkupienie.

Drzwi się otworzyły. Sidney został odepchnięty na bok.

Trzymając w jednej ręce dar od Alice, w drugiej miecz, odwróciłem się, by stawić czoło mej przeszłości.

ROZDZIAŁ XIX

Miała na sobie suknię koloru stali. Ze wszystkich osób, jakie mogły się w tych drzwiach pojawić, jej spodziewałem się najmniej — choć było najzupełniej logiczne, że to będzie właśnie ona. Za nią wkroczył Archie Shelton z nieprzenikniomą miną na poznaczonej bliznami twarzy. Zobaczywszy go, z trudem się opanowałem, choć ogarnęła mnie furia.

Z przedsionka dobiegały głosy.

— Zaczekajcie, aż was zawołam! — rzuciła w stronę tych głosów, a Shelton wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Kątem oka zauważyłem, że Sidney się wycofuje. Alice nie poruszała się za moimi plecami. Wyciągnąłem rękę, aby ją osłonić, choć zdawałem sobie sprawę, że to próżny gest. Lady Dudley nie pokazała po sobie, że dziwi ją mój widok.

— Widzę, że złamałeś jedną z nienaruszalnych reguł każdego lojalnego służącego — rzekła. — Regułę, że trzeba znać swoje miejsce. — Zerknęła na płytę boazerii, kryjącą sekretne drzwi. — Ale muszę przyznać, że sprytny jesteś. — Głos jej spoważniał. — Gdzie ona jest?

Wiedząc, że Barnaba i Kate już prowadzą Elżbietę do bramy, przy której czeka Sokół z końmi, rzekłem:

— Jestem sam. Sam chciałem się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

— Nie umiesz kłamać — odparła. — Nie ujdzie jej to na sucho i nic tu nie poradzisz. Straci tę swoją lekkomyślną głowę tak jak ta ladaczniczka jej matka.

Zignorowałem pogroźki.

— Dlaczego to zrobiliście? — spytałem.

Podniosła jedną brew.

— Dziwi mnie, że musisz pytać. Odsuń się od łoża. I rzuć to... To miecz? — Uśmiechnęła się. — Mój syn Henry i nasi ludzie czekają pod drzwiami i chętnie zajmą się czymś ciekawszym niż wznoszenie toastów za pomyślność Guilforda w łóżku Jane Grey. Jedno słowo, a obedzą cię żywcem ze skóry.

Rzuciłem miecz na dywan przed sobą. Sheltona nie zaszczyliłem spojrzeniem. Rządca stał tyłem do drzwi wejściowych w tej samej postawie, jaką przed chwilą przyjął Barnaba: z muskularnymi rękami założonymi przed sobą na szerokiej klatce piersiowej.

Drań. Nienawidziłem go jak nikogo w życiu, nienawiść płynęła w mych żyłach jak trucizna. Miałem ochotę udusić go gołymi rękami.

Lady Dudley powiedziała:

— Alice, przyrządź miksturę dla jego królewskiej mości.

Zielarka wyjęła z kuferka woreczek, nasypała z niego do kielicha białego proszku.

Nie mogłem na to patrzeć. Ona rzeczywiście zrobiła to wszystko. Okaleczyła Alice, zmusiła ją do trucia króla. Zawsze była skuteczna w działaniu, czy to szło o prowadzenie gospodarstwa domowego, czy o zarządzanie jesiennego uboju świń. Tu też wykazała się skutecznością, co w tym dziwnego? Zastanawiałem się teraz, jak to było możliwe, że przez te wszystkie lata niczego nie podejrzewałem.

To lady Dudley musiała ukartować plan wykluczenia Marii i Elżbiety z sukcesji do tronu. Nieugięcie dążyła do celu: wyniesienia na tron ukochanego syna. Ten cel uświęcał wszelkie środki. Znalazła w przeszłości księżny Suffolk coś, co dało

jej na nią wpływ. Zawarła pakt z diabłem w jednym jedynym celu: zdobyć dla rodziny pełnię władzy.

Księżę, jej mąż, odpłacił jej fałszywą monetą. Z jednej strony realizował jej plany, z drugiej — postanowił sam poślubić Elżbietę i w ten sposób uzyskać koronę dla siebie. Lady Dudley musiała się o tym jakoś dowiedzieć. Odkryła prawdę. Czego jeszcze się dowiedziała? Co jeszcze trzymała w tajemnicy?

Jakby czytając mi w myślach, wygięła bezkrwiste wargi i zaczęła mówić:

— Dwadzieścia lat. Tyle czasu minęło, odkąd trafiłeś do nas. Zawsze byłeś bystry. O wiele za bystry. Alice powiadała, że jeszcze nigdy nie widziała dziecka tak gorliwie chłonnącego wiedzę o świecie. Dobrze się składa, utrzymam cię przy życiu jeszcze trochę, na wypadek gdyby nasza rozeźlona księżna miała nie dotrzymać obietnicy. Ona myśli, że nie żyjesz, a ja wciąż potrzebuję jej współpracy, póki Jane nie zostanie koronowana. Mogę cię jeszcze wykorzystać.

Krople potu wystąpiły mi na czoło, zacisnąłem w dłoni szmaciane zawiniątko. Nie zdradzając ogarniającego mnie strachu, odparłem:

— Okazałbym się może bardziej użyteczny, gdyby wasza łaskawość powiedziała mi wszystko.

— Wszystko? — Popatrzyła na mnie z nikłym błyskiem wesołości w zimnych szarych oczach.

— Tak. — Obręcz ścisnęła mi pierś, jakby zabrakło mi powietrza. — Sprowadzono mnie tu w jakimś celu, prawda? W pałacu Whitehall wasza łaskawość mówiła księżnie o moim... moim znamieniu.

— Ach, więc zrozumiałeś to. Nie przypuszczałam, że do twoich licznych ukrytych talentów należy też znajomość francuskiego. Fascynujące, musiałeś gorliwie się uczyć.

Krople potu spływały mi po twarzy, zbierając się w zagłębieniu pod szyją. Otarta skóra na policzkach piekła od soli.

— Nauczyłem się — rzekłem. — Tak, jestem bystry. A gdybym wiedział, za kogo uważa mnie księżna Suffolk, mógłbym waszej łaskawości pomóc. Moglibyśmy zawrzeć umowę korzystną dla obu stron: waszej łaskawości i mnie.

Próba była żałosna, zrodzona z rozpaczliwej sytuacji. Lady Dudley wyśmiała ją.

— Tak sądzisz? To znaczy, że nie jesteś taki bystry, jak myślałam. Uważasz, że jestem na tyle głupia, by ci zaufać, skoro wiem, że chronisz tę ładacznicę Boleyn? Niemniej jednak rozstrzygnąłeś mój dylemat. Shelton, pilnuj go, bo ja muszę się zająć jego królewską mością.

Podeszła do łoża. Ukradkiem wsunąłem zawiniątko do kieszeni kamizelki, wsunąłem głęboko, aż pod szew, a równocześnie zerkałem na rządcę. Unikał spojrzenia mi w oczy, patrzył w dal, ale wiedziałem, że gdybym tylko spróbował ucieczki, rzuci się na mnie. Miał odruchy żołnierza, więc z pewnym niepokojem zauważyłem, że nie zwraca uwagi na Sidneya, który wysunął się z alkowy. Kotara poruszyła się za nim.

Spojrzałem w stronę łoża. Alice skończyła rozrabiać miksturę w kielichu. Edward nie poruszył się, nie sprzeciwił, gdy lady Dudley pochyliła się, aby poprawić mu poduszki i wygładzić narzutę. Patrzył na nią nieruchomo, wzrokiem pełnym bólu. Ona tymczasem wzięła kielich z rąk Alice i jedną dłoń podłożyła pod głowę króla, unosząc go nieco.

— Pij — powiedziała, a Edward wypił. Uśmiechnęła się. — Teraz odpoczywaj. Niech ci się przyśnią anioły.

Zamknął oczy. Opadł bezwładnie na poduszki. Lady Dudley odwróciła się, odstawiła kielich na stolik i sięgnęła do kuferka z lekami. Wyciągnęła stamtąd coś i zamachnęła się błyskawicznie. Błysnęła stal. Nie rozległ się żaden dźwięk. Strumień szkarłatu trysnął z gardła Alice i ochlapał dywan i łożo. W niemym przerażeniu patrzyłem, jak zielarka osuwa się na kolana, patrząc mi prosto w oczy, a potem upada na podłogę.

— Niiieee!!! — Krzyk, który wyrwał się ze mnie, był jak ryk rannego zwierzęcia. Skoczyłem przed siebie. Shelton rzucił się na mnie, chwycił za lewą rękę i wykręcił ją do tyłu. Krzyk uwiązł mi w gardle; szarpiący ból był nie do zniesienia.

— Nie wtrącaj się — wysyczał mi do ucha. — Spokojnie. Nic nie poradzisz.

Dyszałem ciężko w bezsilnej złości. Lady Dudley rzuciła zakrwawiony nóż i przestąpiła drgające jeszcze w konwulsjach ciało ochmistrzyni Alice. Krew wypływała tętniącym strumieniem, rozlewając się ciemną plamą na dywanie.

— Zabij go — powiedziała do Sheltona.

Kopnąłem za siebie z całej siły. Poczujęm, że moja pięta trafiła w goleń rządcy. Równocześnie rąbnąłem go łokciem w klatkę piersiową. Jakbym uderzał skałę. Ale jednak z pełnym zaskoczenia stęknieniem Shelton mnie puścił.

Sidney chwycił z podłogi miecz i rzucił mi go. Skoczyłem ku alkowie, kotarą, która ją zasłaniała, poruszał teraz powiew wiatru. Usłyszałem okrzyk lady Dudley, trzask otwieranych drzwi, wściekłe krzyki. Nie oglądałem się jednak, żeby zobaczyć, kto wpada do środka.

Usłyszałem huk i gwizd. Koło ucha przeleciała mi kula i wbiła się w ścianę. Któryś z ludzi Dudleyów, albo i sam Henry, miał rusznicę. Broń palna, choć groźna, była nieporęczna w ciasnej przestrzeni. Wiedziałem, że teraz trzeba dobrej minuty, aby ją ponownie naładować i zapalić lont. To mi da dość czasu.

Wdrapałem się na parapet, przecisnąłem przez otwarte okno. Z mieczem w dłoni i sercem w gardle skoczyłem w noc.

Spadłem z łomotem na łupkowe płyty płaskiego daszku piętro niżej. Miecz wypadł mi z dłoni, zsunął się z krawędzi i dzwięcząc, uderzył w bruk dziedzińca poniżej. Leżałem, w głowie mi się kręciło, byłem pewien, że połamałem sobie nogi przy upadku. Potem jednak okazało się, że mogę nimi

poruszać, choć bołą. Zerknąłem do góry, na okno, z którego wyskoczyłem. W samą porę, by zobaczyć wysuwającą się lufę rusznicy, która wypluła obłoczek dymu.

Przeturlałem się na bok. Kula uderzyła w to miejsce, gdzie się przed chwilą znajdowałem, i odbiła się rykoszetem.

— Niech to szlag! — usłyszałem głos Henry'ego Dudleya. — Chybiłem. Ale nie bójcie się. Dopadnę go.

Lufa się schowała. Wstałem z trudem. Rozpłaszczyłem się przy ścianie i rozejrzałem. Zrobiło mi się słabo. Nie było stąd wyjścia. Był to rodzaj parapetu z ozdobną balustradą, dekorowaną stiukowymi nimfami, biegł równolegle do wewnętrznej galeryjki. Na dalszym końcu widziałem okno i wieżyczkę bramy wodnej. Za chwilę moi prześladowcy zbiegną z góry po schodach i wykończą mnie tu.

Nie mam się stąd jak wydostać.

Myśl! Nie wpadaj w panikę. Oddychaj. Zapomnij o wszystkim innym. Zapomnij o ochmistrzyni Alice. O krwi wsiąkającej w dywan.

Po lewej stronie wznosił się zniszczony dach wieży, w której znajdowało się tajne przejście. Z prawej była brama wodna. Zacząłem przesuwac się w tamtą stronę, unikając światła padającego z okna powyżej. Niewiele wiedziałem o broni palnej, ale Shelton ją znał, bo brał udział w wojnach szkockich. Wspominał mi kiedyś, że to bardzo prymitywny oręż, znany z małej celności; często się też zdarza, że źle ubity proch spala na panewce. Nie mogłem jednak na to liczyć. Instykt kazał mi oddalić się jak najbardziej od okna.

Dobrze, że go posłuchałem. Strzelba wypaliła znowu. Tym razem Henry okazał się znacznie lepszym strzelcem: kula trafiła w maszkaroną tuż nad moim barkiem. Kawałki tynku obsypały mi twarz. Dopiero jak poczułem ciepły strumyczek krwi, uświadomiłem sobie, że pocisk mnie drasnął.

— Trafiłeś go! — zawołał Henry z radosnym rechotem. To znaczyło, że strzelał ktoś inny. Przesuwałem się dalej.

Moja ucieczka musiała ich bardzo zaskoczyć. Dziwiłem się, że nie zorientowali się jeszcze, że znacznie łatwiej byłoby mnie trafić z galeryjki.

Lufa schowała się znowu. Przyspieszyłem kroku, zbliżałem się do okna. Miałem nadzieję, że da się otworzyć. Bolały mnie nadwerężone skokiem nogi i draśnięcie na barku. Czułem, że słabnę. Usłyszałem jeszcze jeden strzał, kula gwizdnęła mi tuż nad głową. Sunąłem dalej, rozpłaszczony przy ścianie.

Nagle okno się otworzyło. Zatrzymałem się, ujrawszy postać, która z kocią zręcznością wskoczyła na parapet. Zatrzymała się. Padł jeszcze jeden strzał, posypał się tynk. Postać się odwróciła. W świetle księżyca dostrzegłem błysk ciemnych oczu. Postać zaczęła się przesuwać. W moją stronę.

Całe ciało sprężyło mi się ze strachu. Z podziwem patrzyłem, że ten człowiek zupełnie nie baczy na własne bezpieczeństwo. W tych trudnych sekundach miotają mną sprzeczne wrażenia. Po pierwsze, zwróciłem uwagę, że poruszał się, jakby całe życie nie robił nic innego, tylko skakał po dachach. Po drugie, nie wiadomo było, czy znalazł się tu, aby skończyć robotę Dudleyów, czy też po to, aby mnie uratować. Kiedy jednak zauważyłem wygięty nóż w dłoni odzianej w rękawiczkę, uznałem, że nie warto czekać, aby się przekonać, który domysł jest słuszny. Na szczęście zdołałem już dotrzeć wystarczająco blisko bramy wodnej. Gdyby nie to, pewnie nie miałbym okazji żałować błędu.

Odbiłem się, wkładając w to wszystkie siły, jakie mi zostały. Skoczyłem w nicość.

R O Z D Z I A Ł X X

Wpadłem do wody stopami. W czasie skoku byłem wyprężony jak struna, wiedziałem, że jeśli uderzę w powierzchnię wody inaczej, mogę zginąć. I tak uderzenie było silne, wypchnęło mi powietrze z płuc. Zacząłem młócić wodę, chcąc się wydostać na powierzchnię. Słonawa woda i wzniesiony z dna muł zatkały mi nozdrza, usta, uszy. Zakrztusiłem się, próbowałem jakoś wyrwać się z odmętów.

Porwał mnie bystry prąd, powierzchnia wody usiana była gałęziami i liśćmi. Jakiś wzdęty trup zwierzęcia tańczył na falach niedaleko, zanurzał się i wypływał. Nurt niósł mnie wraz z tym trupem i innym szczątkami, ale głowę udawało mi się utrzymywać na powierzchni. Zdrętwiały mi lewy bark i cała lewa ręka. Obejrzałem się na szybko oddalający się pałac. Wyobraziłem sobie, że mój domniemany napastnik musiał się mocno zdziwić, gdy skoczyłem. Stąd mogłem widzieć, jaki to był karkołomny skok. To cud, że przeżyłem. A teraz wygląda na to, że utonę.

Próbowałem wydostać się z nurtu, ku kępie drzew na brzegu, jak najdalej od cuchnących zwłok. Moje położenie było nie do pozazdroszczenia. Byłem ranny, a przynajmniej draśnięty kulą, i bez wątpienia się wykrwawiałem. Z zimna oddychałem z trudem, niełatwo też było mi się poruszać. Kręciło

się w głowie, serce waliło, a gdzieś z głębi duszy wypływała myśl, by zaprzestać tej beznadziejnej walki, dać się unieść, odpocząć.

Brzeg był wciąż daleki i nieuchwytny jak fatamorgana. Wpatrywałem się weń słabnącym wzrokiem, zanurzony w lodowatym, dławiącym kokonie. Zmęczone ramiona, których wysiłek zdawał się na nic, w końcu odmówiły posłuszeństwa. Ogarnięty panicznym strachem zacząłem młócić nogami. Nic. Miałem wrażenie, że nic się nie dzieje. Zrozpaczony kopnąłem mocniej. Coś trzymało mnie za kostki.

— Nie. Tylko nie tak — szepnąłem. — Boże, nie. Nie.

Minęła wieczność. Spróbowałem podkurczyć nogi i zdrętwiałymi rękami odpłatać to, co się owinęło mi wokół kostek. Poczułem się lepiej. Krew zaczęła żywiej krążyć. Chłód rozluźnił swój palący uścisk. Westchnąłem. To tylko pasmo wodorostów czy kawałek starej liny...

Była to ostatnia myśl, nim woda zamknęła się nad moją głową.

Bębnienie deszczu, przerywane odgłosem, jakby ktoś rzucał na dach garście żwiru, było pierwszym dźwiękiem, który usłyszałem. Pierwszą oznaką, że w jakiś cudowny sposób ocalałem, żyję. Rozwarłem sklezione powieki, spróbowałem unieść głowę. Łupanie w skroniach i fala mdłości kazały mi opaść z powrotem na poduszkę.

Gdy zawrót głowy nieco zelżał, niepewnie podniosłem przykrywające mnie prześcieradło. Wyglądało na to, że jestem cały, choć pokiereszowany. Miałem na sobie czyste lniane kalessony, a posiniaczona i podrapana klatka piersiowa była naga. Spróbowałem poruszyć lewą ręką, ale poczułem ostry ból w zabandażowanym barku. Rozejrzałem się. Znajdowałem się w nieznanym pomieszczeniu. Pod drzwiami, na rozłożonym na podłodze tataraku, spał szarosrebrny pies.

— Pilnuje mnie — mruknąłem do siebie.

Znów ogarnęła mnie senność. Zasnijając, pomyślałem, że ten pies zadziwiająco przypomina psa Elżbiety.

Gdy obudziłem się znowu, do izby wpadały pasma słońca, przesiane przez szpary w okiennicach. Psa nie było. Okazało się też, ku mojej uldze, że nie jestem już tak sztywny i obolały. Mogę usiąść, choć nie bez kłopotu. Wysunąłem spod głowy poduszkę i usiadłem. Oparłem się plecami o glinianą ścianę. Dotknąłem palcami zranionego ramienia. Bandaże były miękkie w dotyku. Przesiakał przez nie jakiś oleisty balsam. Ktoś najwyraźniej zadbał nie tylko o moją higienę osobistą, lecz także zajął się opatrzaniem i leczeniem moich ran.

Zerknąłem ku oknu, przez półprzymknięte okiennice widziałem, że słońce chyli się ku zachodowi. Słyszałem kapanie wody w rynnach. Ukośny strop wskazywał na to, że znajduję się na poddaszu. Zastanawiałem się, kiedy ukaże się mój wybawca. Pamiętałem swój skok w mroczną przepaść, uderzenie o czarną wodę. Majaczyły mi fragmenty mojej walki z nurtem. A co potem? Nie miałem pojęcia, co było dalej, jak mnie uratowano, skąd się wziąłem tutaj.

Powieki znów zaczęły mi opadać. Zamrugąłem. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Mimo mych starań senność wzięła górę. W pewnej chwili poderwało mnie skrzypienie drzwi. Wyprostowałem się. Gdy zobaczyłem, kto wchodzi z tacą, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

— Miło mi widzieć, że się ocknąłeś. — Przysunęła do łóżka zydę i postawiła na nim tacę. Miała na sobie rdzawego koloru suknię, pod nią luźne gieżło. Kosmyki połyskliwych włosów wiły się wokół twarzy. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że mimo mojego stanu zdrowia moje lędźwie reagują na jej bliskość.

Zdjęła pokrywę z tacy. Rozeszła się woń świeżego chleba i gorącej zupy. Ślina napłynęła mi do ust.

— Boże — odezwałem się nieswoim ochrypłym głosem — ale jestem głodny.

— Nic dziwnego. — Kate rozwinęła serwetę, pochyliła się i zawiązała mi na szyi. — Leżysz tu od czterech dni. Już się baliśmy, że się nigdy nie ockniesz.

Cztery dni... Spuściłem oczy. Nie wiem, czy chciałem sobie wszystko przypominać.

— A ty byłaś tutaj cały czas? Opiekowałaś się mną?

Oderwała kilka okruchów chleba, wrzuciła do zupy, nabrała łyżkę, podmuchała, żeby ochłodzić, i podniosła do mych ust.

— Tak. Nie przejmuj się. Wyglądasz jak każdy inny nagi mężczyzna.

Czyżbym był tak posiniaczony, że nie zauważyła znamienia na biodrze? Czy może po prostu taktownie o tym nie wspomina? Przyglądałem się jej i traciłem głowę.

— Zupa jest pyszna — rzekłem.

— Nie zmieniaj tematu. — Zmrużyła oczy. — Co cię napadło, żeby zostawać w komnacie, zamiast uciekać razem z jej wysokością i Barnabą? Trzeba ci wiedzieć, że ryzykowaliśmy życie, czekając na ciebie przy bramie. Jej wysokość nie chciała bez ciebie odjeżdżać. Powtarzała, że zaraz dołączysz, tylko się dowiesz czegoś od tej kobiety, którą rozpoznałeś, tej zielarki, która zajmuje się jego królewską mością. Dopiero gdy usłyszeliśmy strzały i zobaczyliśmy wybiegających ze wszystkich drzwi pachołków książeńcych, zgodziła się odjechać. Ale z wielką niechęcią. Powiedziała, że to tchórzostwo, zostawić cię tak na pastwę księcia.

— Zdołała uciec? Jest bezpieczna? U siebie w zamku?

Kate nabrała następną łyżkę zupy.

— Bezpieczeństwo to pojęcie względne. Oficjalnie poinformowano, że wróciła do Hatfield i leży złożona gorączką. Choroba w dzisiejszych czasach działa odstraszaingly, ludzie boją się zarazy. Oczywiście w sąsiedztwie Hatfield nie brakuje życzliwych domów, w których królowna może się schronić, w razie gdyby dostrzeżono na drodze ludzi księcia.

— A ty? — spytałem. — Dlaczego nie jesteś z nią?

— Żeby się tobą opiekować, oczywiście. Sokół sam nie dałby sobie rady.

— To Sokół mnie znalazł?

— Tak, nad rzeką. Opowiadał nam, że kiedyś żył z wyławiania topielców z Tamizy. — Zamilkła. Gdy odezwała się znowu, jej głos lekko drżał. — Powiedział, że musimy szukać do skutku, bo zawsze w końcu wszystko wypływa. Nie mylił się. Zaniósł cię w górę wsteczny prąd wywołany przypływem. Wyrzuciło cię na zakręcie rzeki. Byłeś przemoczony, ranny, gorączkowałeś. Ale żywy.

— A ty przywróciłaś mnie do zdrowia. — Usłyszałem w swym głosie powątpiewanie. To chyba moja druga natura: wątpić nawet w to szczęście, które mi dopisało. — Dlaczego się mną zajątaś? Skłamałaś mi, że nie jesteś na usługach Cecila. Cóż cię interesowało, czy żyję, czy umarłem, póki tylko wypełniałaś rozkazy?

Odłożyła łyżkę, wytarła mi usta i brodę serwetką. Gdy przemówiła, ton miała rzeczowy.

— Wybacz, że nie powiedziałam ci całej prawdy. Nie chciałam cię narażać na niebezpieczeństwo. Jestem lojalna tylko wobec jej wysokości, choć ona ma skłonność do narażania się i należy ją chronić przed samą sobą. Gdy Walsingham poinformował mnie, że sekretarz Cecil jest zdania, iż Elżbietę należy trzymać z dala od Greenwich, zgodziłam się w tym pomóc. Nie mówiłam ci, bo powiedziano mi, że ty masz własne zadania. Powiedziano mi, że zostałeś wynajęty i opłacony. — Zamilkła na chwilę. — Nie spodziewałam się ciebie w Greenwich. Ale się cieszę. Cieszę się... cieszę, że cię widzę.

Obserwowałem jej twarz. Zrozumiałem, że mówi prawdę. W miarę jak docierały do mnie wydarzenia ostatnich dni, zaczął we mnie narastać żal i gniew. Nie chciałem komplikacji. Nie potrzebowałem obciążeń ani złamanego serca. Gdybym

sobie pozwolił na uczucia wobec niej, naraziłbym się właśnie na komplikacje, obciążenia i kłopoty sercowe.

— Owszem, Walsingham wydawał mi polecenia — odparłem. — I otrzymałem zapłatę. Ale wiedziałem, że jeśli jej wysokość będzie uparcie realizowała swój plan spotkania z lordem Robertem, to narazi się na dodatkowe niebezpieczeństwo, jeszcze większe niż to, na które już się naraziła. I dziwi mnie to, że nikt poza mną tego nie dostrzegł.

— A co mieliśmy twoim zdaniem robić? — Jeśli nawet dostrzegła szorstkość mojego tonu, nie pokazała tego po sobie. — Zależało jej na tym, żeby wypytać Roberta o jej brata, i nie chciała słyszeć o rezygnacji z tego pomysłu. Nikt nie wiedział, że książę zamierza oświadczyć się królownie ani że ma w planie osadzenie na tronie Jane Grey, jeśli dostanie kosza.

To było przekonujące. Moje podejrzenia są nieuzasadnione, przynajmniej w stosunku do Kate. Ona nie mogła być wmieszana w jakąkolwiek intrygę przeciwko Elżbiecie.

Uśmiechnęła się łagodnie, jakby czytała w moich myślach. Wiedziała, jak poruszyć we mnie czułą strunę, tak jak wirtuoz wie, jak wydać dźwięk z lutni. Próbując niezgrabnie pokryć zmieszanie, powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy:

— Nie przystoi wystawiać na próbę nieodzianego mężczyznę.

Roześmiała się.

— Jakoś dotąd ci to nie przeszkadzało.

Miałem łzy pod powiekami. W jakiś dziwny, nieokreślony sposób nasuwała mi na myśl ochmistrzynię Alice jeszcze sprzed czasów, gdy ją znałem: szczerą i uczciwą dziewczę o rumianych policzkach. Gdy o tym pomyślałem, znów ujrzałem ten tryumfalny wyraz w oczach Alice, gdy spojrzała na mnie znad łóżka króla. Chciała mi coś powiedzieć, ale co — już nigdy się nie dowiem. Napotkałem wzrok Kate.

— Niewiele brakowało, a byłbym zginał... — Zająknąłem się. Sprzeczne emocje znów dały o sobie znać, bez ostrzeżenia

pograżając mnie w ciemności. — Gdzie jesteśmy? — spytałem nerwowym szeptem.

— W siedzibie ziemiańskiej niedaleko Greenwich. Dlaczego pytasz?

— Czyj to dwór? Kto tu jeszcze mieszka?

Zmarszczyła czoło.

— To prywatna własność jej wysokości, wydzierżawiona przyjaciołom. Mieszkamy tutaj sami, jest jeszcze Sokół. Zagląda czasami Walsingham. Był tu dzisiaj, dopytywał się o twoje... Brendanie, co ci się stało? O co chodzi?

Nie zdawałem sobie sprawy, że wzdrygnąłem się na wzmiankę o Walsinghamie, póki nie zobaczyłem zaniepokojenia na jej twarzy.

— To jego widziałem na dachu. Walsinghama. Miał sztylet. Dlatego właśnie skoczyłem. Przypomniałem sobie teraz. Cecil zorganizował ucieczkę jej wysokości, ale ja miałem zginąć. Wysłał Walsinghama, żeby mnie zabił.

— Nie — odparła uspokajająco. — Całkiem źle to zrozumiałeś. Walsingham chciał ci pomóc. Przecież nie wiedzielibyśmy, że mamy cię szukać w rzece, gdyby to on nam nie powiedział, że wskoczyłeś. Mało tego, przyniósł tu nawet twój miecz, który upadł ci na dziedziniec.

— Może nie miał innego wyjścia! Miecz był dowodem, że widziałem Edwarda. Mogłem przeżyć skok, no i przeżyłem.

— Ale nikt by cię nie znalazł w tym nurcie. Byłeś ranny. Nogi miałeś zaplątane w wodorosty i jakieś sznury. Utonąłbyś jak nic, gdyby nie on. — Zamilkła, by podjąć po chwili: — Cecil powierzył Walsinghamowi twoje bezpieczeństwo. Cały czas cię pilnował. I dlatego wyszedł na ten daszek. Kiedy nie pojawiliśmy się od razu przy tylnej bramie, wyśledził nas.

Zaśmiałem się szorstko.

— Ciekaw jestem, gdzie był, kiedy księżna Suffolk i jej pachołek zamykali mnie w podziemnej celi, gdzie się miałem utopić. — Mówiąc to, przypomniałem sobie o mojej kamizel-

ce, którą zostawiłem koło pawilonu, a która w niewyjaśniony sposób zmaterializowała się koło wejścia do zrujnowanego klasztoru, gdzie ją znalazł Sokół. Co ten chłopak powiedział? „Gdybyśmy nie znaleźli tej kamizelki, nie przysłoby nam do głowy tu zaglądać...”

— Sokół nam o tym opowiadał — rzekła Kate. — W chwili gdy cię porwano, Walsingham szykował konie, z których w końcu nie skorzystaliśmy. Przecież nie możesz go o to winić?

— Nie mogę — przytaknąłem. — Chyba że weźmie się pod uwagę, że wszyscy, których poznałem na dworze, nie mówią już o tych, których znałem od dziecka, okazali się fałszywi.

Od razu pożałowałem tych słów. Kate przygryzła wargę.

— Przykro mi — mruknęła, wstając.

Chwyciłem ją za rękę.

— Nie. To mnie jest przykro, przepraszam. Ja... Nie chciałem tego powiedzieć.

Spojrzała na moją dłoń, trzymającą jej rękę, a potem przeniosła wzrok na mnie.

— Chciałeś. — Wysunęła swoją rękę. — Rozumiem. Tamta kobieta... Barnaba powiedział, że to była zielarka sprowadzona przez Dudleyów, żeby otruła jego królewską mość. Powiedział, że ją znałeś. Okłamano cię, powiedziano, że nie żyje. Nic dziwnego, że jesteś rozżalony i zły.

Żal ścisnął mnie za gardło. Odwróciłem twarz, bo czułem, że pod powiekami palą mnie łzy. Nie zauważyłem więc, że Kate sięga do kieszeni, poczułem tylko, że wsuwa mi coś do ręki. Kiedy zobaczyłem, co to jest, zamarłem.

— Znalazłam to w twojej kamizelce. Pozwoliłam sobie trochę oczyścić. To piękna rzecz, choć dziwna. — Podniosła tacę i podeszła do drzwi. — Wrócę za parę godzin z wieczszą. Odpoczywaj. — Zamknęła drzwi.

Przyglądałem się darowi Alice. To był misterny, wykonany ze złota płatek kwiatu. Jedna krawędź była postrzępiona, co

wskazywało, że kiedyś odłamano go z większej sztuki biżuterii. Na czubku, niby kroplę rosy, miał osadzony rubin. Nie widziałem nigdy czegoś takiego. Nie sądziłem, że Alice mogła coś takiego mieć.

Zamknąłem złoty płatek w dłoni. Zmierzch przechodził w noc.

Nie walczyłem ze smutkiem, który mnie ogarnął.

ROZDZIAŁ XXI

Kate przyniosła mi odzienie i tacę z jedzeniem: mięsem i warzywami. Przeszedł z nią uśmiechnięty od ucha do ucha Sokół. Przytaszczył rozstawiany stolik. Ustawił go i wyszedł. Wrócił z moją sakwą i królewskim mieczem w pochwie, który po raz ostatni widziałem, jak spadał z dachu w Greenwich. Otworzyłem sakwę, przejrzałem zawartość. Z ulgą odetchnąłem, znalazłszy zawinięty w szmatkę psalterz, który wyniosłem z zamku Dudleyów.

Zwróciłem się do Kate. Przebrała się: teraz miała na sobie aksamitną suknię, której różowy kolor podkreślał złote błyski we włosach dziewczyny. Kate zapalała świece, a ja musiałem przyznać, że nie marzę o niczym innym, jak o wzięciu jej w ramiona i odpędzeniu pieszczołami ostatków nieufności. Tymczasem Sokół domagał się mojej uwagi. Skakał wokół mnie niczym jakiś przerośnięty chochlik. Srebrnoszary pies Elżbiety nie odstępował go na krok.

— Wyglądasz na zadowolonego — powiedziałem, gdy pomagał mi wstać i ubrać się w długą koszulę. — Czy to nie jest pies jej wysokości? Ukradłeś go?

— Ależ skąd. Jej wysokość zostawiła nam Uriana, żebyśmy cię wytropili. To najlepszy tropiciel w jej psiarni, tak

powiedziała. A ona zna swoje psy. To on cię wywęszył na brzegu rzeki. — Przerwał na chwilę, zmarszczył nos. — Co ty, Brendanie, masz z tą wodą? Odkąd się poznaliśmy, ciągle wpadasz do wody.

Wybuchnąłem śmiechem. Poczułem się świetnie. Wziąłem Sokół za rękę i powolutku podszedłem do stołu.

— Humor dopisuje jak zawsze — powiedziałem, opadając z ulgą na krzesło. — Cieszę się, że ze mną jesteś, przyjacielu. — Zerknąłem na Kate. — I ty także. Dziękuję Bogu za was oboje. Uratowaliście mnie. Zaciągnąłem u was dług nie do spłacenia.

W oczach Kate zalśniły łzy. Otarła je jednak rękawem, a Sokół przycupnął przy mnie.

— Nie jestem zupełnie bezsilny. Potrafię sam jeść — powiedziałem, gdy Sokół podawał mi talerz.

Kate pogroziła palcem.

— Sokół nie musi cię karmić. Rozpieściliśmy cię. Sokole, albo każesz temu psu, żeby przestał kłaść łapy na stole, albo wyrzucę was obu do kuchni.

Wieczera przy świecach minęła nam wśród śmiechów i przekomarzań. Dopiero gdy już wytarliśmy chlebem ostatki sosu z talerzy, a Sokół po raz setny opowiedział, jak on i Barnaba, korzystając z talentu węchowego Uriana, wytropili mnie na brzegu rzeki, przeszedłem do poważniejszych tematów. Oparłem się wygodniej i zapytałem niby od niechcienia:

— A gdzie jest Fitzpatrick?

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero szelest spódnicy Kate, gdy wstała i zabrała się do sprzątanego ze stołu. Sokół nachylił się i pogłaskał Uriana.

— Król nie żyje, prawda? — zapytałem.

Kate znieruchomiała. Sokół pokiwał głową ze smutkiem.

— Jeszcze nie ogłoszono tego oficjalnie, ale pan Walsingham powiedział nam, że jego królewska mość oddał du-

cha wczoraj. Barnaba wrócił na dwór natychmiast po tym, jak cię znaleźliśmy. Chciał być u boku króla do końca. Podobno w godzinie śmierci Edwarda niebiosa zapłakały.

Deszcz. Słyszałem go.

Wróciło do mnie wspomnienie tego młodzieńca, rozkładającego się za życia w cuchnącej komnacie; spojrzałem na miecz leżący na łóżku. W gardle mnie ścisnęło.

— A zielarka? Czy Walsingham mówił coś o niej?

— Brendanie, proszę cię, zapomnij o tym. Jest za wczesnie. Jesteś jeszcze słaby — mówiła Kate.

— Nie. Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć.

— A zatem ci powiem. — Usiadła koło mnie. — Nie żyje. Według tego, co Sidney powiedział Walsinghamowi. Jej ciało zabrano. Nikt nie wie dokąd. Dudleyowie grozili Sidneyowi śmiercią za to, że ci pomógł, ale potem rozeszła się wieść, że Elżbieta uciekła, i w pałacu zapanowało zamieszanie. Brendanie, usiądź z powrotem. Nie masz siły...

Wstałem. Walcząc z zawrotami głowy, podszedłem do okna i wyjrzałem w noc. Moja wierna Alice nie żyje. Tym razem odeszła na zawsze. Lady Dudley poderżnęła jej gardło jak rzeźnemu zwierzęciu i pozwoliła się jej wykrwawić. Nie mogę o tym myśleć. Nie mogę. Zaraz oszaleję.

— A co z Jane Grey? — zapytałem cicho. — Ogłoszono ją królową?

— Jeszcze nie. Ale księżę zabrał ją wraz z Guilfordem do Londynu. Ludzie gadają, że posłał swoich ludzi, aby schwytali królową Marię.

— Myślałem, że już ją mają. Zdawało mi się, że lord Robert miał ją ująć.

— Wygląda na to, że nastąpiła jakaś zwłoka. Przypuszczalnie gdy zorientowali się, że Elżbieta uciekła z Greenwich, chcieli najpierw przenieść lady Jane w bezpieczne miejsce. To teraz ich jedyny atut.

Kiwnąłem głową.

— Sokole — powiedziałem — czy możesz zostawić nas samych?

Chłopiec wstał i wyszedł, a Urian podreptał za nim. Patrzyliśmy na siebie z Kate. Po chwili wzięła tacę.

— Porozmawiamy jutro.

Postąpiłem krok ku niej.

— Dobrze. Ale... nie wychodź. — Głos mi się załamał.
— Proszę cię.

Podeszła do mnie i położyła rękę na moim policzku pokrytym kilkudniowym zarostem.

— Masz rudą brodę — powiedziała. — A jaką gęstą. Nie przypuszczałam, że masz taki gęsty zarost.

— A ja nie podejrzewałem — szepnąłem — że ci na mnie zależy.

Popatrzyła na mnie przeciągle.

— Ja też nie. Ale okazało się, że jest inaczej.

Przyciągnąłem ją do siebie, przycisnąłem, jakbym chciał się z nią złączyć na zawsze.

— Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło — powiedziałem.

— Nigdy? — Podniosła na mnie szczerze zaskoczony wzrok.

— Nie — odparłem. — Kochałem tylko jedną kobietę...

— Pogłodziłem ją po policzku. — A ty?

Uśmiechnęła się.

— Oczywiście zalotnicy błagali o moją rękę od dziecka.

— Dopisz mnie do listy. — Przyszło mi to powiedzieć łatwiej, niż sądziłem. Nigdy przedtem nie byłem zakochany. Teraz wydawała mi się to najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Popatrzyła mi w oczy.

— Czy musimy czekać tak długo?

Wzięła moje dłonie, poprowadziła je do gorsetu. Rozwiązałem rzemyki. Gorset zsunął się z ramion. Po chwili na podłogę opadły spódnice, a za nimi gieżło. Stała przede mną naga w pełgającym blasku płomyków świec i srebrnej

księżycowej poświacie z za okna. Upragniona jak jeszcze żadna kobieta.

Przygarnąłem ją do siebie, wtuliłem twarz w piersi. Wydała stłumiony okrzyk, gdy zaniósłem ją do łóżka. Przyglądała mi się, jak się zmagam z długą koszulą. Widząc, że idzie mi z trudem, podniosła się na kolana i pomogła mi ją ściągnąć przez głowę. Bolało mnie ramię. Zmarszczyła brew, widząc na bandażu plamę świeżej krwi.

— Powinam ci zmienić opatrunek — powiedziała.

— To może poczekać — odparłem, przyciskając usta do jej ust.

Odsunąłem się od niej po chwili, a ona wędrowała wzrokiem po mojej klatce piersiowej, brzuchu. Zerknęła na znamię na biodrze. A potem przeniosła spojrzenie niżej. Położyłem się obok niej. Nie zmyliła mnie aura pewności siebie, jaką starała się roztoczyć. Czułem pod dłonią, że jej tętno szaleje. Domyśliłem się, że nawet jeśli miała pewne doświadczenia cielesne, jak to bywa na dworze, to nigdy nie posunęła się do końca.

Po chwili przekonałem się, że i ja nic nie wiem o miłości cielesnej. Przywieraliśmy do siebie, smakowaliśmy swych ciał w rozgorączkowaniu; uprzytomniłem sobie, że to jest coś, czego się nie da porównać z pośpiesznym obłapianiem ze służką z zamku czy dziewczkami na targach. To była modlitwa jak w świątyni, póki pożądanie w oczach Kate nie rozpaliło się płomieniem, a ona sama nie zaczęła dygotać, unosząc się naprzeciw memu żarowi. Krzyknęła raz, miękko.

Gdy fala opadła, wtuliła się w me ramiona.

— Czy cię bolało? — wyszeptałem.

Zaśmiała się drżąco.

— Jeśli to był ból, to pragnęłabym, aby mnie zawsze bolało. — Położyła dłonie na mej piersi, pod jej palcami biło moje serce. — Wszystko, czego pragnę, jest tutaj.

Uśmiechnąłem się.

— Niech ci będzie, ale i tak zamierzam cię poprowadzić do ołtarza.

— Jeśli chcesz wiedzieć — powiedziała — mam osiemnaście lat. Mogę sama podejmować decyzje. I wcale nie jestem pewna, czy mi się spieszy do ołtarza.

Zachichotałem.

— Jak już będziesz pewna, to daj znać. Muszę poprosić o błogosławieństwo jej wysokość Elżbietę, jesteś przecież jej damą dworu. No i twoją matkę też pewnie wypadałoby zaprosić.

Westchnęła.

— Matuchna nie żyje. Ale na pewno byś jej przypadł do gustu. — Wyczułem w jej głosie zapiekły ból.

— Przykro mi. Czy dawno odeszła?

— Kiedy miałam pięć lat. — Uśmiechnęła się. — Była tak młoda, gdy się urodziłam: czternaście wiosen.

— A ojciec? Też był taki młody?

Spojrzała na mnie spod oka.

— Jestem bękartem. A on nie był taki młody. Nie tak młody jak ona.

— Rozumiem. — Nie przestawałem patrzeć jej w oczy.

— Opowiesz mi?

Przez chwilę milczała. Potem rzekła:

— To nie był romans. Moja matka była córką służących w domu Williama Careya i jego żony Marii z domu Boleyn. Rodzice matki zmarli w czasie epidemii angielskich potów, która również zabrała męża Marii. Maria wyszła za mąż ponownie, za Williama Stafforda. Pani Stafford nie była zamożna. Jej nowy mąż był zwykłym żołnierzem. Ona miała dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, na szczęście jednak otrzymywała rentę, a jej zmarły pierwszy mąż zapisał jej dom. Lubiła moją matkę i zaproponowała jej, by u nich służyła.

— Czy ta Maria była siostrą Anny Boleyn?

— Tak, ale nie była taka dumna jak siostra, niech spoczywa w spokoju. Matka zorientowała się że jest brzemienna, gdy zaczęły jej dokuczać poranne wymioty. Była przerażona. Pani Stafford jednak nie potępiła jej. Wiedziała, jaki ciężki jest los kobiety, więc wysłała moją matkę, żeby zamieszkała u lady Mildred Cecil. Urodziłam się w domu Cecilów.

To wyjaśniało związki Kate z sekretarzem. Wychowała się pod jego dachem.

— Czy pani Stafford wiedziała, kto był twoim ojcem? — spytałem.

— Pewnie podejrzewała. Matka nigdy głośno nie wymieniła jego nazwiska, ale w domu nie było innych mężczyzn w odpowiednim wieku. Maria musiała być głęboko zraniona. Była jego żoną niecały rok, a wyszła za niego wbrew woli rodziny i zapłaciła za to odsunięciem od dworu. — Kate usiadła, odgarnęła włosy. — On jeszcze żyje. Widziałam go na pogrzebie pani Stafford. Mam po nim oczy.

Nic nie mówiłem. Uderzyły mnie podobieństwa, jakie były między nami. I różnice.

— Oczywiście pani Stafford była wyrozumiała dla męża — dodała. — Sama była metresą króla Henryka, zanim jej siostra Anna wpadła mu w oko. Wiedziała, że wierność jest wśród mężczyzn rzadką cnotą i że żadna niewiasta nie jest wyłącznie odpowiedzialna za swój los. Pozwoliła matce utrzymać tajemnicę i wychować mnie samodzielnie. Nie robiła trudności. Wysłała nas do Cecilów. Chciała, żeby matka miała bezpieczne schronienie, no i wolała ją trzymać z dala od męża. — Zadumała się na chwilę. — Wszystko zawdzięczam Marii Stafford. To dzięki jej wspaniałomyślności moja matka nie skończyła na bruku. Dobrze żyliśmy, ja miałam szczęśliwe dzieciństwo. Otrzymałam wykształcenie. Zadbała o to lady Mildred, która sama była uczoną kobietą. Jestem jedną z niewielu dam dworu królowy Elżbiety, która umie czytać

i pisać. Dlatego jej wysokość mi ufa. Mogłam zapisać list, mogłam go odczytać.

— Rozumiem — powiedziałem. — A jak zmarła twoja matka?

— Zaraziła się czymś. Zmarła szybko, nie cierpiała. Po śmierci matuchny widziałam się kilka razy z panią Stafford. Zawsze była dla mnie łaskawa. Zmarła trzy lata później.

— A mężczyzna, który jest najpewniej twym ojcem... Co z nim? — dopytywałem.

— Ożenił się ponownie. Ma dzieci. Nie winię go. Uwiódł moją matkę w porywie namiętności, nie myślał o konsekwencjach. Jeśli nawet wie o moim istnieniu, nie dał mi tego odczuć. Jest nieobecny w moim życiu. Ale używam jego nazwiska. Tyle przynajmniej mi się od niego należy — dorzuciła z figlarnym uśmiechem. — Chociaż Staffordów w Anglii są setki. — Dźgnęła mnie palcem w pierś. — Teraz twoja kolej. Wypowiadaj się. — Po mojej minie zorientowała się, że nie jest dobrze. Patrzyła mi chwilę w oczy. — Wybacz, czasami coś powiem, zanim pomyślę. Jeśli nie chcesz opowiadać, rozumiem.

Położyłem dłoń na jej policzku.

— Nie, nie chcę żadnych tajemnic między nami. — Zrobiłem pauzę. — Ale prawda jest taka, że ja nie wiem, kto jest moją matką. Jestem podrzutkiem. Wychowała mnie ochmistrzyni Alice.

— Podrzutkiem? — powtórzyła po mnie.

Kiwnąłem głową i czekałem, aż pozbiera myśli.

— A zatem ta Alice... ta zielarka króla...

— Tak. To ona mnie uratowała. — Mówiąc te słowa, poczułem, że ogarnia mnie przemożna chęć, aby opowiedzieć wszystko, co wiem. Zostawić wspomnienie o Alice u jeszcze innej osoby, poza mną. — Podrzuciono mnie na próg plebanii w pobliżu zamku Dudleyów. Miałem umrzeć. Powiedziano mi, że takie rzeczy się zdarzają. Wcale nierzadko noworodki

podrzućane są pod siedziby szlachetnie urodzonych. Czyni się tak w nadziei, że bogaci zlitują się nad dzieckiem, którego biedak nie jest w stanie wykarmić. W każdym razie nie umarłem. Według ochmistrzyni narobiłem tyle hałasu, że zbudziłbym umarłego. Usłyszała mój płacz, kiedy wyszła wyrzucić odpadki. Zainteresowała się, co to jest, podeszła pod plebanię i tak mnie znalazła. — Głos mi się załamał. Postarałem się uspokoić. Siłę czerpałem ze wzroku Kate. — Była dla mnie jak matka, której nigdy nie miałem. Gdy zmarła... a raczej gdy powiedziano mi, że zmarła, nie mogłem jej wybaczyć, że odeszła bez pożegnania.

— To dlatego chciałeś pomóc jej wysokości. Wiedziałeś, że trzeba się pożegnać z kimś, kto ma umrzeć.

— Tak. Nie chciałem, by cierpiała tak jak ja. Wiem, co to jest, stracić kogoś bliskiego niespodziewanie. Wierzyłem, że Alice nie żyje. Ale kiedy Sokół wspomniał o zielarce, która zajmuje się królem... Przez chwilę zdawało mi się... Ale oczywiście nie pomyślałem tak naprawdę, że to może być ona. Skąd. Nawet gdy ją zobaczyłem... — Znów zamilkłem na chwilę. Gdy się odezwałem, głos mi drżał: — Ucięto jej język, połamano nogi, żeby nie mogła uciec. Pan Shelton, ich rządcą... To on mi mówił o śmierci Alice, szanowałem go... Więc on stał tam i nie zrobił nic, gdy lady Dudley dźgnęła ją nożem. Alice wykrwawiła się na śmierć, a on nic nie uczynił.

Wspomnienia raniły jak ostre drzazgi. Byłem durniem, jeśli myślałem, że Shelton przedłoży mnie nad obowiązki wobec swoich chlebobawców. On był zawsze lojalnym sługą, niezależnie od wszystkiego. Tylko to się dla niego liczyło. Cóż za bezsensowna egzystencja. Może i żal by mi go było, gdyby nie to, że pałałem żądzą zemsty.

Zapadło długie milczenie. Kate zasłaniała twarz włosami. Po chwili podniosła ku mnie oczy. Były pełne łez.

— Wybacz mi, że zaczęłam o niej mówić. Egoistyczna ciekawość. Nie... nie chciałam cię zranić.

Pocałowałem ją.

— Moja droga Kate, nie mogłaś uchronić mnie przed bólem. Bolało mnie, zanim jeszcze cię poznałem. Utraciłem Alice w dniu, gdy zabrano ją ode mnie. Ta kobieta w komnacie jego królewskiej mości nie była tą kobietą, którą znałem. Wreszcie odkryłem prawdę. Wiem, że nie porzuciła mnie. Lady Dudley rozkazała zabrać ją ode mnie, a Shelton jej w tym pomagał.

— Dlaczego byli tacy okrutni? Przecież to było wiele lat przed chorobą króla! Po co cię okłamywali, że ona nie żyje?

Uśmiechnąłem się ponuro.

— Sam zadaję sobie to pytanie. Myślę, że zrobili to dlatego, że ona wiedziała. Bez wątpienia. Alice wiedziała, kim jestem.

Wpatrywała się we mnie.

— Czy to ma coś wspólnego z tym złotym płatkim?

Zamiast odpowiedzieć, wstałem i poszedłem nagi do mojej skłębionej odzieży. Z kieszeni wyciągnąłem złoty płatek. Rubin błysnął w blasku księżyca.

— Myślę, że to jest coś związanego z moją przeszłością — powiedziałem, podając go Kate. Przebiegł mnie dreszcz. — Alice dała mi to, gdy mnie rozpoznała. Rozpoznała mnie w ostatniej chwili. Przechowywała ten klejnot w jakimś celu. On coś oznacza. Musi.

Kate przyglądała się uważnie.

— Ale co?

Wziąłem klejnot do ręki, pogładziłem palcem delikatne złote żyłki.

— Ochmistrzyni Alice nie przywiązywała wagi do rzeczy materialnych. Interesowały ją głównie zioła. Powiadała, że rzeczy zajmują za dużo miejsca. Przechowywała ten przedmiot w ukryciu, w swoim kuferku z lekami. Bóg wie jak długo. Wiele razy zaglądałem do jej kuferka; zawsze mnie strofowała, mówiła, że zatruję się jakimś ziele. Nigdy tego nie

widziałem. Musiała to ukryć w jakiejś tajnej przegródce. Tak musiało być. Wydaje mi się, że nawet lady Dudley nie miała pojęcia o istnieniu tego klejnotu. — Wyjrzałem przez okno. — Lady Dudley jest tu najważniejsza. Wykorzystała mnie, aby zmusić księżną Suffolk do zgody na małżeństwo Jane Grey z Guilfordem. To mi powiedziała księżna, gdy zamykali mnie w podziemnej celi. Cokolwiek oznacza ten płatek, jest to coś na tyle ważnego, że naraziło mnie na śmierć. Niewykluczone, że jest to oręż, który może powstrzymać Dudleyów... na zawsze.

Kate założyła ręce na piersi, jakby zrobiło się jej chłodno.

— Będiesz się chciał zemścić za to, co uczynili twojej opiekunce.

Popatrzyłem jej w oczy.

— A mógłbym inaczej? Była dla mnie wszystkim na świecie, a zniszczyli ją. Tak, poszukam zemsty. A co więcej, poszukam prawdy. — Pochyliłem się ku Kate. — Muszę się dowiedzieć, kim jestem.

— Wiem. Tyle tylko, że boję się o ciebie. Boję się o nas. Ta prawda jest groźna, skoro księżna Suffolk chciała cię zabić, aby nie wyszła na jaw. A jeśli Dudleyowie użyli tej prawdy przeciwko niej, to muszą ją znać.

— Nie wszyscy Dudleyowie. Tylko lady Dudley zna tę tajemnicę. Nie sądzę, żeby zdradziła ją nawet księciu. Musiała nie być pewna jego wierności. Nie powierzyła mu jedynej broni, którą rozporządzała: czegoś, co zapewniało jej uległość księżny Suffolk. Gdyby nie ta tajemnica, księżna nigdy nie zgodziłaby się wydać córki za...

— ...nisko urodzonego Dudleya — dopowiedziała Kate. Przyjrzała mi się uważnie. — Dlaczego nie opowiedziałeś o tym sekretarzowi Cecilowi? On zna tyle ważnych osób. Mógłby ci pomóc.

— Nie — chwyciłem ją za rękę. — Przrzeknij, że nie piśniesz o tym słówka nikomu, nawet królowie... Zwłaszcza jej.

Northumberland wciąż ma władzę, teraz nawet większą niż kiedykolwiek. Elżbieta nadal potrzebuje naszej pomocy. Nie chcę nikogo obarczać swymi problemami, sam będę dźwigał moje brzemię.

W myślach przeprosiłem ją za kłamstwo. Tak naprawdę to nie chciałem narażać jej na tę lodowatą nienawiść, którą widziałem w oczach lady Dudley, nie chciałem też, by zaczęła jej deptać po piętach morderczy Stokes z rozkazu księżny Suffolk. Gdy wyjdzie na jaw, że żyję, znów zaczną mnie ścigać. Nie wolno mi narażać Kate na niebezpieczeństwo, niezależnie od wszystkiego. Musiałem ją teraz o coś poprosić.

— Chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie. Przyrzeknij, że wrócisz do Hatfield.

Przygryzła wargę.

— A jeśli odmówię?

— Jesteś potrzebna Elżbiecie. Nikt z jej służby nie ma takich umiejętności jak ty. To może jej być konieczne potrzebne, idą trudne dni. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wiesz przecież, choć o tym nie mówiliśmy, że Cecil wyznaczył mi zadanie. Dlatego właśnie przychodzi tu Walsingham i dopytuje o moje zdrowie. Nie z troski o mnie.

— Nic mnie to nie obchodzi — wyszeptała. Uderzyła piąstką w siennik. — Niech sobie znajdą kogoś innego. Dość już ryzykowałeś. Nawet jej wysokość nie wymagałaby od ciebie dalszych poświęceń.

— Ale ja chcę się dalej poświęcać. Ty także. Nie mogłabyś inaczej, prawda? Kochasz ją.

— A ty? — zapytała z wahaniem. — Czy tyją... kochasz? Przytuliłem ją.

— Wyłącznie jako moją władczynię. Zasługuje na to.

Przytulona do mnie Kate wymamrotała:

— Powiadają, że jej matka była czarownicą. Czasami zastanawiam się, czy Elżbieta tego nie odziedziczyła. Robert Dudley rzucił się jej do stóp. Jego ojciec tak samo. A kiedy

im odmówiła, zwrócili się przeciwko niej z wilczą zjadłością. Czy może być tak, że czar, który rzuca na mężczyzn, każe im ją kochać — lub nienawidzić?

— Mam nadzieję, że tak nie jest. — Odczekałem chwilę, zanim spytałem: — Pojedziesz do Hatfield?

— Pojadę — westchnęła. — Niebawem.

ROZDZIAŁ XXII

Gdy obudziłem się nazajutrz rano, byłem w łóżku sam. Zdziwiłem się. A potem zachichotałem i przygłodziłem ręką zmierzwione włosy. Rozkładanego stolika nie było, krzesła stały równo pod ścianą. Moje ubranie leżało starannie złożone. Wyglądało, jakby Kate nigdy tu nie było.

Właśnie wstawałem, gdy drzwi się otworzyły. Weszła z ręcznikiem, miską i niewielką skrzynką. Ubrana była znów w rdzawą suknię. Włosy miała zaplecione schludnie, jakby nigdy nic. Uściskałem ją, gdy tylko odstawiła przyniesione rzeczy. Stłumiłem protesty pocałunkiem. Przywarła do mnie na moment, ale szybko się wyrwała.

— Wystarczy. — Wzięła tacę. — Walsingham czeka na dole. Chce się z tobą zobaczyć, gdy tylko się posilisz.

— Właśnie chcę się posilić. — Wyciągnąłem ręce, aby ją złapać.

Wywinęła się, lekka jak nasionko dmuchawca.

— Na razie musisz się zadowolić wczorajszym wieczorem. Nie dostaniesz więcej, póki nie zapewnisz mi dachu nad głową. — Rzuciła we mnie ręcznikiem.

Roześmiałem się.

— Proszę, a wczoraj mówiłaś, że niczego więcej nie trzeba ci do szczęścia.

— Kobieta zmienną jest. A teraz zachowuj się przyzwoicie, to cię umyję.

Stanałem więc spokojnie, choć zachowanie spokoju przechodziło mi z trudem, bo myła mnie szczegółowo od stóp do głów. Gdy odwinęła bandaże, aby zmienić opatrunek, skrzywiłem się z lekka.

— Boli? — zapytała.

— Trochę. — Zerknąłem na ranę. Wyglądała paskudnie.
— Ropieje?

— Już nie. Masz szczęście. Kula cię tylko drasnęła. — Wyjęła ze skrzyneczki słoiczek i wysmarowała mi bark zieloną maścią. Stałem nieruchomo. Była zielarką, tak jak ochmistrzyni Alice. — To maść według francuskiej receptury — wyjaśniła. — Rozmaryn, terpentyna, olejek różany. Przyspiesza gojenie. — Wprawnymi palcami obandażowała bark. — Musi wystarczyć. Wiążę mocno. Trochę to niewygodne, ale podejrzewam, że w łóżku nie uleżysz.

Pogłaskałem ją po czubku nosa.

— Dobrze mnie znasz.

Pomogła mi się ubrać. Dostałem nową koszulę, skórzaną kamizelkę, pludry, pas z sączkiem. Z zaskoczeniem zobaczyłem nowe buty z miękko wyprawionej skóry. Pasowały na mnie niemal idealnie.

— Sokół kupił to na miejscowym targu. Wziął też kapelusz i płaszcz. Mówi, że będzie twoim służącym, jak się wzbogacisz.

— To trochę poczeka. — Odwróciłem się. — Dobrze wyglądam?

— Jak książę. — Podała mi chleb, ser i ciemne piwo.

Zjadłem wszystko w milczeniu, wyczuwając jej niepokój.

— Jakies złe wiadomości? — zapytałem w końcu.

— Z Walsinghamem nigdy nic nie wiadomo. Nie mam pojęcia, czego tym razem chce. Nic nie mówił, tylko że mam cię przyprowadzić. — Skrzywiła się. — Teraz, kiedy już

mu nie jestem potrzebna, traktuje mnie jak głupią babę. Nie obchodzi go, że jestem sprawniejsza niż większość pacholków, których może nająć. A już na pewno sprytniejsza.

— Nie wspominając o temperamencie. Na jego miejscu bym uważał.

— To ty lepiej uważaj. — Kate popatrzyła na mnie tak samo jak wtedy, wieki temu, zdawałoby się, w korytarzu pałacu Greenwich. — Czegokolwiek od ciebie będzie chciał, to na pewno nie będzie bezpieczne.

— Przecież pomógł uratować mi życie — przypomniałem jej.

— To prawda. Ale to nie oznacza, że możesz być zupełnie spokojny. On jest jak wąż i myśli o własnej korzyści. Nawet Cecil nie do końca nad nim panuje. — Głos jej zadrżał. — Przrzeknij, że nie zgodzisz się na żadne ryzykowne misje. Zgodziłam się jechać do Hatfield, zrobię to, ale nie chcę cały czas się o ciebie martwić.

Pokiwałem głową z powagą.

— Przrzekam. A teraz zaprowadź mnie do niego.

Pokazała drzwi.

— Zejdź po schodach i skręć w prawo. Jest w gabinecie przy sieni. — Odwróciła się. — Ja będę w ogrodzie rozwieszać pranie.

Uśmiechnąłem się, wyobrażając ją sobie przy tej czynności. Zszedłem na parter. Wiejski dom robił przyjemne wrażenie, skromne umeblowanie stanowiło miłą odmianę po przepychu pałaców. W sieni zatrzymałem się i parę razy głęboko odetchnąłem.

Wszedłem do gabinetu. Mnie również Walsingham kojarzył się z wężem. I nie zmieniał tego faktu, że ponoć pomógł mnie uratować. Właściwie to raczej mnie irytowało, że ten człowiek snuł się za mną jak cień. Nie byłem wcale przekonany o szlachetności jego pobudek, ale ukryłem swoje wątpliwości, widząc chudą postać przy pulpicie, z Urianem, który wspierał pysk na jego udzie.

— Kawalerze Prescott. — Jego koścista dłoń głaskała łeb Uriana z hipnotyzującą regularnością. — Widzę, że żwawo powracasz do zdrowia. Żywotność młodości wespół z kobiecą troską czynią cuda.

Powiedział to znaczącym tonem, co niespecjalnie mi się spodobało. Powstrzymałem się też przed odesłaniem Uriana, choć byłem zbulwersowany jego wyraźnym brakiem znajomości ludzi.

— Panie Walsingham, chciałeś mnie widzieć?

— Jak zwykle rzeczowy. — Wygiął blade wargi. — Po co tracić czas na głupstwa?

— Chyba nie spotykamy się na pogawędkę o niczym?

— Ja wiem jedno: nigdy nic nie wiadomo. — Jego dłoń przestała drapać psa za uchem. — To właśnie czyni życie tak interesującym. Ludzie mają niebывałe zdolności do zaskakiwania. — Pokazał krzesło po drugiej stronie pulpitu. — Zechciej spocząć. Potrzebna mi twoja uwaga.

Ponieważ zaczął mi dokuczać zraniony bark, usiadłem. Ogarnęło mnie niejasne poczucie skrępowania. Poznałem je, odczuwałem to już przy poprzednich spotkaniach z Cecilem i jego człowiekiem.

— Jane Grey i Guilford Dudley zostali przeniesieni do Tower — powiedział bez dalszych wstępów.

Omal nie zerwałem się z krzesła.

— Aresztowani?

— Nie. To tradycja, że monarcha przed koronacją tam zamieszkuje. — Obrzucił mnie spojrzeniem.

— Rozumiem. — W gardle mnie ścisnęło. — Czyli będą ich koronować? Wsadzą koronę siłą na skroń tej niewinnej dziewczyny.

— Ta niewinna dziewczyna, jak ją nazywasz, to zdrajczyni stanu. Uzurpuje sobie prawa do tronu, należne innej kobiecie. Czeka na koronację wraz ze wszystkimi dostojnikami dworskimi u boku. Na jej skrupuły wskazuje tylko to, że odmówiła

małżonkowi prawa do koronacji na pełnoprawnego króla. Co naturalnie doprowadziło wszystkich Dudleyów do furii.

Nie okazałem odrazy. Oczywiście, Walsingham może nazywać Jane Grey zdrajczynią. Łatwiej oglądać świat przez pryzmat własnej wygody.

— Przez „inną kobietę” rozumiesz, jak sądzę, królową Marię.

— Naturalnie. Jakakolwiek zmiana w prawie do sukcesji wymagałaby zgody parlamentu. Wątpię, czy nasz dumny książę posunął się do tego, by zażądać oficjalnej zgody na swoją zdradę. Dlatego też, zgodnie z prawem i testamentem sukcesyjnym Henryka Ósmego, prawowitą królową jest Maria.

Zastanawiałem się.

— A czy rada królewska zgadza się na koronację Jane? Chyba Northumberland nie działa w pojedynkę? — Myślałem o księżnie Suffolk, o jej groźbach wobec Dudleyów. Jeśli ona zaprotestowałaby przeciwko pogwałceniu jej praw sukcesyjnych, dałoby to obu królowom tak potrzebny im czas na działanie.

Patrzył na mnie bez mrugnięcia.

— Jaki jest cel tego pytania, giermku Prescott?

— Chciałbym tylko mieć jasność sytuacji.

Złożył ręce pod brodą. Urian legł na podłodze z westchnieniem pełnym zawodu.

— Członkowie rady królewskiej w obawie o swoją skórę zgodzą się na wszystko — mówił Walsingham. — Książę zmusił ich do uległości groźbą, że ma w Tower pod dostatkiem amunicji i wojska, by zdławić każdą rewoltę na rzecz Marii. Obsadził też wojskiem okoliczne zamki. Mimo to nasi informatorzy donoszą, że wcale nie mało jego tak zwanych sojuszników równie chętnie zobaczy go na szubienicy jak u rządów. Narobił sobie wrogów. I wkrótce może stanąć w obliczu silnej opozycji ze strony samej Marii.

Była to chyba najdłuższa przemowa w jego wykonaniu, jaką dotąd usłyszałem. Dowiedziałem się z niej kilku ciekawych rzeczy.

— Silna opozycja? — powtórzyłem ostrożnie. — Wydawało mi się, że jej przywiązanie do katolicyzmu, a także wątpliwości co do tego, czy można ją uznać za królewską potomkinię z prawego łóża, nie są dla niej okolicznością sprzyjającą.

— Ja bym z tego powodu nie spisywał jej jeszcze na straty.

— Rozumiem. Czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

— Księżę nie wydał jeszcze oficjalnego oświadczenia o śmierci króla. Niemniej jednak, skoro Jane Grey znalazła się w Tower i oczekuje koronacji, nie będzie z tym zwlekał. Maria, jak mi wiadomo, przebywa w swoim pałacu w Hoddesdon i pisze stamtąd listy z żądaniami bieżących informacji. Podejrzewamy, że ktoś z bywalców dworu ostrzegł ją, by trzymała się na razie z dala. Brak jej środków finansowych, a niewielu ludzi zaryzykuje życie dla królowej, którą zarówno ojciec, jak i brat uznali za dziecko z nieprawego łóża i która na dodatek jest innej wiary niż oni. Możliwe, że ucieknie z kraju, ale jest bardziej prawdopodobne, że uda się ku północnej granicy, gdzie katolicyzm trzyma się mocno wśród możliwych rodów. — Walsingham wyciągnął z rękawa zalakowany zwój pergaminu i podał mi go jakby nigdy nic. — Chcielibyśmy, abys to doręczył.

Nie wziąłem zwoju.

— Rozumiem, że to nie jest list żelazny do Hiszpanii.

— Zawartość tego listu nie powinna cię interesować.

Wstałem.

— Pozwalam sobie być innego zdania. Jego zawartość może oznaczać moją śmierć, jeśli mam sądzić po dotychczasowych wydarzeniach. Jestem lojalny, jak tylko potrafię, ale wszystko ma swoje granice. Muszę wiedzieć, co ten list zawiera, zanim się zgodzę go doręczyć. A jeśli nie jesteś upoważniony, by mnie o tym poinformować, panie Walsingham

— dodałem uszczypliwie — to może zechcesz przekazać panu Cecilowi, aby się sam do mnie pofatygował.

Zamyślił się na chwilę.

— Dobrze. — Leciutko skłonił głowę. — To wiadomość od kilku członków rady królewskiej z wyjaśnieniem ich trudnego położenia. Oferują Marii poparcie, gdyby postanowiła walczyć o swoje prawa do korony. Woleliby, aby nie opuszczała kraju, jako że nieobecna królowa jest mniej pożądana niż królowa bezprawna.

— Zabezpieczamy się na obie strony? Rzeczywiście, silna opozycja.

— Przyjmujesz zadanie albo nie przyjmujesz. Mnie jest wszystko jedno. Znajdę tuzin kurierów.

Oczywiście stał za tym Cecil. Wiedział, że sprawy mogą potoczyć się rozmaicie. Nie miałem złudzeń co do tego, czy wolał synową księcia, czy katoliczkę na tronie. Zwlekałem więc z odpowiedzią i klepaniem w kolano oraz uśmiechem starałem się przywabić do siebie Uriana.

Oczy Walsinghama pociemniały.

Odczekawszy dość długo, by dać do zrozumienia, że się cenię, rzekłem:

— Od naszej ostatniej rozmowy moja stawka się podniosła.

Z zadowoleniem zauważyłem, że z ulgą przyjął wprowadzenie do rozmowy tematu pieniędzy. To ustawiało go na známym terenie, gdzie wszystko można było negocjować. Wyjął z kaftana skórzaną sakiewkę.

— Postanowiliśmy podwoić twoją zapłatę. Z tym że z góry otrzymasz połowę. Jeśli nie dostarczysz listu z jakiegokolwiek powodu, na przykład Maria zostanie uwięziona, druga połowa przepada. Mam ci to dać na piśmie?

Wziąłem sakiewkę i list.

— To nie jest konieczne. W razie jakichś niedomówień zwrócę się do Cecila. — Podeszedłem do drzwi i zatrzymałem się. — Czy jeszcze coś?

— Tak. — Utkwił we mnie wzrok. — Jak ci wiadomo, działamy pod presją czasu. Musisz do niej dotrzeć wcześniej niż ludzie księcia. Nie sądzimy też, by rozsądnym było używanie prawdziwego imienia. Od dziś nazywasz się Daniel Beecham, jesteś synem ziemianina z Lincolnshire. To postać autentyczna; Cecil opiekował się tą rodziną. Matka Daniela zmarła w połogu, ojciec zginął w Szkocji. Chłopiec był pod opieką Cecila, ale zmarł już ładnych parę lat temu. Nie gól brody, to utrudni rozpoznanie. Ów Beecham byłby od ciebie dwa lata starszy, gdyby żył.

— Ach, więc wreszcie nie żyję. Moi wrogowie się ucieszą.

— To dla twojego bezpieczeństwa — odparł bez wesołości.

Uśmiechnąłem się.

— Tak, mówiono mi, że dbasz o to. Słyszałem, że próbowałeś mi pomóc tam, na dachu. Wciąż się zastanawiam, jak to było przedtem, gdy uwięziono mnie w podziemnej klasztornej celi. To ty znalazłeś moją kamizelkę nad stawem, prawda? I podrzuciłeś pod wejście do klasztoru, żeby zwróciła uwagę Sokoła i Barnaby. Może niezbyt daleko idąca pomoc, ale chyba nie powinienem narzekać. — Sięgnąłem do klamki, nie pokazując po sobie, że ból przeszył mi bark. — Czy już mogę się oddalić?

— Za chwilę. — Walsingham zerknął na Uriana, który wyczekująco stał przy mnie. — To nie Henry Dudley wystrzelił tę kulę, co cię trafiła.

Nie drgnąłem.

— Rządca Shelton trzymał rusznicę. Widziałem, jak mierzy z okna. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Ufałeś mu, zdaje się.

— To przeszłość — odparłem i wyszedłem.

W sieni służebna wybierała popiół z kominka. Na moje pytanie uśmiechnęła się nieśmiało i pokazała mi, którądy do ogrodu. Ogród był otoczony murem i pachniał lawendą.

Kate rzeczywiście wieszaiła pościel. Podkradłem się do niej i objąłem w pasie.

— Sama to wszystko uprałaś? — szepnąłem jej do ucha.

Drgnęła przestraszona i wypuściła z ręki poszewkę. Urian szczeknął z zachwytem, podskoczył i chwycił ją w powietrzu. Odbiegł ze zdobyczą, podnosząc wysoko ogon. Kate odwróciła się do mnie.

— Trzeba ci wiedzieć, że holenderskie płótno nie mało kosztuje. Jeśli nie jesteś bogaczem, to lepiej uważaj.

— Kupię ci sto poszewek z egipskiego jedwabiu, jeśli tylko chcesz.

Położyłem jej sakiewkę na dłoni. Gdy poczuła jej ciężar, otworzyła szeroko oczy. Przyjrzała mi się uważnie. Zanim zdążyła zapytać, przyciągnąłem ją do mnie. Już w mych ramionach, wyszeptała:

— Kiedy?

— Jak tylko zdołam cię puścić — odparłem miękko.

Wieczorem, gdy pakowałem sakwę na podróż, rozległo się pukanie do drzwi. Zanim otworzyłem, już podejrzewałem, kto to może być. Ani Kate, ani Sokół by nie pukali, a Walsingham nie fatygowałby się na górę.

Stała w drzwiach, ubrana od stóp do głów w czarny aksamit. Kate zatrzymała się na podeście schodów za nią, trzymając płonąca świecę. Spojrzała mi w oczy, a ja skinąłem głową. Kate odwróciła się, choć widziałem, że nie jest zadowolona.

Zaprosiłem gościa do środka. Elżbieta weszła, a ja znów poczułem tę magnetyczną siłę, którą roztaczała wokół siebie jak jakiś aromat. Zsunęła kaptur; ułożył się w miękkie fałdy. Nie miała na sobie biżuterii, ogniste włosy owijała pleciana siateczka. Zauważyłem ciemne kręgi pod oczami, jakby miała za sobą bezsenność.

Skłoniłem się nisko.

— Wasza wysokość, cóż za niespodziewany zaszczyt.
Skinęła głową z roztargnieniem, rozglądając się po izbie.
— A więc to tu przychodziłeś do zdrowia. Ufam, że opiekowano się tobą dobrze.

Nie usłyszałem w jej głosie żadnych podtekstów, nic nie wskazywało na to, że wie, co nas z Kate połączyło. Nie miałem zamiaru o tym teraz mówić. Kate w swoim czasie zwierzyła się jej.

— Owszem, opieka była doskonała — odparłem. — Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność.

— Wdzięczność? — Uniosła jedną wąską brew.

— Tak. Przecież to dom waszej wysokości, nieprawdaż?
Machnęła ręką.

— To nie powód do wdzięczności. Dom to dom. Mam ich kilka, większość świeci pustkami. — Zamilkła. Nasze oczy spotkały się. — To ja, kawalerze Prescott, powinnam podziękować. To, co uczyniłeś dla mnie w Greenwich... Nigdy tego nie zapomnę.

— Musiałaś, pani, poznać prawdę. Dobrze to rozumiem.

— Tak, wiem, że rozumiesz. Lepiej niż ktokolwiek inny.
— Zaśmiała się drżaco.

Dziwnie się czułem, będąc z nią sam na sam w pomieszczeniu, gdzie gorączkowałem, gdzie poznałem straszliwy koniec ochmistrzyni Alice i przekonałem się o swej miłości do Kate. Zapomniałem, jak silną osobowością jest Elżbieta, jak wyjątkowym jest jej towarzystwo. Wydawała się nie pasować do tej wiejskiej izby, jej obecność rozsadzała ciasną przestrzeń. Przyszło mi do głowy, że podjęła znaczne ryzyko, przyjeżdżając tutaj.

Jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

— Nie przejmuj się, Cecil wie o mojej wizycie. Nalegał, więc zgodziłam się na eskortę. Jego ludzie są na dole, czekają. Odwiozą mnie jutro z powrotem do Hatfield. — Wykrzywiła usta z pogardą. — Muszę ich znosić cały czas, gdy przebywam

poza Hatfield, przynajmniej póki Northumberland nie został obalony.

A więc nareszcie ktoś powiedział to głośno.

— Sekretarz Cecil chce tego dokonać? — zapytałem cicho.

Spojrzała na mnie spod oka.

— Naturalnie. A po co wysyłałby cię do Marii? Jeśli ona wyjedzie z kraju, zostawi Anglię na pastwę księcia. Kto wie, co się z nami wtedy stanie? Lepsza na tronie katolicka stara panna niż jakiś Dudley. Moja biedna siostrzyczka. — Roześmiała się cierpko. — Zawsze wzbudzała strach albo pogardę. Ciężki los. A teraz stoi w obliczu walki o życie. Jeśli ludzie księcia ją dopadną.

— Nie dopadną. — Postąpiłem krok ku niej. — Nie dopuszczę do tego.

Przyglądała mi się w milczeniu. Z bliska znów ujrzałem bursztynowe iskierki w jej tęczęwkach, które tak mnie zahipnotyzowały pierwszego wieczoru, przy bramie wodnej Whitehallu. Jeszcze raz porwała mnie ta drzemiąca w jej spojrzeniu siła, której tak niewielu oprzeć się potrafiło. Byłem gotów rzucić się jej do stóp, zrobić wszystko, aby zyskać jej przychyłność. Ale co ciekawe, mimo tego jej przyciągania nie czułem się przez nią zniewolony. Dobrze mi było z tym: cieszyło mnie, że potrafię spojrzeć księżniczce w oczy i wiedzieć, że oboje jesteśmy takimi samymi istotami ludzkimi.

— Wierzę ci — powiedziała. — Wierzę, że nie dopuścisz. Cecil ma rację. Zrobisz wszystko, by nie dopuścić do zwycięstwa Dudleyów. Ale masz wybór. Już spłaciłeś swój dług, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Jeślibyś postanowił zrezygnować z tej podróży, możesz wstąpić na służbę u mnie.

Przekrzywiłem głowę z uśmiechem, cofnąłem się o niewielki krok.

— Co? — zapytała. — Nie podoba ci się, że masz wybór? Prosiłeś mnie raz o to, bym cię wzięła do służby,

w Whitehallu, jeśli dobrze pamiętam. Mówiłeś, że chcesz mi pomagać. Czyżby Cecil zaproponował ci lepsze warunki?

— Zupełnie nie. — Podniosłem na nią wzrok. — Jestem zaszczycony i wdzięczny. Ale chyba wasza wysokość nie przyjechała tutaj zaproponować mi wstąpienie do służby. Przecież już wiesz, pani, że będę jej służył, choćby nie wiem co.

Zamilkła.

— Zatem tak łatwo mnie przejrzeć, czy tak? — zapytała po chwili.

— Łatwo tylko tym, którzy waszą łaskawość znają. — Uczułem, jak otwiera się we mnie przestrzeń, gdy pomyślałem o tym, jak wiele ta kobieta dla mnie znaczy, jak wiele sobą reprezentuje, jak wiele ma do stracenia, gdyby uległa swemu targanemu sprzecznościom sercu, temu wspaniałemu sercu, które kazało jej przyjechać tutaj wbrew niebezpieczeństwu, na jakie ją to narażało.

— Ja... Nie chciałabym, żeby spotkało go coś złego — powiedziała wreszcie z wahaniem. — Robert nie jest temu winny... Wykonuje tylko rozkazy. I przecież... próbował mnie ostrzec. Znamy się od dziecka, wiem, że on ma dobre serce. Kłopot tylko w tym, że tak jak i wielu innych nie został nauczony, jak wielką wartością jest prawda. Nie jest zatwardziały. Może odpokutować za grzechy, zostać odkupiony.

Przyjąłem to w milczeniu. Nie chciałem umniejszać wagi jej wyznania własnymi opiniami ani składać żadnych przyrzeczeń, które mogły się okazać trudne do spełnienia. Przygryzła dolną wargę; długimi palcami skubała fałd sukni.

— Będziesz dbać o siebie? Kate na tym zależy — dorzuciła.

Kiwnąłem głową. A więc wiedziała. To była jeszcze jedna rzecz, która nas łączyła.

Odwróciła się do drzwi, ale zatrzymała się na moment z dłońmi na klamce.

— Z Marią bądź ostrożny. Kocham moją siostrę, ale to jest osoba nieufna. Życie ją tego nauczyło. W ludziach do-
szukuje się najgorszego, nigdy najlepszego. Niektórzy mówią,
że to wpływ hiszpańskiej krwi. Ja jednak twierdzę, że to po
naszym ojcu.

Oglądała się na mnie przez ramię. Spojrzałem jej w oczy.

— Zabierzesz, pani, ze sobą Kate? — zapytałem. —
Chciałbym, żeby była bezpieczna, na tyle bezpieczna, na ile
to możliwe w dzisiejszych czasach.

— Masz moje słowo. — Otworzyła drzwi. — Strzeż się
smoków, kawalerze Prescott. I za wszelką cenę unikaj wody.
To najwyraźniej nie jest twój żywioł — dodała na poły iro-
nicznie, na poły wesoło.

Stałem, nasłuchując jej cichnących kroków na schodach.
Wiedziałem, że rano jej nie zobaczę, musi wyjechać przed
świtem. Jej odejście uczyniło taką pustkę w moim sercu, że
wreszcie zrozumiałem, dlaczego Robert Dudley byłby skłonny
zdradzić całą swą rodzinę, gdyby mógł zyskać jej miłość.

Nie wykluczałem, że Elżbieta, gdyby przyszło co do czego,
mogła uczynić to samo dla niego.

ROZDZIAŁ XXIII

— Kiedy ona przybędzie? — zapytał Sokół chyba po raz setny.

— Nie mam pojęcia. Przestań bez przerwy pytać.

Sam też się niecierpliwiłem. Wyrzałem przez lukę w krzakach, za którymi tkwiliśmy w kucki. Drętwiały mi nogi, strzykało w plecach. Na usianym gwiazdami niebie błyszczał sierp księżyca. Las za naszymi plecami szumiał w porywach wiatru; w lesie zostawiliśmy spętane konie.

— Wczoraj wyjechała. Wiemy tylko tyle, że nie wyruszyła do Londynu, ale gdzie jest, nie wiadomo. Musi wracać tą drogą. Możemy zobaczyć ją w każdej chwili.

Sokół skrzywił się. Ubrany był w ciepły wełniany płaszcz, podobny do tego, który kupił dla mnie.

— Nie denerwuj się, Brendanie. Tylko pytam. Gdybym wiedział, że z ciebie taka zrzęda, pojechałbym do Hatfield z panną Stafford i Urianem.

Zachichotałem.

— Przepraszam. Także dla mnie biwakowanie w przydrożnym rowie nie jest ulubioną rozrywką. Też wolałbym być z Kate i Urianem.

— No pewnie. Widziałem, jak na nią patrzyłeś. Kochasz ją, prawda?

Rozczuliły mnie sprzeczne uczucia, zazdrość i tęsknota, brzmiące w jego głosie. Odkąd go poznałem, chłopak wykazał się nie tylko sprytem i zaradnością, lecz także podziwu godną wytrwałością.

Dowiedziałem się, że podczas gdy my zakradliśmy się do komnaty Edwarda, Sokół przemknął się ukradkiem przez uzbrojone straże do stajni, tam niezauważony przez nikogo osiodłał trzy konie i założył im uzdy, a potem przeprowadził je, jak również psa, bezgłośnie aż do bramy. Tam czekał, podkarmiając konie, żeby były cicho, kawałkami dzikich jabłek, które chyba rosły mu w kieszeniach, aż przybyli Elżbieta, Kate i Barnaba. Kate opowiadała, że gdy usłyszeli strzały i zobaczyli wybiegających pachołków księcia, Barnaba musiał go siłą posadzić na siodło Cynobra i odciągnąć od pałacu. Gdy tylko przybyli do domu, który miał być ich schronieniem, Sokół chciał natychmiast mnie szukać. Nie mógł sobie znaleźć miejsca i na pewno od razu pobiegłby mnie szukać, gdyby nie obawa, że księżę wysłał za nimi pościg. Z trudem znośił czekanie w ukryciu. Gdy wreszcie przybyła pani Ashley, a za nią ludzie przysłani przez Cecila do ochrony królowej, z radością obwieścił, że teraz wyrusza mnie szukać.

Z takim samym niezachwianym poświęceniem nie pozwolił mi teraz wyjechać samemu. Twierdził, że mam skłonność do pakowania się w kłopoty, co nie było całkiem nieuzasadnione, i że nie poradzę sobie bez pomocnej dłoni. Traktowałem go poważnie, zapominając, że jest wciąż jeszcze chłopcem. Teraz widziałem w jego oczach obawę. Powiedziałem:

— Tak, kocham ją. Ale dla ciebie zawsze będzie przy nas miejsce. Przyrzekam.

— Szczerze?

— Szczerze. — Zmierziłem mu włosy na głowie.

Wtem usłyszeliśmy zbliżający się tętent. Znieruchomieliśmy. Wyciągnąłem z pochwy nowy sztylet. Królewski miecz powierzyłem Kate, wolałem nie ryzykować, że znów go zgubię.

Sokół wyciągnął swój nóż. Stukot podków po bruku zmienił się w stłumione dudnienie. Wyszepiałem:

— Pamiętaj, nie pokazujemy się, póki nie przekonamy się na pewno, że to ona. Książę mógł tu przysłać ludzi, żeby wykurzyli jej stronników.

Sokół patrzył szeroko otwartymi oczami. Wyjrzałem ukradkiem i zobaczyłem konną grupkę. Grudy ziemi przyskały spienionym rumakom spod kopyt. Powiewały ciemne płaszcze jeźdźców. Nie oświetlali sobie drogi pochodniami, ale gdy przegalopowali obok nas, pierwszy jeździec rzucił okiem na kępę krzewów, za którą się kryliśmy. Rozpoznałem twarz pod ciemnym kapeluszem bez ozdób.

Serce skoczyło mi do gardła. Niemal czekałem, że zatrzyma towarzyszy i skoczy ku nam. Odetchnąłem z ulgą, gdy popędzili dalej.

— To był lord Robert.

Sokół wybałuszył oczy.

— Ten lord Robert?

— A jakże. — Zerwałem się na równe nogi. — Naprzód!

Ruszyliśmy biegiem do lasu. Cynober i wierzchowiec Sokoła (który wabił się dość oryginalnie: Diakon) parsknęły, gdy wskoczyliśmy na siodła i spięliśmy je do galopu.

— Pojedziemy równolegle do drogi — powiedziałem. — Może uda się nam znaleźć jakiś skrót.

Była jeszcze noc. Choć mrok już zelżał, do świtu brakowało paru godzin. Cwałowaliśmy skrajem lasu, chowając się za drzewami. Czasem natrafialiśmy na zwalone pnie, które trzeba było ominąć lub przeskoczyć. Cieszyłem się, że noc nie jest księżycowa. Wprawdzie ledwie widzieliśmy, co przed nami, ale z kolei lord Robert i jego ludzie nie mogli zobaczyć nas. Wiedziałem, że jeśli nas zauważą, trzeba będzie uciekać.

Jak Robert wpadł tak szybko na trop? Spodziewaliśmy się, że na rozkaz księcia będzie szukał Marii, ale jej pałac stał wiele mil stąd. Robert musiał się dowiedzieć, że Maria

wyruszyła na północ, i postanowił ją ścigać z tym samym bezlitosnym uporem, z jakim starał się zdobyć Elżbietę. Tyle że tym razem miał do wręczenia nakaz aresztowania, nie pierścień.

Tok moich myśli przerwał Sokół:

— Zatrzymali się.

Ściągnąłem wodze Cynobrowi, wyteżyłem wzrok. Przed nami było rozwidlenie dróg.

— Zostań tutaj — powiedziałem — i czekaj. Gdyby coś się stało, nie próbuj strugać bohatera. Rób w tył zwrot i jedź do Hatfield. Proszę cię, Sokole, to ważne.

Ja tymczasem ruszyłem w stronę grupki. Cynober miał lekki chód, ale mimo wszystko od czasu do czasu trzasnęła pod kopytem gałązka albo zadzwoniła jakaś sprzączka uprzęży. Przy każdym dźwięku, choćby bardzo cichym, aż się kuliłem. Dawniej nie raz chodziłem z młodymi Dudleyami na łowy, póki okrucieństwo tej rozrywki nie odstręczyło mnie od myślistwa. Wiedziałem, że Robert uwielbia tropienie zwierzyny. O ileż atrakcyjniejsze wyda mu się polowanie na giermka, który zawiódł jego zaufanie!

Na szczęście nie usłyszeli mnie, pewnie dlatego, że wdali się w hałaśliwą dyskusję. Zsunąłem się z siodła i dalej szedłem pieszo. Zbliżyłem się na tyle, by usłyszeć, o czym rozmawiają, a jednocześnie pozostać na tyle daleko, by móc uciec lub przygotować się do walki, gdyby mnie zauważyli.

Naliczyłem dziewięciu. Robert miał najdonośniejszy głos.

— Bo tak powiedziałem! Na litość boską, czy nie jestem tu dowódcą?! To mnie zetną głowę, jeśli nie zdołamy schwytać tej papistowskiej wiedźmy!

— Proszę wybaczyć, milordzie — odparł ktoś szorstkim głosem — ale wszystkim nam zależy na powodzeniu planu. Nikt z nas nie chce mieć katolickiej królowej i świętej inkwizycji na karku. Dlatego nie należało zostawiać żołnierzy z tyłu. Ona może mieć przy sobie większe siły, niż sądzimy.

— Słyszałeś, co mówił jej rządcą w Hoddesdon — burknął Robert. — Wyjechała z sześciorgiem ludzi: skarbnikiem, sekretarzem, szambelanem i trzema damami dworu. Nie potrzeba nam oddziału wojska, żeby ją złapać. To by nam opóźniało pościg.

Aż się uśmiechnąłem. Gdzieś na pustkowiu, na środku drogi, trzęśli się ze strachu przed opuszczoną przez prawie wszystkich samotną kobietą. Maria Tudor, tak jak jej młodsza siostra, umiała wzbudzać respekt.

Nagle zimno mi się zrobiło, gdy usłyszałem znajomo przeciągający głos:

— Panowie, dojdźmy do porozumienia, zanim ona odpłynie do Flandrii i wróci z wojskami cesarskimi. Wtedy będziemy potrzebowali nie tylko żołnierzy, zapewniam waszmościów.

Stokes. Był wśród ludzi Roberta.

Robert przychylił się do jego zdania.

— Tak jest, nie marnujmy czasu. Uciekła z Hoddesdon i jedzie bez przerwy. Wszystko wskazuje na to, że udała się do Yarmouth. Musiała gdzieś się zatrzymać, choćby po to, by konie odpoczęły. Najpewniej poszuka jakichś swoich stronników. Zapytam: czy może być trudne wytropienie starej kobiety z garstką służby, jadących do Norfolk?

— Dość trudne — odparł szorstki głos. — Zważywszy, że nie zostawiła żadnych śladów. Twierdzą cały czas, że powinniśmy jechać na wschód. Tam też jest mnóstwo zwolenników katolicyzmu.

— A ja powiadam, że mam dosyć twojego mącenia, panie Durot! — Robert uderzył pięścią w udo. Znałem go jednak dobrze, ton jego głosu zdradził mi, że się boi. Mój były pan czegoś się przestraszył, a to napawało mnie nadzieją. — Zgłaszasz waść zastrzeżenia, odkąd wyruszyliśmy — prychnął. — I ja zaczynam się zastanawiać, jaki masz w tym cel. Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Durot, silnie zbudowany mężczyzna w pikowanym kaftanie i wielkim kapeluszu, uzbrojony w miecz i krótki łuk, zatoczył koniem.

— Jeśli powątpiewasz w moje oddanie sprawie, milordzie, a co za tym idzie również w lojalność mojego pana, lorda Arundela, to w każdej chwili mogę wrócić do Londynu i zdać relację z przebiegu wyprawy. Nie widzę konieczności dalszego mego udziału, bo moim zdaniem szukamy nie tam, gdzie trzeba.

Robert zgromił go spojrzeniem.

— Nie widzisz konieczności, ale hrabia, twój pan, widzi na pewno. Zbił majątek, grabiąc klasztory. I dlatego nie sądzę, żeby pragnął się tłumaczyć przed jej wysokością królową Marią i jej klechami — dodał z sarkazmem. — Dlatego też sugeruję, byś słuchał waśch mych rozkazów, chyba że chcesz widzieć swego pana na szubienicy.

Durot nie odpowiedział. Robert zwrócił się do pozostałych.

— Czy są jeszcze jakieś zastrzeżenia? Wolę wysłuchać ich teraz. Później ich nie będę tolerował. — Nikt się nie odezwał, więc rzekł: — Ruszamy na wschód. Tamta okolica roi się od katolickich ziemian. Ona może się ukrywać w każdym szlacheckim domu. Jeśli to okaże się konieczne, będziemy przeszukiwać dom po domu. — Adresatem następnych słów był Durot. — Ona nas nie przechytrzy, nawet gdyby się starała.

Nikt nie kwestionował tego punktu. Wbili ostrogi w końskie boki i ruszyli galopem.

Wskoczyłem na Cynobra. Sokół czekał na skraju lasu.

— Jedziemy do Suffolk — powiedziałem.

Pognaliśmy dobrym kłusem, godziny mijały, świt zabarwił niebo na różowo. Wprawdzie nauczyłem się wierzyć swojej intuicji, ale gdy ukazał nam się spokojny, łagodnie pofałdowany pejzaż, zacząłem się zastanawiać, czy nie zanadto na niej polegamy.

Czy Maria mogła dotrzeć aż tak daleko? A może w tej właśnie chwili wyprowadza ją z jakiejś kryjówki Dudley, grożąc jej nagim mieczem? Może zamiast jej szukać, powinienem pospieszyć do Hatfield, zabrać Elżbietę i ukochaną Kate i wyruszyć do najbliższego portu, zanim księżę pozamyka nas wszystkich?

Potarłem się dłonią po podbródku. Rosnący zarost powodował swędzenie. Zdjąłem kapelusz, przepocone włosy opadły mi na ramiona. Obejrzałem się na Sokoła: chłopak drzemał w siodle. Wkrótce musimy zrobić popas. Jeśli nie konie, to na pewno my potrzebujemy odpoczynku.

Pół godziny później wypatrzyłem wiejski dwór, zatopiony w sadach. Smuga błękitnego dymu snuła się z komina. Z od-dali nie widać było większego ruchu.

— Sokole, ocknij się. Chyba ją znaleźliśmy.

Chłopak drgnął, otworzył szeroko zdziwione oczy.

— Skąd wiesz, Brendanie?

— Patrz na podwórze. Widać uwiązane konie. Siedem dokładnie.

Wjechaliśmy na podwórze z rozpiętymi płaszczami i ich połamami odsuniętymi na bok, aby widać było, że broń trzy-mamy w pochwach, a ręce mamy wolne. Pouczyłem Sokoła, by pamiętał moje nowe imię i nazwisko i zachowywał się spokojnie. Sam udawałem spokój, choć wcale go nie czułem. Trzej słudzy, którzy zajmowali się końmi, przerwali kulba-czenie. Jeden z nich podniósł muszkiet, dwaj pozostali wyszli nam naprzeciw. Byli w średnim wieku, brodate twarze mieli wychudzone, a odzienie jak zwykli wieśniacy.

Starszy, który miał władcą postawę, choć starał się udawać człowieka z gminu, warknął:

— Kim jesteście? Co was tu sprowadza?

— Nie ma znaczenia, kim jestem — odparłem. — A sprowadza mnie polecenie rady królewskiej. Wiozę pismo do królowej.

— Królowej? Jakiej królowej? — Zaśmiał się. — Ja tu żadnej królowej nie widzę.

— Do rąk własnych jej wysokości królowej Marii. Od rady. Mężczyźni zerknęli po sobie.

— Znajdź lorda Huddlestona — zarządził starszy. Drugi mężczyzna oddalił się biegiem. — Jerningham, nie spuszczaaj ich z muszki — rozkazał. Służący ani drgnął. — Zsiadajcie z koni — polecił. Sokół i ja posłuchaliśmy.

Po chwili przybiegł zdyszany zażywny jegomość, przypuszczalnie wzmiankowany Huddleston.

— Odradzałem jej, panie Rochester — wysapał zdenerwowany — ale powiedziała, że ich przyjmie w sieni, pod warunkiem że będą bez broni.

Człowiek nazwany Rochesterem spojrział na mnie surowo.

— Chłopak zostaje tutaj.

Wprowadzono mnie do dworu. Dobiegła mnie skądś woń pieczeni i zaburczało mi w brzuchu. Z jednej strony miałem Rochesterą, uzbrojonego w muszkiet Jerninghama za plecami. Huddleston szedł przodem. W środku Jerningham wycofał się gdzieś w cień, ale nie miałem wątpliwości, że cały czas do mnie mierzy. Rochester i Huddleston poszli przodem.

Przy stole stała szczupła postać w wiejskiej sukni. Mężczyźni skłonili się. Ukląkłem na jednym kolanie. Dostrzegłem, że na stole leży mapa, gęsie pióro i papier, a obok ustawiono dzban i kielich. Zaskakująco szorstki głos wyrzekł:

— Wstań!

Stanałem przed Marią Tudor.

Zupełnie nie przypominała Elżbiety. Więcej podobieństwa miała do swojej kuzynki, Jane Grey: była niska i chuda, a siwiejące włosy, które wystawały spod czepca, miały rudawozłoty połysk. Wiek i cierpienia wyryły na twarzy Marii bruzdy na czole i po bokach ust. Policzki utraciły jędrność. Ręce trzymała złożone na podołku. Na każdym palcu tkwił pierścień. Tylko w oczach widziało się nieugiętą siłę Tudorów:

były szaroniebieskie, zanurzone w cieniu. Szczerość tego spojrzenia przydawała jeszcze władczości. Przypomniałem sobie słowa Elżbiety: „W ludziach doszukuje się najgorszego, nigdy najlepszego. Niektórzy mówią, że to wpływ hiszpańskiej krwi. Ja jednak twierdzę, że to po naszym ojcu”.

— Podobno przywozisz list — powiedziała głosem znamionującym siłę. Wyciągnęła rękę. — Chcę go zobaczyć.

Wyjąłem pergamin zza pazuchy. Podeszła do światła, zła-mała pieczęć i spojrzała na pismo. Mocniej zmarszczyła czoło. Podniosła wzrok na mnie.

— Czy to prawda?

— Jestem przekonany, że tak, wasza wysokość.

— Przekonany? A zatem czytałeś to?

— Nie byłbym dobrym posłańcem, gdybym nie nauczył się tak ważnej wiadomości na pamięć. Taki list, gdyby wpadł w niepowołane ręce, mógłby okazać się niebezpieczny.

Spojrzała na mnie badawczo. Zrobiła kilka szybkich kroków wokół stołu.

— Ten niebezpieczny list — oświadczyła z nutką surowości — wystosowali ni mniej, ni więcej, tylko moi panowie Arundel, Paget, Sussex i Pembroke, którzy służyli mojemu bratu, a teraz mnie informują, że wprawdzie nie życzą sobie pozbawienia mnie korony, ale mają związane ręce. Władza księcia, wygląda na to, jest zbyt silna, by jej stawić opór. Nie mając innego wyjścia, muszą zaakceptować roszczenia mojej kuzynki do korony, choć Jane nie wyraża zainteresowania władzą, wręcz przeciwnie. — Zamilkła. — A co ty na to?

Jej pytanie zbiło mnie z tropu. Dobrze ukrywała swoje obawy, ale ja je wyczułem. Po latach spędzonych w zapomnieniu królowa Maria nagle znalazła się w centrum uwagi i została zmuszona do ucieczki we własnym kraju. Już tyle razy wszczynano na nią nagonkę, że nauczyła się nie ufać niczym obietnicom, na piśmie czy nie na piśmie.

Nigdy nie usłyszałem o niej nic dobrego, od nikogo. Prawdę mówiąc, wszyscy obawiali się objęcia przez nią władzy. W tej chwili jednak poczułem dla niej współczucie. Większość kobiet w jej wieku miała mężów i dzieci; miała życie ułożone, na dobre czy na złe. Ona zaś musiała się kryć po cudzych domach, uciekiniarka, której grozi śmierć.

— A więc? — zapytała. — Nie odpowiesz? Wynajęli cię czy nie?

— Wasza wysokość, proszę o wybaczenie, ale wolałbym o tym porozmawiać w cztery oczy.

— Wykluczone — powiedział Rochester. — Królowa nie będzie trwonić czasu dla obcych. Masz szczęście, że nie wtrąciliśmy cię do wieży za spiskowanie z wrogami królowej.

— Wieży? — Nie mogłem się powstrzymać. — A jest tu wieża?

Zapadła cisza, w której rozległ się chropawy śmiech Marii.

— Ten przynajmniej mówi prosto z mostu. — Klasnęła w dłoń. — Zostawcie nas samych.

Rochester wyszedł tam, gdzie tkwił schowany w cieniu mężczyzna z muszkietem; Huddleston podążył za nim. Maria pokazała gestem dzban.

— Musisz być spragniony. Z Londynu daleka droga.

— Dziękuję, wasza wysokość — powiedziałem.

W przelotnym uśmiechu pokazała zepsute zęby. Nie miała w życiu wiele okazji, by się uśmiechać, pomyślałem i wziąłem duży łyk ciepłego piwa.

Czekała.

— Wasza wysokość, mój towarzysz to zaledwie chłopiec. Ufam, że nie stanie mu się krzywda.

— Oczywiście, że nie. — Spojrzała na mnie bez obawy. — Powiedz mi szczerze: czy mój brat, król Edward, nie żyje?

Napotkałem jej niezłomne spojrzenie.

— Tak.

Przyjęła to spokojnie, jakby to było coś, z czym się już pogodziła.

— A ten list od rady... Czy to podstęp, czy też mogę ufać w to, co ci panowie piszą?

Odpowiedź dałem wyważoną.

— Nie jestem na dworze długo, ale powiedziałbym, że nie, tym panom nie powinna wasza wysokość ufać. — Na jej twarzy odmalowało się napięcie. Dodałem: — Niemniej jednak to, co piszą, to prawda. Lady Jane Grey jest jedynie pionkiem księcia. Gdyby mogła decydować, nigdy nie przyjęłaby korony.

Prychnęła.

— Trudno mi w to uwierzyć. Przecież wyszła za tego bachora Northumberlanda.

— Może wasza wysokość wierzyć w jej niewinność, nie mam wątpliwości. Książę sam wymyślił tę intrygę, by zapewnić władzę sobie samemu. To on jest sprawcą. On...

— Powinno się go zarżnąć, poćwiartować, a głowę nabić na pal! — wybuchnęła. — Jak on śmie spiskować na rzecz pozbawienia mnie królestwa, do którego mam boskie prawo! Wkrótce się dowie, że nie jestem malowaną królową. On i każdy inny, kto śmie popierać moją kuzynkę.

Wzburzenie ożywiło ją bardzo. Może i nie miała charyzmatycznego uroku swej siostry, ale pozostawała nieodrodną córką Henryka VIII.

— Rozumiem, że wasza wysokość nie zrezygnuje z walki o przynależną jej koronę — powiedziałem.

— Do śmierci, jeśli tak będzie trzeba. Moja babka Izabela Kastylijska powiodła wojska przeciwko innowiercom, aby zjednoczyć swe królestwo. Mnie również na to stać.

— A zatem wasza wysokość sama sobie odpowiedziała na pytanie. Poparcie rady królewskiej jest warte tyle, ile sama, pani, zdziałasz. Jeśli darujesz im dawne wykroczenia, zdobędziesz ich oddanie.

Jej oczy zrobiły się zimne.

— Widzę, że opanowałeś sztukę dwulicowości.

Poczułem w trzewiach ukłucie strachu. Jej twarz była blada, nieprzenikniona. Elżbieta ostrzegała mnie, żebym był ostrożny. Szukałem właściwej odpowiedzi, gdy nagle wkroczył Rochester.

— Wasza wysokość, ten łajdak podkradł się do domu.

Odstąpił na bok, ukazując trzech mężczyzn ciągnących jeszcze jednego. Gdy rzucili go twarzą na podłogę, spadł mu kapelusz. Maria trąciła leżącego stopą.

— Nazwisko!

Mężczyzna uniósł głowę. Nie umiałem ukryć ulgi, gdy zobaczyłem jego twarz.

— Niektórzy mówią na mnie Durot, lecz wasza wysokość będzie mnie znała jako Fitzpatricka.

ROZDZIAŁ XXIV

— Barnaba Fitzpatrick, towarzysz mojego brata?

Wtrąciłem się:

— Wasza wysokość, działał na rzecz zmylenia pogoni prowadzonej przez syna księcia, lorda Roberta. Musi przynosić ważne wieści.

Barnaba wstał. Pasma włosów naturalnego koloru pokazały się spod pofarbowanej sokiem z orzechów czupryny. Maria kiwnęła głową, a on zaczął mówić:

— Robert Dudley i jego ludzie są blisko. Wysłano mnie na zwiady, bo jakiś miejscowy owczarz twierdzi, że widział waszą wysokość jadącą w tę stronę. Na ucieczkę jest niecała godzina.

— Możesz przedstawić jakiś dowód? — zapytał Rochester.

— Drogi panie — odrzekła Maria, nie czekając na to, co powie Barnaba — pan Fitzpatrick przez wiele lat służył lojalnie mojemu bratu. Nie raz mu się oberwało za wybryki Edwarda. Nie potrzebuję od niego dowodów.

Wróciła do stołu, Huddleston za nią. Zebrała mapę i papiery, rzuciła mu.

— Jedziemy do zamku Framlingham. To siedziba Howardów, a oni są wierni prawdziwemu Kościołowi. Jeśli Bóg mnie wspiera, zbierzemy tam zwolenników w wystarczającej sile. Jeśli nie, do wybrzeża niedaleko. Panie Huddleston,

pojedziesz z nami. Własny dom przestał być dla ciebie bezpiecznym schronieniem.

Huddleston, biały jak arkusze papieru, które ścisnął w rękę, pospieszył za Rochesterem i drugim mężczyzną, którzy wypadli z sieni, wykrzykując rozkazy. Zrobił się ruch. Maria zawołała:

— Clarencieux, Finch! — na co wybiegły z bocznej izby dwie kobiety. Niosły płaszcz i niewielki sakwojaż. — To moje wierne damy dworu — powiedziała Maria, podczas gdy kobiety pomagały jej się ubrać. — Macie ich bronić za cenę życia.

Nie spytała nas, co myślimy o powierzeniu nam takiego zadania. We własnym mniemaniu była już królową i po prostu zakładała, że wszyscy jej muszą służyć.

Wyszliśmy na podwórze, gdzie służba upychała do końskich juków ostatnie drobiazgi. Sokół pilnował naszych rumaków. Wybałuszył oczy na widok Barnaby. Rochester pomógł królowej i jej damom dosiąść koni, a Huddleston i reszta służby wskoczyli na swoje wierzchowce.

Barnaba mruknął do Sokoła i do mnie:

— Do wieczora musimy znaleźć jakieś posiłki.

— Może to nie będzie konieczne — odrzekłem. — Lord Robert wyglądał na zmęczonego, gdy go ostatnio widziałem.

Barnaba zachichotał.

— Coś mi się zdawało, że słyszałem szelesty w krzakach. A tak przy okazji, Brendanie: dobrze ci z brodą.

— To z ostrożności. Gdyby ktokolwiek pytał, nazywam się teraz Daniel Beecham, jestem z Lincolnshire. — Klepnąłem go po ramieniu. — Nawet głos zmieniłeś jako Durot. A pofarbowane włosy to majstersztyk. Jak się wkręciłeś do kompanii Dudleya?

— Powiedzmy, że zgłosił się do mnie pewien hrabia, który zaproponował sposobność do wzięcia odwetu za króla. Reszta była prosta. Stawałem Robertowi okoniem od samego początku. Gdybym powiedział, że ona jest we Francji, poje-

chałby jej szukać do Brukseli. Z zadowoleniem wysłał mnie na zwiady. Miał pewnie nadzieję, że jakiś papistowski strzelec mnie wykończy.

— Jesteś odważny, Barnabo. I dwa razy pomogłeś mnie uratować. Nigdy tego nie zapomnę.

— Módl się, żeby nie był potrzebny trzeci raz. — Barnaba spoważniał. Podniósł głos. — Wasza wysokość, nie możemy już czekać.

Obróciłem się w siodle i poczułem nagły skurcz niepokoju. Z dalekiego wzgórza zjeżdżała grupa konnych. Zmierzali prosto ku dworowi.

— Tędy! — krzyknął Barnaba.

Maria tuż za nim wypadła galopem na drogę, obok niej dwie towarzyszki. Barnaba prowadził w kierunku gór z drugiej strony. Robert Dudley i jego ludzie byli wciąż jeszcze daleko, ale po chwili zorientowaliśmy się, że nas dochodzą. Pod górę jechało się ciężko, słońce zaczęło wyciskać z nas poty.

Kobiety krzyknęły. Z tyłu za nami wzniósł się słup czarnego dymu. Dwór został podpalony. Huddleston zbladł.

— Niech się pali — rzekła Maria. — Zbuduję ci ładniejszy dom. Masz moje królewskie słowo.

Smętna mina Huddlestona wskazywała, że nie wierzy za bardzo w realizację tego przyrzeczenia.

Odciągnąłem Barnabę na stronę.

— Jesteśmy łatwym celem. Musimy zmusić ich do rozdzielenia się.

Barnaba był tego samego zdania.

— Co proponujesz, Brendanie?

— Ty jedź z jej wysokością i trzema osobami. Ja z Sokołem zabiorę resztę i pojedziemy inną drogą. Robert będzie musiał podzielić swój oddział. Im mniej ludzi pojedzie za jej wysokością, tym większa szansa, że uda się jej dotrzeć do Framlingham.

— Dobry plan. — Zamilkł na chwilę. — A ty z którą grupą pojedziesz?

Uśmiechnąłem się.

— Ja mam pewne zaległe spotkanie. Potrzebny mi będzie twój łuk, Barnabo.

Sokół bronił się rękami i nogami, ale zdołałem go przekonać, że jego osobiste upodobania muszą ustąpić przed potrzebą służenia królowej. Ku memu zdziwieniu Rochester poparł mój pomysł. Maria zgodziła się również. Kazała mi tylko wracać od razu, jak już rozejrzę się po okolicy — co podałem jako przyczynę mojego pozostania z tyłu. Dwie grupy ruszyły galopem w przeciwnych kierunkach. Królowa z obstawą dalej w głąb gór, grupa Sokoła skręciła w drogę prowadzącą do Essex.

Ja zaś wspiąłem się na wzgórze. Puściłem Cynobra, żeby się pasł, i pomodliłem się za bezpieczeństwo królowej, która wzbudziła we mnie podziw i sympatię większą, niż pewnie spodobałoby się mojemu chlebodawcy. Znalazłem stertę głązów, za którą mogłem się schować. Obserwowałem uważnie krętą dróżkę. Oczekując, ostrzyłem grot strzały.

Nie musiałem czekać długo. Płynące szybko po niebie chmury przesłoniły właśnie słońce, gdy na ścieżce pojawiło się czterech jeźdźców. Byli usmoleni sadzą i spoceni. Nie było wśród nich Roberta. Wkrótce okazało się dlaczego. Mężczyźni zsiadli z koni w odległości rzutu kamieniem od mojej kryjówki. Odczepili od siodeł bukłaki z winem i podjęli przerwana najwyraźniej dyskusję, która musiała dojrzewać już od jakiegoś czasu.

— Jest pełen diabelskiej pychy, tak jak jego ojciec — sarknął jeden z mężczyzn. — Mam już dość tych panoszących się parweniuszy Dudleyów. Pytam: dlaczego nie wróciliśmy po żołnierzy? Bo on nie chce sobie pokalać rączek, gdyby Maria jednak któregoś dnia wygrała, a on znalazł się na jej

łasce i niełasce. Bóg z nim. Maria, bez względu na to czy papistka, czy nie, jest naszą królową w świetle prawa, niezależnie od tego, co mówi Northumberland. Pamiętajcie, stary król Henryk kazał ściąć ojca księcia za zdradę stanu. Northumberland ma zdradę we krwi.

Dwaj pozostali chrząkali twierdząco, zerkając na czwartego mężczyznę, który stanął w pewnym oddaleniu i wciągał powietrze, jakby chciał wywęszyć, w którą stronę pojechała Maria.

— A ty co powiesz, panie Stokes? — zapytał któryś.

Człowiek księżny Suffolk obrócił się, aż zawirował jego szeroki aksamitny płaszcz, błyskając szkarłatną podszewką.

— Każdy winien postępować tak, jak mu dyktuje sumienie. Ale założę się, że ostatnimi czasy nie ty jedyny, panie Hengate, kwestionujesz władzę Dudleyów.

W mojej kryjówce za kamieniem uśmiechnąłem się do siebie. Zaufać mu w sprawie bezstronności jego pani? Co to, to nie. Księżna była kuzynką Marii po mieczu, a jej córka właśnie miała pozbawić Marię należnej jej korony. Lady Suffolk straci wiele, jeśli Maria zatryumfuje. Może nawet głowę.

Hengate przypatrywał się badawczo Stokesowi.

— No więc jak? Co zrobisz, panie, jeśli postanowimy wracać do domów i czekać na rozwój wypadków?

Stokes rozłożył ręce.

— Pojadę również do domu i powiadomię moją panią, że księżę potrzebuje nowego psa gończego. Ten, którego posłał, najwyraźniej stracił umiejętności.

Mężczyźni zarechotali. Hengate po krótkim wahaniu wskoczył na siodło swojego wierzchowca. Odwrócił się do Stokesa.

— Jeśli nas waść zdradzisz, wiedz, że mój pan, lord Pembroke, ma długie ręce. Znajdzie cię, choćbyś pod nie wiem jaką spódnicą się chował.

— Nie jestem donosicielem — odparł Stokes. — Nie interesuje mnie los Dudleyów. Mojej pani to również nie interesuje, zapewniam waszmościów.

— I dobrze — powiedział Hengate. Jego towarzysze wskoczyli na konie. — W dzisiejszych czasach przeżyją tylko ci, co potrafią się nagiąć, kiedy zajdzie potrzeba.

Wbili pięty w końskie boki i popędzili przed siebie. Stokes machnął dłonią w rękawicy przed nosem, jakby odpędzał niemiły zapach. Ruszył ku swojemu koniowi, gdy moja strzała świsnęła mu nad głową. Obrócił się na pięcie i znieruchomiał, wpatrując się w głazy z butą, o którą bym go w tej sytuacji nie podejrzewał.

Wyszedłem z ukrycia, wyjąłem kolejną strzałę z kołczanu przytroczonego na plecach i oparłem o cięciwę łuku. Miałem wreszcie okazję zastosować umiejętność nabytą przez lata ćwiczeń. Ku memu zadowoleniu Stokes cofnął się z lękiem.

— Czego chcesz? — powiedział. — Pieniądzy? — Odczepił sakiewkę od pasa i rzucił ją w moją stronę. Upadła na drogę. — To powinno wystarczyć.

Zsunąłem z czoła kapelusz.

— Nie rozpoznajesz mnie? Widzieliśmy się całkiem niedawno.

Wytrzeszczył oczy.

— To niemożliwe.

Wymierzyłem z łuku między jego nogi.

— Jeśli trafię, będziesz długo umierał. — Podniosłem nieco łuk. — Mogę też strzelić między oczy. Możesz też zacząć mówić. Wybór należy do ciebie.

Prychnął i wyszarpnął miecz z przypasanej pochwy. Wypuściłem strzałę. Trafiła Stokesa w udo. Z krzykiem upadł na kolana i chwycił wystające drzewce. Zbladł jak ściana. Rana nie krwawiła zbyt obficie. Podeszedłem do niego i napiąłem łuk znowu, nie dbając o bolący bark. Wycelowałem, a Stokes podniósł ku mnie wściekłą twarz.

— Ty synu ladacznicy! Zabijesz z zimną krwią bezbronnego? Milczałem chwilę.

— Początek niezły. Syn ladacznicy. Rzeczywiście nim jestem?

— Rzeczywiście to ty jesteś mordercą. Wykrwawię się na śmierć.

— Nie wykrwawisz, jeśli nie będziesz tej strzały wyciągał. Powinien ją wyjąć wprawny chirurg. Grot jest z zadziorami. Jeśli o to nie zadbasz, rana się będzie jątrzyć. Ale i tak masz więcej szans na przeżycie, niż ja miałem przez ciebie. — Opuściłem łuk. — Wracając do pytania. Czy rzeczywiście moja matka była ladacznicą?

— Nie wiem — odparł, ale zaczął drżeć.

— Myślę, że wiesz. — Przykucnąłem przed nim. — Księżna zdaje się wie. Zobaczyła znamię na biodrze i chciała mnie zabić. Dlaczego? Kim jestem według niej?

— Chcesz wiedzieć? — zapytał i rzucił się na mnie bez ostrzeżenia, przewracając mnie na plecy.

Kołczan ze strzałami zgniótł się pod naszym ciężarem. Uderzyłem głową w ziemię. Świat zawirował, ale na szczęście trwało to tylko sekundę. Wbiłem kolana w jego żebra i chwyciłem mocno drzewce strzały. Jego wrzask i fontanna krwi, jaka trysnęła z uda, wystarczyły. Przeturlałem się, zrzucając Stokesa. Zerwałem się na równe nogi, kopnąłem łuk poza zasięg Stokesa. Wyrwałem z pochwy sztylet i skoczyłem Stokesowi na plecy. Przygwoździłem go do ziemi. Przyłożyłem mu ostrze do gardła, przyciskając jego policzek do kamienistego gruntu.

— Mam to zrobić? — wyszczałem. — Mam ci poderznąć teraz gardło i zostawić, żebyś się wykrwawił? Czy powiesz mi, co chcę wiedzieć?

— Nie! Nie. Błagam cię!

Puściłem go. Stokes ciężko dyszał, krew płynęła mu ze zranionej nogi. Przewróciłem go na wznak. Przystawiłem

sztylet do miejsca, skąd wystawało drzewce strzały, i rzekłem:

— Obiecuję, to będzie bolało. Jak zacznę usuwać tę strzałę, będzie bolało bardziej, niż sobie wyobrażasz. Łatwiej to będzie znieść, jeśli nie będziesz wstrzymywał oddechu. — Podkreśliłem słowa lodowatym uśmiechem. Z serca wylała mi się mroczna wściekłość, nagły, nieopanowany głód zemsty. Oczami duszy znów widziałem błysk stali, powolne, straszliwe osuwanie się starej kobiety. Wstałem, podniosłem z ziemi łuk.

Stokes patrzył z przerażeniem, jak wyszukuję nieuszkodzoną strzałę. Założyłem ją, obróciłem się. Strzeliłem precyzyjnie. Strzała zaśpiewała w powietrzu i uderzyła w kołnierz płaszcza obok jego głowy, dosłownie o włos od ucha. Zaczął się wić, ale przygożdżony płaszcz trzymał go przy ziemi.

— Wygrałeś! — zaskrzeczał. — Wszystko ci powiem. Tylko mnie uwolnij, do stu diabłów!

— Odpowiedz na moje pytanie.

Nagle zachichotał złośliwie.

— Ty głupcze. Nic nie wiesz, prawda? Mieliśmy cię utopić, a ty nigdy byś się nie dowiedział, dlaczego giniesz.

Zacisnąłem szczęki.

— Ale teraz mi powiesz. I to już.

— Dobrze. — W jego ciemnych oczach błysnęło czyste zło. — Jesteś ostatnim dzieckiem Marii Tudor, księżny Suffolk, młodszej siostry Henryka Ósmego, zwanej w rodzinie Różą Tudorów. Znamię, z którym się urodziłeś, miała i ona, i jej dzieci. Wiedzieli o tym tylko najbliżsi księżny Marii.

Z trudnością łapałem powietrze. W głowie mi huczało. Patrzyłem na leżącego przede mną człowieka i wspominałem wszystkie budzące dreszcz wydarzenia, które doprowadziły mnie do tego niewyobrażalnego momentu. W ustach poczułem smak żółci.

— Chcesz powiedzieć, że księżna uważa mnie... — Zająknąłem się. Nie przechodziło mi to przez gardło.

Stokes uśmiechnął się szyderczo.

— Powiedziałem ci, co chciałeś. Teraz mnie wypuść.

Mając wrażenie, że spadam w bezdenną pustkę, podniosłem dłoń do ust i zagwizdałem na palcach. Zza wzgórza przykłusował Cynober. Z sakwy wyjąłem gojącą maść i bandaż, które dała mi Kate. Rozdarłem zakrwawione pludry Stokesa, uciąłem drzewce strzały przy skórze, posmarowałem ranę maścią, obwiązałem. Wyciągnąłem strzałę trzymającą płaszcz. Popatrzyłem na jego spopielała twarz.

— Musisz znaleźć cyrulika, żeby ci usunął grot. Im prędzej, tym lepiej. Bo inaczej rana będzie się jątrzyć. — Wyciągnąłem rękę. — Wstawaj! Pomogę ci wsiąść na konia.

Rozdziawił usta ze zdziwienia.

— Czekasz w zasadzce, żeby do mnie strzelać, a teraz chcesz mi pomóc wsiąść na konia? To chyba rzeczywiście prawda. Musisz być jednym z nich. Jesteś szalony jak sam stary Henryk.

— Wystarczy. Ani słowa więcej.

Chwyciłem go, podniosłem. Zaskowyczał, gdy przytrzymałem mu strzemię i sadowiłem na siodle. Złapał za wodze, ściągnął. Zatoczył koniem. Wytrzymałem jego złe spojrzenie; wiedziałem, że szykuje się do zadania ciosu, który zrani mnie głębiej niż jakakolwiek strzała.

— Twoja matka — powiedział, a po chwili dodał jeszcze ze złośliwą satysfakcją: — czyli matka mojej pani, urodziła cię potajemnie, a potem zmarła na gorączkę połogową. Nikomu nie powiedziała, że jest brzemienna, oprócz mojej pani, swojej najstarszej córki, której ufała. Bała się, błagała córkę, by utrzymała to w tajemnicy. Zdołała ukryć ciążę przed wszystkimi, nawet własnym mężem, który podówczas przebywał głównie na dworze królewskim. Ale w ostatnich godzinach coś się musiało stać. Maria Tudor, księżna Suffolk, powierzyła niemowlę akuszerce. Mojej pani powiedziano, że dziecko urodziło się martwe. W tym czasie moja pani przeby-

wała na dworze. Poród utrzymano w tajemnicy. Gdyby wiedziała, że przeżyłeś, przyjechałaby z Whitehallu jeszcze tej samej nocy i udusiła cię własnoręcznie. Mogłeś jej wszystko odebrać: majątek, tytuł, pozycję na dworze i w linii sukcesyjnej do tronu. Jesteś synem, którego Charles Brandon, mąż Marii, tak bardzo pragnął. Dziedzicem dóbr i tytułu księcia Suffolku. Pamiętaj o tym, jak następnym razem będziesz wynosił gnój ze stajni.

Odpowiedziałem beznamiętnie:

— Następnym razem nie daruję.

— Ani ja — odparł. — Na twoim miejscu zadbałbym o to, by nie było następnego razu. Jeśli ona się dowie, że nadal żyjesz, skończy się to znacznie gorzej dla ciebie niż dla mnie. — Spiał konia i pogalopował.

Zostawszy sam na splamionej krwi drodze, osunąłem się na kolana.

FRAMLINGHAM

ROZDZIAŁ XXV

„Każdy człowiek, choćby nie wiem jak skromnego rodu, powinien wiedzieć, skąd się wywodzi”. Słowa Cecila rozlegały mi się echem w głowie. Jechałem do zmroku, a potem zatrzymałem się na popas. Cynober musiał odpocząć. Zatrzymaliśmy się na leśnej polanie, w pobliżu płytkiej strugi. Rozsiodłałem mojego rumaka, wytarłem szmatką wyjętą z sakwy i puściłem go luzem, aby się pasł.

— Odpocznij, przyjacielu. Zasłużyłeś na to.

Przykucnąłem w paprociach, rozpiąłem sakwę i wyciągnąłem klejnot z rubinem, który dostałem od ochmistrzyni Alice. Teraz, gdy już znałem jego wagę i przyczynę ukrywania go przez tyle lat, z trudem na niego patrzyłem. Miałem ochotę go wyrzucić, zapomnieć o jego istnieniu, choć równocześnie w głębi duszy wiedziałem, że nie mogę już dłużej oszukiwać samego siebie.

Jeśli to, co powiedział mi Stokes, to prawda — to już nie ma drogi odwrotu, już zapomnieć o tym się nie da. Muszę odkryć całą prawdę i pogodzić się z jej ogromnymi, dalekosiężnymi, niemal nie do przyjęcia konsekwencjami. Winien to jestem samemu sobie, swojemu dzieciństwu, gdy wciąż za-

dawałem sobie pytanie, kim jestem. Co ważniejsze, winien to jestem kobiecie, która mnie wychowała. Ochmistrzyni Alice, która musiała wiedzieć, kim jestem, i uratowała mnie przed siostrą morderczynią.

Klejnot na mej dłoni rzucał złote błyski.

Tudor.

Jestem jednym z nich, synem młodszej siostry Henryka VIII, bratem okrutnej księżny Suffolk, wujem Jane Grey i kuzynem królowej Marii. Także Elżbiety. Ona i ja: w naszych żyłach płynie ta sama krew.

Łzy paliły pod powiekami. Jak wyglądała ta moja matka, której nigdy nie poznałem? Czy była piękna? Jakie miała oczy, nos, usta? Dlaczego urodziła mnie w tajemnicy? Czego się obawiała? Dlaczego nie chciała ujawnić ciąży? Jak wyglądałoby moje życie, gdyby przeżyła?

Róża Tudorów... znamię róży.

Zamachnąłem się. Wyrzucić ten złoty płatek. Zapomnieć o nim, nie mówić. Lepiej być zwykłym stajennym, bękartem, znajdą niż kimś urodzonym w tajemnicy i skazanym na zapomnienie. Na życie w cieniu, w lęku przed zdemaskowaniem, na ukrywanie siebie i ukrywanie prawdy.

Moje palce nie rozwarły się jednak. Złoty płatek był prawdą samą w sobie, nieodłącznie związaną z moją prawdą. Boże, dopomóż, ten płatek jest częścią mnie i nie mogę się poddać, póki nie dowiem się wszystkiego, czego można się dowiedzieć.

Zawinałem go z powrotem w pachnącą chusteczkę Kate i schowałem do sakwy. Musnąłem palcami psałterz, który zabrałem z biblioteki Dudleyów, co wywołało na mych ustach uśmiech. Miałem ze sobą jeszcze jedną pamiątkę po ochmistrzyni Alice; pamiątkę, która wiązała się z jej dawnymi, lepszymi czasami.

Zjadłem kawałek czerstwego chleba z serem — resztkę zapasów, które zabrałem w podróż. Położyłem się na runie leśnym i zamknąłem oczy. Zasnąć jednak nie mogłem. Wciąż

widziałem starczą rękę, która kładzie mi na dłoni podarunek o niewyobrażalnym znaczeniu.

Gdy świt rozjaśnił horyzont, osiodłałem konia i ruszyłem przez pola usiane bladozłotymi kosaćcami. Starałem się nie myśleć o niczym. Wkrótce dotarłem na brzeg rzeki Orr. Na drugim brzegu, na wzgórzu, wznosił się zamek Framlingham.

Trzyście wież i wysokie mury rzucały głębokie cienie na potrójny pierścień fos. W parku łowieckim połyskiwało morze stali. Znalazłem bród i przepравиłem się przez rzekę. Zbliżając się do zamku, widziałem setki zbrojnych, armaty, rusznice. Wszyscy krzżeli się pospiesznie, najwyraźniej szykując zamek do oblężenia. Popuściłem wodze Cynobrowi, który kłusował żwawo, wyczuwając stajnię, owies i zasłużony odpoczynek.

Zatrzymali mnie strażnicy. Musiałem zsiąść, przedstawić się. Kazano mi czekać, aż w końcu doszedł rozkaz Rochestera, aby mnie wpuścić. Zarzuciłem sakwę na ramię i poprowadziłem Cynobra za uzdę. Budowla była ogromna, zasłaniała pół nieba. Mało kto zwracał na mnie uwagę, większość była zajęta pracą. Słysząc było okrzyki, przekleństwa, szczekanie psów, ryczenie bydła.

Mój nastrój poprawił się mimo wszystko. Wokół zamku powstało prowizoryczne miasto pełne ludzi z gminu, żołnierzy, okolicznych ziemian. Zgromadzili się, by bronić swej prawowitej monarchini. W niecałe siedemdziesiąt dwie godziny królowa Maria zebrała armię. Tutaj przynajmniej sprawy toczyły się tak, jak powinny.

Na dziedzińcu zewnętrznym roiło się od ludzi i zwierząt. Energicznym krokiem podszedł do mnie Rochester. Pot się z niego łał, ale wyglądał na człowieka zadowolonego. Uściśnął mi dłoń.

— Panie Beecham! Witam serdecznie. Przyjaciele waszmości przypomnieli mi, kim jesteś. Zostaw konia pod opieką

stajennego. Zapraszam do zamku. Jej królewska mość oczekuje cię, panie.

Zerknąłem w głąb dziedzińca. Nie mogłem się nie roześmiać na widok Sokoła i Barnaby, rozebranych do pasa, usmolonych, którzy taszczyli z szopy ciężką armatę. Pomachali mi wesoło. Wróciłem spojrzeniem do Rochesterera.

— Cieszę się, że widzę was wszystkich w zdrowiu — powiedziałem ze szczerą radością.

— Gdyby nie ty, panie, mogło być źle. Wiele ci zawdzięczamy. Gdyśmy się rozdzielili, Robert Dudley i jego ludzie ścigali przez wiele mil drugą grupę. Gdy się połapali, że popełnili błąd, zawrócili i ruszyli za nami. Na szczęście ujęto go.

Spoważniałem.

— Ujęto?

— Tak, panie. Skąd masz to wiedzieć. — Rochester poprowadził mnie w stronę osobliwej budowli z czerwonej cegły, z drewnianymi dobudówkami. Wszystko to mieściło się wewnątrz zamkowych murów. — Lord Robert, gdy domyślił się, dokąd zmierzamy, postanowił zebrać posiłki. Pomyślał, że nie mamy sił na obronę zamku, gdy on wróci i założy oblężenie. — Rochester zachichotał. — Mówiąc szczerze, i my się nie spodziewaliśmy, że syn starego Norfolka będzie tu czekał na nas ze swym wojskiem. Ale czekał, a do wieczora ściągnęło tu jeszcze pięć tysięcy zbrojnych. Wieść o ciężkim położeniu jej wysokości rozeszła się lotem błyskawicy. Zaczęło się pospolite ruszenie. Ściągają tu ludzie z całej Anglii. Wygląda na to, że sam Bóg wszechmogący ma ją w swojej opiece.

— Rzeczywiście — zgodziłem się. — Ale co z lordem Robertem?

Pamiętałem o Elżbiecie, o jej prośbie. „Nie chciałabym, żeby spotkało go coś złego”, powiedziała. Niespodziewanie, ku własnemu zakłopotaniu, uświadomiłem sobie, że ja też bym nie chciał. Może dlatego, że Robert był mi w końcu kimś w rodzaju brata. A może dlatego, że choć był Dudleyem do

szpiku kości, to jednak, tak jak sądziła Elżbieta, był w rzeczywistości ofiarą swojej rodziny.

— Dotarł do King's Lynn — mówił Rochester. — Po drodze opuścili go jego ludzie. Gdy znalazł się na miejscu, okazało się, że żołnierze zdezerterowali. Musiał uciekać. Schronił się w Bury Saint Edmunds, skąd wysłał umyślnego z pilnym listem do Londynu. Posłaniec wyjechał, a Robert został. Aresztował go tam wkrótce potem baron Derby w imieniu królowej. Sprawiedliwość zwycięża. Trzymając go w ruinach opactwa zburzonego przez jego ojca.

— Co go czeka?

Rochester sapnął.

— Jej królewska mość zdecyduje o jego losie, gdy już obejmie władzę. Sądzę, że to będzie los nie do pozazdroszczenia. W najlepszym wypadku loch w Tower do końca jego dni. W najgorszym — topór, tak jak i dla reszty zdrajców. Ja bym doradzał topór. W każdym razie jej wysokość uraduje się, gdy cię zobaczy, panie. Pytała już kilkakroć.

Wcale się nie cieszyłem tak jak Rochester, choć bez wątplenia cios zadany Dudleyom znacznie poprawił położenie Marii. Odczuwałem przede wszystkim zmęczenie. Marzyłem o kąpieli, spokoju, łóżku... Nie chciałem myśleć o tym, co powiem Elżbiecie.

Weszliśmy do zamku, wspięliśmy się po schodach do surowej sali na piętrze. Maria ubrana była w prostą czarną suknię. Wysoki kornet zdawał się nieproporcjonalnie duży przy jej wąskich ramionach. Przechadzała się po sali, dyktując coś stanowczym głosem pisarzowi, który skrobał pospiesznie gęsim piórem, by zanotować wartko płynący strumień słów.

— ...dlatego też, szlachetni panowie, domagamy się od was, jako wasza prawowita władczyni, abyście jak tego wymaga wasza cześć i wasze osobiste bezpieczeństwo, niezwłocznie po otrzymaniu tego listu poczynili wszelkie niezbędne kroki dla ogłoszenia nas królową w mieście stołecznym Londynie.

Nie opuściliśmy naszego królestwa i nie nosimy się z takim zamiarem, lecz będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie sprawy, którą nam Bóg powierzył...

Rochester chrząknął. Skłoniłem się nisko.

— Wasza wysokość...

Obróciła się ku nam gwałtownie, spojrzała na mnie. Najwyraźniej była krótkowzroczna, bo kilkakrotnie zamru-gała i zmrużyła oczy i dopiero po chwili wykrzyknęła:

— Ach, mój tajemniczy sprzymierzeniec! — Przywołała mnie gestem. — Wstań, wstań. W samą porę. Właśnie wy-powiadamy wojnę Northumberlandowi.

— To w rzeczy samej dobra nowina, wasza wysokość.

Zbliżywszy się, zauważyłem, że mimo żywości i energii, które w sporej części musiały wywodzić się z tej spontanicznej demonstracji lojalności, jakiej tu wokół siebie doświadczała, Maria wyglądała na zmęczoną i wymizierowaną. Sprawiała wrażenie osoby, która od tygodni porządnie nie zjadła ani nie wypoczęła.

— Dobra? Więcej niż dobra nowina. — Zaśmiała się drwiąco. — Nasz dumny książę już taki dumny nie jest. Opowiedz, Waldegrave — zwróciła się do sekretarza i kla-snęła w dłonie, nagle cała w skowronkach.

Jej sekretarz zaczął recytować:

— Sześć miast obsadzonych wojskiem księcia zadeklaro-wało lojalność wobec jej wysokości, oddając do jej dyspozycji artylerię, prowiant i zbrojnych. Jej wysokość wysłała też do rady królewskiej odezwę, w której domaga się...

— Domagam się — Maria weszła mu w słowo — żeby zdali sprawę, dlaczego jeszcze nie ogłosili mnie w Londynie prawowitą władczynią. Domagam się też wyjaśnienia, dlacze-go ośmielili się proponować koronę mojej kuzynce. Wiesz, co mi odpisali? — Podniosła leżący na stole papier. — Napisali, że mój brat zmienił przed śmiercią dekret sukcesyjny, pozba-wiając mnie praw do korony ze względu na poważne wąpli-

wości dotyczące tego, czy jestem królewskim potomstwem z prawego łoża. — Rzuciła papier z powrotem na stół. — Poważne wątpliwości! — Tym razem jej śmiech podszyty był czymś mrocznym, od czego ciarki przeszły mi po plecach. — Wkrótce zobaczą, czy można tak pisać do królowej. Heretycy i zdrajcy, wszyscy co do jednego, potraktuję ich tak, jak na to zasługują, gdy czas nadejdzie.

Po tym wybuchu zapanowała cisza. Przyglądała się nam kolejno, w końcu utkwiała wzrok we mnie.

— A więc? Jesteś, kawalerze, posłańcem rady, prawda? Nie masz żadnego zdania w tej sprawie?

Już pytała mnie o zdanie w posiadłości Huddlestona, tylko że tym razem nie mogłem liczyć, że nagle wciągną złapanego Barnabę, co wybawi mnie od odpowiedzi. Jakby dla potwierdzenia, że znalazłem się w kłopotach, Rochester ostrożnie cofnął się o krok. Poczułem ssanie w żołądku. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, musiałem znów dowodzić swojej lojalności wobec niej. Choć rzeczywiście: skąd mogła wiedzieć, komu jestem naprawdę oddany? Dlaczego miała wierzyć obcemu, po tym wszystkim, przez co musiała przejść?

— Za pozwoleniem waszej wysokości — rzekłem — czy mógłbym przyjrzeć się temu listowi?

Wskazała mi gestem papier. Interesowały mnie zwłaszcza podpisy i pieczęcie. Popatrzyłem jej w oczy.

— Panowie, których list przywiozłem waszej wysokości, nie są tu reprezentowani.

— Jak sam widzisz. — Głos nadal miała surowy, ale widać było, że rozluźniła się odrobinę. Podeszła do mnie bliżej, rzucając przez ramię: — Zostawcie nas. Chcę porozmawiać w cztery oczy.

Przeszedłem pomyślnie sprawdzian, choć nadal nie byłem spokojny. Rada sprzeciwiała się Marii ze względu na jej wiarę religijną. Mój związek z radą, choć luźny, wystawiał mnie na duże niebezpieczeństwo.

Królowa stała przy stole.

— Zastanawiam się nad tobą, kawalerze. Pojawiasz się znikąd i nawet się nie przedstawiasz. Potem ryzykujesz życie, aby pomóc nam w ucieczce. Uważają cię za godnego zaufania na tyle, by powierzyć ci tajną korespondencję, a równocześnie wykazujesz niewiedzę w sprawach, w których powinieneś być dobrze zorientowany. Muszę wiedzieć dokładnie, z kim mam do czynienia.

W gardle czułem suchość. Odezwałem się, uważnie dobierając słowa:

— Wasza wysokość, zapewniam ją, że jestem tylko zwykłym posłańcem. Robię to, za co mi płacą. A co do ryzykowania życia, to nie narażałem się zanadto, bo wiedziałem, że ludzie lorda Roberta postanowili go opuścić. Co do nazwiska, to wasza wysokość z pewnością wie, że nazywam się Daniel Beecham.

— Wiem, choć sam się nie przedstawiałeś. — Wzięła gęsie pióro i zaczęła je obracać w palcach. — Dlaczego wybrano ciebie, byś doręczył list członków rady? Z pewnością mogli wybrać kogoś innego, kogoś, kogo znam osobiście.

Usłyszałem w głowie głos Elżbiety: „Kocham moją siostrę, ale to jest osoba nieufna. Życie ją tego nauczyło”. Uśmiechnąłem się z trudem.

— Wasza wysokość musi wiedzieć, jak się to odbywa. Wywiązałem się z kilku zadań w przeszłości, zaproponowano mi nowe. Żaden ze szlacheckich panów nie miał ochoty wybierać się w podróż. Gdybym po drodze wpadł w czyjeś ręce... można by się było wyprzeć wszelkich związków ze mną.

— Innymi słowy — prychnęła — człowiek do wynajęcia?

— Jak większość, wasza wysokość — odparłem, a ona popatrzyła mi prosto w oczy.

— Panie Beecham, nie mam może zbyt wiele doświadczenia z ludźmi, ale to, które mam, podpowiada mi, że nie mówisz mi wszystkiego. Życie mnie nauczyło tego i owego

o ukrytych motywach. — Podniosła rękę. — Ale nie musisz już nic mówić. Nie pytam. Barnaba Fitzpatrick wyraża się **O** tobie jak najlepiej, a ty sam dowiodłeś swego oddania. Gdy już ogłoszą mnie królową, masz u mnie miejsce na dworze. **I** bądź pewien, dostanę tę koronę. Nawet księżę nie zdoła sprzeciwić się woli boskiej.

— Modłę się o to — rzekłem. Wierzyłem, że się jej uda. Marii Tudor wiele można było zarzucić, ale nie tchórzostwo. Dudley nie docenił jej, tak samo zresztą jak i jej siostry.

Z nikłym uśmiechem usiadła na fotelu, zwiększając dystans między nami. Jej następne słowa wypowiedziane zostały w sposób znamionujący kogoś, kto ma ważniejsze sprawy na głowie.

— Na pewno rozumiesz to, kawalerze, nie mogę obecnie wynagrodzić cię w odpowiedni sposób. Niemniej jednak masz moje słowo, że zostaniesz stosownie obdarowany, gdy tylko zasiądem na tronie. Na razie zgłaszaj się ze swymi potrzebami do Rochesteru.

Skłoniłem się głęboko, opanowując chęć natychmiastowego oddalenia się. Musiałem zostać, druga okazja mogła się już nie nadarzyć.

— Nie oczekuję zapłaty za służbę mojej królowej — wyrzekłem, dziwiąc się, że mówię tak spokojnie, bo serce waliło mi jak młotem. — Jest pytanie, które pragnąłbym zadać waszej wysokości, jeśli nie uznasz tego, pani, za zbytnią śmiałość.

— Tak? — Splotła dłonie na podołku i przekrzywiła z zaciekawieniem głowę.

— Po prostu pytanie, proszę o wybaczenie. — Milczałem chwilę. Wiedziałem, że tego po mnie nie widać, ale wewnątrz nie drżałem. — Ojciec waszej wysokości, król Henryk Ósmy, miał dwie siostry. Marię, księżnę Suffolku...

— Tak, to młodsza. Starsza to Małgorzata, królowa wdowa Szkocji.

— Rozumiem. Wasza wysokość, proszę nie uznać tego za wścibstwo, ale czy młodszą siostrę króla, Marię księżną Suffolku, nazywano Różą Tudorów?

Popatrzyła na mnie tym swoim wnikliwym spojrzeniem. Po dłuższej chwili kiwnęła głową.

— Nie wszyscy o tym wiedzą, ale owszem, tak ją w rodzinie nazywano. Skąd ty to wiesz, kawalerze?

Poczułem ucisk w gardle. Oblizałem wysuszone wargi.

— Usłyszałem kiedyś na dworze. Ludzie gadali.

— Gadali, powiadasz? No cóż, moja ciotka Maria zawsze lubiła mówić. — Zamilkła, jej spojrzenie jakby uciekło w dal. — Mam po niej imię. Była aniołem zarówno z urody, jak i dobroci serca. Uwielbiałam ją. Mój ojciec także. To on właśnie nazywał ją Różą.

Poczułem falę rozżalenia. Anioł, z urody i serca...

— Ale, ale, to zainteresowanie historią. Coś nietypowego u człowieka z gminu — powiedziała.

Kłamstwo wypłynęło mi z ust, jakbym ćwiczył je tysiące razy:

— Ot, zwykła ciekawość, wasza wysokość. Genealogia królewska zawsze mnie interesowała.

Uśmiechnęła się ciepło.

— Popieram. Możesz pytać dalej.

— Znam oczywiście córkę księżny. — Miałem wrażenie, że to nie ja mówię, ale ktoś inny. — Ale czy księżna Maria miała również syna?

— Miała. Dwóch, obaj otrzymali imię Henryk. Jeden zmarł roku Pańskiego tysiąc pięćset dwudziestego drugiego, drugi w tysiąc pięćset trzydziestym czwartym, rok po śmierci matki. To była tragedia dla jego ojca. Parę lat później Suffolku stracił również obu synów z drugiego małżeństwa. Sam zmarł w roku tysiąc pięćset czterdziestym piątym.

— Jak zmarli synowie Marii? — zapytałem, czując mróz na plecach.

Zamyśliła się.

— Chyba na angielskie poty, ale nie jestem pewna. Dzieci łatwo umierają. — Westchnęła. — Przypominam sobie, że opiekowała się nimi w chorobie moja kuzynka Frances, ich siostra. Ona przechorowała poty przedtem, uodporniła się. Na pewno ciężko przeżyła śmierć braci. Utrata rodzeństwa to dla każdego straszny cios.

Stłumiłem gorzki śmiech. Męscy potomkowie Suffolka pomarli w dzieciństwie. W ten sposób właśnie księżna Suffolk odziedziczyła majątek. A wszyscy myślą, że to przypadek.

— A Maria Suffolk... — zacząłem. Musiałem się dowiedzieć niezależnie od tego, jaka będzie odpowiedź. Musiałem się upewnić niezależnie od tego, jakie to będzie bolesne. — Jak ona zmarła?

— Mówiono mi, że na jakąś gorączkę. Chorowała od dłuższego czasu. Puchlina wodna, zdaje się. Nie była stara, miała tyle lat, co ja teraz. Nie widywałyśmy się często w tamtym okresie. Nie pochwałała decyzji mojego ojca i wycofała się z dworskiego życia. Mieszkała w zamku we wschodniej Anglii. — Rysy jej stwardniały. — Mało kto okazał wtedy po niej żalobę. Był czerwiec, ta Boleyn była brzemienna, wszyscy czekali, co urodzi. — Zamilkła. Nie powiedziała tego głośno, ale widać było, że targa nią wewnętrzny konflikt. Tu tkwiło ziarno niezgody między nią a jej młodszą siostrą. Potem dodała: — Pamiętam szczegóły, bo parę tygodni po pogrzebie Charlesa księcia Suffolk zgłosił się do mnie jego giermek. Lojalny sługa, bardzo oddany. Miał straszną bliznę od skroni przez policzek. Spytałam go o nią. Powiedział, że został ranny w wojnie szkockiej. Bardzo był przejęty śmiercią swojego pana. Pamiętam dobrze, że przywiózł mi klejnot, który Maria pozostawiła dla mnie, ale którego mi po jej śmierci nie doręczono. Mam go do dzisiaj. To liść ze złotego karczocha, który otrzymała od tego hultaja, następcy tronu Francji Franciszka Pierwszego, co to po zgonie jej pierwszego męża Ludwika,

króla Francji, spiskował, żeby ją wydać za Charlesa Brandona.

Kolana się pode mną ugięły, jakby były z wosku. Maria uśmiechnęła się.

— Ten klejnot bardzo dużo dla niej znaczył, był jedną z niewielu rzeczy, które w końcu udało się jej stamtąd przywieźć do Anglii. Wprawdzie wszystko skończyło się dobrze, ale przez pewien czas ojciec groził wtrąceniem Marii i Brandona do Tower. Obciążył ich też potężną daniną, której nigdy nie udało im się spłacić w całości, choć Maria zastawiła swoją biżuterię. Ale nie ten klejnot. Powiedziała mi kiedyś, że ten złoty karczoch symbolizuje to, co najlepsze i najgorsze zdarzyło jej się w życiu, radość i smutek. Nie chciała się z nim nigdy rozstawać. — Maria nagle pochyliła się ku mnie. — Panie Beecham, czy dobrze się czujesz? Bładys jak płótno.

— Po prostu jestem zmęczony — wykrztusiłem. — Dziękuję, że zechciała wasza wysokość zaspokoić moją ciekawość. Bardzo wiele to dla mnie znaczy.

— Ach, z przyjemnością wspomniałam ciotkę. Może pewnego dnia spiszesz naszą rodzinną kronikę. Chętnie ci to, kawalerze, zlecę. — Pogroziła palcem. — To by pozwoliło ci zrezygnować z mniej szacownych metod zarobkowania.

— To byłby dla mnie zaszczyt. — Uśmiechnąłem się z trudem, zadowolony, że w komnacie jest ciemnawo. — Za pozwoleniem waszej wysokości, opuszczę ją.

— Naturalnie. — Wyciągnęła rękę. Skłoniłem się nisko, a ona powiedziała: — Jestem winna twym obecnym chlebodawcom odpowiedź. Przyjdź jutro rano, może coś przygotuję.

— Wasza wysokość... — Ucałowałem chude palce, na których połyskiwały pierścienie.

Rochester zaprowadził mnie do kwatery za murami. Miałem tam do dyspozycji koryto, w którym mogłem się wykąpać, i sypialnię na pięterku z najpotrzebniejszymi sprzęta-

mi. Rozdziałem się, pilnując, by nie odsłonić bioder, umyłem w omszałym korycie, po czym wszedłem na górę i zamknąłem drzwi.

Na stole czekała na mnie zimna strawa. Nie byłem głodny. Posiliłem się jednak. Potrzeby ciała ustępują przed rozpaczą w sercu.

Zjadłszy, usiadłem na skraju siennika i jeszcze raz wyjąłem klejnot z sakwy. Błyszczał jak gwiazdny okruch. Jak mogłem pomyśleć, że to coś innego. Powiodłem palcem po wygrawerowanej żyłce, zupełnie jakby to było coś żywego. Uprzytomniłem sobie, z jak bardzo daleka do mnie dotarł, z Francji, przez La Manche, przez całe życie... Zerknąłem w dół, na swoje podbrzusze i na lewo, na biodro, na którym widniało znamię mojej matki.

Wiedzieli o tym tylko najbliżsi księżny Marii.

„Po pogrzebie Charlesa księcia Suffolk zgłosił się do mnie jego giermek... Oddany sługa...” Zamknąłem oczy. Potrzebuję odpoczynku. Wsunąłem klejnot pod podszewkę płaszcza i przykryłem się grubym lnianym prześcieradłem.

Zasypiając, pomyślałem, że Kate się zdziwi tak samo jak ja, gdy się dowie, że ten klejnot to nie płatek kwiatu, lecz liść karczocha.

ROZDZIAŁ XXVI

Śniły mi się anioły. Z anielskimi chórami w uszach otworzyłem oczy. W izdebce było ciemno. Przez okno wpadał pełgający blask, jakby od ognia. Usiadłem. Śpiew dobiegał z zewnątrz. Zobaczyłem, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze.

— Barnaba? To ty?

— Tak, Brendanie. Tuszę, iż nie masz nic przeciwko temu. Pozwoliłem sobie wejść. — Stał przy oknie, rękami obejmował tułów, wyglądał na zewnątrz. — Załatwiłeś to, co miałeś załatwić? — zapytał, nie odwracając się od okna.

— Tak. I przywiozłem twój łuk, dziękuję. — Milczałem chwilę. — Gdzie Sokół?

— Smacznie śpi. Chłopakje, aż mu się uszy trzęsą, i sypia jak zabity. Chodź, zobacz.

Naciągnąłem pludry i boso podreptałem do okna.

Nad zamkiem wisiał granatowy namiot nieba. Na dziedzińcu ustawiono ołtarz polowy udekorowany drapowanym spłowiałym szkarłatnym atłasem, haftowanym w krucyfiksy. Przed ołtarzem stała postać w białym ornacie, wznosząca wysoko kielich. Wokół ołtarza tkwiły woskowe świece, których migotliwe płomyki oświetlały złocistym blaskiem wzniesione do góry twarze klęczących w zupełnym milczeniu mężczyzn i kobiet. Wonny dym unosił się z kadzielnic. Śpiew wznosił

się i opadał. Śpiewał dziecięcy chór, ustawiony na podwyższeniu.

Maria siedziała w fotelu, z różańcem z granatów w dłoniach. W kamieniach odbijało się światło świec, rzucając na jej suknię błyski niczym krople krwi.

— Na Boga, ona jest pewna zwycięstwa — powiedziała Barnaba. — Miejmy tylko nadzieję, że nie będziemy musieli uczestniczyć w tych papistowskich obrzędach.

Zahipnotyzowany tą niesamowitą w swej obcości sceną, rzekłem:

— Jeszcze nigdy nie widziałem nabożeństwa według dawnej modły. Właściwie jest bardzo piękne.

— Może dla ciebie. Dla tych z nas, którzy widzieli palonych na stosach heretyków we Francji i Hiszpanii, nie jest to piękny widok. — Barnaba odwrócił się od okna. Odwróciłem się również i patrzyłem, jak chodzi po izdebce. — Nie podoba mi się to — powiedział. — Chciałbym szanować ją jako królową, ale ona już wznosi ołtarze i pali kadzidło. Ostrzegano nas, że tak będzie. — Spojrzał na mnie. — Dziś przyszły wieści, że księżę zbiera armię przeciwko niej. Jeśli nie zdoła jej pokonać, ona zdobędzie koronę.

— Przecież ta korona się jej prawnie należy — odparłem.

— Wiem o tym. Ale co będzie, jeśli... — Zerknął na drzwi, zniżył głos do szeptu. — A jeśli nie mamy racji? Jeśli się okaże, że jej oddanie Rzymowi jest większe niż poczucie obowiązku wobec Anglii? Edward bardzo się tego obawiał. Dlatego właśnie próbował zmienić kolejność sukcesji, bo był przekonany, że ona sprowadzi do nas znowu przesady i bałwochwalstwo; zaprzepaści wszystko, co chciał osiągnąć jej ojciec.

Drgnąłem.

— Harry Sidney mówił coś w tym stylu wtedy, gdyśmy byli w komnacie króla. Powiedział, że Edward został zmuszony do podpisania jakiegoś dokumentu. A dzisiaj jej wysokość mówiła mi, że rada królewska zakomunikowała jej,

że została pozbawiona prawa do tronu ze względu na to, że istnieją poważne wątpliwości, czy pochodzi z prawego łoża. — Przerwałem i popatrzyłem na niego. — Co wiesz, czego mi nie powiedziałaś?

Odpowiedział bez wahania.

— Zastrzeżenia co do jej pochodzenia to tylko pretekst. W rzeczywistości Edward nigdy nie uważał, że Maria jest bękartem. Uważał, że wszystkie małżeństwa jego ojca były prawowite. Ale nie sądził, aby ona powinna była zostać królową. Gdy podpisywał poprawkę do aktu sukcesyjnego, uczynił to z własnej woli. Myślałem, że to wiesz.

— Nie. — Starałem się jak najszybciej przyswoić niespodziewaną nowinę. — Wydawało mi się, że książę siłą skłonił Edwarda do podpisania aktu sukcesyjnego, w którym czynił następczynią tronu Jane Grey. Twierdzisz, że to był własny plan Edwarda, jeszcze przed choroby?

— Tak. Chciał, żeby rządziła Elżbieta. Miał zamiar sam jej to powiedzieć. Dlatego właśnie Northumberland tak bardzo starał się nie dopuścić do ich spotkania. Nie chciał, żeby Elżbieta z Edwardem zaczęli przeciwko niemu spiskować.

Wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Za tą płataniną półprawd i kłamstw kryło się jeszcze coś.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytałem spokojnie.

Barnaba zmarszczył czoło.

— Jak to skąd? Sekretarz Cecil mi powiedział. Zgłosił się do mnie wkrótce po pierwszej zapaści zdrowotnej Edwarda. Powiedział mi, że powinienem zrozumieć jego troskę o króla, bo jestem królowi jak brat.

I znów poczułem gwałtowny skurcz trzewi.

— Troskę o co?

— Że książę zamierza zagwarantować sobie władzę niezależnie od życzeń Edwarda. — Barnaba przysiadł na zydlu. Złożył ręce i przyglądał mi się w zamyśleniu. — Edward chorował od trzech lat. Chudł, miewał gorączkę... Wiedział, że nie

pożyje dość długo, by się ożenić i spłodzić potomka. Zgodnie z obowiązującym prawem sukcesyjnym następna w kolejce do tronu była Maria. Edward sprzeciwiał się wszelkiemu zbliżeniu z Rzymem, dlatego też zaprosił Marię do pałacu, aby ją wybadać. Odmówiła przejścia na wiarę protestancką, więc uznał, że nie jest warta rządzenia Anglią. Według Cecila postanowił pozbawić Marię prawa do sukcesji na rzecz Elżbiety. Powiedział to wprost Cecilowi i poprosił, aby ten przygotował mu projekty aktów prawnych, które mógłby przedstawić radzie królewskiej. Niestety, wkrótce dostał strasznej wysypki i rozchorował się ciężko. Opiekę nad nim przejął książę. Od tamtej pory nikomu z rady królewskiej nie udało się z Edwardem zobaczyć.

— Chwileczkę! — podniosłem rękę. Miałem wrażenie, że rozsypane ostatnie fragmenty łamigłówek znajdują nagle swoje miejsce. — Edward chciał przedstawić swoją decyzję księciu, nie poinformowawszy go wcześniej o tym, co zamierza? Dlaczego? Northumberland przecież musiał być tego samego zdania w sprawie Marii. Dlaczego Edward miałby to przed nim ukrywać?

Barnaba wzruszył ramionami.

— Edward bywał bardzo skryty w rozmaitych sprawach. I jeśli się do kogoś uprzedził, rzadko zmieniał zdanie. Myślę, że nastawił się niechętnie do księcia, gdy pojął, jak wielką władzę skupił Northumberland w swoim ręku. Tak czy owak, po zapaści króla nikt do niego nie miał dostępu bez zgody księcia. Nawet Cecil.

— I wtedy Cecil zwrócił się do ciebie. — Gdybym nie był oburzony, mógłbym podziwiać taką zuchwałość. Sekretarz miał znacznie więcej planów, niż sobie wyobrażaliśmy.

— Tak jest. — Barnaba sprawiał wrażenie zakłopotanego. — Powiedział mi, że obawia się, iż książę będzie chciał przyspieszyć zgon króla. Postara się też wykończyć każdego, kto będzie próbował go zdemaskować.

— A ty Cecilowi uwierzyłeś. — Przypomniałem sobie tę wytworną postać, ten modulowany głos, tę usilnie roztaczaną aurę szczerości...

— Nie miałem powodów, by mu nie ufać. — Barnaba rozłożył wielkie ręce. — Cecil prosił, żebym obserwował króla i donosił o wszelkich rzeczach nadzwyczajnych. Nie wiedział, że księżę odprawi mnie z dworu. Prowadziłem jednak obserwację dalej, mimo wszystko. Zwłaszcza gdy się zorientowałem, że Northumberland odprawił również wszystkich lekarzy Edwarda.

Poczułem, że z trudem łapię powietrze. Barnaba mówił dalej. W jego głosie brzmiała podejrzliwość.

— Zachowujesz się tak, jakbyś o niczym nie wiedział. A przecież ty też służyysz Cecilowi. Pomagałeś jej wysokości Elżbiecie na jego polecenie. Tak mi mówił Sokół. I dlatego się zgodziłem ci pomagać.

Odsunąłem się od okna. Poczułem chłód, drętwość.

— Półprawdy i przemilczenia — wyszeptalem. — Tak to działa. — Podniosłem wzrok. — On wiedział o wszystkim od początku.

— Kto? — Barnaba zrobił zdziwioną minę.

— Cecil. Wiedział o wszystkim, co się dzieje z Edwardem.

— Wiedział, co z nim robią Dudleyowie?

— Tak myślę. — Narastała we mnie nieopanowana wściekłość. — Bez Edwarda Cecil nie miał zaplecza. Gdyby księciu udało się przeprowadzić swoje plany, Cecil byłby skończony. Wiedział zbyt wiele. A Northumberland wyrósł na zbyt wielką siłę. Nawet gdyby skorzystać z usług skrytobójcy, pozostawali jeszcze synowie księcia i jego żona, z którymi trzeba by prowadzić walkę. Dlatego Cecilowi było trzeba czegoś więcej niż obalenia Northumberlanda. On musiał zniszczyć całą rodzinę Dudleyów. — Zaczerpnąłem z drżeniem powietrza. — Po prostu tego nie dostrzegałem. I nie dostrzegłbym nigdy, gdyby

nie ta nasza rozmowa. Choć to powinno było być dla mnie jasne od chwili, gdy mi złożył pierwszą propozycję.

Barnaba wstał.

— Skoro jednak Cecil chciał zniszczyć Dudleyów, dlaczego nie ostrzegł jej wysokości Elżbiety? Nie kazał jej trzymać się z daleka? Wystarczyłoby tylko, gdyby jej powiedział, że Edward umiera. Dlaczego dopuścił do tego, że ryzykowała życie?

— Nie wiem. — Wziąłem swoją koszulę. — Ale się dowiem.

— Szkoda, że go tu nie ma! — Uderzył pięścią w dłoń. — Już ja bym mu kazał się wytłumaczyć. A to wąż!

Popatrzyłem mu w oczy, pokiwałem głową.

— Przyjacielu, zostaliśmy wykorzystani bez skrupułów. Ty najbardziej. Twoje oddanie królowi było tylko środkiem w grze Cecila o jego własne interesy. — Zastanawiałem się przez chwilę. — Chciałbym jeszcze o coś zapytać. Czy opowiadałeś Cecilowi o zielarce?

Odwrócił wzrok.

— Tak, opowiadałem. Sprawa wydawała mi się dziwna. Po co Northumberland odprawił królewskich lekarzy, a sprawdził jakąś znachorkę? Gdy pewnego popołudnia Sidney zobaczył w komnacie królewskiej lady Dudley, która wydawała zielarce polecenia, przypomniało mi się, co mówił Cecil. Otóż on się obawiał, że księżę spróbuje przyspieszyć zgon króla. A cóż może być skuteczniejszego od trucizny? Dlatego mu o tym powiedziałem.

Miałem wrażenie, że moje serce ścisnęły kleszcze. Postarałem się uspokoić własny oddech. Założyłem kamizelkę, buty, wziąłem mój sfatygowany kapelusz.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Barnaba, widząc, że dopinam rzemienie sakwy i zarzucam ją sobie na ramię.

— Idę poprosić królową o pozwolenie wyjazdu. Jeśli się zgodzi,jadę do Londynu. Mam sprawę do załatwienia. —

Zerknąłem na niego. — Przymknij, że się zaopiekujesz Sokołem. Niech nie myśli, że go porzuciłem. Ale wziąć go ze sobą nie mogę. Nie chciałbym, żeby tam się zorientowano, jak wiele ten chłopak dla mnie znaczy.

— Masz na myśli Cecila?

— Między innymi.

— Pojadę z tobą. Mam z nim własne porachunki.

Uścisnąłem mu dłoń.

— Bardzo by mi było miło. Ale tutaj będziesz potrzebniejszy. Zadbaj o Sokoła i wspieraj królową. Może jest innego wyznania, ale mając u boku takich ludzi jak ty, nauczy się rządzić z pewną powściągliwością.

Uścisnęliśmy się jak przyjaciele. Wyszedłem z izby.

Cynober był już osiodłany, gdy wezwano mnie przed oblicze królowej. Poszedłem za Rochesterem. Starałem się ukryć podniecenie. Moja nagła chęć wyjazdu mogła wzbudzić podejrzenia królowej.

Czekała w głównej sali. Włosy miała upięte w siatce na karku. Bez wielkiego czepca wydawała się maleńka. Przepasana była różańcem, purpurowe paciorki blakły przy kamieniach pierścieni na palcach. To wyraźne upodobanie do klejnotów zupełnie do niej nie pasowało.

— Rochester powiedział, że chciałbyś wyjechać, kawalerze — odezwała się, nim jeszcze zdążyłem się podnieść z przykłąku. — Dlaczego? Czyżby kwatery ci nie odpowiadała?

— Wasza wysokość, zapewniam, że to nie z mojej ochoty sposobie się do drogi, lecz z konieczności. Książę wyrusza ze zbrojnymi przeciwko waszej wysokości. Im prędzej dostarczę panom z rady królewskiej odpowiedź, tym lepiej. Jeśli oczywiście wasza wysokość raczy dać im odpowiedź.

Wstrzymałem oddech, Maria spojrzała na Rochesterę, on leciutko kiwnął głową.

— Tak, odpowiem. Potrzebne mi każde wsparcie, jakie mogę uzyskać, nawet ze strony tych zdrajców, którym służysz.

Wyczułem ostrzegawczy ton tych słów. To nie była łatwa w kontaktach kobieta, ciężko ją było zadowolić. Przeżycia młodości naznaczyły ją na całe życie, ukształtowały jej trudną osobowość. Elżbieta dobrze ją znała.

— Wasza wysokość — zaryzykowałem — skoro ksiązę wyruszył w pole przeciw tobie, panowie z rady powinni być bardziej skłonni do poparcia twej sprawy.

— Nie obchodzi mnie, czy są, czy nie są skłonni. Poprą mnie, jeśli mają dość rozumu, by wiedzieć, że to jedyny sposób, aby głowy nie pospadały im z karków. — Podeszła do stołu i podała mi dwa złożone arkusze pergaminu.

— Ten opieczętowany jest napisany szyfrem. Odbiorca będzie znał klucz. Powiedz twym mocodawcom, że mają się temu podporządkować bez dyskusji. Ten drugi list jest przeznaczony dla mojej kuzynki Jane Grey. Naucz się go na pamięć. To poufna wiadomość, przeznaczona wyłącznie dla niej. Jeśli nie będziesz miał sposobności, by jej to oddać do rąk własnych, zniszcz list. Nie może wpaść w niepowołane ręce.

— Tak jest, wasza wysokość. — Nie spodziewałem się tego. Dostarczenie jednego listu we właściwe ręce będzie dość niebezpieczne, a co dopiero dwóch.

— Nie oczekuję odpowiedzi na żaden z nich — poinformowała. — Sama będę niedługo w Londynie. Gdyby jednak dotarły do ciebie jakieś wieści, które mogą mieć wpływ na moje zamierzenia, korzystny lub nie, to spodziewam się, że mi je przekażesz. Lojalność wobec tych, którzy cię opłacili, nie powinna przesłaniać ci oddania królowej. Rozumiesz?

— Naturalnie, wasza wysokość. — Pochyliłem się do jej dłoni. Cofnęła ją. Zerknąłem w górę i zobaczyłem, że przygląda mi się, jakbym stał się zupełnie obcy.

— Nie omieszkaj przekazać pozdrowień panu Cecilowi —
dodała zimno. — To nie jest moje polecenie, ale możesz mu
powiedzieć ode mnie, że wie, co musi uczynić.

Schowałem listy i wycofałem się bez słowa.

LONDYN

ROZDZIAŁ XXVII

Unoszące się od Tamizy mgły rozsnuły się w ulotny welon. Dzień zapowiadał się upalnie. W promieniach porannego słońca rozciągnięty szeroko Londyn zdawał się nierzeczywisty.

Jazda do stolicy trwała krótko, zaledwie półtora dnia. Jechałem prawie bez odpoczynku. Unikałem głównych dróg i omijałem miasta. Zasięgałem dyskretnie języka u mijanych podróżnych i wiedziałem, że miasteczka zapchane były po dachy zwolennikami królowej, a w oczekiwaniu księcia bramy zamykano, mury zaś obsadzano zbrojnymi. Jak zwykle w sytuacjach niepewnych zaroїło się od motłochu. Samotny jeździec był łatwym celem, dlatego kryłem się w lasach i wyruszałem w dalszą drogę przed świtem.

Teraz odpoczywałem na szczycie wzgórza, punkcie obserwacyjnym, z którego doskonale widziałem miejsce, gdzie to się wszystko zaczęło. Zaledwie jedenaście dni temu ujrzałem to samo miasto zdziwionymi oczyma chłopca czekającego odmiany losu. Poczułem pustkę we wnętrzu. Całe życie pragnąłem się dowiedzieć, kim jestem i skąd się wywodzę. Teraz jakaś część mojego jestestwa marzyła o odwrocie,

o zagubieniu się w życiu prostego człowieka, o zapomnieniu świata, gdzie kobiety królewskiego rodu porzucają dzieci, a mężczyźni niszczą swych królów, by zaspokoić żądzę władzy. Wiedziałem teraz, że odpowiedzi, które uzyskam w Londynie na moje pytania, nie ujawnią tak naprawdę niczego, co pragnąłbym usłyszeć.

Fortuna często uśmiecha się do tych najmniej uprzywilejowanych.

Zaśmiałem się bez wesołości. Wygląda na to, że fortuna ma rzeczywiście poczucie humoru, bo mnie, temu najmniej uprzywilejowanemu, spadły na barki najtrudniejsze obowiązki. Gdy tak siedziałem w ciszy, marząc o ucieczce od prawdy o sobie, jeden z tych obowiązków domagał się natychmiastowego wypełnienia.

Usłyszałem szelest, którego się spodziewałem, i nie odwracając się w tamtą stronę, rzekłem:

— Nie ma sensu dalej się ukrywać. Wiedziałem, że za mną podążasz, odkąd minęliśmy Bury Saint Edmunds.

Stłumiony odgłos kopyt poprzedził pojawienie się spłoszonego Sokoła. Odziany był w ten sam co zwykle płaszcz z kapturem. Jego koń miał kopyta owinięte samodziałem, a wszystkie metalowe elementy uprząży także były poowijane szmatkami, nawet jego nóż w pochwie — byle tylko nie wydały żadnego brzęku. Chłopak miał w zanadrzu więcej sztuczek niż jarmarczny kuglarz.

— Nie mogłeś, Brendanie, wiedzieć — powiedział, zerkając na mnie. — Pilnowałem się, żeby zawsze być za tobą co najmniej piętnaście długości, a Diakon ma lekki krok.

— Ale zapominasz, że konie, zwłaszcza te, które się znają, wysyłają do siebie nawzajem różne sygnały, gdy czują, że są niedaleko. Cynober ostatniej nocy omal mi się nie wyrwał w stronę wozu, w którym się ukryłeś. Trzeba było się pokazać. Miałem królika na wieczerzę.

— Tak, a ogień rozпалиłeś taki, że miałeś szczęście, że pół okolicy się nie zleciało na poczęstunek — odgryzł się Sokół. Zamilkł na chwilę. — Nie jesteś na mnie zły?

Westchnąłem.

— Tylko zawiedziony, Sokole. Prosiłem Barnabę, żeby cię pilnował.

— To nie jego wina. Starał się. Powiedział mi, że w żadnym razie nie wolno mi jechać za tobą. Powiedział, że masz osobiste porachunki do wyrównania i musimy twą decyzję uszanować.

— Cieszę się, że jesteś taki zdyscyplinowany. — Podniosłem rękę do oczu, żeby osłonić je przed słońcem, i wyrzaziłem na drogę. — Dziwi mnie, że i on za tobą nie przyjechał. Wy dwaj chyba myślicie, że ja sobie sam butów zasznurować nie potrafię.

— Nie chciałem zostać bez swojego pana. — Sokół wyprostował się dumnie. — Na pewno przyda ci się moja pomoc. Mówiłem już, jak wyjeżdżaliśmy z Greenwich. Nie umiesz sobie radzić sam, Brendanie, pakujesz się w kłopoty.

— Barnaba też tak uważa?

Sokół kiwnął głową.

— To on chciał za tobą jechać. Przekonałem go jednak, żeby został. Mojej nieobecności nikt nie zauważy, a Barnaba musiałby pytać o zgodę Rochesterera, który nie miał ochoty pozbawiać królowej usług takiego osiłka. W każdym razie nie wtedy, gdy książę depcze im po piętach.

— Rozumiem. Ale powinieneś być i ty zostać. Nie masz pojęcia, na co się narażamy.

— Nie obchodzi mnie to. — Sokół starał się mnie rozbroczyć spojrzeniem swych szczerych oczu. — Pamiętasz? Jestem twoim osobistym giermkim. Gdzie ty, tam i ja, niezależnie od wszystkiego. Muszę przecież zarabiać na swoje utrzymanie.

Nie mogłem opanować uśmiechu.

— Jesteś uparty jak osioł. I co ja pocznę z takim nieznośnym basałykiem?

Sokół już miał mi się odgryźć, gdy zwróciło moją uwagę stadko spłoszonych gołębi. Popatrzyłem znów w stronę miasta. Zobaczyłem wijącą się nad drogą chmurę kurzu, która zbliżała się ku nam.

— Kryjmy się! — zawołałem.

Schowaliśmy się wraz z końmi w pobliskim zagajniku. Zsiadliśmy, ale wierzchowce trzymaliśmy krótko za uzdy. Tętent nasilał się coraz bardziej. Przypomniała mi się noc, gdy siedzieliśmy przy drodze i patrzyliśmy na galopujących Roberta Dudleya i jego ludzi. Tym razem odgłos był znacznie potężniejszy, jakby kroczyła ogromna bestia podkuta setkami podków. Powietrze drżało od hałasu, kurz wznosił się wysoko w górę.

Na początku chorążowie ze sztandarami, na których błyszczał herb Dudleyów: niedźwiedzie i włócznie. Za nimi jazda na koniach z czaprakami, uzbrojona w miecze i łuki, przytroczone do siodeł. Potem piechota, szereg za szeregiem, w kolczugach. Za piechotą wozy ciągnięte przez muły i woły. Widać było obłe cielska okrytych plandekami armat.

Potem na wspaniałych rumakach księżę i jego synowie. W zbrojach, z orężem. Księżę na czele w jaskrawoszkarłatnym płaszczu. Był z gołą głową. Ciemne włosy otaczały twarz jak z granitu. Choć obserwowałem z daleka, widziałem, że postarzał się w tych dniach.

Trzej synowie: Henry, Jack i Ambrose, odziani jak na paradę. Po raz pierwszy odkąd ich znałem, odkąd bałem się ich i nienawidziłem, odkąd zazdrościłem im ich wspólnoty i pozycji... po raz pierwszy zobaczyłem ich bez uśmiechów na twarzach. Jak Robert przedtem, tak oni teraz pojęli, że nadeszła godzina ostatecznej próby, która zadecyduje o życiu lub śmierci ich i całego rodu.

Przejechali w zwartym szyku. Armia przeciwko Marii Tudor. Czekałem w milczeniu jeszcze długo po tym, jak zniknęły w oddali. Borykałem się z niespodziewanymi wyrzutami sumienia. Dudleyów nigdy nie obchodził nikt poza nimi samymi. Bez skrupułów posłaliby na śmierć obie królowny, jak również wszystkich, którzy próbowali im pomóc. W moim sercu nie powinno być miejsca na litość, nawet jeśli to nie książę i jego synowie byli winni zbrodni, która pałaco domagała się pomsty. A teraz, gdy Northumberlanda nie było w stolicy, nadarzała mi się sposobność, wobec której nie mogłem pozostać obojętny.

Wskoczyłem na siodło i skierowałem Cynobra z powrotem na drogę, nad którą wciąż unosił się kurz niby postrzępiony welon.

— Dokąd się udamy? — zapytał Sokół. Zbliżaliśmy się kłusem do bram Londynu.

— Zobaczyć się ze starym znajomym — odparłem. — A tak przy okazji, czy wiesz, jak możemy się dostać do Tower?

Dopiero gdy minęliśmy posterunek straży w Aldgate (aby go przejść, musiałem się rozstać ze znaczną częścią złotych angeli, które dostałem od Walsinghama), Sokół wykrzyknął:

— Do Tower? Czyś ty, Brendanie, oszalał? Nie dostaniemy się do środka. To warownia królewska. Chyba mi nie powiesz, żeś o tym nie słyszał.

— Owszem, słyszałem. Ale naprawdę musimy się dostać do środka. Mam list do doręczenia.

Sokół ze świstem wydmuchnął powietrze.

— Najsilniej broniona forteca w Anglii, a ty masz tam doręczyć list? No to może po prostu zapukać do bramy? Rezultat będzie ten sam. Nie słyszałeś powiedzenia: „Jak się już tam wejdzie, to na zewnątrz wypuszczają tylko głowę”. Z ciebie jest prawdziwy jednorożec, dobrze Kate mówiła.

Zatkało mnie.

— Co jestem?

— Jednorożec. Legendarne stworzenie. Czyste wariactwo. Roześmiałem się serdecznie, prawie do rozpuku. Poczuję się znacznie lepiej.

— Nie słyszałem o tym przedtem. Podoba mi się.

— Założę się, że mniej ci się spodoba, jak cię wtrąca do lochu i przytrą rogu. Nie można dostać się do Tower bez odpowiednich glejtów, a tym bardziej stamtąd wyjść. Więc daj sobie spokój. Może poprobujemy w jakichś innych zakazanych miejscach?

— Nie, drogi Sokole. Ale podsunąłeś mi pomysł.

Wjechaliśmy na Cheapside. Ulice były dziwnie spokojne. Zamknięte okiennice zamieniły tawerny w twierdze. Z wyjątkiem jednej żebraczki, zbyt wyniszczzonej, by odpełznąć z bramy, w której się skuliła, nie widać było żywego człowieka. Cały Londyn kulił się ze strachu za zamkniętymi drzwiami.

— Powinniśmy zostawić konie w stajni i popłynąć rzeką — powiedział Sokół. — Tu za bardzo zwracamy uwagę. Nikogo nie ma. Pierwszy patrol, na który się natkniemy, aresztuje nas.

— Wiesz co, mam wciąż jeszcze jakąś awersję do wody — odparłem. Jechaliśmy brzegiem rzeki, gdzie łatwiej było omijać rynsztoki i góry śmieci, choć smród ścieków był dokuczliwy.

Gdy w oddali dostrzegłem wieże Whitehallu, ściągnąłem wodze i zatrzymałem konia.

— Którędy do domu Cecila?

Sokół spojrzał nieufnie.

— Myślisz, że on tu jeszcze jest?

— Na pewno. — Spowaźniałem. — A teraz posłuchaj: masz robić ściśle to, co ci odtąd powiem. Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Jeśli będziesz sprawiać kłopoty, zwiążę cię jak barana. To już nie przelewki. Jeden błąd i obaj skończymy jako trupy.

— Rozumiem. — Ukłonił się służalczo. — Tędy, mój mistrzu i panie.

Prowadził labiryntem krętych uliczek. W pustych, ciemnych zaułkach namacalne było poczucie wiszącej w powietrzu katastrofy. Z ulgą wyszedłem na trakt wiodący do pałacu. Nawet tutaj jednak pustka była przygnębiająca, wyglądało tu jak w jakimś królestwie z bajki, uśpionym zaklęciem złej wróżki.

Gdy byliśmy już blisko celu, poleciłem Sokołowi zostać z końmi, surowo przykazałem nie ruszać się z miejsca i dalej poszedłem sam. Dom otoczony był wysokim murem. Spróbowałem tylnej bramy, okazało się, że nie jest zamknięta. Skradając się do frontowego wejścia, wyciągnąłem sztylet z pochwy. W razie zażartej walki nie jest to wystarczająca broń, ale łuk Barnaby zostawiłem uwiązany do siodła, bo nie nadaje się do użytku w pomieszczeniach.

Popatrzyłem w okna. Dom wyglądał na opuszczony, jak zresztą całe miasto. Drogę przegradzała furtka. Przeskoczyłem ją, wylądowałem na miękkiej trawie. Stałem w ogrodzie, który schodził do rzeki, gdzie znajdowała się mała zaciszna przystań, osłonięta wierzbami. Tak jak podejrzewałem, czekała tu zacumowana barka. Flisak siedział skulony na dziobie, pociągając z bukłaka.

Obszedłem ukradkiem dom. Tylne drzwi były otwarte, skrzydło przystawione skrzynią, żeby się nie zamykało, jakby ktoś wchodził i wychodził w pośpiechu. Dalej znajdowało się duże okno gabinetu Cecila. Przywarłem do ściany i wspiąłem się na palce, żeby zajrzeć do środka.

Był wewnątrz, zdejmował z blatu papiery i upychał do małego skórzanego sakwojażu.

We wnętrzu panował półmrok. Przesunąłem się w prawo, wszedłem ostrożnie, rozejrzałem się na wszystkie strony. Podłoga zaskrzypiała pod moją stopą. Zamarłem, oczekując, że za chwilę rzucają się na mnie pachołki. Jednak nic się nie stało, więc skradałem się dalej, aż wreszcie mogłem zajrzeć do gabinetu.

Cecil stał plecami do drzwi. Miał na sobie czarne pantalo-
ny i kaftan. Płaszcz podróżny był przewieszony przez poręcz
krzesła, sakwojaż stał na blacie kabinetu. Zapinał go właśnie,
gdy usłyszał mnie i znieruchomiał. Nie oglądając się, rzekł:

— A to niespodzianka.

Wszedłem przez próg. Odwrócił się, zerknął na sztylet
w mojej garści.

— Przybyłeś mnie zabić, kawalerze Prescott?

— Powiniennem — rzekłem. Znalazłem się twarzą w twarz
z człowiekiem, który omotał i wyprowadził w pole wszyst-
kich, jakby byli marionetkami w jego rękach. Serce mi waliło.
Rozejrzałem się po gabinecie. — Jesteście sami, panie? Czy
najpierw będę miał do czynienia ze skrytobójcą?

Uśmiechnął się kwaśno.

— Jeśli masz na myśli Walsinghama, to zapewniam cię, że
sytuacja stała się zanadto niepewna jak na człowieka o jego
przekonaniach. Sądzę, że jest właśnie w drodze do Dover,
w nadziei przeprowadzenia się na kontynent. Pojechałbym z nim,
gdyby nie to, że muszę zadbać o rodzinę.

— Królowa Maria napawa was obawą?

Uśmiechał się nadal.

— Otóż to. Właśnie zamierzałem popłynąć barką, a po-
tem wynajęć konie do Hertfordshire. To niedaleko Hatfield,
pałacu jej wysokości Elżbiety. — Zamilkł na chwilę. — Udasz
się ze mną? Ona z przyjemnością cię zobaczy. Mówiono mi,
że wielce sobie ceni to, co dla niej zrobiłeś.

Moja wściekłość, zbyt długo opanowywana, wybuchła
z pełną siłą.

— Oszczędźcie sobie gier, panie, po tym wszystkim, cze-
goście się dopuścili.

Przyglądał mi się bez śladu zaniepokojenia.

— Widzę, że mamy do pomówienia. Proszę, usiądźmy,
porozmawiajmy jak ludziom obytym przystało. — Pochylił się
ku sakwojażowi, jakby chciał go przesunąć na bok.

Nie wahałem się ani chwili. Skoczyłem, przycisnąłem sztylet do jego żeber, na tyle mocno, by poczuł przez kaftan.

— Na waszym miejscu uważałbym. Nie trzeba nowych powodów, abyś waszmość żałował, że mnie spotkał.

Nie ruszał się.

— Nigdy tego nie będę żałował. Czy przynajmniej mogę usiąść? Mam początki podagry, noga mnie dzisiaj boli.

Musiałem przyznać, że był opanowany. Właściwie to zacząłem mieć nadzieję, że nie będę musiał podejmować działań. Mówiąc prawdę, wcale nie byłem pewien, czy jestem w stanie zrealizować groźbę, zwłaszcza że ślepa furia, która mnie ogarnęła na początku, opadła i dawała już nad sobą panować. Nie byłem taki jak on. Nie znajdowałem przyjemności w wyszukanych wybiegach, w intrygach wewnątrz intryg. Ale potrzebna mi była jego współpraca, jeśli miałem odkryć najgłębszy powód, dla którego znaleźliśmy się obaj w tym, a nie innym miejscu.

— Nie wiem, co takiego uczyniłem, że wywołało u ciebie aż takie wzburzenie — zaczął. — Nie jestem zdrajcą w mierze większej niż którykolwiek inny członek rady królewskiej, zobowiązany do popierania księcia przeciwko królowej.

Wytrzymałem jego chłodne, badawcze spojrzenie, które było moim pierwszym wprowadzeniem w jego perfidny świat.

— Chodzi mi o sprawę prywatną. Jej wysokość sama się wami zajmie, panie, i wymierzy taką karę, jaką uzna za stosowną.

— Och! Muszę przyznać, że pozostajesz wierny sobie. Jesteś przekonany, że Marii uczyniono krzywdę i że to ja maczałem w tym palce.

— Czy zaprzeczycie, żeście, panie, dostarczali księciu informacji niezbędnych, żeby odnaleźć Marię? Czy też tylko przypadkiem lord Robert jechał tą samą drogą co ja, niemal równocześnie ze mną?

Cecil odchylił się do tyłu, założył nogę na nogę.

— Nie przeczę, skierowałem go we właściwą stronę. Ale też nie protestowałem, gdy usłyszałem, że lord Arundel wprowadził Durota, a raczej naszego dzielnego Fitzpatricka, do grupy ludzi Roberta, choć wiedziałem, że jego zadaniem jest zmylić pościg. Jak widzisz, nie do końca jestem wrogiem Marii.

Jego głos nasuwał myśl o syrenim śpiewie — był kojący, melodyjny, aż zanadto przekonujący. Jeszcze kilka dni temu dałbym się zauroczyć.

— Kłamiecie, panie. Maria jest ostatnią osobą, którą chcielibyście widzieć na tronie. Działaliście przeciwko niej równie zajadle jak przeciwko księciu. Chcieliście, panie, aby ją pojmano, a jeszcze lepiej, aby zabito ją podczas próby pojmania. Zaplanowaliście to. Na szczęście dla niej okazała się mniej łatwowierna, niż się waszmości wydawało.

— Nigdy nie ukrywałem, komu służyć i komu jestem oddany. — Zerknął na moją dłoń, zaciśniętą na rękojeści sztyletu. — Powinieneś wiedzieć, że niezależnie od tego, co ci się wydaje, jej wysokość Elżbieta będzie potrzebowała mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy nie były z Marią w najlepszych, siostrzanych stosunkach. — Sięgnął znów po sakwojaż.

— Nie ruszaj waść tego! — warknąłem.

Zatrzymał rękę.

— Potrzebne mi są okulary i koło szyfrowe. Podejrzewam, że list, który przynosisz, został zapisany jej zwykłym szyfrem. Musiałeś zrobić na niej dobre wrażenie. Nigdy nie powierza poufnej korespondencji obcym.

Wiedział, że mam ze sobą list. Doznałem niepokojącego poczucia, że pojedykuję się z kimś znacznie przewyższającym mnie umiejętnościami. Starałem się połapać w tym, co czuję, w tym, co widzę i słyszę. Rozwikłać, rozebrać na części, zbadać, wyłowić niewypowiedziane sensory. Gdy mi się to wreszcie udało, niemal roześmiałem się w głos z własnej

naiwności. Jak mogłem wierzyć choć przez moment, że rozszyfrowałem tego wyrafinowanego i niebezpiecznego człowieka?

— To byliście wy, panie! Słyszałem, jak lady Dudley mówiła Robertowi, że ktoś z dworu dostarcza jej na bieżąco informacji. To samo twierdził Walsingham. To wyście ostrzegli Marię, żeby trzymała się z daleka. To wyście pozwolili Robertowi ją odnaleźć, ale z drugiej strony wysłaliście do niej list, w którym ją uprzedzacie o jego wyprawie. Powiedziała mi we Framlingham, że waszmość wiesz, co trzeba uczynić. Myślałem, że to była groźba, ale to co innego, prawda? Oszczędzi was, bo sądzi, że to waszmość pomogłeś jej uratować się przed księciem.

— Nie przypisuję sobie wszystkich zasług. — W głosie Cecila zabrzmiało rozbawienie. — Jej kuzynka, księżna Suffolk, także wysyłała do niej szczegółowe relacje z rozwoju wypadków na dworze. Księżna ma własne porachunki z Dudleyami.

Nie zdziwiła mnie nowina o zaangażowaniu księżny. Poprzysięgła Dudleyom zemstę. Czyż to nie była najlepsza metoda: udawać podporządkowanie Dudleyom, a w tajemnicy podjudzać królewską kuzynkę do działania? Ale inne sprawy z nią związane były głównym powodem mojego tu przybycia. Obserwowałem Cecila uważnie. Mówił:

— Jak powiedziałem, nie jestem jej nieprzychylny do końca... Ach, oczywiście, nadal używa tego samego szyfru. Wielokrotnie jej radziłem, żeby zastosowała nowy, ale ona mnie nie słucha. W tym jest tak podobna do siostry. — Sięgnął do sakwojażu i wyjął parę okularów w srebrnej oprawce. Wyciągnął rękę. — Poproszę o list.

Dałem mu go. Chłodna pewność zaczęła wsączać się w moje żyły. To był rzeczywiście mistrz oportunistów, ekspert w kłamliwych grach. Każde jego działanie, każdy jego plan miały drugie dno, kolejną warstwę pod spodem.

Przeczytał list Marii w milczeniu, zerkając od czasu do czasu w koło z kluczem szyfrowym. Gdy skończył, zdjął okulary, odłożył papier i koło na bok.

— A więc? — ponagliłem go. Czułem subtelną zmianę nastroju.

— Ona też pozostaje wierna sobie. — Podniósł zmęczony wzrok. — Żąda, aby rada królewska ogłosiła ją bezwarunkowo królową i oddaliła roszczenia wszystkich innych. Dopiero potem mogą liczyć na jej łaskawość. Wszystkim tym, którzy nie zaoferują jej natychmiastowego poparcia, nakazuje natychmiastowe usunięcie się z dworu. Ci, którzy pozostaną, mają okazać dowód wierności poprzez uwięzienie księcia i jego synów, jak również Jane Grey. Grozi najrozmaitszymi karami wszystkim tym, którzy jej nie posłuchają. Teraz już wiadomo: kości zostały rzucone.

— Waszmość się pewnie nie musisz obawiać — rzekłem, choć już mnie nie bawiły kąśliwe uwagi. Czułem w brzuchu przykre mrowienie, docierało do mnie coraz wyraźniej, że błędnie go oceniałem.

— Czy naprawdę w to wierzysz? — Pokręcił głową z rezygnacją. — Pomogłem jej być zawsze o krok przed księciem, ale ani przez chwilę się nie łudzę, że zapomni mi to, iż służyłem księciu. Na jej dworze nie będzie dla mnie miejsca. — Westchnął. — Mniejsza o to. Służy mi wiejskie życie, pora się z tego wszystkiego usunąć.

— Skazuje was na banicję? — Poczułem rozczarowanie. Żaden mądry monarcha nie powinien pogardzić takim człowiekiem jak Cecil. Jego zdolności, szczególnie umiejętność organizowania sieci informatorów, czyniły z niego nieoceaniony nabytek.

— Może nie aż tak, ale nie mam innego wyboru, niż się oddalić. Maria nigdy nie zaufa nikomu, kto służył księciu albo królowi Edwardowi. Powinienem być wdzięczny, że w przeciwieństwie do pozostałych nie muszę sobie brudzić rąk

wtrącaniem mojego byłego pana do lochu. — Ręce, zauważyłem, że zmieniły się jego ręce. Plamy z inkaustu zblakły, jakby już wycofywał się z dotychczasowej roli. — Gdyby sprawy potoczyły się inaczej — ciągnął — to ją wtrącono by szybko do lochu. Banicja to nie jest taka zła rzecz, zważywszy, ile głów spadnie z karków, zanim to wszystko ucichnie.

Próba wzbudzenia współczucia była błędem z jego strony. Uśmiechnąłem się na myśl o własnej pomyłce. Maria nie pogardzała nim... Maria go przejrzała. Nadeszła moja pora na rzucenie kości.

— Wasza głowa nie spadnie. Zadbaliście o to, panie. Nikt nie wie, do jakiego stopnia byliście zaangażowani.

Tym razem, zauważyłem to z przyjemnością, skóra wokół jego ust napięła się.

— Chyba że ty napchałeś Marii do ucha jakichś nonsensów — odparł.

— Nigdy bym tak nisko nie upadł. Może trudno wam to sobie wyobrazić, ale jej wysokość królowa Maria nie zna się na takich ludziach jak wy, panie.

— Niech cię nie zmyli jej dziewicza prawość. Ona jest wrogiem naszej wiary, a jej wstąpienie na tron to tragedia dla tych wszystkich, którzy poświęcili się sprawie chwały Anglii.

— Chwały Anglii? — spytałem. — Czy sekretarza Cecila? Czy też dla waszmości to jedno i to samo?

— Zapewniam cię, staram się tylko służyć najlepiej jak umiem jej wysokości Elżbiecie.

Mój gniew rozpalił się znienacka na nowo. Łgarstwa i jeszcze raz łgarstwa, on inaczej nie potrafi. Kłamstwami chce żyć aż po grób. Koniec! Zmuszę go do powiedzenia prawdy.

— To dlaczegoście jej pozwolili przybyć na dwór? — Przesunąłem się na brzeżek krzesła. — Chociaż wiedzieliście, że naraża swoje życie? Nie udało się wam, panie, odwieść jej od tego zamiaru, choć staracie się jej służyć?

Atmosfera się zmieniała, czułem to wyraźnie. Skuliłby się w sobie, gdyby miał odruchy normalnego człowieka, nieprzyzwyczajonego do panowania nad emocjami w każdym momencie.

— Zapominasz, że radziłem jej wyjechać — powiedział na pozór spokojnie. — Ostrzegałem ją wielokrotnie, mówiłem, czym to grozi, ale ona nie słuchała. — Nadal się nie poruszał, nie robił wrażenia zaniepokojonego, choć byłem tak blisko, że mógłbym go pchnąć sztyletem, zanim wydałby okrzyk.

— To nieprawda, żeście ją ostrzegali — powiedziałem. — Manipulowaliście nią, panie. Manipulowaliście tak samo jak mną. Byliśmy pionkami w waszej grze od samego początku.

Uśmiechnął się. Naprawdę się uśmiechnął.

— A powiedz no mi, kawalerze Prescott, co twoim zdaniem ta moja gra miała na celu?

Musiałem się cofnąć, bo bałem się, że się posunę za daleko i nie spocznę, póki nie zobaczę go zalanego krwią u mych stóp. Wszystko stawało się krystalicznie jasne, prawda wychodziła na jaw, jakby brud kłamstw starto czystą szmatką. To wszystko było znacznie straszliwsze, niż sobie wyobrażałem.

— Osadzenie na tronie Elżbiety zamiast jej siostry, to była wasza gra. Czas księcia się kończył. Po latach obserwowania jego rządów w Anglii uznaliście, panie, że już nigdy ludzie podobni Northumberlandowi nie będą rządzić krajem. Miało być tak, że gdy nadejdzie odpowiednia pora, oni upadną, wszyscy, niezależnie od tego, jakie będą koszty. A upadając, pociągną za sobą Marię. — Popatrzyłem mu w oczy. — Coś się jednak wydarzyło. Coś, czegoście, panie, nie przewidzieli.

— Czy tak było? — Złożył dłonie pod brodą. — Proszę, mów dalej. To nader... ciekawe.

— Nie przewidzieliście Jane Grey. Prawda, żeście nie mieli pojęcia, co książę planował tego wieczoru, gdy Elżbieta przybyła na dwór? Wiedzieliście tylko, że król umiera i że Northumberland zamyśla o poślubieniu królowny Elżbiety.

Gdy książę ogłosił małżeństwo syna z Jane Grey i zdaliście sobie sprawę, do czego może się posunąć, by utrzymać władzę, było już za późno. Wystawiliście więc Elżbietę na próbę, bo gdyby wszystko poszło dobrze, to ona sama pomogłaby waszmości pozbyć się rywala.

Jego mina była nieprzenikniona. Mimowolnie podniosłem głos. Rzuciłem w niego następne słowa, jakby go miały upokorzyć, zranić, skaleczyć.

— Tak naprawdę to nie Northumberland był dla was zagrożeniem. Wiedzieliście, że Elżbieta nigdy nie przyjmie jego awansów. Co innego Robert Dudley. Tylko on mógł mieć na Elżbietę wpływ silniejszy niż wy, panie. Tylko on mógł ograniczyć wasze wpływy. I tegoście już znieść nie mogli.

— Ostrożnie, przyjacielu — rzekł spokojnie. — Nie przeciągnij struny.

Wreszcie trafiłem. Rzeczywiście, ostrożność była wskazana, bo jedyną rzeczą bardziej niebezpieczną niż jego przyjaźń była jego wrogość. W tej chwili jednak nie obchodziło mnie to.

— To wy przeciągnęliście, panie. Wiedzieliście, że gdy tylko król umrze, książę was wykończy, bo wiecie za dużo. Jego królewska mość powiedział wam, że chciałby, aby po nim koronę dostała Elżbieta. Osadzenie na tronie Jane Grey mogło okazać się tragicznym błędem, ale wciąż istniała szansa, że książę odniesie sukces. Możliwe było, że Maria wyjedzie z kraju. Wreszcie mogłoby się okazać, że Elżbieta ulegnie Robertowi. W każdym z tych przypadków mogliście, panie, wyprzeć się wszystkiego. — Zamilkłem. Cecil utkwiał we mnie spojrzenie swoich jasnych oczu. — Chcieliście ją porzucić, zmienić front i udawać, że popieracie tego, kto w danej chwili weźmie górę. Nawet Marię, choć w głębi serca nie cierpicie jej, panie, i obawiacie się bardziej niż samego księcia.

Cecil zacisnął palce na poręczy krzesła.

— Obrażasz mnie, Brendanie. Śmiesz insynuować, że mógłbym zdradzić Elżbietę?

— Tak. Ale o tym nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, prawda? Niezależnie od wszystkiego skóra waszmości zawsze byłaby bezpieczna.

Cecil wstał. Nie był wysoki, ale jego postać zdała się wypełniać cały gabinet.

— Powinieneś być komediantem. Żadna inna profesja nie skorzystałaby tak na twoim zamiłowaniu do dramatycznych efektów. Chcę cię jednak ostrzec, że zanim pomyślisz o zabawianiu jej wysokości swoimi opowieściami, weź pod uwagę, że królowna zażąda czegoś na poparcie twych gołosłownych oskarżeń.

Zeszywniałem. Przecież on ma rację. Nie pomyślałem o tym, tak byłem wstrząśnięty tym, czego się domyśliłem. A teraz, gdzieś w głębi duszy, trzymałem się kurczowo nadziei, że może to wszystko nie jest prawdą.

— Ona nie jest głupia — powiedziałem mu. — Jeśli to wszystko jest jasne dla mnie, to będzie też jasne dla niej. Omotałeś ją i jej siostrę gmatwaniną kłamstw. Omamiłeś dwie nieprzygotowane na to osoby.

W jego oczach dostrzegłem podejrzany błysk. Ten błysk jednak szybko znikł, zastąpiony dziwną beztróską. Cecil zaczął klaskać. Rytmiczny odgłos odbijał się echem od dębowej boazerii gabinetu.

— Bravo! Przeszedłeś moje najśmielsze oczekiwania. Masz talenty, na które liczyłem, choć wcale nie byłem pewien, czy je posiadasz.

Wytrzeszczyłem oczy.

— Co... co macie na myśli?

Jego spojrzenie było rozumne, ale bezlitosne.

— Zaraz, po kolei. Po pierwsze, pozwól, że cię pochwalę za rzadki dar rozszyfrowywania intryg. Bo rzeczywiście, masz rację: chciałem, żeby Elżbieta zasiadła na tronie, choćby po trupie Marii. Jest naszą ostatnią nadzieją, jedyną z dzieci króla Henryka wartą tego, by jej założyć na skronie koronę.

Być może nie udało mi się osiągnąć tego celu, ale to tylko opóźnienie, zwłoka nieuchronnej kolei rzeczy. Jest urodzona, aby rządzić. I gdy nadejdzie jej czas, nic, powtarzam: nic, nie stanie na drodze jej przeznaczenia.

— Nawet szczęście osobiste? — zapytałem. W gardle miałem twardą grudę. — Nawet miłość?

— Zwłaszcza miłość. — Ton miał rzeczowy, jakby mówił, że nie do twarzy jej w jakimś kolorze. — To miłość właśnie byłaby katastrofalna. Nie licząc płci, ma wszystkie cechy następcy tronu, o jakich marzył dla syna jej ojciec. Ma jego siłę, jego odwagę, jego wolę pokonywania wszelkich przeszkód, jakie staną jej na drodze. Nie wolno jej ulegać słabościom. Słabościom odziedziczonym po matce, która zawsze szukała tylko rozkoszy. Nie mogłem dopuścić do tego, by poświęciła swoją wielką przyszłość dla Dudleya, zżeranego chorobliwą ambicją.

— Ale ona go kocha! — krzyknąłem. — Kochała go od najwcześniejszej młodości! Wiedzieliście o tym, panie, i z rozmysłem próbowaliście to zniszczyć. Kim jesteście, by decydować o jej losie? Kim jesteście, by dyktować, komu ma oddać serce, a komu go nie oddawać?

— Jej przyjacielem — brzmiała odpowiedź. — Jedynym, który ma odwagę bronić ją przed samą sobą. Robert Dudley był jej zgubą. Teraz już nie będzie jej kusił. Nawet jeśli przeżyje zemstę Marii, co mało prawdopodobne, to utracił względy Elżbiety na zawsze. Już nigdy mu nie zaufa. Korzyść, jaka z tego wynika dla Elżbiety, przewyższa z naddatkiem jej związane z tym cierpienia.

— Jesteście potworem. — Z trudnością łapałem powietrze. — Czy kiedykolwiek pomyśleliście o tym, że wasz imponujący plan doprowadzenia do jej koronacji może złamać jej serce? A czy pomyśleliście o tym, że Jane Grey, która nigdy nie chciała się mieszać do władzy, może utracić życie?

Spojrzenie Cecila przykuło mnie do miejsca.

— Elżbieta jest twardsza, niż przypuszczasz. A co do Jane Grey, to przecież nie ja wymyśliłem, żeby została królową. Ja tylko próbowałem to wykorzystać.

Miałem ochotę zostawić go tutaj, z tymi wszystkimi papierami i machinacjami. Nic, co mógł mi powiedzieć, nie mogło napełnić mnie niczym prócz odrazy i rozpacz. Mimo to tkwiłem w miejscu jak sparaliżowany.

Jego uśmiech błysnął jak polerowana stal.

— Nic nie mówisz? Dotarliśmy do sedna sprawy, do przyczyny twojego pojawienia się tutaj. Kontynuuj zatem. Zapytaj mnie. Zapytaj, co jeszcze przed tobą ukryłem. Zapytaj mnie o zielarkę i o powód, dla którego Frances Suffolk przekazała swoje prawo do sukcesji córce. — Westchnął lekko. — Zapytaj mnie, Brendanie Prescott, kim jesteś.

ROZDZIAŁ XXVIII

— Wy wiecie, panie — wyszeptałem. — Wiedzieliście od początku.

— Nie od początku — rzekł Cecil z nutką przygany. — Przed laty słyszałem jakieś pogłoski. Byłem wtedy młodszy niż ty teraz. To był jakiś skandal, o którym się przez chwilę na dworze plotkowało. Nie zwróciłbym na to najmniejszej uwagi, gdyby nie dotyczyło ukochanej młodszej siostry Henryka Ósmego, którą wielu nazywało francuską królową. Tej upartej księżniczki, która wywołała wrzawę w królestwie i poza jego granicami, gdy wyszła za Charlesa księcia Suffolka, a gdy zmarła w wieku trzydziestu siedmiu lat, prawie nikt tego nie zauważył.

— To było w czerwcu — rzekłem. Przeniknął mnie mróz do szpiku kości, tak jakbym już nigdy nie miał się rozgrzać.

— Tak, czerwiec roku Pańskiego tysiąc pięćset trzydziestego trzeciego, mówiąc ściśle. Król Henryk właśnie koronował Annę Boleyn, która była w szóstym miesiącu ciąży, co dowodziło, że Bóg poparł ich związek i zamęt, który ściągnęli na Anglię. Nikt nie wiedział, że to wyczekiwane dziecię będzie początkiem upadku Anny. — Cecil podszedł do okna i wyjrzał do ogrodu. Zapadła cisza, nabrzmiała jak chwila przed otwarciem księgi. Potem Cecil powiedział cicho: — Miałem

trzydzieści lat, pisarczyk, który terminuje w swym fachu, jeszcze jeden ambitny młodzian urabiający sobie ręce po łokcie. Kręciłem się wszędzie; byłem sprytny, umiałem trzymać oczy i uszy otwarte, a głowę zamkniętą na kłódkę. Słyszałem więc to i owo. — Uśmiechnął się blade. — Właściwie trochę przypominałem cię: pracowity, pełen najlepszych chęci, gorliwie wykorzystujący każdą nadarzącą się okazję. Usłyszałem więc tę plotkę i uderzyło mnie, że nadszedł czas, gdy królewska siostra umiera w samotności, po miesiącach odosobnienia w swoim pałacu w Westhorpe. Podobno żyła w przestraszu, że Anna Boleyn odkryje jej tajemnicę.

Chłód wypełniał mi żyły. Usłyszałem w głowie słowa Stokesa: „Bała się, błagała córkę, by utrzymała to w tajemnicy...”

— Jaką tajemnicę? — spytałem niemal bezgłośnie.

— Że spodziewa się dziecka. — Cecil znów się ku mnie odwrócił. — Musisz pamiętać, że niejeden wtedy wierzył, że Anna Boleyn czarami omotała króla. To była niewiasta o silnym charakterze, o zdecydowanych poglądach. Lud jej nie lubił, szlachetnie urodzeni zresztą w większości też. Zniszczyła Katarzynę Aragońską, groziła, że wyśle na szafot córkę Henryka, Marię. Kilku najlepszych przyjaciół Henryka dało szyję lub popadło w niełaskę z powodu jego zauroczenia Anną. Anna Boleyn zrobiła wszystko, by pierwsze małżeństwo króla było uznane za nieważne, a córka za potomstwo z nieprawego łoża. Ale póki sama nie dała mu potomka, dzieci jego siostry miały prawo do sukcesji.

— A Maria Suffolk nienawidziła Anny Boleyn... — wtrąciłem.

— Rzeczywiście. Jasno dawała do zrozumienia, że nie pochwala zerwania przez Henryka z katolicyzmem i pozostawała wierną sojuszniczką królowej Katarzyny, która wciąż żyła, choć pozostawała w areszcie domowym. Maria miała już dwóch synów i dwie córki. Każde z jej dzieci stanowiło

zagrożenie, ale zwłaszcza to, które miało się urodzić w tych trudnych miesiącach, gdy Anna oczekiwała swojego dziecka... Powiedzmy, że Maria miała powody, by bać się wrogości Anny. Dlatego trzymała się z dala od dworu. A być może była to tylko wymówka.

Ręce zwisły mi bezwładnie, sztylet omal nie wypadł z dłoni.

— A potem umarła — rzekłem bezbarwnym głosem.

— Zgodnie z tym, co słyszałem, zmarła wkrótce po urodzeniu dziecka. Ukrywała ciążę przed wszystkimi, ponoć dlatego, że obawiała się otrucia przez Annę. Pochowano ją w pośpiechu, bez uroczystości. Henryk nie okazywał żałoby. Był zbyt podniecony nadchodzącym rozwiązaniem królowej. Gdy urodziła się Elżbieta, niewiele już pamiętało, że Maria Suffolk żyła kiedykolwiek. Trzy lata później owdowiały Charles Brandon, człowiek, który zajmował się przede wszystkim ochroną samego siebie, ożenił się z młodziutką podopieczną i spłodził dwóch synów, po czym zmarł. Do tego czasu Anna Boleyn trafiła na szafot, a Henryk ożenił się z Jane Seymour, trzecią żoną, która urodziła mu Edwarda, upragnionego syna. Potem Jane Seymour zmarła, a król zdołał się ożenić jeszcze trzykrotnie. W naszym świecie umarłych zapomina się szybko.

— A ostatnie dziecko Marii? — spytałem ochryple. — Co się z nim stało?

— Podobno urodziło się martwe, choć byli tacy, co mówili, że ukryto je gdzieś na prośbę umierającej. Charles książę Suffolk nigdy o nim nie wspominał, co oznacza, że nic nie wiedział. W rok po Marii zmarł drugi ich syn, zostały tylko córki.

— Więc z pewnością cieszyłby się z jeszcze jednego syna...? Cecil skinał głową.

— Na pewno. Ale przez ostatnie lata życia żony przebywał głównie poza domem. Podobno byli z Marią w nie

najlepszych stosunkach. Suffolk popierał królewskie plany pozbycia się królowej Katarzyny i ożenku z Anną. Maria się temu sprzeciwiała. Chociaż pobrali się z miłości. Z pewnością próbowali mieć jeszcze jednego syna, ona przecież była nadal w tym wieku, że to było możliwe... Z jakiegoś powodu jednak ostatnią ciążę ukryła przed nim. Twierdziła, że cierpi na puchlinę wodną. On prawdopodobnie niczego nie podejrzewał. To każe zapytać, co powodowało nią, że ukrywała dziecko przed mężem.

— Mówiliście, panie, że bała się Anny Boleyn.

Podszedł do mnie tak blisko, że moglibyśmy się objąć. Twarz miał postarzałą, porytą zmarszczkami od zmartwień, nieustannej pracy, bezsennych nocy.

— Może to nie był jedyny powód — powiedział i wyciągnął ręce. Ale zanim mnie dotknął, odsunąłem się, choć miałem wrażenie, że się przewracam, tak zmartwiałe miałem członki. Komnata zamykała się wokół nas, rozświetlana smugami popołudniowego słońca porozdzielanymi długimi cieniami.

— Jak się o mnie dowiedzieliście? — spytałem raptem.

— Przez przypadek. — Mówił półgłosem, ale pewnie. — Jako rzekłem, testament Henryka Ósmego stanowił, że po jego dzieciach i ich potomstwie następne w kolejce do sukcesji są dzieci jego siostry Marii. Dlatego gdy dowiedziałem się, że księżna Suffolk zrezygnowała ze swoich roszczeń do tronu na rzecz córki, Jane Grey, zdziwiłem się bardzo. Frances Suffolk nigdy w życiu z niczego dobrowolnie nie zrezygnowała. Northumberland mnie poinformował, że uczyniła to w zamian za wydanie córki za Guilforda, ale nawet on wydawał się tym zdziwiony. Postanowiłem przeprowadzić śledztwo. I wkrótce się dowiedziałem, że lady Dudley zastraszyła Frances czymś bardzo interesującym.

Uśmiechnąłem się lekko.

— Mną.

— Tak — odparł — chociaż nie od razu się dowiedziałem, kim jesteś. Nic nie rozumiałem, póki nie doniesiono mi, że lady Dudley, przedstawiając cię księżnie w sali tronowej, szepnęła coś o znamieniu róży. To zwróciło moją uwagę. Król Henryk nazywał pieszczotliwie Różą swoją młodszą siostrę. Oczywiście już wiedziałem od ciebie, że jesteś podrzutkiem. Opowiadałeś też o kobiecie, swojej opiekunce, którą utraciłeś. Wiedziałem od Fitzpatricka o zielarce, którą lady Dudley sprowadziła, aby leczyła Edwarda, więc co nieco zaczęło mi się układać. Mimo to potrzebowałem trochę czasu, zanim się wszystkiego domyśliłem, ale wnioski, gdy już do nich doszedłem, były nieodparte.

Zmagałem się sam ze sobą, chciałem odkryć prawdę o sobie i bałem się tego.

— A jakie to były wnioski? — wykrztusiłem pytanie.

Zapadła cisza. Po raz pierwszy Cecil jakby się zawahał, jakby się zastanawiał: mówić dalej czy nie? Okrucieństwo tej gry w końcu mnie wyprowadziło z równowagi.

— Mów!!! — Sztylet stuknął o podłogę, a ja chwyciłem Cecila za kaftan i pchnąłem na ścianę. — Powiedz mi w tej chwili!

Półszepem Cecil powiedział:

— Jesteś ostatnim synem Marii Suffolk. Zielarka, ochmistrzyni Alice, jak wskazują dokumenty domowe, przebywała w domu Suffolków jeszcze za życia Marii. W czerwcu roku Pańskiego tysiąc pięćset trzydziestego trzeciego też tam była. W latach wcześniejszych damą do towarzystwa Marii była także lady Dudley, we Francji, gdy Maria została żoną króla Ludwika. Te trzy kobiety znały się dobrze, a każda z nich miała związek z tobą, rzekomym podrzutkiem, którego lady Dudley wprowadziła na dwór królewski, by uderzyć we Frances księżną Suffolk.

Puściłem go, wydając zdławiony okrzyk, pół szloch, pół jęk. Cofnąłem się chwiejnie. Przypomniał mi się dzień sprzed

lat, gdy lady Dudley odebrała mi stary psałterz. Przed oczami miałem stronę tytułową z wpisaną ręcznie, elegancką damską kaligrafią, dedykacją po francusku. Nie rozumiałem, choć znam francuski i czytałem ją wielokrotnie. *A mon amie de votre amie, Marie.*

Książka, którą ukradłem i którą woziłem ze sobą w sakwie, należała do mojej matki. Ofiarowała ją swojej ulubionej damie, która towarzyszyła jej w czasie, gdy została królową Francji, damie, której musiała ufać, którą nazwała przyjaciółką.

Lady Dudley. To ona zdradziła pamięć mojej matki dla własnej niskiej korzyści.

Chwyciłem krzesło, rzuciłem nim w najdalszy kąt gabinetu. Miałem ochotę zburzyć wszystko dokoła, spalić na popiół, wyjść z własnej skóry. Obróciłem się ku Cecilowi z zaciśniętymi pięściami. Nawet mu powieka nie drgnęła.

— Uderz, jeśli musisz. Ale to ci nie przywróci wszystkiego, czego cię pozbawiono. Mam niejedno na sumieniu, ale tego nie. To nie ja ukradłem należne ci z urodzenia prawa. Uczyniła to lady Dudley. To ona. Wykorzystała i zamordowała w tym celu twoją opiekunkę Alice.

Traciłem rozum. Pod stopami rozwarła się otchłań wypełniona straszliwościami, których wcale nie chciałem oglądać. Jeśli idzie o lady Dudley, to wierzyłem we wszystkie okropności, które mogła popełnić. Ale moja biedna Alice... Jak mogła utrzymywać mnie w niewiedzy przez tyle lat? Czy nie zdawała sobie sprawy, że moja niewiedza będzie zawsze wykorzystana przeciwko mnie?

— Alice zależało na mnie — szepnąłem, jakby chcąc się sam przekonać do tego, co mówię. — Dbała o mnie... Okaleczyli ją, związali jak zwierzę, a na końcu zabili.

— Tak — powiedział cicho. — Uczynili to. A ona to znosiła z miłości do ciebie.

Zerknąłem na niego.

— Z miłości? Naprawdę?

— Nigdy w to nie wątpiłem. Ochmistrzydni Alice poświęciła ci życie. Wzięła cię od umierającej matki, schowała przed twoją własną siostrą, która pragnęła twojej śmierci, i umieściła w miejscu, które jak sądziła, będzie dla ciebie bezpieczne. Skąd miała wiedzieć, co się stanie później. Tego nikt nie mógł wówczas przewidzieć. Na tyle jednak była podejrzliwa wobec lady Dudley, że poczyniła kroki, by cię chronić. Już samo twoje imię o tym świadczy.

Podniosłem rękę.

— Koniec. Proszę. Więcej... więcej nie zniosę.

— Musisz. — Cecil odsunął się od ściany. — Musisz zaakceptować zdradę i kłamstwa, a potem je przewyciężyć. Inaczej cię zgubią. — Zamilkł na chwilę. — Dała ci na imię Brendan nie z szacunku dla świętego, lecz dlatego, że to łacińska forma irlandzkiego imienia Breanainn, które pochodzi od starowalijskiego słowa „książę”. Alice chciała, by twoje dziedzictwo było z tobą od początku. I było.

— Więc dlaczego? — Głos załamywał mi się z rozpacz. — Skoro Alice wiedziała, kim jestem, dlaczego lady Dudley nie zabiła jej od razu, jak sprowadziła mnie do niej? Dlaczego tak długo zwlekała?

Milczał chwilę, zanim rzekł:

— Tego nie wiem. Sądzę, że zależało jej na tym, by Alice z nią współpracowała. Na prostego człowieka z gminu, człowieka bez rodowodu... a na tym lady Dudley zależało... mógłby wychować cię byle kto ze zwykłej służby. Ale służba plotkuje. W końcu by zwąchano co i jak. Zakładam więc, że lady Dudley wiedziała, że trzeba cię ukrywać przed Frances księżną Suffolk, a do tego był potrzebny ktoś zaufany. Alice nadawała się do tego doskonale, więc lady Dudley podjęła ryzyko, że Alice pewnego dnia ujawni ci prawdę. Na początku nie było pośpiechu. Byłeś niemowlęciem, mogłeś umrzeć, tyle niemowląt umiera. Nikt nie wiedział, jak się potoczą sprawy

sukcesji tronu, ale taka tajemnica, jaką było twoje istnienie, mogła okazać się cenna. Konieczne było absolutne milczenie. Milczenie i cierpliwość.

Przerwał, obserwując mnie bacznie. W uszach dudniło mi własne serce. Jeszcze coś mnie dręczyło, czułem, jak mnie świerzbi, jak domaga się, bym zrzucił fałszywą skórę. Nagle Cecil powiedział:

— Jest też oczywiście inna możliwość. Być może lady Dudley nie zabiła Alice od razu, bo wiedziała, że ta powierzyła tajemnicę jeszcze komuś. Komuś, kto ujawniłby twoją prawdziwą tożsamość, gdyby jej cokolwiek się stało. Jeśli tak, to lady Dudley nie miała pola manewru między Alice i tą drugą osobą. Nie ośmieliła się ulec impulsowi, przynajmniej póki nie nadarzyła się sposobność w związku z chorobą króla Edwarda. — Zamilkł na chwilę. — Czy znasz kogoś, komu twoja Alice mogła powierzyć taki niebezpieczny sekret?

Znieruchomiałem, bo przypomniało mi się, co powiedział Stokes: „Ale w ostatnich godzinach coś się musiało stać. Maria Tudor, księżna Suffolk, powierzyła niemowlę akuszerce. Mojej pani powiedziano, że dziecko urodziło się martwe”. A potem zabrzmiały mi w głowie słowa Marii Tudor: „Po pogrzebie Charlesa księcia Suffolk zgłosił się do mnie jego giermek... Oddany sługa...”

Miałem ochotę wpaść z gabinetu i uciec najdalej, jak się da. Nie chciałem już dowiadywać się niczego więcej. Nie doznam nigdy spokoju, nigdzie się przed tym nie ukryję. Będę skazany na szukanie prawdy do końca moich dni.

Ale już było za późno. Już wiedziałem, jak Alice się obroniła: za pomocą mojego znamienia, które pokazała komuś jeszcze, kto miał się mną opiekować. Wiedziałem już, komu zawierzyła. I tę wiedzę mogłem mieć od początku, czekała na mnie, aż potrafię ją dostrzec.

Pokręciłem głową w odpowiedzi na pytanie Cecila.

— Nie, nie wiem. Ale to nie ma znaczenia. Ochmistrzyni Alice nie żyje. — Spowaźniałem. — Wiem tylko jedno: nie macie, panie, dowodu. Dowód nie istnieje. I tego będę się trzymał. — Podniosłem wzrok. — Jeśli powiecie o tym komukolwiek, zabiję was, sekretarzu Cecil.

Zachichotał.

— Miło mi to słyszeć. — Poprawił kaftan, minął połamane krzesło, wziął swój sakwojaż. Zachowywał się tak, jakbyśmy odbyli pogawędkę o pogodzie. — Ujawnienie faktów dotyczących twego pochodzenia wywołałoby komplikacje w najwyższym stopniu niefortunne dla wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie.

Wybuchnąłem głośnym śmiechem.

— I dlatego Walsingham podążył za mną ze sztyletem? Biorąc pod uwagę zamieszanie wokół kolejności sukcesji, musiałem stanowić straszne utrudnienie.

— Nigdy nie byłeś utrudnieniem. — Cecil zarzucił sobie płaszcz na ramiona. — Nie doceniłem być może twojej błyskotliwości, ale nie miałem zamiaru dopuścić do twojej śmierci. — Mówił z powagą, która mnie zastanowiła. — Jeśli rozważysz zaszłe wypadki, dostrzeżesz, że gdy tu przybyłeś, ja znałem tylko jakieś niepotwierdzone pogłoski i dowiedziałem się o zielarce, która niegdyś służyła u Marii, siostry Henryka. Tego wszystkiego, o czym teraz mówiliśmy, wtedy nie wiedziałem.

Jak wtedy w Whitehallu, gdy przybyła do pałacu Elżbieta, usłyszałem zagadkowy szept: // *porte la marque de la rose*. Cały mój gniew wyparował. Nie mogłem już walczyć.

— I chcieliście się, panie, czegoś dowiedzieć. Potrzebowaliście potwierdzenia. Dlatego kazaliście Walsinghamowi mnie śledzić, prawda? Miał mnie zobaczyć bez odzienia. Zobaczyć znamię, znamię róży. To by dowiodło wszystkiego.

Skłonił się, jakby usłyszał ode mnie komplement.

— Nie mam już przed tobą żadnych tajemnic, kawalerze Prescott. Teraz możemy się wziąć do pracy na rzecz sprawy ważniejszej niż ja czy ty, sprawy Elżbiety, która, zapewniam cię, wkrótce stanie w obliczu wyzwań trudniejszych, niż te, wobec których dziś stoją Dudleyowie.

— Nie powiedziałem, że chcę mieć cokolwiek wspólnego z waszmością — odparłem.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Więc po co, drogi chłopcze, jeszcze tu stoisz?

ROZDZIAŁ XXIX

Gdy wychodziliśmy, zapadał już zmierzch. Jeszcze nigdy nie płynąłem barką. Musiałem przyznać, że to dobry sposób przemieszczania się po Londynie. Wprawdzie woda usiana była rozmaitym śmieciem, któremu wolałem się z bliska nie przyglądać, i wydzielała woń, którą przesiąkała odzież, jednak okresowe pływy, które zmywały wszystko, sprawiały, że Tamiza była czystsza od ulic miasta. Flisak, choć pijany, niósł nas szybko i sprawnie ku szerokiemu mostowi spinającemu brzegi rzeki. Wiodła nim główna droga z Canterbury i Dover.

Budowla wspierała się na dwudziestu filarach, miała od południa bramę i była zadaszona. Spojrzałem w górę, a Cecil powiedział:

— Są ludzie, którzy rodzą się, żyją i umierają na tym moście, nigdy z niego nie schodząc. Przy silnym prądzie przepłynięcie pod mostem to doświadczenie, które się długo pamięta. Jeśli się przeżyje.

Flisak stęknął, uśmiechnął się bezzębny ustami i pchnął barkę z budzącym mdłości bujnięciem w jeden z wąskich, sklepionych przepustów mostu. Chwyciłem się drewnianej burty, żołądek podszedł mi do gardła. Barka pognała jak listek porwany wirem. Z trudem powstrzymałem wymioty. Następnym razem pojedę konno, postanowiłem.

Wpłynęliśmy na spokojną wodę. Sunęliśmy ku zapierającemu dech w piersiach urodą szerokiemu zalewowi, połyskującemu w zorzy wieczornej. Maszty i kadłuby zakotwiczonych galeonów czerniały na tle gasnącego nieba. W dali wznosiła się potężna wieża, strzegąca miasta. Tower. Nie było tego widać, ale byłem pewien, że zanurzonych w wodzie murów strzegą liczne armaty. W wieczornej poświacie kamienie Tower zabarwiły się rdzawą barwą krwi. Gdy się na nią patrzyło, rozumiało się, dlaczego nikt z własnej woli tam się nie pchał.

— Nie musisz tam iść, Brendanie — rzekł Cecil. — Nie musisz doręczać listu osobiście, są inne sposoby.

Wpatrywałem się w główną część twierdzy, Białą Wieżę. Na każdej z czterech narożnych wieżyczek powiewały choroągwie.

— Nie, zrobię to sam. Ona na to zasługuje. Musicie mi pomóc, panie, tyle mi jesteście winni.

— Zmyślny i uparty — westchnął Cecil. — Rozumiesz, mam nadzieję, że nie możemy tam długo zabawić. Nie mam pojęcia, co się będzie działo, gdy doręczę list królowej; ale na pewno za parę godzin bramy Tower się zamkną. Kto zostanie w środku, już nie wyjdzie.

Barka przycumowała. Cecil wstał.

— Naciągnij kapelusz na czoło. Nie odzywaj się, jeśli to nie będzie konieczne. Im mniej będziesz zwracał uwagi, tym dla ciebie lepiej.

— Nie sprzeciwiam się — mruknąłem.

Weszliśmy po schodach od przystani, dotarliśmy do bramy pilnowanej przez wzmocnione straże. Usłyszałem stłumiony ryk lwów, podniosłem wzrok na piętrzącą się nad nami budowlę. Wokół znajdującej się w centrum Białej Wieży wznosiły się mury z blankami i barbakanami.

Podszedł do nas strażnik. Cecil zsunął kaptur, ukazując twarz. Strażnik łypnął okiem.

— Sir William?

— Witaj, Harry. Ufam, że małżonka ma się lepiej.

Głos Cecila płynął gładko jak woda, połyskująca w rzece poniżej. Zgarbiłem się, spoglądając na strażnika spod runda kapelusza, który naciągnąłem sobie na uszy. Chociaż raz cieszyłem się ze swojej niepozornej postury. Odziany skromnie, wyglądałem jak każdy sługa towarzyszący panu.

— Już jej lepiej — odparł strażnik z widoczną ulgą. — Dziękuję, panie, że pytasz. Te zioła, które przysłała żona waszmości, bardzo się przydały. Jesteśmy dłużnikami lady Mildred i twoimi, panie.

Musiałem się uśmiechnąć, choć gardziłem metodami Cecila. To była właśnie jego metoda: wyświadczać przysługi, bo to się zawsze może przydać. Usłyszałem, jak mówi:

— Ależ skąd. Lady Mildred tylko się ucieszy, słysząc, że jej leki działają. Wciąż szuka nowych receptur. Słuchaj, Harry, zapomniałem wczoraj zabrać stąd pewne papiery. — Machnął na mnie. Skłoniłem się. — To jest mój pomocnik. Wpuścisz nas? Tylko na chwilę.

Harry był wyraźnie zakłopotany.

— Niestety nie mogę, sir Williamie. — Obejrzał się na kompanów pogrążonych w grze w kości. — Panowie Pembroke i Arundel wydali wyraźny rozkaz, by nikogo nie wpuszczać bez ich glejtu. — Przysunął się bliżej do Cecila i zniżył głos do szeptu. — Dziś rano przyszedł list od królowy Marii. Panowie udali się natychmiast do domu earla Pembroke'a. Podobno zagroziła, że wszystkich pośle na szafot, jeśli dziś do wieczora nie opowiedzą się po jej stronie.

— Naprawdę? — parsknął Cecil, jakby to była nic nieznacząca wiadomość. — Od pogłosek huczy ostatnio, nie wiadomo, czemu wierzyć.

Harry zachichotał z zakłopotaniem.

— Oj tak, sabat czarownic tu mamy ostatnio. Ale trzeba być ostrożnym. Słyszałeś przecież, panie, o tym buncie armii księcia w Yarmouth.

— Oczywiście, ostrożność nie zawadzi — przytaknął Cecil i nic już więcej nie mówił, uśmiechał się tylko nieznacznie.

Jego spokój skłonił Harry'ego do nowych wyznań:

— Panowie, zanim wyjechali, rozkazali lady Jane i lordowi Guilfordowi, żeby nie ruszali się ze swoich komnat. Ponoć dla bezpieczeństwa. Lady Dudley wyszła z siebie. Zagroziła lordowi Arundelowi, że nędznie skończy, gdy tylko wróci jej mąż. Milorda to tak wytrąciło z równowagi, że nie zachował manier, jeśli waszmość wiesz, co mam na myśli. — Milczał chwilę, przyglądając się badawczo minie Cecila. — Powiadają niektórzy, że lord Northumberland nie zdoła zwyciężyć. Nie daję posłuchu plotkom, sir Williamie, ale jeśli to prawda, to byłbym wdzięczny za ostrzeżenie. Człowiek musi dbać o siebie, a mówiąc prawdę, ja tu tylko wykonuję rozkazy. Nic mi do tego, kto siedzi na tronie, póki mogę wykarmić żonę i dzieci.

— Naturalnie. — Cecil położył Harry'emu dłoń na ramieniu, gestem znamionującym zrozumienie dla jego doli. — Nie sądzę, żeby rozsądne było omawianie takich spraw wśród ludzi — zaznaczył Cecil i wciągnął Harry'ego w cień bramy, gdzie rozmawiali chwilę poza zasięgiem moich uszu. Dostrzegłem tylko, jak Cecil swoim zwyczajem wsuwa Harry'emu do ręki sakiewkę.

Gdy wrócił, zapytałem szeptem:

— O czym on mówił? Jaki list? Przecież to ja przywiozłem list i dałem go waszmości niecałą godzinę temu.

— Wygląda na to, że wysłała ich więcej. — Uśmiechnął się nieznacznie. — Musiałem przekupić Harry'ego, żeby nas wpuścił, więc na razie wstrzymaj się z pytaniami.

Szedł energicznie, kiwając głową strażnikom, poganiając mnie, jakbym był gnuśnym sługą. Przeszliśmy pod uniesioną żelazną kratą bramną i dopiero tu, na dziedzińcu, Cecil się zatrzymał pod pretekstem, że musi coś poprawić w odzieniu. Nie wypuszczał sakwojażu z ręki. Półgłosem powiedział:

— Maria się zabezpieczyła. Wysłała drugi egzemplarz listu inną drogą, wraz z wieścią, że zgromadziła tysiące sprzymierzeńców. Przygotowuje się do marszu na Londyn. Co rozsądniejsi panowie z rady królewskiej wyjechali, żeby zastanowić się, jak ją przyjąć. Księżę Suffolk z nimi. Co ważniejsze, jego żona, księżna, wyjechała do wiejskiej rezydencji. Wygląda na to, że wszyscy, prócz lady Dudley, porzucili Jane i Guilforda. Oboje są tutaj, w tych samych komnatach, gdzie mieli czekać na koronację.

Rozejrzał się, zaczerpnął powietrza. Znów uderzyło mnie to, jak szybko wszystko się zmienia przez ostatnie dni. Znów polegam na człowieku, którego jeszcze parę godzin temu uważałem za wroga.

— Wygląda na to, że rada uzna Marię za prawowitą władczynię najpóźniej dziś wieczorem. A jeśli to uczynią, to nikt, kto znajduje się w tych murach, nie wypuszcza, póki ona się na to łaskawie nie zgodzi. Jesteś pewien, Brendanie, że nadal chcesz ten list doręczyć? Ja bym nie ryzykował. Tower to nie jest bezpieczne miejsce.

Spojrzałem na niego.

— Boicie się, panie? Nie sądziłem, że jesteście do tego zdolni.

— Też byś się bał, gdybyś miał choć szczyptę rozsądku — odparł. Wyprostował się, przywdziewając aurę niezwykłej złośliwości, jakby to był stary płaszcz. — A więc chodźmy. Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej.

Ruszyliśmy ku wieży. Nie miałem czasu kontemplować myśli, że znajduję się w słynnej twierdzy Tower. Szmer Tamizy u bram wodnych niósł się po wewnętrznym dziedzińcu echem odbitym od wysokich posępnych murów. Strażnicy, paziowie, słudzy biegali w różne strony, załatwiając różne sprawy. Nikt się nie uśmiechnął, co pogłębiało ponurą atmosferę.

Cecil nie pozdrawiał nikogo. Jego gładki, pozbawiony ozdób płaszcz z kapturem i aksamitny kapelusz nie zdradzały,

że jest kimkolwiek innym niż zwykły pisarzyna. Prawdę mówiąc, każdy z krzątających się tutaj mógł być kimś innym, niż wskazywał na to jego wygląd. Rozejrzałem się po dziedzińcu. Przez moment wydawało mi się, że jakaś szczupła postać się nam przygląda. Aż mi serce stanęło, ale gdy spojrzałem drugi raz, żeby się upewnić, nikogo już tam nie było

Niemniej jednak ciarki chodziły mi po plecach. To nie mógł być Stokes. On musiał być w drodze do wiejskiej rezydencji, wraz ze swoją panią, która starała się znaleźć jak najdalej od swojej nieszczęsnej córki Jane. Muszę być zmęczony. Nie mogę poddawać się zmęczeniu. Pomyślałem, że to szaleństwo nalegać na osobiste doręczenie listu. Nieprzeniknione mury zamykały się wokół mnie. Pod stopami miałem lochy, gdzie można było zamknąć człowieka na tak długo, że wszyscy o nim zapominali. Śmierć na szafocie to dobrodziejstwo w porównaniu z torturami, jakie tu zadawano.

Strach wwiercał mi się w trzewia coraz głębiej. Skupiłem się na tym, by nie okazać tego po sobie, bo znów zatrzymali nas w przejściu strażnicy. I znów znajomości Cecila, a także jego pamięć do imion i rodzinnych detali, nie wspominając o brzęczącej monecie, oddały nieocenione przysługi.

W wieży pochodnie osadzone w ścianach rzucały czerwone błyski. Sień, którą mijaliśmy, była wilgotna i zimna. Słońce nie docierało tu nigdy. Weszliśmy po krętych schodach na piętro przykryte drewnianym stropem. Zatrzymali nas dwaj żołnierze królewskiej straży przybocznej, uzbrojeni po zęby.

— Panie Cecil, niestety nikogo nie wolno nam wpuścić — oznajmił potężny drab przepraszającym tonem. Czy Cecil zna wszystkich strażników w Tower?

Najwyraźniej, bo uśmiechnął się serdecznie.

— Witaj, Tom. Słyszałem, że lordowie rozkazali pani nie opuszczać komnat. — Wyjął zza pazuchy list Marii do rady królewskiej, pokazując strażnikom jej pieczęć. — Widzicie,

ten człowiek przywiózł wieści od lady Marii. Chyba nie sądzić, że powinniśmy wtrącać się w sprawy rodzinne Tudorów, prawda? — Mówił tonem lekkim, niemal niefrasobliwym. — Wkrótce może się okazać, że będziemy musieli zdać sprawę z naszych poczynań w tych trudnych dniach, i dlatego chciałbym, żebyśmy mieli przekonanie, że dołożyliśmy starań, aby postępować słusznie. A poza tym wejdziemy tylko na chwileczkę.

Pocziwemu Tomowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Szorstkim gestem nakazał kompanowi otworzyć drzwi. Czekałem, że Cecil wejdzie pierwszy. Ale on odsunął się na bok.

— Muszę iść zabrać kilka dokumentów z kancelarii — wyjaśnił. — Masz kilka minut. To wszystko.

Wszedłem.

Komnata była niewielka, ale przyjemnie urządzona. Wyglądała jak każdy buduar szlachtetnej damy: obwieszony kobiercami, ze świeżym tatarakiem rozesłanym na podłodze z desek. Jane Grey siedziała na krześle pod oknem, z którego miała widok na całe miasto.

Nie oglądając się, powiedziała:

— Nie jestem głodna i nie mam zamiaru niczego podpisywać. Połóż na stole to, co przynosisz, i idź sobie.

— Wasza łaskawość... — Skłoniłem się nisko.

Wstała, szybkie ruchy zdradzały jej niepokój. Miała na sobie suknię z barchanu, rozpuszczone włosy spadały na szczupłe ramiona. W mroku komnaty wydawała się dzieckiem przebranym w szaty osoby dorosłej.

Głos wiązał jej w gardle.

— Ja... cię znam.

— Tak, wasza łaskawość. Jestem giermek Prescott. Przedstawiono mnie waszej łaskawości w Whitehallu. To dla mnie zaszczyt, że zostałem zapamiętany.

— Whitehall — powtórzyła i wzdrygnęła się. — Co za straszne miejsce.

Chciałem ją objąć i przytulić. Widać było, że nie miała od dawna chwili spokoju, a poruszyć ją może tylko tragedia.

— Niewiele dano mi czasu — rzekłem i zbliżyłem się o krok. — Przyszedłem powiedzieć, że nie masz, pani, powodu do rozpacz. — Wyjąłem list od królowej. — Jej wysokość Maria przysłała ci list.

Cofnęła się jak uderzona.

— Jej wysokość? A więc już po wszystkim?

— Już niedługo. Dzisiaj wieczorem rada królewska ją poprze. Nie mają wyjścia. Wojska księcia opuściły go. Prędzej czy później podda się lub zostanie pojmany.

Zagryzła wargę, zerknęła na trzymany przeze mnie list.

— Bóg w swojej mądrości wie, że nigdy tego nie chciałem — rzekła. — Księżę, jego żona, moi rodzice, rada... oni mnie do tego zmusili. Zmusili mnie do poślubienia Guilforda i do podporządkowania się im. Dlatego poproszę Marię, by znalazła w swym sercu wybaczenie dla mnie.

— Ona wybaczyła. Jej wysokość wie, że zostałeś, pani, bez skrupułów wykorzystana.

Uniosła dłoń i rzekła pewnym głosem:

— Proszę, by nie pomniejszono mojego brzemia. Popełniłam zdradę stanu. Muszę ponieść karę. Nie cofnę się przed tym, nawet jeśli będzie mnie to kosztowało życie.

Czułem, że zaraz się rozpłacze. Wyciągnąłem do niej rękę z listem.

— Jej wysokość nie chce, abyś, pani, cierpiała. Gdy tylko ujmie prawdziwych winowajców, wypuści waszą łaskawość. Będiesz się mogła udać do domu, milady, do swojej nauki, swoich książek.

— Moich książek... — Głos jej się załamał, a ja nie mogłem się już wstrzymać. Podeszedłem do niej, objąłem ramionami. Wtuliła się w mą pierś. Nie wydała ani dźwięku, ale czułem, że szlocha.

Resztki światła wpadały ukośnie przez okno. Miałem ochotę opowiedzieć jej o wszystkim, co odkryłem, aby wiedziała, że nie jest sama na świecie, że zawsze może znaleźć we mnie wuja, który się nią zaopiekuje.

Ale słowa nie przeszły mi przez gardło. Nie mogłem jej powiedzieć prawdy, była zbyt niebezpieczna. Prawda tylko powiększyłaby brzemień, jakie dźwigała na swych wątłych barkach. Choć zdawałem sobie sprawę, że być może któregoś dnia zrozumiem, dlaczego Dudleyowie uczynili to, co uczynili, ale byłem pewien absolutnie, że nigdy im nie wybaczę tego, co uczynili tej biednej piętnastoletniej dziewczynie.

Odsunęła się. Była opanowana, wilgoć z policzków znikła szybko. Wzięła z moich rąk pognieciony list.

— Przeczytam to później — powiedziała. Chciała jeszcze coś dodać, ale przerwał jej dźwięk dzwonów. — Musisz wyjść — ucięła zatem. — Nie możesz tu przebywać. To by ci nie wyszło na dobre.

— Wasza łaskawość, gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała, będę zawsze do usług.

Uśmiechnęła się.

— Nikt nie zmieni drogi, którą Bóg dla mnie przeznaczył.

Skłoniłem się ponownie i poszedłem do drzwi. Obejrzałem się przez ramię. Wróciła do okna i wyglądała w zapadający mrok.

Wyszedłem, Cecil wstał z zydła w korytarzu. Podziękował Tomowi, który zamknął starannie drzwi komnaty. Wziął mnie pod ramię.

— Już miałem po ciebie wejść. Nie słyszałeś dzwonów? Musimy natychmiast opuścić twierdzę. Najpóźniej za godzinę zamkną się wszystkie bramy. Tower stanie się więzieniem.

— Trudno. — Odsunąłem jego dłoń. — Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Nie, drogi chłopcze. To szaleństwo. Ona nie jest więźniem. Ma swobodę poruszania się i może powiedzieć każdemu, komu się jej spodoba, że żyjesz i masz się dobrze.

— Nie zrobi tego. Jest zbyt zajęta ratowaniem swojego najdroższego syna. A poza tym nie ma żadnego dowodu. Alice nie żyje. Przestałem być zagrożeniem, nawet jeśli kiedykolwiek byłem.

— Niezależnie od tego, jak jest teraz... — zaczął i po raz pierwszy, odkąd go poznałem, usłyszałem w jego głosie szczerą troskę. — Chcesz oddać swoje życie w jej ręce? Zastanów się, zanim to zrobisz. Ani myślę odpowiadać za to, co się z tobą stanie.

— Nie oczekuję tego od waszmości. Prosiłem Sokoła, żeby czekał na mnie na polach pod miastem z naszymi końmi. Jeśli nie zjawię się do zmierzchu, ma jechać do Hatfield. Możecie się z nim spotkać, panie, i pojechać do swojej rodziny. Ja muszę tu zostać. Ona ma coś, co jest mi potrzebne.

Cecil zacisnął szczęki. Stał w milczeniu dłuższą chwilę, po czym owinał się płaszczem i chwycił mocniej sakwojaż.

— Obyś znalazł to, czego szukasz — rzucił krótko i zszedł po schodach, nie oglądając się za siebie.

Żołądek ścisnęły mi kleszcze strachu, ale starałem się mu nie poddać. Odwróciłem się do zdziwionych strażników i poprosiłem:

— Czy któryś z was mógłby mi pokazać drogę do komnaty lorda Guilforda?

— Zaprowadzę cię, panie — powiedział Tom.

ROZDZIAŁ XXX

Wchodziłem za Tomem po stromych kamiennych stopniach na najwyższe piętro. Panowałem nad sobą, chociaż to, co mnie czekało, przerażało mnie bezgranicznie.

Stanęliśmy przed wąskimi drzwiami. Tom rozmawiał ze stojącymi tam strażnikami, a ja z trudem powstrzymywałem się, aby nie obrócić się na pięcie i nie uciec. Jeszcze dogonię Cecila. On wprawdzie też jest potworem, ale z nim mogę mieć do czynienia. Spotkamy się z Sokołem i jeszcze tej nocy będę z Kate i Elżbietą, bezpieczny w jej zamku. Resztę życia przeżyję w niewiedzy. Tak na pewno będzie lepiej. Bo cze-
gokolwiek się za tymi drzwiami dowiem, powiększy to tylko moje cierpienia.

Na myśl o tym moje palce powędrowały do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Dotyk tego drobnego przedmiotu, który tam schowałem, przywrócił mi siły. Muszę to zrobić. Dla Alice, jeśli nie dla siebie.

— Pięć minut. — Tom wręczył mi swoją broń. — I bądź
waś ostrożny. Ta kobieta to wściekły pies.

Odciągnął rygiel i otworzył drzwi. Zanim wszedłem, wsu-
nałem pistolet za pas.

Pośrodku komnaty stał duży, obity skórą kufer wypełnio-
ny ubraniami. Na podłodze leżały stosy papierów i książek.

W kącie dwie osoby ciągnęły spod ściany drewnianą skrzynię. Ich włosy i sylwetki były niemal identyczne.

Na dźwięk otwieranych drzwi odwróciła się, żeby powitać intruza. Guilford u jej boku również się odwrócił. Znieruchomiał.

— Najwyższa pora, żebyś wziął się... — Zesztywniała. — Kim jesteś? Jak śmiesz nam tu przeszkadzać! — Miało to zabrzmieć władczo, ale głos miała piskliwy z napięcia. Nie wyglądała dzisiaj na nieubłaganą, nieprzejednaną osobę, którą znałem i przy której nie umiałem wykrztusić słowa.

Nagle sobie uświadomiłem, że ona mnie nie poznała: noszę brodę, jestem w kapeluszu.

Zdjąłem kapelusz.

— Myślałem, że mnie rozpoznasz, milady.

Guilford krzyknął. Oddychając z sykiem przez zęby, lady Dudley podeszła sztywno. W jej rozczochranych włosach błyskały pasma siwizny. Na wychudzonej twarzy minę miała zaciętą, złą.

— To ty. Myślałam, że nie żyjesz.

Popatrzyłem w jej oczy, miała puste spojrzenie. Widać było, że jest chora. Była chora od lat, chora na duszy i umyśle. Kryła to pod lodowatą fasadą, która zdawała się nieprzenikniona, ale ta choroba ją wyniszczyła, a zdrada męża po latach przykładnego pożycia odsłoniła zdesperowaną, wściekłą istotę, w którą się zamieniła. Stojąc w obliczu porzucenia po całym życiu poświęceń, atakowała na oślep, nie cofając się przed niczym. Była śmiertelnie groźna, tym bardziej że działała w rozpacz nie do zniesienia. A rozpacz była czymś, co rozumiałem, choć to zrozumienie pociechy nie dawało.

— A więc rozczaruję cię, pani — rzekłem.

Wykrzywiła usta.

— Zawsze lubiłeś sprawiać kłopoty. — Podniosła dłoń i gestem, w którym był cień jej dawnej elegancji, odsunęła

kosmyk włosów z czoła. — Ależ to nużące. Myślałam, że już się ciebie pozbyliśmy.

— Ach, pozbędziesz się, pani. Niezwłocznie, jak odpowiesz na moje pytania.

Milczała. Guilford zawołał zza jej pleców:

— Trzymaj się od nas z daleka!

— Bądź cicho — powiedziała do syna, ale nie odrywała wzroku od mojej twarzy. — Niech pyta. Nic nas nie kosztuje posłuchać, jak traci czas.

Odrzuciłem połę płaszcza, ukazując broń Toma. Otworzyła szeroko oczy.

— Może nie jestem najlepszym strzelcem — rzekłem — ale w takim ciasnym pomieszczeniu w coś trafię. Albo w kogoś.

Zasłoniła sobą Guilforda.

— Jego zostaw. On nic nie wie. Zadaj swoje żałosne pytania i idź stąd. Mamy pilne sprawy do załatwienia.

Chociaż raz powiedziała prawdę. Gdy zadzwoniły dzwony, była w trakcie pakowania. Tak jak i Jane wiedziała, co te dzwony oznaczają. Wiedziała, że nadchodzi koniec. A zatem wraz z Guilfordem zaczęli taszczyć tę skrzynię do drzwi, chcąc je zatarasować, aby zyskać na czasie, póki nie zostaną oficjalnie ogłoszeni więźniami. Wiedziała, że rada królewska wkrótce nałoży areszt na Guilforda, jej ukochane dziecko, jedyne, na którym jej zależało. Prócz żądzy zemsty powodowało nią dzikie poświęcenie jedynej istocie, którą ukształtowała na swój obraz i podobieństwo.

Miała w sobie cechy ludzkie. Umiała kochać. I nienawidzić.

— Nie uratujesz go — powiedziałem. — Te dzwony biją dla królowej Marii. Przegraliście. Guilford Dudley nigdy nie założy na głowę korony. Prawdę mówiąc, będzie miał szczęście, jak ocali głowę.

— Rozedrę cię na strzępy, ty parszywy psie — prychnął Guilford.

Śmiech lady Dudley był ostry jak sztylet.

— Nadal nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje. Nigdy nie chciałam dla niego korony. To mój mąż stracił głowę dla korony, nie Guilford. Uratuję go, nawet jeśli będę musiała na klęczkach błagać o darowanie mu życia. Maria jest kobietą, wie, co to strata. Rozumie, że dziecko nie może płacić za zbrodnie ojca. — Podeszła do mnie jeszcze bliżej. — Ale ty, ty straciłeś wszystko. Alice nie żyje, a ode mnie nic nie dostaniesz. Nie istniejesz. Nigdy nie istniałeś.

Stawiłem jej czoło.

— Wiem o rządcy Sheltonie.

Umilkła całkiem.

— Archibald Shelton, pani, twój oddany rządcą — ciągnąłem. — Wiem, że to on strzelał do mnie tamtej nocy w Greenwich. Myślałem, że jest po prostu złym strzelcem, co dziwne, bo służył w wojnach szkockich. Ale teraz wiem, że on nie chciał mnie zabić. Chciał mnie oszczędzić i celował w mur. Trafił mnie przypadkowy rykoszet.

— Głupcze! — parsknęła. — Shelton wziął broń, ale było ciemno. Nie widział dobrze. Gdyby oświetlenie było lepsze, zabiłby cię. Nienawidzi cię za to wszystko, co zrobiłeś.

— Nie wierzę w to — powiedziałem i w tym momencie zatkało mnie, bo nagle uświadomiłem sobie coś, co dotąd mi umykało. Ale po chwili mówiłem dalej. — Nie wiedziałaś, pani, prawda? Nigdy ci nie powiedział. Nie wiedziałaś, że to jemu Alice powierzyła tajemnicę. Wiedziałaś tylko, że komuś ją powierzyła, komuś, kto miał ją ujawnić, gdyby skrzywdzono mnie lub ją. I tak się stało, gdy zamordowałaś Alice. Shelton tak jak i ja myślał, że ona zginęła podczas wyprawy na jarmark. Uwierzył w wasze kłamstwo, tak jak ja. Ale gdy tamtego wieczoru wszedł do komnaty króla z twoimi synami, zobaczył ją. Wiedział, do czegoś jest, pani, zdolna. Myślałaś, że możesz na nim bezgranicznie polegać, ale tak naprawdę on ma tylko jedną misję: ochronę mnie, syna jego byłego pana, Charlesa księcia Suffolk.

Rzuciła się na mnie z pazurami jak zwierzę. Straciłem równowagę. Odpychałem jej paznokcie od twarzy, ale w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wpadli strażnicy. Chwycili ją, oderwali ode mnie. Wiła się i miotała przekleństwami.

— Nie! — krzyknąłem. — Czekajcie. Zostawcie ją. Muszę...

Było już za późno. Dwóch strażników wyciągnęło ją z komnaty, a jej wrzaski odbijały się echem od murów. Pojąłem wtedy, że dużo czasu upłynie, nim przestanę te niesamowite dźwięki słyszeć w koszmarnych snach.

Wreszcie zamarły w oddali. W progu stał Tom.

— Pora, byś waść uciekał. Zamykają bramy na rozkaz rady królewskiej. Nie radzę ci tutaj nocować.

Skinąłem głową ogłuszony i ruszyłem ku drzwiom. Usłyszałem stłumiony szloch. Obejrzałem się. Guilford siedział na podłodze z twarzą wtuloną w dłonie. Spróbowałem zdobyć się na współczucie, ale wszystko, co udało mi się z siebie wykrzesać, to niesmak.

— Gdzie on jest? — spytałem.

Guilford podniósł zażawione oczy.

— Kto? — wychlipał.

— Shelton. Gdzie on jest?

Łzy go dławiły.

— Poszedł... poszedł po konie.

Obróciłem się na pięcie i wypadłem z komnaty.

Zapadła już noc. Dymiące pochodnie na zewnętrznym dziedzińcu smoliły mury sadzą. Ulicami miasta niósł się niepokojny głos dzwonów. Cały Londyn szykował się do powitania prawowitej królowej, ale tu, w Tower, wybuchł zamęt, bo ci, co dotąd służyli księciu, pojęli, że ich czas się kończył, więc próbowali uciec. Tymczasem zamykano bramy.

Zbiegłem po schodach, ale musiałem się zatrzymać. Puls dudnił mi w uszach. Z trudem łapałem oddech. Rozglądałem się po dziedzińcu, chcąc znaleźć tę postać, którą widziałem

wcześniej. To nie był wytwór wyobraźni, wynikający z mojego przemęczenia.

To był rządcą Shelton w czarnym płaszczu. Shelton: pomagał lady Dudley i Guilfordowi w przygotowaniu ucieczki. Widział Cecila i mnie, jak wchodzimy do wieży. Musi być blisko. Lady Dudley na niego czekała, a on jej nie opuści, póki będzie przekonany, że jeszcze może coś zrobić. Na Sheltonie można było polegać. Obowiązki wypełniał, choćby walił się cały świat.

Wiedziałem teraz, że miał jeszcze jedną funkcję. Służył Charlesowi księciu Suffolk, zanim trafił do Dudleyów. Alice musiała go znać jeszcze z tamtych czasów i powierzyła mu prawdę o moim urodzeniu. Wiedziałem, że śmierć mojej matki pograżyła go w żalu i że dostarczył fragment jej klejnotu Marii Tudor. Darował mi życie w Greenwich. Nie wiedziałem tylko jednego: co łączyło go z moją matką. Czy to nie on był prawdziwym powodem, że ukrywała ciążę? Przedstawiłem się jako syn Suffolka, żeby zbić z pantałyku lady Dudley, ale wiedziałem w głębi duszy, że jeszcze mi czegoś brakuje, jakiegoś klucza, który — jeśli go znajdę — otworzy ostatnie wrota tajemnicy.

Ten klucz miał on. Tylko on może mi powiedzieć, czy jest moim ojcem.

Wszędzie kręciły się postaci w czarnych płaszczach. Zakląłem. Nigdy go w tym tłumie nie odnajdę. Lepiej zrezygnować, uciec, póki jeszcze jest szansa, póki jeszcze nie wszystkie bramy są zamknięte, póki nie jestem schwytyany w pułapkę.

Ruszyłem w tę stronę co większość. I nagle dostrzegłem cień pod ścianą z przeciwnej strony, gdzie mrok był gęsty jak inkaust. Ktoś krył twarz pod kapturem. Stanałem nieruchomo jak słup. Czekałem z nerwami napiętymi jak postronki. Podniósł głowę. Przez jeden elektryzujący moment nasze oczy się spotkały. Skoczyłem w jego stronę, ale rządcą Shelton od-

wrócił się i rzucił biegiem. Jego mocne nogi pchały go przez tłum, który w panice uciekał z dziedzińca.

Przepychałem się za nim, pomagając sobie łokciami. Shelton był przede mną, rozpoznawałem go po szerokich barach. Brukowane przejście zwężało się, powstał korek. Żelazne kraty były zamknięte, ostre zęby zagradzały drogę. Z tyłu rozległ się stukot podków, ruszyła się straż konna, za nimi setki pieszych w hełmach i stalowych napierśnikach.

W przerażeniu patrzyłem, jak żołnierze wyciągali ludzi na oślep z tłumu, zadając wciąż to samo pytanie: „Komu służyysz? Królowej czy księciu?“, czemu towarzyszył przeraźliwy chrobot pik, tnących skórę i zgrzytających o kości. W ciągu paru sekund powietrze wypełniło się odorem moczu i krwi. Rozgorączkowani ludzie próbowali przecisnąć się przez kraty. Ciżba napierała; łamały się zębra, ręce i nogi.

Shelton próbował zawrócić, wycofać się pod prąd z ogarniętego paniką tłumu. Gdyby go ktoś rozpoznał jako służącego Dudleyów, zabito by go na miejscu.

Zbliżał się ochlapany krwią strażnik na wielkim wierzchołku, ludzie rozstępowali się z trudem. Kilku pechowców spadło do fosy, porwał ich rwący nurt. Rozpychałem się łokciami ze wszystkich sił, usiłując nadażyć za Sheltonem. Rządca obejrzał się, błysnęła wyraźnie jego blizna. Zobaczył nadjeżdżającego strażnika i stanął, gromiąc go wzrokiem. Chciałem krzyknąć do niego jakieś ostrzeżenie, ale motłoch zgęstniał ponownie, zasłaniając mi go. Krata uniosła się nieco. Zamęt się jeszcze wzmógł, ludzie usiłowali przepęłznąć, wykorzystując powstałą lukę.

Shelton zniknął. Wszystkimi siłami starałem się nie dać ponieść ludzkiej masie. Deptałem po ciałach tych, którzy upadli, a tłum ich stratował. Zostałem wyniesiony wraz z resztą na brzeg rzeki. Rozejrzałem się. Sheltona ani śladu.

Słyszałem, jak konna straż szarżuje. Ludzie zaczęli skakać z nabrzeża do wody, wołąc rzeczny nurt niż piki i miecze straży.

— Nie! — krzyknąłem, chociaż i ja ruszyłem przed siebie. — Neeeeee!!! — wrzeszczałem, wpadając w spieniony nurt Tamizy.

Parę godzin później, mokry i śmierdzący ściekami, dotarłem na pola pod miastem. Na niebie widniały krwawe łuny. Z Londynu, który zostawiłem za sobą, dobiegało bicie w dzwony.

Udało mi się przepłynąć na drugi brzeg, pośród wirów i głębin. Uniknąłem losu tych, których kipiel wessała, i tych, którzy wydostali się z wody na tym samym brzegu po to tylko, by trafić na rozszalałych żołnierzy. Wiedziałem, że tej nocy zginie wielu, którzy służyli księciu, nawet na najpodlejszych stanowiskach. Zastanawiałem się, czy Cecilowi udało się uciec. Podejrzywałem, że tak. Pan sekretarz umiał się wykaraskać.

Starałem się nie myśleć o Sheltonie. Wątpiłem, czy umiał pływać. Bolesna była też myśl o Jane Grey, która stała się więźniem stanu, zdany na łaskę i niełaskę królowej. Dlatego skupiłem się raczej na tym, by nie ustawać w marszu. Szedłem noga za nogą, ciągnąc za sobą przemoczony płaszcz. Nie wiedziałem, jak daleko mam do Hatfield. Może znajdę jakąś podwodę, jeśli trochę wyschnę.

Gdy już uznałem, że oddaliłem się wystarczająco, usiadłem i wyciągnąłem z kieszeni przemoczonego płaszcza złoty liść. Przełożyłem do kaftana. Wyjąłem płaszcz, na ile się dało, i zwinąłem w tobołek, który zamierzałem sobie przytroczyć na plecach. Nagle usłyszałem tętent koni.

Schowałem się za krzewem głogu, ale marna to była kryjówka. Na szczęście noc była ciemna i bezksiężycowa. Miałem nadzieję, że jeźdźcy będą tak zajęci ucieczką, że mnie nie zauważą. Skuliłem się przy ziemi i wstrzymałem oddech.

Jeźdźcy byli w płaszczach i kapeluszach. Gdy się zatrzymali, wiedziałem, że mam pecha.

— Najwyższy czas — powiedział znajomy głos.

Wstałem z niewyraźnym uśmiechem.

Cecil obejrzał mnie od stóp do głów. Dosiadał Diakona. Obok, na Cynobrze, jechał Sokół.

— Nareszcie! — wykrzyknął. — Szukaliśmy cię, Brendanie, ponad godzinę, zastanawiając się, w jakie kłopoty wpakowałeś się tym razem. — Zachichotał. — Wygląda na to, że znów pływałeś w rzece. Czy jesteś pewien, żeś nie miał rybiego przodka?

Spojrzałem na niego z wyrzutem.

— Znalazłeś to, czego szukałeś? — spytał cicho Cecil.

— Prawie. — Przytroczyłem zwinięty płaszcz do siodła i wskoczyłem na Cynobra przed Sokołem. — To nie było przyjemne przeżycie.

— Nie sądziłem, by miało być. — Cecil podążył spojrzeniem za moim, ku czarnej sylwetce Tower. — Motłoch się rozszalał — rzekł. — Na ulicach podniósł się wrzask, żądają krwi Northumberlanda. Módlmy się, by królowa Maria okazała się warta tych ofiar.

Spojrzał na mnie. Popatrzyłem mu w oczy z cichym zrozumieniem. Byliśmy wrogami; może nawet powinniśmy nimi zostać. Ale czasy wymagają od nas czegoś więcej.

— A zatem do Hatfield — powiedział Cecil.

Rozstaliśmy się kilka godzin później, gdy na wschodzie rozlała się jutrzeńka. Dom Cecila znajdował się niedaleko. Sekretarz opisał mi szczegółowo, jak trafić do Hatfield. Nastąpił niezręczny moment, gdy mu dziękowałem, że został z Sokołem, żeby pomóc mu mnie szukać.

— Powiedziałem łobuzowi, żeby na mnie nie czekał.

Cecil przechylił głowę na bok.

— Z przyjemnością oddałem tę przysługę. Ucieszyłem się, że jeszcze mnie stać na takie gesty. Proszę, przekaz,

Brendanie, moje wyrazy uszanowania jej wysokości i oczywiście pozdrowienia pannę Stafford. — Jeszcze zauważyłem znaczącą iskierkę w jego chłodnych oczach, gdy wspomniał Kate, po czym odjechał galopem.

Odprowadziłem go wzrokiem, póki nie zniknął. Zbyt wiele między nami zaszło, byśmy mogli się zaprzyjaźnić, lecz jeśli Elżbiecie potrzebny był wyzuty z moralności sojusznik, to lepszego niż William Cecil nie znajdzie.

Sokół co chwila zapadał w drzemkę za mną w siodle.

— Wyprostuj się — powiedziałem. — Nie zatrzymamy się, póki nie będziemy na miejscu.

Popędziłem konia. Jechaliśmy pod coraz jaśniejszym niebem, pośród zielonych łąk i bukowych zagajników, póki nie zobaczyliśmy czerwonych cegieł pałacu schowanego wśród wielkich dębów. W porannym rzeźkim powietrzu rozchodził się zapach pieczonego chleba.

Zwolniliśmy do stępa. Z bliska zauważyłem, że Hatfield to tętniące życiem gospodarstwo, jest ogrodzone pastwisko, na którym pasie się bydło, są sady, warzywniki, stoją zabudowania gospodarcze. Domyśliłem się, jeszcze ich nie widząc, że ogrody będą śliczne, choć trochę dzikie, jak ich właścicielka.

Spłynęło na mnie ukojenie. W takim miejscu czas szybciej leczy rany.

Zobaczyłem wybiegającą na drogę postać. Kasztanowe włosy podskakiwały na ramionach. Podniosłem rękę i pomachałem radośnie i z ulgą. Wreszcie byłem w domu.

HATFIELD

ROZDZIAŁ XXXI

Spałem bez snów.

Obudziłem się w komnacie, do której Kate zaprowadziła mnie w stanie kompletnego wyczerpania. Leżałem pod lnianym przykryciem, wdychając zapach lawendy z wianka powieszzonego na ścianie. Dochodziła do tego woń pokostu, którym nacierano meble.

Przeciągnąłem obolałe członki i wstałem. Obok łóżka stały cynowy dzban i miska. Wyrzałem przez okno na park otaczający pałac. Nie wiedziałem, jak długo spałem, ale czułem się odświeżony, niemal nowo narodzony. Rozejrzałem się po komnacie w poszukiwaniu odzienia, które jeśli dobrze pamiętałem, ściągnęła ze mnie Kate, gdy zwałem się na łóżko.

Nagle, bez pukania, drzwi otworzyły się na oścież. Wpadła pani Ashley z tacą.

— Śniadanie — obwieściła — choć powinna być wieczera. Przespałeś, kawalerze, cały dzień. Tak jak i twój brudny przyjaciel. Jest w kuchni i pożera jagnię.

Wydałem stłumiony okrzyk i osłoniłem przyrodzenie dłońmi. Zachichotała.

— Nie przejmuj się, kawalerze. Widziałam już nagiego mężczyznę. Pewnie ci się wydam nieco za stara, ale musisz wiedzieć, że jestem mężatką.

— Moje... moje ubranie? — spytałem osłupiały. Gdy poprzednio widziałem panią Ashley, nie patrzyła na mnie życzliwie. Z trudem poznawałem w tej serdecznej i wesołej kobiecie ową nadętą jejmość z pierwszego spotkania.

— Odzienie się pierze. — Zdjęła ściereczkę z tacy, odsłaniając bochenek pszennego chleba i półmisek z serem, solonym mięsem i owocami. — W szafie masz czystą koszulę, kaftan i pludry. Myślę, że znaleźliśmy coś w odpowiednim rozmiarze. Nic wyszukanego, ale na razie musi wystarczyć. — Popatrzyła na mnie rzeczowo. — Proszę być spokojnym. Panna Stafford zabezpieczyła cenne rzeczy, które miałeś, kawalerze, przy sobie. Jest teraz w ogrodzie, zbiera zioła. Jak się umyjesz i zjesz, możesz do niej zejść. Do ogrodu wychodzi się drzwiami po lewej. — Urwała, przypatrując mi się bacznie. — Brodę proponuję zgolić, nie pasuje do twarzy. W dzbanku jest woda, na brzegu miski mydło. Mydło robimy sami. Jest bardzo dobre, nie gorsze od tego perfumowanego świństwa, które sprowadzają z Francji i każą płacić w Londynie majątek.

Odmaszerowała do drzwi. Tam zatrzymała się jeszcze, jakby czegoś zapomniała. Odwróciła się, a ja zdążyłem owinać się prześcieradłem.

— Winniśmy wszyscy wielkie podziękowanie, kawalerze — powiedziała. — Panna Stafford opowiedziała nam, jak bardzo pomogłeś jej wysokości zobaczyć się z jego królewską mością, świeć Panie nad jego duszą, a potem w ucieczce. Kto wie, czym by się to skończyło. Northumberland zawsze jej źle życzył. Ostrzegałam, żeby się stąd nie ruszała, ale ona mnie nie posłuchała. Nigdy mnie nie słucha. Nikogo nie słucha. Uważa, że jest niezniszczalna. To ją doprowadzi do zguby, wspomnicie moje słowa. — Gadała jak najęta. Kto by zgadł?

Skłoniłem głowę.

— Służba jej wysokości jest dla mnie zaszczytem — wymamrotałem.

— Tak, tak. — Prychnęła. — Służba u niej to nie przelewki, sam zobaczysz. Wiem to dobrze. Jestem przy niej, odkąd była o, taka mała. Nigdy nie spotkałam bardziej rogatej duszy. Zawsze musiało być tak, jak ona chciała. Ale mimo to wszyscy tu ją kochają. Ona potrafi skraść każde serce. Nic się na to nie poradzi. I zanim się obejrzysz, okręci cię wokół ślicznego paluszka. — Pogroziła palcem. — Musisz uważać. Jest przebiegła jak kot. — Uśmiechnęła się. — No, idę. Obie czekają na ciebie, nie wiem, która bardziej niecierpliwie. Umyj się dobrze. Jej wysokość ma nos jak ogar. Niczego tak nienawidzi jak potu lub nadmiaru perfum.

Ledwo drzwi się zamknęły, sięgnąłem po tacę. Najadłszy się do syta, umyłem się i wyjąłem z szafy zostawione dla mnie odzienie. Z zadowoleniem znalazłem tam też moją sakwę. Delikatnie wyjąłem oprawny w skórę tom. Otworzyłem na stronie tytułowej i jeszcze raz spojrzałem na wyblakły atrament dedykacji. *Votre amie, Marie.*

Podziwiałem staranne pochyłe litery, zapisane ukochaną ręką, której dotyku nigdy nie poczułem. Położyłem tomik na stoliku przy łóżku. Przeczytam później ulubiony psalm ochmistrzyni Alice. I powspominam.

Namydliłem twarz, oskrobałem zarost moim nożem, przeglądając się w kawałku lustra, który wozilem w sakwie. Nie mogłem się dobrze sobie przyjrzeć w tym odłamku, ale to, co zobaczyłem, gdy już zmyłem z siebie pianę z zarostem, zastanowiło mnie.

Twarz patrząca na mnie z drugiej strony była posiniaczona, blada, bardziej pociągła, niż ją pamiętałem. Jej młodzieńczość złagodzona była ciężko zdobytą przyspieszoną dojrzałością. To była twarz kogoś, kto jeszcze nie miał dwudziestu jeden lat, twarz, z którą przeżyłem całe życie, a która należała do kogoś, kogo nie znałem. Z czasem jednak poznam tego

obcego. Uczynię siebie jego panem. Nauczę się wszystkiego, co potrzebne, by żyć w tym nowym świecie, i znajdę tam dla siebie miejsce.

I nie spocznię, póki nie znajdę rządcy Sheltona. Bo on wiedział o mnie znacznie więcej, niż kiedykolwiek powiedział. Tego byłem pewien. Służył u Charlesa Brandona, księcia Suffolk. Smucił się po śmierci żony księcia, mojej matki. Czy wiedział, że złoty liść, który przekazał Marii Tudor, pochodził z tego samego klejnotu, z którego inny liść trafił do rzeczy ochmistrzyni Alice? A czy wiedział, kto i dlaczego powierzył ten liść Alice? Miałem wiele pytań, na które tylko on mógł znać odpowiedzi.

Zacząłem się ubierać. Odzienie pasowało na mnie jak ulał.

Przeszedłem przez wielką sień ze wspaniałym belkowanym stropem i flamandzkimi kobiercami na ścianach. Wyszedłem przez otwarte dębowe drzwi w ciepłe letnie popołudnie, które opadało na dzikie róże i wierzby jak aksamitny deszcz.

Kate stała wśród ziół. Miała na głowie słomkowy kapelusz i układała w koszyku pęczki tymianku. Spojrzała ku mnie, kapelusz zsunął się jej na plecy i zawisł na wstążkach. Wzięłem ją w ramiona i przycisnąłem do siebie, dając upust nabrzmiałej czułości.

— Chyba dobrze spałeś — wyszeptła wreszcie, odrywając na chwilę wargi.

— Spałbym lepiej, gdybyś była ze mną — powiedziałem, wędrując dłońmi ku jej talii.

Roześmiała się.

— Spałeś jak zabity, nic by ci ze mnie nie przyszło. — Zaśmiała się znowu, zmysłowo. — I nie próbuj mnie kusić. Nie ulegam żadnym kocurom, co postanowiły zajrzeć na chwilę do domu.

— I to mi się w tobie podoba — mruknąłem.

Pocałowaliśmy się, a potem zaprowadziła mnie do ławki.

Usiedliśmy, trzymając się za ręce i patrząc na przygasające niebo. W pewnej chwili Kate powiedziała:

— Zobacz, co mam. — Z kieszeni spódnicy wyjęła złoty liść, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, srebrny pierścień z onyksem, który dostałem od Roberta Dudleya.

— Zapomniałem o nim — mruknąłem, wsuwając go na palec. Był za duży.

— Czy wiesz, co się stało? — zapytała.

— Ostatnie wieści, jakie miałem, to że księżę wyruszył do Framlingham, a po drodze armia go opuściła.

Pokiwała głową.

— Wczoraj przysły wieści. Nie dotarł do niej. Gdy rada królewska ogłosiła Marię królową, Arundel i pozostali rzucili się jej do stóp. Arundel posunął się do tego, że aresztował Northumberlanda, lorda Roberta i pozostałych synów. Zabrano ich do Tower, gdzie siedzi też Guilford. — Zamilkła na chwilę. — Powiadają, że Maria każe ich ściąć.

Zacisnąłem palce na pierścieniu.

— Czy można się jej dziwić? — Gdy to powiedziałem, przypomniałem sobie dawne czasy, przestraszonego chłopca przycupniętego na strychu, kryjącego się przed hordą młodych Dudleyów, którzy go nigdy nie przyjmą do kompanii.

Poczułem dłoń Kate.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć? Masz ten złoty płatek. Dowiedziałaś się, co on oznacza?

Wspomnienie uleciało.

— To jest liść. — Popatrzyłem jej w oczy. Otworzyłem jej dłoń, położyłem na niej złoty liść. — Wszystko ci opowiem. Ale potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby sobie to w głowie ułożyć. A teraz czeka na mnie jej wysokość. Tak powiedziała pani Ashley.

Zauważyłem, że odrobinę zeszywniała. Wiedziałem, że tak już będzie zawsze i że muszę się nauczyć z tym radzić,

jeśli mamy wieść wspólne życie. Wiedziałem, że losy Elżbiety, drogiej nam obojgu, nierozzerwalnie się z nim spleją.

— Tak, czeka — powiedziała Kate. — Miała dzisiaj po południu jeden z tych swoich bólów głowy. Dlatego właśnie wyszłam po zioła. Zrobię z nich łagodzący napar dla niej. Ale rzeczywiście, prosiła, żebyś ją odwiedził, jak tylko będziesz gotowy. Zaprowadzę cię do niej, jeśli chcesz. Jest teraz w galerii i ćwiczy. — Wstała.

Przycisnąłem jej dłoń do warg.

— Słodka Kate, moje serce należy do ciebie.

Popatrzyła na nasze splecione dłonie.

— Teraz tak mówisz, ale nie znasz jej tak jak ja. Jest dobrą panią, to na pewno, ale wymaga w zamian całkowitego poświęcenia.

— Już je ma. Ale nic więcej. — Wstałem, wziąłem ją pod brodę i pocałowałem w usta. — Pilnuj tego liścia. Jest teraz nasz, symbolizuje związek naszych dusz i ciał. Ofiaruję ci pierścień, jeśli mnie zechcesz.

Blask jej oczu rozgrzał mi serce. Miałem później dość czasu, by dowieść, że nic nie może zagrozić miłości, którą chciałem z nią dzielić — miłości odległej od niepokojów tych dni i od dworskich intryg; miłości, w której mogła wreszcie spocząć tajemnica mej przeszłości.

Poszedłem za Kate do pałacu. U wejścia do galerii dostrzegłem szczupłą sylwetkę z Urianem u boku. Będąc sama, Elżbieta wydawała się wyższa i przykuwała uwagę. Przystanąwszy, nabrałem powietrza, żeby rozluźnić pierś, w której poczułem skurcz, postąpiłem krok i złożyłem ukłon. Urian skoczył do mnie z radosnym szczełaniem.

Elżbieta stała obrysowana rozproszonymi promieniami słońca, które wpadały przez niszę okienną; jej bladofioletowa suknia odbijała światło jak powierzchnia wody. Rudozłote włosy nie były związane i spadały swobodnie na ramiona. Wyglądała trochę jak spłoszony bażant na polanie, ale gdy

ruszyła do mnie energicznym krokiem, pojąłem, że jest raczej myśliwym niż zwierzyną. Zobaczyłem, że trzyma w dłoni zwinęty pergamin. Popatrzyłem w jej bursztynowe oczy.

— Z radością widzę waszą wysokość bezpieczną.

— I w dobrym zdrowiu, o tym nie zapomnij — zakpiła.

— A ty, przyjacielu?

— W najlepszym porządku — odpowiedziałem cicho.

Uśmiechnęła się, zapraszającym gestem wskazała parapet okienny. Wytarte obicie i stosik książek świadczyły, że to jej ulubione miejsce. Przycupnąłem na skraju. Urian obwąchał moje nogi i zwinął się przy stopach.

Elżbieta usiadła, nie za blisko. Obracała w palcach pergamin. Przypomniałem sobie, jak tą wypielegnowaną dłonią chwyciła kamień, którym ogłuszyła strażnika. Pomyślałem o tej dwoistości jej natury, tak dla niej charakterystycznej.

Dopiero w tej chwili uzmysłowiłem sobie powagę sytuacji. Dotąd nie myślałem, jak zareaguje, gdy jej powiem to, czego się dowiedziałem. Czy powita mnie jako członka rodziny? Czy, tak jak jej okropna kuzynka księżna Suffolk, uzna za zagrożenie? To przecież możliwe. Jestem synem siostry jej ojca. Nigdy nie zrozumie, że choć mam w żyłach krew Tudorów, nie mam żadnych aspiracji do korony.

Jakby wyczuwając moje myśli, rzekła:

— Jesteś urodziwy. — Mówiła, jak gdyby zobaczyła mnie po raz pierwszy. — Szczupły, o jasnoszarych oczach i włosach koloru jęczmienia. Nic dziwnego, że Jane uważała, że wyglądasz znajomo. Przypominasz mojego brata Edwarda, on by pewnie wyglądał zupełnie jak ty, gdyby dożył twojego wieku.

Emocje wezbrały we mnie tak, że z trudem nad nimi panowałem. Czy Elżbieta przyjmie mnie jako krewniaka czy nie, nie miało jednak teraz znaczenia, bo uznałem, że to jeszcze nie pora na wyznanie. Musiałem lepiej zorientować się w tym nowym świecie, w którym przyszło mi teraz żyć. Bo niezależnie od tego, jak bardzo prawdziwie kochałem Kate —

a kochałem ją prawdziwie i będę ją kochał do końca życia — nie miałem wątpliwości, że kocham także tę królową. Jak to możliwe? Moja miłość nie była ziemskim opętaniem, jak w przypadku Dudleya. I cieszyło mnie to. Bo miłość do Elżbiety Tudor wymagała więcej, niż dawała w zamian. Skazywała człowieka na wieczny stan niepewności, na tęsknotę za czymś, co nie może się ziścić. W tym sensie zrobiło mi się żal lorda Roberta, bo fizyczne łańcuchy nigdy nie dorównają temu, czym ona przykuła jego serce.

— Nad czym tak się zadumałeś, kawalerze? — usłyszałem pytanie i natychmiast wróciłem do rzeczywistości.

— Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość. Właśnie myślałem o ostatnich wydarzeniach.

— No tak. — Przyglądała mi się w niezachwianym skupieniu.

Zdjąłem z palca pierścień.

— Należy do ciebie, pani. Dał mi go lord Robert, gdy mnie przysłał do waszej wysokości. Oddaję go zatem.

Wyciągnęła drżącą rękę.

— Wiele zaryzykowałeś, by mi go dostarczyć, wiem. Mógłby ktoś powiedzieć, że za wiele.

— Może i tak, wasza wysokość.

— Ale ty podjąłeś ryzyko. — Uniosła głowę. — Czy było warto przeżyć to wszystko? — Czekwała na odpowiedź bez królewskiej pozy. Stała się na powrót tym, kim była w głębi serca: młodą, wrażliwą, niepewną siebie dziewczyną.

— Tak — odrzekłem. — Warto było przeżyć każdą chwilę. I podjąłbym każde ryzyko znowu, aby waszej wysokości służyć.

Obdarzyła mnie uśmiechem.

— Obyś tylko tych słów nie pożałował. — Rozwinęła trzymany w dłoni zwitek pergaminu. — Moja siostra wzywa mnie do Londynu — powiedziała. — A raczej jej nowy lord szambelan. Mam wraz z nią i całym dworem święcić jej

zwycięstwo. — Zamilkła, a gdy się odezwała znowu, jej głos wznosił się niewiele ponad szept. — Będą mi potrzebne twoje bystre oczy. My z Marią... nie jesteśmy jak zwykle siostry. Zbyt wiele bólu przeżyliśmy, zbyt wiele strat. Ona nie umie wybaczać, choć cała moja wina polega na tym, że jestem córką rywalki jej matki.

Miałem ochotę jej dotknąć — ale nie uczyniłem tego.

— Jestem do dyspozycji — odparłem. — Tak jak inni. Zadbamy o to, by się waszej wysokości nie stała żadna krzywda.

Skinęła głową, wsuwając pierścień Roberta za gors. List wysunął się z palców i spadł na podłogę. Siedzieliśmy w milczeniu dłuższą chwilę, aż w końcu spojrzała na mnie i zupełnie nagle roześmiała się dźwięcznie.

— Co taki poważny? Czy umiesz tańczyć, kawalerze Prescott?

Podskoczyłem.

— Tańczyć? Nie, wasza wysokość. Nigdy się nie nauczyłem.

— Naprawdę? — Zerwała się na równe nogi. Urian podskoczył obok niej. — Musimy temu zaradzić. Jak masz się cieszyć dworskim życiem, a co więcej, jak masz odnosić na dworze sukcesy, jeśli nie umiesz tańczyć? Taniec to oręż każdego szlachetnie urodzonego młodzieńca. Znacznie więcej dla dobra królestwa zdziałano w salach balowych niż w izbach parlamentu czy na polach bitwy.

Poczułem, że na twarz wypływa mi uśmiech, gdy klaskaniem przywołała do galerii Kate i Sokoła. Podejrzywałem, że kryli się w pobliżu, czekając na znak, co potwierdziła lutnia w dłoniach Kate.

Podrygujący u jej boku Sokół zmieniony był nie do poznania. Wyszorowany do połysku, odziany w aksamity w odcieniu pasującym do koloru oczu. Uśmiechał się od ucha do ucha, gdy Elżbieta kazała mu wybijać rytm na okładce książki.

— Powoli, jakby to był wielki kocioł albo tylne kopyta pełnokrwistego ogiera. Kate, zagraj tę pawanę, której uczyliśmy się w zeszłym tygodniu, tę francuską, o długich strofach.

Wydobywając ze strun pierwsze akordy, Kate uśmiechnęła się do mnie psotnie. Choć jej spojrzenie ostrzegało, że weźmie na mnie słodki odwet, poddałem się Elżbiecie, która ujęła mnie za rękę i powiodła do tańca.

P O S Ł O W I E

Należy pamiętać, że ta powieść jest dziełem wyobraźni. Odpowiada na pytanie: co by było, gdyby? Miesza fakty i fikcję, plotki, domysły i wytwory fantazji i z nich układa opowieść. Wprawdzie starałem się pozostać w zgodzie z realiami epoki i snuć domysły w ramach tych realiów, poczyniłem jednak pewne zmiany, by stworzyć moją fabułę.

Najważniejsza oczywiście polega na tym, że w dokumentach historycznych nie ma żadnej wzmianki o tym, by Elżbieta Tudor odwiedziła dwór królewski w dniach poprzedzających zgon Edwarda VI. Nie ma też dowodów na to, że młodego króla otruto czy też starano się sztucznie przedłużyć mu życie. Niemniej jednak opisane wydarzenia historyczne towarzyszące dziewięciodniowym rządóm Jane Grey i okoliczności upadku Northumberlanda są prawdziwe. Książę rzeczywiście próbował zamiast Marii Tudor osadzić na tronie swoją synową, a jego wojsko opuściło go i przeszło na stronę Marii. Robert Dudley rzeczywiście został wysłany z zadaniem pojmania Marii. Gdyby mu się udało, nie ma wątpliwości, że następną uwięzioną byłaby Elżbieta.

Kate Stafford, Sokół, Archie Shelton i ochmistrzyni Alice to postaci fikcyjne, choć wzorowane na postaciach służących z epoki Tudorów.

Maria Suffolk, młodsza siostra Henryka VIII, rzeczywiście sprzeciwiała się jego zerwaniu z katolicyzmem i małżeństwu z Anną Boleyn. Maria nigdy nie uznała Anny za prawowitą królową i trzymała się z dala od dworu przez wiele miesięcy przed śmiercią. Natomiast sugestia o jej ukrytej ciąży to mój wymysł. Wymyślony jest również Brendan Prescott, chociaż przypuszczenie o istnieniu nieznanego Tudora wydaje się fascynujące.

Ponieważ pisanie jest ze swej natury obsesją indywidualną, ale zawodem kolektywnym, jestem winien wyrazy wdzięczności mojej agentce Jennifer Weltz, która wspierała moje dzieło swoim bezgranicznym entuzjazmem. Ona i jej koledzy z agencji literackiej Jean V. Naggar są dla mnie kamieniami probierczymi w tej jakże często nieobliczalnej branży. Mój wydawca Charles Spicer od wielu lat wspomaga mnie w pisaniu i uważam za przywilej, że mogę z nim pracować, jak również z jego redaktorką Allison Caplin oraz adiustatorką Kate Davis. Wszyscy z zespołu wydawnictwa St. Martin's Press, od działu reklamy, marketingu po dział kreatywny, są wspaniali i dziękuję im za ich wkład w tę książkę.

Jeśli idzie o sferę osobistą, to mój partner wspierał mnie swym humorem i bystrością, gdy ja borykałem się z przejściem od statusu pisarza amatora do zawodowca. Dziękuję też naszemu ulubionemu corgi imieniem Paris za codzienne demonstrowanie mi, jak wygląda radość. Dziękuję bratu i bratowej za pierwsze prywatne recenzje książki. Moja przyjaciółka Linda przeczytała wielokrotnie maszynopis. Paula zarzucała mi pomysły. Billy i LuAnn Jeansowie, a także Jack z Sunset Writers Group zarazili mnie śmiechem i nie szczędzili słów zachęty. Sarah Johnson z Historical Novel Society jest przyjaciółką wyjątkową. Dziękuję jej za niestrudzone wsparcie dla gatunku powieści historycznej i wsparcie dla tej powieści w jej poprzednich wcieleniach. Moi znajomi

ze spacerów z psem w parku McLarena uczyli mnie skromności, a moja zmarła przyjaciółka Marie H., z którą odbywałem długie spacery podczas pisania tej książki, nie żałowała mi herbaty ani mądrości. Brak mi jej i często ją wspominam.

Wypada mi też podziękować wszystkim księgarzom, handlowcom, kolegom po piórze i autorom blogów, którzy podkreślają wagę książki i czytelnictwa w naszej coraz bardziej rozgorączkowanej kulturze.

Pragnę podziękować mojej matce, która dała mi do czytania pierwszą powieść historyczną i rozpaliła we mnie iskierkę, co nigdy nie wygasła, oraz ojcu, który zachęcał mnie do pisania. Nie dożył ukazania się moich książek drukiem, ale myślę, że byłby dumny.

I wreszcie, *last but not least*, dziękuję Tobie, Czytelniku, bo bez Ciebie książka byłaby tylko kartkami w okładce. To Twoje oczy budzą moje słowa do życia. Jestem tylko jednym z wielu opowiadaczy historii, których słuchasz, i mam szczerą nadzieję, że będę Cię mógł bawić jeszcze przez wiele lat.

Wszystkich zainteresowanych moimi powieściami i spotkaniami autorskimi zapraszam na stronę internetową www.cwgortner.com.